

CHRIS BOHJALIAN

BEZ WYJŚCIA

*(Brak stron 33-34 i 273-274)***OD AUTORA**

P

OMYSŁ NA TĘ POWIEŚĆ ZRODZIŁ SIĘ W GRUDNIU 2003 ROKU, gdy Rita Markley, dyrektor wykonawczy burlingtońskiej Komisji ds. Tymczasowego Schronienia dla Bezdomnych, pokazała mi zawartość pudła ze starymi fotografiami. Czarno-białe zdjęcia zostały zrobione przez niegdyś bezdomnego mężczyznę, który zmarł w kawalerce, jaką znalazła mu instytucja przez nią kierowana. Mężczyzna nazywał się „Ckliwy” Bob Campbell.

Fotografie były niezwykle zarówno z uwagi na ewidentny talent autora, jak i z powodu swojej tematyki. Na wielu z nich rozpoznałam artystów - muzyków, komików, aktorów - oraz dziennikarzy. Większość zdjęć pochodziła sprzed co najmniej czterdziestu lat. Żadne z nas nie mogło pojąć, jak Campbell, fotografujący luminarzy z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, wylądował w schronisku dla bezdomnych w północnym Vermont. Według naszej wiedzy nie miał żadnych krewnych, których moglibyśmy o to zapytać.

Oczywiście prawda wygląda tak, że Campbell przypuszczalnie stał się bezdomny z jednego z tysięcy powodów, dla których większość pensjonariuszy schroniska ląduje na ulicy: choroby umysłowej, nadużywania środków odurzających, pecha.

Mamy skłonność do surowego osądzania bezdomnych i obarczania ich winą za ich trudne położenie. Jesteśmy nieświadomi tego, że większość z nich wiodła życie równie prawdziwe jak nasze, zanim wszystko się rozpadło. Zdjęcia zawarte w tej książce są świadectwem tej prawdy: zostały zrobione przez Campbella, zanim wylądował na pewien czas w stanie Vermont.

W konsekwencji jestem wdzięczny burlingtońskiej Komisji ds. Tymczasowego Schronienia dla Bezdomnych za to, że pozwoliła mi wykorzy-

9

stać te fotografie w mojej opowieści. Bobbie Crocker, bezdomny fotograf ukazany w tej książce, jest oczywiście postacią fikcyjną. Ale zdjęcia, które w niej zobaczycie, są autentyczne.

„Och, wiem, kim jest Pauline Kael — powiedział. - Przecież nie urodziłem się bezdomnym”.

- NICK HORNBY, *Długa droga w dół*

PROLOG

J

ESIENIĄ DRUGIEGO ROKU studiów w college'u Laurel Estabrook omal nie

została zgwałcona. Niewiele brakowało, a tamtej jesieni padłaby ofiarą morderstwa. Nie była to fatalna, zakończona gwałtem randka z przystojnym członkiem studenckiej korporacji, z którym zbyt długo flirtowała obok pękatej stalowej beczki z piwem, lecz brutalna napaść dokonana przez zamaskowanych mężczyzn - tak, mężczyzn, w liczbie mnogiej; i rzeczywiście nosili wełniane narciarskie kominiarki, które zasłaniały wszystko oprócz oczu i wykrzywionych szpar ust - których celem według naszych przypuszczeń bywają tylko inne kobiety w odległych stanach. Ofiary, których twarze pojawiają się w porannych programach informacyjnych i z których zdruzgotanymi, zmienionymi na zawsze w ludzkie wraki matkami przeprowadzają wywiady niezwykle piękne prezydentki.

Laurel jechała na rowerze biegnącą lasem drogą gruntową dwadzieścia mil na północny wschód od college'u w mieście, którego nazwa brzmiała złowieszczo, a zarazem wewnętrznie sprzecznie: Underhill. Trzeba przyznać, że przed napaścią nie uważała tej nazwy za złowieszczą. Ale też w następnych latach nie wracała tu pod żadnym pozorem. Zbliżała się szósta trzydzieści w niedzielny wieczór i była to trzecia z rzędu niedziela, gdy Laurel załadowała swój wypróbowany rower górski do bagażnika kombi pożyczonego od Talii, swojej współlokatorce, i pojechała do Underhill, żeby pokonać wiele mil prowadzącymi do działek zrębowych drogami, które wiły się przez pobliski las. Wówczas ta okolica wydawała się jej piękna: baśniowy las rodem raczej z książek Lewisa niż braci Grimm, klony dopiero mające przybrać barwę bordoskiego wina. Wraz z kilkudziesięcioletnimi dębami i jesionami tworzyły leśny gąszcz, w poszyciu którego, nieopodal ścieżek, wciąż widać było pozostałości

kamiennych murów. W niczym nie przypomi-

13

nało to przedmieście na Long Island, gdzie dorastała, świata drogich domów z wypielegnowanymi trawnikami oddalonego zaledwie o kilka kwartałów od długiego, oświetlonego neonami ciągu barów szybkiej obsługi, salonów z importowanymi samochodami i klinik wyszczuplających w centrach handlowych przy głównej ulicy.

Oczywiście po tej napaści wspomnienia Laurel o tym skrawku vermonckich lasów przeobraziły się i podobnie jak nazwa pobliskiego miasta nabrały innego, bardziej ponurego wydźwięku. Później, gdy wspominała miejscowe drogi i wzgórza — niektóre na pozór zbyt strome do pokonania rowerem, ale przecież je pokonywała - myślała raczej o nierównych koleinach, które dały się we znaki jej ciału, oraz o swoim nieodpartym wrażeniu, że wielki baldachim liści drzew za bardzo przesłania widok i sprawia, że te lasy są zbyt gęste, żeby być ładnymi. Czasami, nawet wiele lat później, gdy starała się przemóc fale bezsenności, widziała te lasy po zrzuconiu liści i wyobrażała sobie jedynie długie szpony nagich jak szkielety brzoź.

O szóstej trzydziści tamtego wieczoru słońce zaczęło już zachodzić i powietrze stawało się wilgotne i chłodne. Laurel nie bała się jednak

ciemności, ponieważ zaparkowała samochód na żwirowym poboczu wybrukowanej drogi oddalonej nie więcej niż o trzy mile. Obok stał dom z jednym oknem nad dobudowanym garażem, cyklopie oblicze z gontu i szkła. Znalazłaby się tam za dziesięć, piętnaście minut. Jadąc, słyszała pośród drzew

świszczący szum bryzy. Miała na sobie czarne kolarskie spodenki i trykoto

wą koszulkę z wydrukowaną na piersi żółtą butelką tequili, która zdawała się fosforyzować. Nie czuła się szczególnie bezbronna. Jeśli już, to gibka, wysportowana i silna.

1 wtedy minęła ją brązowa furgonetka. Nie minivan, lecz prawdziwa furgonetka. Taka, która normalnie załadowana jest materiałami instalacyjnymi, a w wyjątkowych przypadkach - ekwipunkiem zboczonych seryjnych

gwałcicieli i brutalnych zabójców. Jedyne okna w *furgonetce* były *makyrni* iluminatorami znajdującymi się wysoko nad tylnymi kołami, Laurel zauwa

żyła również, że okno od strony pasażera zostało zasłonięte czarną tkaniną.

Gdy samochód zatrzymał się z nagłym piskiem czterdzieści jardów przed nią, wiedziała wystarczająco dużo, by się bać. Jak mogłoby być inaczej?

Do

rastała przecież na Long Island - niegdyś zamieszkiwanej przez dinozaury krainie bagien na obrzeżach strzelistego pasma gór, teraz piaszczystej mierzei

w kształcie łososia — niemal nieziemsko dziwnej płytki Petriego, na której

14

namnożyli się: Joel Rifkin (zabójca siedemnastu kobiet), Colin Ferguson (rzeź pasażerów LIRR), Cheryl Pierson (namówiła kolegę z licealnej

klasy, by zabił jej ojca), Richard Angelo (anioł śmierci ze Szpitala Dobrego Samarytanina), Robert Golub (okaleczył trzynastoletniego sąsiada), George Wilson (zastrzelił Jaya Gatsby ego, gdy ten pływał w swoim basenie), John Esposito (uwięził dziesięcioletnią dziewczynkę w swoim lochu) oraz Ronald DeFeo (wymordował swoją rodzinę w Amityville).

W istocie rzeczy nawet gdyby nie dorastała w West Egg, wiedziałyby wystarczająco dużo, by się bać, gdy furgonetka stanęła wprost przed nią na odludnej drodze. Każda młoda kobieta poczułaby w takim momencie, że włosy stają jej na głowie.

Niestety samochód zatrzymał się tak gwałtownie, że Laurel nie mogła już zawrócić - droga była wąska, a ona nie używała chomątek przy pedałach, *to* zaś znaczyło, że każdy z jej kolarskich butów był przymocowany do pedału metalowym kołkiem. Musiałyby więc wyczepić stopy, zatrzymać się i wesprzeć na nosku buta, by obrócić rower o sto osiemdziesiąt stopni. I zanim zdążyła cokolwiek zrobić, z furgonetki wyskoczyło dwóch mężczyzn

- jeden od strony kierowcy, a drugi od strony pasażera. Obaj mieli twarze osłonięte przerażającymi maskami: rzeczywiście bardzo zły znak pod koniec

września, nawet w sztucznej tundrze północnego Vermont.

Tak więc w rozpaczliwym przypiływie energii Laurel próbowała przejechać obok nich. Nie miała najmniejszych szans. Jeden z mężczyzn chwycił ją za ramiona, natomiast drugi próbował podnieść (wraz z rowerem) z ziemi, obejmując w talii. W gruncie rzeczy rzucili się na nią niczym para defensywnych linemanów, blokująca running backa drużyny przeciwnej za

linią wznowienia gry. Krzyczała — przeraźliwie, dziewczęco, rozpaczliwie, głosem, który wyrażał zarówno jej bezbronność, jak i młodzieńczość - a równocześnie skupiała analitycznie część uwagi na tym, co było chyba najistotniejszą cechą jej trudnego położenia: buty Laurel wciąż były szczipione z pedałami roweru i musiała za wszelką cenę utrzymać ten stan, a zarazem mocno dzierżyć kierownicę. Tylko tak mogła zapobiec znalezieniu się jej zdjęć na kartonach z mlekiem i pierwszych stronach vermonckich gazet. Dlaczego? Dlatego, że zdała sobie sprawę, iż nie jest w stanie pokonać napastników - nawet jej włosy były delikatne - ale gdyby nie mogli jej oderwać od roweru, byłoby im o wiele trudniej wywieźć ją w głąb lasu bądź wrzucić do środka furgonetki.

15

W pewnym momencie bardziej muskularny z tej dwójki, oprych wydzielający woń siłowni — nie cuchnącą, nie woń potu, lecz metaliczną jak sztangi — próbował walnąć ją pięścią w twarz, ale Laurel chyba się uchyliła, bo uderzył w krawędź jej kasku i zaklął. Jego oczy miały szary jak lód kolor listopadowego nieba, a na przegubach rąk zobaczyła bransolety w postaci wytatuowanych zwojów kolczastego drutu. Wrzasnął do swojego współnika - który też miał tatuaż, czaszkę z niesamowitymi (szpiczastymi wilczymi) uszami oraz długimi smugami dymu wydobywającymi się niczym węże spomiędzy zębów - żeby ten postawił ten cholerny rower na ziemi i umożliwił mu tym oderwanie stopy Laurel od pedału. Przez chwilę sama rozważała taką ewentualność, aby móc kopnąć go twardym czubkiem kolarskiego buta. Dzięki Bogu nie zrobiła

tego. Trzymała stopę poziomo, metalowy kołek w podeszwie buta tkwił mocno w pedale. Mężczyzna próbował ciągnąć Laurel za kostkę, ale nie miał pojęcia o tym sposobie mocowania i nie był do końca pewny, jak wykręcić stopę dziewczyny. Zirytowany, groził, że złamie jej nogę. Tymczasem jego współnik starał się oderwać jej dłonie od kierownicy. Jednak Laurel nie wypuszczała jej z rąk, cały czas krzycząc z przekonaniem, że woła o życie - i najwyraźniej tak było.

Oni zaś wyzywali ją od najgorszych. W ciągu kilku sekund — nie minut, choć to niewykluczone — nazwali ją pizdą, cipą, kotkiem, szparą. Pieprzoną cipą. Głupią cipą. Złośliwą cipą. Rybią cipą. Zdzirowatą cipą. Martwą cipą. *Ty martwa cipo.* Żadnych czasowników. Nawet słowa były brutalne, choć początkowo dwa słowa wydawały się świadczyć nie tylko o nienawiści, gniewie i drwinie: słowa te zostały wypowiedziane (nie wykrzyczane) z pożądanym błyskiem w oku przez chudsze napastnika, stanowiły żart dla wtajemniczonych i dopiero gdy je powtórzył, Laurel zrozumiała, że słyszy nie dwa, ale jedno słowo. To była wymyślona jej kosztem nazwa handlowa, rzeczownik, trunek. Mężczyzna sprowadził jej pochwę do poziomu aperitif, błędnie założywszy, że w tej sytuacji mogłoby dojść do najmniejszego choćby zwilgotnienia jej ścianek. *Cipoponcz.* To był żart. Pojęłaś? Nie powiedział: *Cicho bądź.* Zamiast polecenia angielski trunek. Jednak tym żartem nie wywołał u swojego współnika żadnej reakcji, chodziło bowiem o jego niezgłębioną nienawiść do niej. Jak psychoterapeuci nazywają tę chwilę maksymalnego pobudzenia? Z tego co wiedziała, on doznałby go w chwili jej śmierci. W chwili gdy ją zabiją.

W końcu rzucili ją wraz z rowerem na ziemię. Przez ułamek sekundy

sądziła, że dali za wygraną. Myliła się. Zaczęli ciągnąć za koła, jakby ona

16

i rower byli jednym stworzeniem, martwym jeleniem, którego wlekli z lasu za nogi. Ciągnęli Laurel do furgonetki, szorując jej prawym łokciem i prawym kolanem po ziemi z zamiarem wrzucenia jej do samochodu.

Nie mogli jednak tego zrobić i przypuszczalnie również dlatego przeżyła. W ryle pojazdu upchali tyle sprzętu do ćwiczeń, że nie byli w stanie zmieścić tam Laurel razem z rowerem. Gdy ją podnieśli, mignęły jej przed oczami ciężarki w kształcie tarcz, ławki i metalowe sztangi oraz coś, co wyglądało na elementy pionowe maszyny siłowej Nautilusa. Cisnęli więc Laurel z powrotem na twardą ziemię i zaczęli robić dla niej miejsce w furgonetce. Przy okazji pogruchotali jej obojczyk i zostawili na lewej piersi stłuczenie, które przez wiele miesięcy nie chciało się goić. Poczowała przeszywający ból, tak silny, że natychmiast zrobiło się jej niedobrze i nie zwymiotowała tylko dzięki adrenalinie. Nadal jednak mocno trzymała kierownicę roweru i dociskała stopy do pedałów. Jeden z mężczyzn warknął, żeby się nie ruszała, co z rozmaitych powodów nie było możliwe: nie zamierzała puszczać roweru, a ze złamanym obojczykiem z pewnością potrzebowałaby co najmniej trzydziestu minut, żeby uwolnić stopy, wstać i wsiąść na rower.

Jak długo tak leżała? Dziesięć sekund? Piętnaście? Przypuszczalnie nie trwało to nawet pół minuty. Napastnicy pierwsi ujrzeli rowerzystów. Drogą zbliżali się do nich trzej energiczni mężczyźni, którzy — jak się okazało — byli prawnikami z Underhill wracającymi do domu po całodniowej siedemdziesięciokilometrowej wycieczce do doliny rzeki

Mad. Jechali rowerami szosowymi i usłyszawszy krzyki laurel, stanęli na pedałach i pomknęli w stronę furgonetki. Wykazali tym męstwo ludzi pakujących się w kłopoty, nieczęsto dzisiaj spotykane. Jaki jednak mieli wybór? Zostawić ją na pastwę porywaczy bądź morderców? Jak ktokolwiek mógłby to zrobić? Popedałowali zatem przed siebie, a dwaj napastnicy rzucili się do szoferki i zatrzasnęli drzwi. Laurel myślała, że mają zamiar odjechać. Odjechaliby, ale nie od razu. Najpierw ruszyli, buksując kołami wstecz, próbując ją przejechać i zabić; zostawić na pewną śmierć. Na szczęście jednak Laurel nie leżała bezpośrednio za samochodem. Porzucili ją wystarczająco daleko od osi drogi, by nawet szczepiona z rowerem zdołała się podciągnąć o kilkadziesiąt centymetrów potrzebne dla ocalenia życia. Furgonetka zmiażdżyła obydwie koła roweru i posiniaczyła jej lewą stopę. Kolarski but i przedni widelec prawdopodobnie uchroniły ją przed zmiażdżeniem. Potem furgonetka szybko odjechała, obsypując Laurel gradem kamyków wyrzuconych spod kół i pozostawiając za sobą dławiące przez chwilę spaliny.

17

Gdy znowu mogła oddychać, w końcu zwymiotowała. Szlochała, krwawiła, była brudna. Ogólnie mówiąc, była żalostną małą ofiarą: dziewczyną uwięzioną na ziemi na swoim rowerze niczym żółw, który wylądował na grzbiecie w swoim pancerzu. Później zdała sobie sprawę, że jeden z napastników złamał jej palec wskazujący lewej ręki w momencie, gdy próbował ją zmusić do rozluźnienia uścisku.

Prawnicy ostrożnie obrócili jej stopy, żeby mogła wyswobodzić je z pedałów, po czym delikatnie pomogli jej wstać. Furgonetka dawno już znik-

nęła, ale Laurel zapamiętała numer na tablicy rejestracyjnej i po niespełna paru godzinach napastnicy zostali zatrzymani. Jeden z nich pracował z kulturystami w jakimś klubie dla twardzieli w Colchester. Mieszkał niedaleko miejsca, w którym Laurel zostawiła samochód, i tydzień wcześniej ją śledził. Gdy uświadomił sobie, że kombi z dziewczyną o złotych włosach, które wypadają spod kasku, wróciło, dostrzegł w tym swoją szansę. Laurel była pierwszą kobietą, którą próbował zgwałcić w stanie Vermont, ale wcześniej robił to już w Waszyngtonie oraz Idaho, zanim przyjechał na wschód. W Montanie podciął żyły nauczycielce, która wybrała się na poranną przebieżkę, i zostawił ją na polu pszenicy ozimej, żeby wykrwawiła się na śmierć. Przywiązał ją do ogrodzenia z drutu kolczastego i tatuaże na jego nadgarstkach — jak wiele innych - upamiętniały ten czyn. Były dziełem sztuki, które nosił jako cenne memento.

Jego wspólnik najwyraźniej nie miał pojęcia, że jego nowy przyjaciel jest mordercą. Nigdzie nie mógł zagrać miejsca, przybył do Vermont i sądził, że jada tylko trochę się zabawić kosztem jakiejś młodej rowerzystki.

Później Laurel pojechała do domu na Long Island, żeby dojść do siebie, i do college'u wróciła dopiero w styczniu. Na drugi semestr. Latem uczęszczała na zajęcia, żeby nadrobić zaległości - w lipcu i tak bywała w Burlington na rozprawach w procesie mężczyzn, którzy na nią napadli - i jesienią znowu studiowała według takiego samego programu co reszta jej grupy. Za parę lat miała razem z nimi otrzymać dyplom. Mimo to rozprawy były dla niej trudnym przeżyciem. Trwały krótko, ale musiała wytrzymać dwa procesy. Wtedy właśnie po raz pierwszy od napaści znalazła się w pobliżu obu napastników i po raz pierwszy osobiście

oglądała ich twarze. Obieżyświat, który uzyskał wyraźne złagodzenie swojego wyroku, zeznając na niekorzyść kulturysty, miał bladą cerę koloru gotowanej ryby oraz kasztanową kozią bródkę, która optycznie wydłużała jego twarz, już i tak nabierającą koń-

18

skich kształtów. Był kompletnie łysy na czubku głowy, a resztki jego włosów miały popielatą barwę zmieszaną z brązem bródkki. Chociaż było lato, nosił koszulę z wysokim kołnierzykiem maskującym tatuaż. Jego obrona opierała się częściowo na twierdzeniu, że przed napaścią zażył LSD i nie był w pełni władz umysłowych.

Kulturysta był chłopem jak drwal, który w oczekiwaniu na proces w północno-zachodniej części stanu Vermont nadal ćwiczył na więziennym wybiegu, gdzie na stertach leżały ciężary — dźwigając je ponoć nawet w mroźne dni, gdy musiał zmiatać śnieg z maszyn Nautilusa — ale to właśnie te szare oczy jeszcze raz zrobiły wrażenie na Laurel. Tamtego lata w sądzie miał ogoloną głowę, ale doszła do wniosku, że jesienią poprzedniego roku strzygł włosy na krótkiego gęstego jeża. Po tym, jak skazano go w Vermont, został ekstradowany do Montany, osadzony i uznany za winnego morderstwa na nauczycielce. Odsiadywał dożywocie w więzieniu oddalonym od Butte o trzy kwadransy. Obieżyświat po wyroku skazującym został umieszczony w zakładzie karnym tuż koło Saint Albans, zepchnięty na najniższy, najbardziej poniżający szczebel więziennej hierarchii w oczach współwięźniów: do grupki przestępców seksualnych.

Napaść zmieniła oczywiście życie Laurel na tysiące sposobów, ale naj-

bardziej widocznym objawem tej zmiany było to, że przestała jeździć na rowerze. Zatrzaski uratowały jej życie, ale myśl o przypięciu butów do pedałów roweru — o pedałowaniu - przywoływała wspomnienie leśnej drogi w Underhill, a przecież nie chciała wracać w to miejsce. Jednak w okresie dorastania zawsze pływała, tak więc po kilku latach przerwy wróciła na basen, czerpiąc ulgę z przepływanych kilometrów oraz tego, jak zapach chloru w jej włosach natychmiast przypominał o bezpiecznej przystani z czasów dzieciństwa w West Egg.

Inne zmiany były bardziej subtelne: upodobanie do starszych mężczyzn, które według sugestii jej terapeuty mogło wynikać z potrzeby poczucia ochrony — rozpieszczania — przez autorytety, które obronią ją przed krzywdzicielami. Unikanie sal gimnastycznych i siłowni. Prowadzenie dziennika. Jeszcze większe pochłonięcie fotografią. Odsunięcie się od społeczności uniwersyteckiej, zwłaszcza od korporacji studenckich, gdzie podczas pierwszego roku spędzała większość weekendowych wieczorów. Potem zaś, na ostatnim roku, decyzja o przeniesieniu się z akademika do mieszkania na obrzeżach kampusu. Laurel nie chciała mieszkać sama - chociaż przestała być osobą

19

szczególnie towarzyską, nadal, zwłaszcza gdy przebywała sama w ciemnościach, miewała chwile lęku, którego nie mógł stłumić zolof — i Talia Rice, będąca jej współlokatorką odkąd obie przyjechały do Vermont w wieku osiemnastu lat, zaproponowała, że przeprowadzi się razem z nią. W zbudowanej bez jednolitego planu wiktoriańskiej kamienicy, która zapewniła Laurel spokój i odizolowanie się, ale znajdowała się

wystarczająco blisko kampusu dla jej zdecydowanie bardziej ekstrawertycznej współlokatorki, znalazły dwie sypialnie i salon z kuchnią, z której mogły korzystać wspólnie z resztą lokatorów. Przez wzgląd na przyjaciółkę, która nalegała na takie kryterium wyboru, mieszkanie było również bardzo słoneczne.

Niektórzy wyraźnie uznali, że Laurel stała się powściągliwa. Zignorowała to jednak i dalej zmniejszała liczbę co bardziej przypadkowych znajomości.

Oczywiście zmianą najbardziej znaczącą jest fakt, że gdyby Laurel nie padła ofiarą brutalnej napaści, nie powróciłaby do pływania. Brzmi to prozaicznie, rozczarowująco, ale życie pełne jest drobnych zdarzeń, które wydają się prozaiczne, dopóki człowiek nie nabierze dystansu, by wrócić do nich myślą i dostrzec ciąg wielkich chwil, który zapoczątkowały. Po prostu gdyby Laurel nie zaczęła niemal co rano zaglądać na wydziałowy basen pływacki, nigdy by nie poznała wychowawcy University of Vermont, która prowadziła schronisko dla bezdomnych w Burlington i przez lata utrzymywała kondycję na basenie UVM. Wtedy zaś nigdy nie trafiłaby do pracy w schronisku — najpierw jako wolontariuszka podczas studiów, a później, po ich ukończeniu, jako etatowy pracownik. Gdyby zaś nie trafiła do schroniska, nigdy nie spotkałaby pacjenta stanowego szpitala psychiatrycznego, dżentelmena (rzeczywiście był dobrze urodzony) starszego od niej o pięćdziesiąt sześć lat, który nazywał się Bobbie Crocker.

GDY DORASTAŁA, ojciec udzielił jej paru rad: spryt jest banalny. Liczy się wysiłek. I powinna stale pamiętać, że chociaż wychowywała się w ładnym domu w imponującym otoczeniu, a matka bardzo chętnie wozila ją na

mecze piłki nożnej i treningi pływackie, większość świata żyje w głębokiej, przygnębiającej biedzie, tak więc pewnego dnia będzie musiała coś mu oddać. Nie chciał sugerować złowieszczym tonem, że los się odwróci, ponieważ zawsze miała co jeść i nigdy nie wracała ze sklepu bez ciuchów i płyt kompaktowych, nigdy też nie brakowało jej chłopców, z którymi miałaby ochotę chodzić.

Ojciec Laurel wiedział wszystko na temat konsumpcji, ale nie wiedział nic o jej chłopcach. Przynajmniej nic istotnego. Zmarł wkrótce po tym, jak

20

skończyła college, nie mając pojęcia ani o seksualnych upodobaniach licealistów i eksperymentach, jakie przeprowadzano w środowisku, w którym się kiedyś obracała, ani o seksualnej karuzeli, która charakteryzowała pierwszy rok jej studiów na University of Vermont.

Ojciec Laurel był rotarianinem, co czyniło zeń łatwy cel kpin. Trwał jednak w swoim przekonaniu, że jego dwie córki, gdy już dorosną, będą miały moralny obowiązek dotarcia do osób będących w gorszej sytuacji. Jego Klub Rotariański zapłacił nawet i zbudował sierociniec w Hondurasie, a on jeździł tam co roku, żeby przeprowadzić inspekcję i upewnić się, czy podopieczni są zadowoleni i zadbani. Tak więc Laurel zawsze starała się bronić rotarian, gdy osoby z jej otoczenia stroiły sobie żarty z organizacji, dając wyraźnie do zrozumienia tym wygadany prześmiewcom, że nie żartuje się z ludzi pracujących na pełny etat, dających schronienie dzieciom, których rodzice zmarli na AIDS lub stracili domy w huraganach. Starsza od Laurel o pięć lat siostra, makler giełdowy, została aktywnym członkiem tego samego klubu.

Laurel miała dwadzieścia trzy lata, gdy jej ojciec zmarł nagle na atak serca. Była pewna, że wiedział, jak bardzo go kochała, ale to wcale nie ułatwiało wypełnienia pustki, którą jego śmierć pozostawiła w jej życiu. Rodzice dotarli do szpitala w Burlington w dniu, w którym padła ofiarą napaści, w ciągu niespełna trzech godzin. Jak? Znajomy rotarianin był właścicielem małego samolotu i zawiózł ich na północ, gdy tylko Laurel zadzwoniła.

Laurel i jej przyjaciele z dzieciństwa dobrze zdawali sobie sprawę, że country club - ośrodek sportowo-rekreacyjny nad cieśniną Long Island, gdzie wszyscy nauczyli się pływać, żeglować i grać w tenisa - był niegdyś domem Jaya Gatsby'ego. Ale prawdę mówiąc, niezbyt się tym przejmowali. Nie obchodziło to nawet ich rodziców. Przypuszczalnie tylko dziadkom nie było to obojętne. Ale ona i jej przyjaciele w wieku dziewięciu, dziesięciu i jedenastu lat nie przejmowali się zbytnio niczym, co miało znaczenie dla ich dziadków. Budynek klubowy i rozległa jadalnia tworzyły kiedyś kamienną rezydencję Jaya Gatsby'ego, a hol ozdobiony był zakurczonymi czarno-białymi fotografiami z przyjęć wydawanych przez niego na początku lat dwudziestych. Na wszystkich zdjęciach wszyscy są przesadnie wystrojeni. Albo zalani. Albo zalani i wystrojeni. Laurel wyczuwała, że jej przyjaciele - a w każdym razie chłopcy - mogliby być bardziej zaintrygowani historią klubu, gdyby basen pływacki, w którym latem spędzali całe dni, był tym marmurowym, gdzie George Wilson zastrzelił Gatsby'ego. Ten basen już

pięciometrowymi torami wzdłuż pionowej kreski litery i głęboką na dwa-
naście stóp częścią do skoków wzdłuż krótkiej poprzeczki. Były tam dwie
trampoliny - na wysokości jednego i trzech metrów - a w trawie ciągnącej
się od zachodu i północy rosły długie rzędy okazałych dzikich jabłoni. W
pełni lata młode matki siedziały pośród nich w cieniu ze swoimi berbe-
ciami. Laurel spędziła na basenie pięć lat w drużynie pływackiej i kolejne
trzy jako skoczek.

Ponadto wszyscy wiedzieli, że wysunięty najbardziej na północ z
trzech domów po drugiej stronie zatoczki, w której wywracali do góry
dnem swoje kajaki, należał kiedyś do Toma i Daisy Buchananów. Daisy
była piękną z Louisville, do której wzdychał Gatsby, a Tom był jej
mężem. Wzniesiona w stylu georgiańsko-kolonialnym rezydencja
Buchananów była najstarszym z trzech domów. Pozostałe dwa zbudowano
na początku lat siedemdziesiątych, gdy Pamela Buchanan Marshfield -
córka Toma i Daisy - podzieliła posiadłość. Tam, gdzie dawniej rosło pół
akra róż, znajdował się teraz kort tenisowy o osi podłużnej zorientowanej
w kierunku północ-południe, który należał do rodziny Shephardów; tam,
gdzie niegdyś były stajnie mieszczące kuce Toma Buchanana do gry w
polo, stała rozległa replika elżbietańskiej rezydencji będąca własnością
rodziny Winstonów. Pamela sprzedała resztę majątku — dom, w którym
dorastała i w którym mieszkała po ślubie niemal do sześćdziesiątki — w
tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym, na rok przed narodzinami
Laurel.

Wskutek tego dorastająca Laurel nigdy nie poznała Pameli. Poznały się
dopiero, gdy sama stała się dorosła.

Pamelę znał jednak jej ojciec. Nie znał jej dobrze, ale nie dlatego, że

była ekscentryczną samotnicą. Pamela i jej mąż obracali się po prostu wśród znacznie starszych (i owszem, jeszcze bogatszych) ludzi niż rodzice Laurel i z dość oczywistych powodów nie byli członkami dość zwyczajnego ośrodka sportowo-rekreacyjnego na drugim brzegu zatoczki. Należeli za to do zdecydowanie bardziej luksusowego klubu jachtowego, usytuowanego dalej na wschód na Long Island.

Mimo to, gdy Laurel rozmyślała o swoim dzieciństwie, nazwiska Gatsby i Buchanan często nawet nie przychodziły jej do głowy. Jeżeli w ogóle o nich myślała, traktowała ich jak niematerialne zjawy, całkowicie niezwiązane z jej życiem w Yermont.

22

Potem jednak zobaczyła fotografie z oślimi uszami, które Bobbie Crocker - ubogi, łagodny (przeważnie) i umysłowo chory - pozostawił po sobie, gdy umarł w wieku osiemdziesięciu dwóch lat. Staruszek doznał udaru na klatce schodowej w drodze do swojej przypominającej pokój w akademiku kawalerki w dawnym hotelu New England. Teraz mieścił on dwadzieścia cztery mocno dotowane mieszkania, które dawni bezdomni mogli wynajmować za trzydzieści procent renty inwalidzkiej lub zasiłku albo za jedyne pięć dolarów miesięcznie, jeżeli nie mieli żadnego dochodu. Bobbie oficjalnie nie miał żadnych krewnych, więc to jego opiekun społeczny odkrył kartonowe pudełko ze starymi zdjęciami w jedynej szafie zmarłego. Zdjęcia zachowały się w złym stanie, leżały w stertach jak papierowe talerze lub były wciśnięte pionowo do teczek niczym stare rachunki telefoniczne, ale twarze na fotografiach można było z łatwością rozpoznać. Chuck Berry. Robert Frost. Eartha Kitt. Beatnicy.

Muzycy jazzowi. Rzeźbiarze. Ludzie grający w szachy na placu Waszyngtona. Młodzi mężczyźni rzucający futbolówką na ulicy na Manhattanie, z billboardem „Hebrew National” górującym nad ich głowami. Most Brooklyński. Kilka wyraźnie bardziej współczesnych z Underhill w stanie Vermont, w tym parę przedstawiających leśny trakt — jedno z dziewczyną na rowerze — który Laurel znała aż nadto dobrze.

A w oddzielnej kopercie na kartkę z życzeniami zdjęcia migawkowe: mniejsze, choć równie zniszczone. Natychmiast rozpoznała dom Pameli Buchanan Marshfield. Następnie ośrodek sportowo-rekreacyjny, łącznie z wieżą w stylu szkoły normandzkiej, z czasów dzieciństwa Laurel, gdy był własnością przemysłowca nazwiskiem Gatsby. Pierwotny basen pływacki z wieżą w tle. Przyjęcia, w rodzaju tych upamiętnionych na ścianach klubowej jadalni. Pamela Buchanan Marshfield jako dziewczynka, stojąca koło parę lat młodszego chłopca, a obok beżowe coupe. I sam Gatsby przy swoim jaskra-wozółtym roadsterze— samochodzie, który Tom Buchanan co najmniej raz nazwał wzgardliwie zwykłym wozem cyrkowym.

Oprócz około tuzina tych mniejszych fotografii były jeszcze setki negatywów i większych odbitek zdjęć, które - jak sądziła - Bobbie Crocker zrobił własnoręcznie.

Laurel nie od razu domyśliła się, kim jest chłopczyk stojący obok Pameli. Miała jednak przecucie. Czyż Pamela nie mogłaby mieć brata? Czyż nie mógł stać się bezdomnym w Yermont? Co dnia zdarzały się jeszcze

dziwniejsze rzeczy. Laurel z pewnością nie podejrzewała jednak całej

praw

dy, gdy po raz pierwszy próbowała zrozumieć znaczenie tego pudełka z

wy

blakłymi zdjęciami; nie wyobrażała sobie też, że wkrótce zostanie sama,

że

zerwie ze swoim ukochanym oraz przyjaciółmi i raz jeszcze będzie
ścigana,

wstrząśnięta i przerażona.

.>

PACJENT NR 29873

.. .pacjent nadal ma obsesję na punkcie tych starych fotografii. Stale o nich mówi, pyta, gdzie je umieściliśmy. Zamierza kiedyś urządzić wystawę — „fascynującą wystawę”...

Plan: Dalej podawać risolept 3 mg doustnie dwa razy dziennie.

Dalej podawać walproinian sodu 1000 mg doustnie dwa razy dziennie.

Z uwagi na bezpieczeństwo, w tym czasie żadnych wyjść poza salę chorych.

Z notatek Kennetha Pierce'a,

psychiatry prowadzącego,

szpital stanowy w Waterbury, Yermont

ROZDZIAŁ PIERWSZY

P

AMELA BUCHANAN MARSHFIELD zobaczyła ogłoszenie zamieszczone przez schronisko dla bezdomnych w stanie Vermont, zanim je ujrzał jej prawnik. Natychmiast zdała sobie sprawę, że chodzi o jej brata i jego prace.

Wiedziała, że człowiek — zwłaszcza gdy jest w jej wieku - zachowuje wyłącznie dziwaczne wspomnienia. W konsekwencji, myśląc o Robercie, nie pamiętała dorosłego mężczyzny. Od razu pomyślała za to o niemowlęciu, które brała z rąk niańki i pokazywała gościom swoich rodziców, jakby było jej dzieckiem. Bo też w pewnym sensie było. Pomagała zmieniać mu pieluchy, pomagała je karmić. Wynosiła je do ogrodu i przystawiała jego główkę do róż, żeby mogło oddychać ich wonią. Pozwalała mu obwąchiwać kuce do gry w polo, a kucom obwąchiwać malca. W latach po przyjściu Bobbiego na świat małżeńskie stosunki jej rodziców stały się o wiele mniej burzliwe i był to jedyny okres w dzieciństwie Pameli, którego nie łączyła we wspomnieniach z ich awanturami. Może nawet mniej wtedy pili. Jej matka chyba nigdy nie była szczęśliwsza niż wtedy, gdy braciszek Pameli był milutki, maleńki i pachniał talkiem; brzemie niezliczonych rozczarowań, które już odcisnęły piętno na życiu Daisy — a Daisy sama była wtedy jeszcze bardzo młoda - wydawało się zapewne znacznie łatwiejsze do udźwignięcia, gdy tuliła w ramionach swoje dziecko.

Niestety nie trwało to długo. Nie mogło trwać. Rozpadliny, stanowiące charakterystyczną cechę małżeńskiego pejzażu Toma i Daisy Buchananów, były zbyt szerokie, by narodziny dziecka, jakiegokolwiek dziecka, mogły je zasypać. Mimo to Pamela modliła się oraz błagała po prostu o cud i liczyła, że to dziecko, ten berbec, ten chłopczyk błyskawicznie go sprawi.

Wyczytała gdzieś, że zaraz po przyjściu na świat niemowlętom wszystko jawi się jako czarno-białe. Jeszcze nie rozróżniają kolorów. Zaciekało ją to

27

z rozmaitych powodów, głównie jednak z uwagi na jedno z jej najwcześniejszych wspomnień o bracie. Zdarzyło się to pierwszego lata po jego narodzinach. Ojca Pameli nie było w domu, ale matka wróciła z lunchu, który zjadła z jakimiś przyjaciółkami, akurat wtedy gdy opiekunka obudziła drzemającą Pamelę i jej braciszka. Zwykle drzemali w oddzielnych pokojach, ale tamtego wilgotnego sierpniowego popołudnia wypoczywali razem w wychodzącym na taras salonie, dzięki czemu opiekunka mogła otworzyć przeszkłone drzwi i wpuścić do środka powietrze niesione od wody przez bryzę.

Daisy wyciągnęła album z większymi zdjęciami i portretami, przeważnie z czasów swojego dojrzewania w Louisville, i przeniosła dzieci na kanapę. Usiadła tam z Robertem na kolanach, jakby był jednym z pluszowych misiów swojej starszej siostry, a Pamela przytuliła się do niej. Daisy pachniała cytryną i miętą. Zaczęła opowiadać swoim dzieciom - głównie Pameli, rzecz jasna, ponieważ jej braciszek miał zaledwie trzy

miesiące — o osobach widocznych na każdym zdjęciu. I choć Pamela nie mogła sobie przypomnieć, co konkretnie jej matka mówiła tamtego popołudnia o swoich dziadkach, kuzynach lub ciotkach, wujkach i zalotnikach, pamiętała jednak, że jej brat chciał gapić się na zdjęcia jeszcze długo po tym, jak ona i matka były gotowe przewrócić stronę, i często wyciągał swoje pulchne paluszki, żeby dotknąć czarno-białych twarzy Fayów z Louisville, którzy żyli przed nimi.

Ten album często przyciągał uwagę maleńkiego chłopca i gdy Robert miał zaledwie cztery, pięć lat, wspólnie studiowali cały zbiór albumów fotograficznych swojej mamy. Traktowali je jak baśnie, a Pamela wykorzystywała te zdjęcia do tworzenia opowieści do poduszki dla Roberta. W pewnym momencie Bobbie zaczął wymyślać opowieści dla niej. Zwykle nie było w nich przemocy. I były znacznie mniej przerażające niż tradycyjne opowieści o olbrzymach, czarownicach i wróżkach, którymi wówczas karmiono dzieci. Były jednak dziwne i przeważnie absurdalne. Bobbie liczył tylko dziewięć, może dziesięć lat, ale już wtedy Pamela spostrzegła, że brat zaczyna żyć w świecie całkowicie pozbawionym granic określonych przez związki przyczynowo-skutkowe.

Stanowiło to zapowiedź tego, czym Robert się w przyszłości stanie. Tego, jak spędzi prawie całe swoje życie.

W rezultacie, gdy tylko Pamela ujrzała ogłoszenie w gazecie, zadzwoniła do swojego prawnika i poprosiła, by skontaktował się z przytułkiem w Burlington.

K

ATHERINE MAGUIRE MIAŁA ŚWIETLISTE zielone oczy, których blask, w odróżnieniu od blasku jej przesiąkniętych chlorem włosów, ani trochę nie przygasł z wiekiem. W ludziach wzbudzały one wręcz lekki niepokój. Na pewno wzbudziły go w Laurel. Przypuszczała, że Katherine ma pięćdziesiąt lat, niemal dwa razy więcej niż ona, ale jej nowa znajoma miała jędrne zadbane ciało i uchodziła za osobę znacznie młodszą. Przez sześć lat, odkąd Laurel wróciła po napaści do pływania, uczęszczały razem na basen UVM, spotykając się w szatni o piątej czterdzieści pięć rano w dni powszednie. Dwie dekady temu, tylko kilka lat starsza niż Laurel obecnie, Katherine założyła schronisko dla bezdomnych — i stworzyła tę instytucję praktycznie w pojedynkę. Ten wyczyn zawsze wywoływał w Laurel onieśmienie. Nie była do końca pewna, czy potrafiłaby samodzielnie uruchomić stoisko z lemoniadą na chodniku przed swoją kamienicą. Prowadzenie przytułku oraz wychowanie synów bliźniaków, uczących się teraz w szkole średniej, Katherine uważała za treść swojego życia.

Pewnego wrześniowego poniedziałku, tuż przed porą lunchu, Katherine ze zwykłą pewnością siebie wkroczyła do gabinetu Laurel, niosąc w ramionach podniszczone kartonowe pudło ze skrytki bankowej. Upuściła je z cichym głuchym odgłosem na podłogę, po czym opadła na rozkładane krzesło naprzeciw solidnego metalowego biurka, którego pozbyto się z jakiejś fabryki # identycznego używała we własnym, nieco tylko większym, gabinecie.

- Była jeszcze koperta — wyjaśniła Katherine - ale przez zapomnienie zostawiłam ją na stoliku w swoim biurze. Niewiarygodne, jakie sterty gazet i przesyłek reklamowych zdołał zgromadzić w ciągu jednego roku. Ten człowiek był niesamowitym chomikiem.

Katherine miała zwyczaj, który denerwował niektórych ludzi (zwłaszcza mężczyzn), ale zwykle nie przeszkadzał Laurel: rozpoczynała wszystkie rozmowy tak, jakby toczyły się już od pewnego czasu.

- Kto taki?
 - Bobbie Crocker. Wiesz, że zmarł wczoraj, prawda? W hotelu New England?
 - Nie wiedziałam - odparła Laurel, ścisząc głos. Gdy umierał jeden z ich podopiecznych, wszyscy trochę posepnieli. Czasem nie miało nawet znaczenia, jak dobrze znali tę osobę: chodziło o świadomość, że są jedynymi świadkami końcówki tego życia. Wszyscy dotkliwie odczuwali, jak marna, skromna i przygasła stała się ta ludzka egzystencja. - Powiesz mi, co się stało?
- Nie słyszałaś?
- Cały dzień byłam z podopiecznymi albo na spotkaniach.
 - Och, Laurel, tak mi przykro. Boże, nie chciałam ci tego przekazać w ten sposób - powiedziała Katherine. Być może naprawdę tak było, ale Laurel nie wykluczała, że Katherine właśnie w ten sposób zamierzała się z nią podzielić tą wiadomością. Ilekroć zdarzało się coś tragicznego lub smutnego, ludzie z uwagi na przeszłość Laurel albo traktowali ją z nadmierną delikatnością, albo parli niezdarnie naprzód jak walec parowy. To jej siostra, Carol, poinformowała ją o śmierci

ojca i dopiero po z górą minucie rozmowy przez telefon Laurel uświadomiła sobie, że w jak najbardziej oględny sposób Carol mówi jej, co się stało. Z początku mówiła tak wymijająco, że przez co najmniej trzydzieści sekund Laurel sądziła, iż jej starsza siostra dzwoni z błahą w istocie informacją, że ich ojciec jest w podróży służbowej gdzieś za granicą i przez pewien czas być może nie będą miały z nim kontaktu. Naprawdę nie mogła zrozumieć, dlaczego siostra w ogóle zawraca sobie głowę dzwonieniem. W przypadku śmierci Bobbiego Crockera Laurel podejrzewała, że Katherine wybrała chyba odwrotną taktykę, popełniła niezamierzoną gafę, zachowując się tak, jakby wieść o śmierci jednego z ich podopiecznych była już Laurel znana.

- Mów dalej - zażądała i Katherine spełniła jej żądanie, zaczynając od tego, jak inny lokator schroniska znalazł Bobbiego w drodze do kościoła,

30

a na zakończenie wyznając, z jaką łatwością — tragiczną łatwością — razem z Emily Young, swoją pracownicą, wysprzątała jego mieszkanie w niedzielne popołudnie.

- Zajęło nam to około dwóch godzin - powiedziała Katherine. - Możesz sobie wyobrazić? Boże, gdy umrą moi rodzice, przejrzanie wszystkich rzeczy, które zgromadzili w swoim życiu, zajmie dwa lata. Ale człowiek taki jak Bobbie? Jego ubrania zmieściły się w paru torbach: workach do pojemników na śmieci i tych dla Armii Zbawienia. I wierz mi: te na śmietnik były znacznie cięższe. Głównie wynosiłyśmy

gazety i czasopisma.

- Żadnych listów? Jakiegoś śladu istnienia rodziny?
 - Naprawdę nic. To znaczy w tamtej kopercie jest trochę zdjęć, ale oglądałam je tylko przez chwilę. Nie sędzę, by rzeczywiście miały one coś wspólnego z Bobbiem. Wiedziałaś, że był weteranem, prawda? Drugiej wojny światowej. Dostanie więc małą kwaterę na cmentarzu przy forcie w Wi-nooski. Jutro odbędzie się skromna ceremonia. Możesz przyjść?
- Oczywiście — odparła Laurel. — Nie przepuściłabym takiej okazji.
- Był takim sympatycznym człowiekiem.
- Owszem.
- Chociaż trochę szalonym.
- Ale na sympatyczny sposób.
- Rzeczywiście - zgodziła się Katherine.
 - I jak na staruszka, miał z pewnością sporo odwagi - zauważyła Laurel, wywołując w myślach obraz Bobbiego Crockera i przypominając sobie niektóre z ich ostatnich rozmów. Niezmiennie były one tyleż ciekawe, co obłąkańcze. Nie różniły się zbytnio od jej przekomarzania się z wieloma ludźmi, którzy przewinęli się przez schronisko, w tym sensie, że Laurel mogła śmiało uznać, że połowa tego, co Bobbie jej opowiadał, było całkowitym wymysłem lub urojeniem. Różnica - zdaniem Laurel istotna - polegała na tym, że w swoich anegdotach Bobbie rzadko pastwił się nad ludźmi. Rzecz nietypowa u schizofrenika, ale przypuszczalnie widywała go tylko w najlepszej formie: zanim go poznała, znowu zaczął zażywać odpowiednie leki. Niemniej rzadko skarżył się jej lub na nią naskakiwał i tylko od czasu

do czasu sugerował, że świat jest mu coś winien. Oczywiście wierzył w spiski: zwykle miały one coś wspólnego z jego ojcem. Ale z reguły był przekonany, że ich uniknął. — Ostatnim razem widziałam go przed dwoma tygodniami na marszu dobroczynnym - dodała.

31

- Pamiętasz, o czym rozmawialiście?
- Pamiętam. Powiedział mi, że uczestniczył w marszu wolności i praw obywatelskich w Franfort w stanie Kentucky w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim lub sześćdziesiątym czwartym. Mieliśmy właśnie rozpocząć marsz... cóż, on nie maszerował... i Bobbie kręcił się na linii startu, rozkoszując się widokiem tłumów, słońcem i bryzą znad jeziora. Gdy poprosiłam, żeby mi powiedział coś jeszcze, zmienił temat. Wyjaśnił mi za to, jak zaczynał każdy wtorek i czwartek od zjedzenia miski otrębów pływających w dokładnie ćwierci litra soku pomarańczowego zamiast mleka, ponieważ martwił się wysokim poziomem cholesterolu. Powiedział, że neutralizuje słodycz soku odrobiną sosu sojowego. Brzmiało to dość odrażająco.
- Czy słyszałaś kiedyś, jak się witał?
- Oczywiście. - W schronisku było powszechnie wiadomo, że głos Crockera, zawsze gromki mimo jego ponad osiemdziesięciu lat, brzmiał niestosownie wszędzie, z wyjątkiem stadionu bądź baru.
- Kochanie, wróciłem... na bruk! - ryknęła nagle Katherine, powtarzając jak papuga częste zawołanie Bobbiego — bohatera serialu telewizyjnego, nafaszerowanego metamfetaminami — gdy ten przychodził do schroniska, żeby sprawdzić, czy ktoś ze znajomych

pracowników pełni akurat dyżur. Faktycznie użył tego zawołania nawet wtedy, gdy naprawdę był bezdomny, gdy zjawił się w ich schronisku bardziej zmęczony i wygłodniały niż kiedykolwiek w swoim życiu. Nawet wówczas nie był płochliwym dzikim kotem.

Nieco paranoidalny i podatny na sporadyczne halucynacje? Tak. Płochliwy? W żadnym razie.

- Tak bardzo mnie wkurzał...
- Mam nadzieję, że w dobronny sposób - stwierdziła Katherine.
 - Zazwyczaj. Ilekroć kręcił się po schronisku podczas mojej obecności, dokuczał mi, mówiąc, że jestem taka niedojrzała. Pamiętam, że gdy się poznaliśmy, myślał, że jeszcze studiuje. Nie mógł uwierzyć, że od paru lat mam już dyplom.
- Podzielił się z tobą jakąś swoją patentowaną mądrością?

— Niech pomyślę. Powiedział, że jestem za młoda, żeby wiedzieć to, co najważniejsze o życiu na ulicy. Wyjawiał mi, że jedyna naprawdę zdrowa

woda pitna, jaka została w stanie Vermont, znajduje się w odległości czterdziestu mil w jakimś źródle, które zasila rzekę Catamount. Powiedział, że Lyndon Johnson... wciąż żyje, a on wie gdzie. Twierdził, że kiedyś impre-

32

-Tak.

- Dlaczego?
 - Były w jego mieszkaniu - wyjaśniła Katherine. - A gdy Bobbiego przyprowadzono w zeszłym roku z ulicy, miał stary worek marynarski

ze zdjęciami, które jak twierdził, należały do niego. Przypuszczam, że znajdowała się tam większość z tych fotografii. Położył się dopiero wtedy, gdy się upewnił, że szafki są bezpieczne... że do jego szafki nikt się nie włamie. Zamierzał wręcz spać z nimi, ale w schronisku wolne były tylko górne łóżka, więc nie mógł.

Bezdomni często przynosili do schroniska parę przedmiotów mających dla nich totemiczne (i gigantyczne) znaczenie - tę jedną jedyną rzecz, która albo przypominała im, kim byli bądź jak wyglądało ich życie, zanim zaczęło się walić. Dyplom konkursu ortograficznego, który wygrali w dzieciństwie. Pierścionek zaręczynowy, którego nie miały ochoty zastawić. Pluszowy miś — nawet weterani wojen w Wietnamie i w Zatoce miewali przy sobie jakiegoś pluszaka. Laurel też widziała kiedyś mnóstwo zdjęć rodzinnych w rzeczach, które oddawano na przechowanie. Nigdy wcześniej nie widziała jednak nic, co przypomniało albo prawdziwą sztukę, albo profesjonalne prace. Sama zaś odbyła wystarczająco dużo kursów fotografii i zrobiła dostatecznie dużo zdjęć, żeby wiedzieć z całą pewnością, że te fotografie są interesujące zarówno z reporterskiego, jak i artystycznego punktu widzenia. Pomyślała, że kiedyś mogła nawet widzieć zdjęcie nastolatka z obręczami - jeżeli nie to właśnie, to może jedno z tej samej serii.

- Czy tych zdjęć nie mógł zrobić ktoś inny i dać je Bobbiemu? — zapytała Laurel. - Może brat lub siostra? Przyjaciół? Może ktoś zmarł i mu je zostawił.
- Porozmawiaj z Samem - odparła Katherine, mając na myśli kierownika, który miał dyżur w dniu przybycia Bobbiego Crockera do schroniska. — On wie o Bobbiem znacznie więcej niż ja. I pogadaj z

Emily. Jestem prawie pewna, że powiedział im obojgu, że jest fotografem. Oczywiście nie chciał im pokazać zdjęć. W żadnym wypadku. Najwyraźniej nikt nie mógł ich widzieć... albo...

- Albo co?

- Och, któż to wie? Witaj w świecie Bobbiego. Emily zdołała zerknąć na zdjęcia ukradkiem niedługo po tym, jak się zjawiał, tylko po to, żeby się upewnić, że Bobbie nie jest jakimś potwornym miłośnikiem pornografii

35

dziecięcej. Wiesz jednak, jak bardzo zajęta jest Emily. Życie tej kobiety to chaos. Gdy stwierdziła, że są nieszkodliwe, zapomniała o nich do czasu, aż wczoraj przeszukiwała ze mną jego pokój.

Laurel zastanawiała się nad tym przez chwilę i wtedy mignęła jej przed oczyma jeszcze jedna fotografia. Dwójka młodych mężczyzn grających w szachy na manhattańskim placu Waszyngtona w otoczeniu kilku gapiów bacznie obserwujących mecz. Pomyślała, że mogło zostać zrobione najpóźniej na początku lat sześćdziesiątych. Coś w tym zdjęciu wyraźnie tchnęło atmosferą czasów Kennedy'ego. Przed ich tragicznym końcem.

Pod spodem leżało zdjęcie budzące całkowicie odmienne wrażenia: znana jej leśna droga w Vermont. Dziewczyna w oddali na rowerze górskim. Krótkie spodenki z czarnej lycry. Szalenie kolorowy trykot z jakimś obrazkiem z przodu, którego nie mogła w pełni rozszyfrować, ale równie dobrze mógł on przedstawiać butelkę. Do miejsca napaści było chyba pół mili i Laurel natychmiast powróciła myślami na tę drogę wraz z dwoma brutalami, ich maskami, tatuażami i zamiarami zgwałcenia jej. Serce za-

częło jej kołatać. Pewnie gapiała się na zdjęcie przez długą chwilę, bo Katherine - której głos brzmiał tak, jakby mówiła pod wodą — pytała ją, czy dobrze się czuje.

- Tak, yhm — usłyszała swoje mruknięcie. - Nic mi nie jest. Mogę je zatrzymać? - zapytała. Wiedziała, że się poci, ale nie chciała na to zwracać uwagi, ocierając czoło.
- Chcesz trochę wody?
- Nie. Naprawdę nic mi nie jest. Słowo daję. Ja tylko... po prostu jest gorąco. - Uśmiechnęła się przez wzgląd na swoją szefową.
- Cóż, gdy zechcesz je przejrzeć... a nie ma pośpiechu... chciałabym bardzo poznać twoją opinię.
- Od razu mogę ci ją przekazać: są dobre. On... lub ten, kto je zrobił. .. miał autentyczny talent.

Katherine pochyliła nieco głowę i uśmiechnęła się szeroko w sposób dobrze znany Laurel: kokieteryjnie, a zarazem ujmująco. Katherine stworzyła przytułek i utrzymywała go na powierzchni przez tyle lat dzięki nieustępliwości połączonej z umiejętnością oczarowywania świata swoim uśmiechem. Laurel wiedziała, że za chwilę otrzyma propozycję rozpoczęcia realizacji jakiegoś projektu.

— Wciąż masz dostęp do ciemni na UMV, prawda?

36

- Cóż, płacę za to... tak jak płacimy za korzystanie z basenu UMV. Ale dla absolwentów to dość symboliczna opłata.
- Więc dobrze. Zechciałabyś... nie jestem pewna, czy użyję tu odpowiedniego słowa... być kuratorem wystawy?

- Tych zdjęć?

-Uhm.

- Tak. Myślę, że tak. - Zdawała sobie sprawę, że się zgodziła po części z powodu zdjęcia szczupłej, drobnej dziewczyny w Underhill. Musiała się dowiedzieć, co jeszcze jest na tych fotografiach. Zrozumiała jednak również, że przystaje na tę propozycję z poczucia winy: gdy Bobbie napomknął o swoim fotografowaniu, nie potraktowała go poważnie. Jeżeli te zdjęcia były jego dziełem, to straciła okazję do uprawomocnienia osiągnięć Bobbie-go u schyłku jego życia oraz - być może - szansę nauczenia się czegoś jako adeptka fotografii. Miała jednak zastrzeżenia i podzieliła się nimi z Katherine.
- Oczywiście nie mamy pewności, czy zrobił je Bobbie — dodała.
- Potwierdzimy to. Albo ty to zrobisz. A ja porozmawiam z naszymi prawnikami i zarządem o wyasygnowaniu niewielkiej sumy, żeby upewnić się całkowicie, że Bobbie nie ma jakiejś rodziny, która może chciałaby je otrzymać. Może zamieścimy drobne ogłoszenie w jakimś fotomagazynie. Albo w jakimś czasopiśmie czytany przez specjalistów od prawa spadkowego. A może nawet w „New York Timesie”. Przekonasz się, że wiele tych zdjęć wykonano w Nowym Jorku. Może też umieścimy to, co znaleźliśmy, w sieci. Na stronach internetowych ogłaszają się kancelarie poszukujące spadkobierców.
- Wiesz, one są w dość opłakanym stanie. Nie możemy pokazać ich w obecnej postaci. Masz pojęcie, ile wysiłku będzie wymagało przywrócenie ich do pierwotnego stanu? Nawet nie wiem, czy negatywy są do uratowania.
- Ale jesteś zainteresowana.

- Jestem. Ale nie licz na cud: czeka mnie sporo pracy.

- Cóż, myślę, że byłaby to świetna reklama dla naszego schroniska. Bezdomni przestaliby być anonimowi. Wystawa dowiodłaby ludziom, że to

istoty ludzkie, które naprawdę żyły, zanim wszystko się rozpadło. A...

-A?

- A te zdjęcia... ten zbiór... właściwie mogą być warte sporo pieniędzy, gdybyśmy mieli je przywrócić do pierwotnego stanu i zachować w całości.

37

Właśnie dlatego myślę, że tak ważne jest upewnienie się, czy nie ma gdzieś rodziny, która ma do nich prawo.

Laurel starannie powściągała zapał, który zaczęła odczuwać, ponieważ to zadanie mogło okazać się beznadziejne.

- Powiedziałaś, że w twoim gabinecie była jakaś koperta - przypominała swojej szefowej.
- Owszem, ale te rzeczy są ciekawsze... przynajmniej jako przedmiot wystawy. To małe paczka zdjęć migawkowych.
- Mimo to chciałabym je zobaczyć.
- Oczywiście - powiedziała Katherine i podniosła się z krzesła. - Tak mi przykro, że nie poznałam Bobbiego lepiej. Wiedziałam, że ma swoje lata, ale jak na gościa w tym wieku był tak energiczny, że myślałam, że jeszcze trochę pożyje — dodała.

Po czym zniknęła, by zająć się następnym projektem — a zawsze był jakiś nowy projekt, ponieważ co roku było coraz więcej bezdomnych i

coraz mniej środków na pomoc dla nich.

Tamtego popołudnia Laurel sama próbowała wrócić do przerwanej pracy: miała do przejrzania stertę formularzy od nowych podopiecznych i była w trakcie kolejnej monumentalnej walki z VA o świadczenia dla weterana wojny w Zatoce, który mieszkał w schronisku już od trzech tygodni i wciąż czekał na czek, ale tak naprawdę zrobiła niewiele. Stale wracała myślą do pudła z fotografiami.

POCZĄTKOWO PRZYTUŁEK BYŁ remizą strażacką - przynajmniej ta część budynku, która nie została przebudowana. W ostatnim ćwierćwieczu dobudowano do niej dwa okazałych rozmiarów człony. Wejście mieściło się za zasłoną kępy posągowych klonów przy cichej ulicy o cztery kwartały od jeziora Champlain w dzielnicy miasta, którą wszyscy nazywali Old North End. Była to jedna z niewielkich dzielnic Burlington, która wyglądała na podupadłą i sprawiała wrażenie trochę niebezpiecznej - chociaż prawdę mówiąc, w całym Vermont były miejsca, które Laurel wydawały się niebezpieczne, a większości ludzi - nieszkodliwe. Wszystkie domy rozpaczliwie wymagały malowania, werandy od frontu stale się zapadały, a osiemdziesięcio- i dziewięćdziesięcioletnie budowle niemal bez wyjątku zostały przekształcone z domów jednorodzinnych w kamienice. Ale Laurel w głębi serca wiedziała, że to bezpieczna okolica. Gdyby było inaczej, nie pracowałyby tutaj po swoich przeżyciach w Underhill.

38

Oficjalnie organizacja nosiła nazwę Burlington Emergency Dwelling and Shelter - czyli BEDS. Ten akronim miał służyć reklamie (którą grupa otrzymywała w dużej ilości) oraz ułatwić zbiórkę funduszy (co mimo całej

tej reklamy było nieustającą walką). Gdy Laurel zaczęła się w niej udzielać podczas studiów, lubiła czytać małym dzieciom (a niestety, w schronisku zawsze były jakieś dzieci) mieszkającym w specjalnej części dla rodzin książeczki z obrazkami i krótkie powieści Barbary Park i Beverly Cleary. W wieku dwudziestu paru lat nie sądziła, by mogła pomóc innym czymś więcej niż głośnym czytaniem. Przeważnie zastawała tam trzy lub cztery matki i trzy razy tyle mieszkających z nimi dzieci. Ani razu nie widziała taty. Samotni dorośli przebywali w oddzielnej części budynku z osobnym wejściem i masywnymi drzwiami oddzielającymi te dwa światy. Było duże skrzydło dla samotnych mężczyzn i mniejsze dla samotnych kobiet. Schronisko miało czternaście piętrowych łóżek dla mężczyzn i sześć dla kobiet. Nie chodziło o seksizm: bezdomnych mężczyzn było znacznie więcej.

Wydawało się, że dzieci w części schroniska dla rodzin, gdzie Laurel pracowała jako wolontariusz, są wiecznie zakatarzone, tak więc Laurel też wydawała się wiecznie zakatarzona. Gdy była na pierwszym roku studiów, jej przyjaciel, dwadzieścia jeden lat starszy od niej profesor z wydziału medycyny, powiedział, że jest blisko dwieście pięćdziesiąt drobnoustrojów powodujących przeziębienie i każdym z nich można zarazić się raz w życiu. Gdyby było to prawdą, odparła, to już nigdy więcej nie nabawi się przeziębienia. Przez pewien czas próbowała nie dopuścić do rozprzestrzeniania się kataru przy użyciu echinacei i przeciwbakteryjnego żelu do rąk, ale alkohol etylowy i perfumy nie mogły się równać z zaraźliwą siłą topniejących lodowców, które spływały z nozdrzy nagle pozbawionych domu pięcioletnich dziewczynek - zwłaszcza gdy te dziewczynki wdrapywały się jej na kolana i tuliły do piersi niczym ślepe

kocięta w poszukiwaniu sutka. Już wtedy wiedziała, jak czarująca się im wydaje: była niewiele młodsza od ich matek, czasem tylko o trzy, cztery lata. Ale w odróżnieniu od tych kobiet studiowała i nie była ani na tyle rozstrojona nerwowo, by walić je ręką na odlew, ani na tyle przygnębiona, by nie móc się podnieść z jednej ze stęchłych kanap i podać im chusteczki.

Od czasu do czasu przynosiła aparat i robiła im zdjęcia. Wszystkie dzieci wystarczająco dobrze znały się na komputerach i fotografii, by poczuć rozczarowanie, gdy nie przychodziła z aparatem cyfrowym. Kiedy bowiem

39

zaczęła pstrykać, sądziły, że natychmiast obejrzą zdjęcia. W konsekwencji Laurel przynosiła czasem swoją cyfrówkę tylko dla ich rozrywki. Urządzali sobie nieplanowane sesje zdjęciowe, a potem Laurel w ciasnym jak szafa wnękowa biurze kierownika schroniska podłączała swój sony cyber-shot do komputera i drukowała fotografie.

W następnym tygodniu tej rodziny mogło już nie być, ale zdjęcia nadal wisiały przyklejone do okien i ścian.

Mimo to Laurel zawsze wołała tradycyjne aparaty, ponieważ — w odróżnieniu od większości początkujących dziewczyn fotografów, które poznała w szkole średniej lub w college'u - rzeczywiście lubiła pracę w ciemni. Robienie odbitek i tonowanie. Ponadto wołała fotografię czarno-białą, bo uważała, że technika ta zapewnia zarówno większą klarowność, jak i głębszy wgląd w psychikę portretowanych. Jej zdaniem portret człowieka rozumiało się lepiej w czerni i bieli, bez względu na to, czy ukazywał pozbawioną dachu nad głową małą dziewczynkę w Burlington

we wczesnych latach dwudziestego pierwszego wieku, czy parę pijanych birbantów na jednym z przyjęć na Long Island wydawanych przez Jaya Gatsbyego osiemdziesiąt lat wcześniej.

Fotografując, czuła się w pewnym sensie podglądaczem, trochę jak Dianę Arbus, zwłaszcza wtedy gdy uwieczniała dzieci z matkami. Wszystkie matki wyglądały na (czasem też były) oszołomione, naćpane i wyraźnie socjopatyczne (co znowu czasem było faktem). Laurel miała jednak również gruby notes wypełniony wyłącznie odbitkami stykowymi z kuzynem Martinem, który miał zespół Downa, i zastanawiała się, czy już zawsze robiąc komuś zdjęcie, będzie się czuła jak Dianę Arbus, skoro tak znaczna część jej fotograficznego szkolenia od czasów gimnazjum polegała na robieniu zdjęć właśnie jemu. Martin był od niej starszy o rok i uwielbiał teatr muzyczny. Jego matka, ciotka Laurel, przez lata uszyła mu wystarczająco dużo kostiumów, żeby wypełnić nimi całą garderobę, i Martin godzinami pozował w nich swojej kuzynce. Owocem tych sesji było wiele stron sty-kówek nastolatka z zespołem Downa, naśladowującego na swój własny sposób wszystkich aktorów od Yula Brynnera w musicalu *Król i ja* po Harveya Fiersteina w *Lakierze do włosów*. Laurel spędziła z Martinem znaczną część czasu rekonwalescencji po napaści. Wszyscy jej przyjaciele ze szkoły średniej powyjeżdżali na studia, była więc bardzo zadowolona, że w jej życiu jest kuzyn Martin. Jej matka wciąż nazywała ten okres tą „okropną jesie-

40

nią", ale zdaniem Laurel z chwilą powrotu na Long Island naprawdę nie był on aż tak okropny. Spała. Przeglądała żurnale. Dochodziła do zdrowia.

W tych miesiącach coraz mniej słonecznych dni wraz z Martinem obejrzała zapewne pół tuzina spektakli na Broadwayu, zawsze na seansach popołudniowych, co oznaczało, że wchodzili do teatru za dnia, a gdy wychodzili, był już wieczór i na Times Square trwał ożywczy, fantasmagoryjny pokaz światła. Nazajutrz, uważając, żeby nie urazić jej gojącego się powoli barku, wielokrotnie odtwarzali ulubione sceny. Laurel dobrze się czuła w swoim bardzo specyficznym kokonie. A gdy znowu mogła posługiwać się obiema rękami, robiła jeszcze więcej zdjęć młodzieńca wystrojonego w peleryny, meloniki i peruki ze *Szkarłatnego kwiatu*.

Od czasu do czasu, gdy Laurel studiowała jeszcze w college'u, do schroniska dla rodzin trafiała samotna kobieta, starsza od niej zaledwie o rok bądź dwa. Kobiety te były już za stare na pogotowie opiekuńcze dla nastolatek, prowadzone przez inną grupę w innej części miasta, mały świat, w którym rzeczywiście mogłyby czuć się najbezpieczniej, ale też jeszcze zbyt młode, by czuć się swobodnie w skrzydle wyodrębnionym dla dorosłych. W rezultacie, jeżeli było miejsce, a one były czyste - w sensie kontaktu z narkotykami, choć niekoniecznie z brudem i wszami — pozwalano im przebywać w części dla rodzin.

Im także robiła zdjęcia, choć niejednokrotnie próbowały przydać temu przeżyciu erotyzmu. Seks był ich jedynym walorem i posługiwały się nim zdecydowanie, choć niezbyt stosownie. Zaczynały ściągać podkoszulki, rozpinąć dzinsy albo dotykać się i wydymać wargi do obiektywu, jakby pozowały do zdjęć dla magazynu dla dorosłych. Niczym w piosence, próbowały pokazać Laurel swoje tatuaże. Robiły to niemal odruchowo, ponieważ instynktownie pragnęły nawet jej aprobaty, a dobrze poznały

zimno i głód.

Dopiero gdy pracowała w schronisku już blisko rok i oswoiła się ze światem bezdomnych, zaczęła fotografować również mężczyzn. Początkowo unikała tego skrzydła ze względu na swoje przeżycia w Underhill. Oczywiście gdy była małą dziewczynką, widywała bezdomnych mężczyzn na ulicach Nowego Jorku: brudnych i przemoczonych, cuchnących, obłąkanych. Wykrzykujących lub mamroczących sprośne uwagi pod adresem obcych lub — i to mogło jeszcze bardziej działać na nerwy — bez adresatów. Najwyraźniej jednak martwiła się na darmo. Bezdomni, którzy przewijali się przez BEDS, często należeli do najłagodniejszych ludzi na ziemi. Czasami na dno

41

sprawdzał ich pech oraz (owszem) fatalne wybory, nie zaś choroba umysłowa. I nawet u cierpiących na dwubiegunową psychozę afektywną lub schi-zofreników - jak Bobbie Crocker — po właściwej kuracji lekami szaleństwo stawało się możliwe do opanowania. I mniej przerażające. Ilekroć Laurel patrzyła na stykówki, które zrobiła tym mężczyznom, była pod wrażeniem tego, jak szeroko się uśmiechają i jak tęskne i niegroźne są w rzeczywistości ich spojrzenia. Jesienią ostatniego roku studiów do schroniska dla rodzin przybyła dwudziestodwuletnia kobieta imieniem Serena. Powiedziała Laurel, że wszystko w jej życiu zaczęło się rozpadać, gdy miała piętnaście lat. Co przechyliło szalę? Ojciec Sereny, który wychowywał ją sam i bił, odkąd jej matka zniknęła, zostawiając pięcioletnią córkę, zdzielił ją w policzek półlitrowym szklanym słojem majonezu, podbijając oko i zostawiając na twarzy ciemnopurpurowy

siniec wielkości piłki do softballu. Po raz pierwszy w życiu nie próbowała ukrywać śladów pobicia pod makijażem, po części dlatego, że nie była w stanie — musiałaby nałożyć maskę hokejowego bramkarza, a nie trochę pudru i różu - a po części dlatego, że po prostu nie mogła już dłużej znosić bicia i chciała zobaczyć, co się stanie, gdy dowiedzą się o tym ludzie. Uznała, że gorzej już być nie może.

Miała rację. Ale też nie było lepiej, przynajmniej przez długi czas. Ostatecznie, czy gorzej jest mieć dach nad głową i ojca, który co tydzień okłada cię pięściami, czy przenosić się z domu do domu — jedna noc tutaj, jedna noc tam, często mieszkając z obcymi — zanim w końcu wyląduje się na ulicy?

Tamtego dnia już po minucie spotkania w auli nauczycielka poprosiła ją do siebie i po niespełna godzinie ojciec Sereny został aresztowany, a ona miała trafić do rodziny zastępczej. Niestety, nie można było znaleźć dla niej lokum, prawie całe trzy następne tygodnie spędziła więc, nocując w domach różnych przyjaciółek. Nigdy nie przykładała się do nauki i wkrótce zupełnie z niej zrezygnowała. Po prostu przestała chodzić do szkoły. Po niespełna kilku miesiącach nie niknęła wprawdzie całkowicie z pola widzenia opiekunów zastępczych, ale była jedną z kilkudziesięciu uciekinierek i nikt nie był nawet pewien, czy jeszcze przebywa na terenie stanu.

Tydzień po tym, jak Serena przybyła do przytułku i obie oswoiły się ze sobą, Laurel zapytała, czyjej też może zrobić portret. Bezdomna kobieta zgodziła się pozować. Mówiła - bezustannie podwijając swój czarny T-shirt na małym brzuchu, starając się zsunąć dzinsy trochę bardziej na biodra i odgarniając długie bursztynowe włosy z oczu - a Laurel robiła jej

zdjęcia.

42

Użyłaby ich do zaliczenia zajęć z fotografii, jak w przypadku wielu innych swoich zdjęć zrobionych bezdomnym. W dodatku zamierzała dać Serenie zestaw odbitek. Młoda kobieta nie wyglądała za pięknie - od zbyt dawna żyła na ulicy. Policzki miała zapadnięte, twarz surową, wyraźnie sterczały jej kości, była chorobliwie chuda. Lecz oczy miała w kolorze błękitu kobaltowego, nos mały i zadarty, a uśmiech ujmujący. W całej jej postaci było coś uwodzicielskiego, lubieżnego i niezaprzeczalnie interesującego.

Laurel miała wówczas dość rozsądku, by nie czynić z żadnej z kobiet bądź dzieci, które przewijały się przez schronisko dla rodzin, obiektu osobistego projektu resocjalizacyjnego — zarówno dlatego, że sama jeszcze studiowała, jak i dlatego, że była wolontariuszką niemającą bladego pojęcia, co robi. Miała doświadczenie, ale żadnego formalnego przeszkolenia w pomocy społecznej. Mimo to chęć wcielenia się w rolę Boga w kontaktach z taką dziewczyną — a z nią właśnie miała do czynienia, nazywanie tego wygłodniałego chochlika kobietą było zwodniczym feministycznym zabiegiem - jak Serena była niemal zbyt nęcąca. Pomyślała, że mogłaby kupić trochę rzeczy, w których Serena nie wyglądałaby jak zdzira. Mogłaby jej pomóc w znalezieniu pracy. A potem mieszkania. Czyż nie to właśnie robili specjaliści z BEDS?

Oczywiście nie było to takie proste. Nawet gdyby Laurel mogła machnąć czarodziejską różdżką i błyskawicznie przenieść Serenę za ladę baru McDo-nalds przy pobliskiej Cherry Street, dziewczyna nie zarobiłaby na tyle dużo, by stać ją było na wynajęcie mieszkania w Burlington. A

przynajmniej nie bez dofinansowania. Albo bez pomocy jednego z właścicieli domów, który współpracował z BEDS. Albo na przykład ojca rotarianina, który był zamożny i hojny i który z wielką radością poniósłby koszty wynajmu oraz zadbał o to, by miała dodatkowe pieniądze na zakup żywności.

Trzy dni po sesji fotograficznej Laurel wróciła do schroniska z sześcioma odbitkami, które jej zdaniem spodobałyby się dziewczynie. Było cudowne ciepłe popołudnie babiego lata i wyobrażała sobie, że pokaże zdjęcia Serenie, a potem pójdzie z nią na spacer nad jezioro. Znajdą tam ławkę przy hangarze dla łodzi z widokiem na Adirondacks po drugiej stronie wód jeziora i przedyskutują życiowe możliwości. Ponieważ Serena sama z siebie tyle opowiedziała o swojej rodzinie, Laurel opowie jej o swojej i spróbuje opisać Serenie świat, w którym normalnych ludzi łączą normalne stosunki. Dowie się, czy Serena szuka pracy, i doda jej wiele otuchy. Może nawet opowie jej o tym,

43

jak sama otarła się o śmierć, o zamaskowanych mężczyznach, którzy na nią napadli, poruszy temat, którego nie poruszała prawie z nikim.

Do rozmowy nigdy nie doszło, ponieważ zanim Laurel wróciła do schroniska ze zdjęciami, zjawy imieniem Serena już nie było. Spędziła w przytułku dziesięć dni, a potem zniknęła.

I tyle, pomyślała Laurel. Nie liczyła, że kiedyś jeszcze zobaczy tę dziewczynę.

Była w błędzie. To właśnie „wychowanka” BEDS Serena Sargent przyprowadziła do schroniska Bobbiego Crockera - dosłownie prowadząc go

za rękę. Niemal dokładnie cztery lata później, gdy Laurel pracowała w schronisku za wynagrodzeniem od blisko trzech lat, Serena zjawiała się ni stąd, ni zowąd pewnego sierpniowego wieczoru z głodnym starcem, który twierdził, że kiedyś odnosił wielkie sukcesy. Był bezdomny. Serena miała dach nad głową. Laurel nie było wtedy w przytułku, ale później zarówno Serena, jak i kierownik nocnej zmiany z BEDS, Sam Russo, opowiedzieli jej tę historię.

Serena mieszkała w Waterbury, mieście usytuowanym dwadzieścia pięć mil na południowy wschód od Burlington, znanym jako siedziba zarówno wytwórni lodów Ben & Jerry, jak i szpitala stanowego dla osób cierpiących na poważne choroby umysłowe. Mieszkała z ciotką, która dwa lata wcześniej wróciła do Vermont z Arizony - rodzaj szczęśliwego zrządzenia losu, którego większość młodych i bezdomnych potrzebowała, żeby znaleźć dach nad głową — i pracowała w taniej restauracji w Burlington.

Najwyraźniej ten człowiek spędził trochę czasu w szpitalu stanowym, aczkolwiek kelnerka nie była pewna, czy zanim trafił na północ i wylądował w jej restauracji, przebywał w nim przez miesiące czy przez lata. Sam Bob-bie chyba już tego nie wiedział. Nie był człowiekiem gwałtownym, ale miał urojenia. Twierdził, że Dwight Eisenhower jest mu winien pieniądze, i był przekonany, że gdyby jego ojciec wiedział, gdzie się znajduje, to wystawiłby mu czek na pokaźną sumę i wszystko byłoby jak trzeba. Serena domyśliła się, że jego ojciec, ktokolwiek nim był, musiałby wtedy liczyć co najmniej sto lat i najprawdopodobniej od bardzo dawna nie żył. Bobbie mieszkał na ulicach Burlington od tygodni - w kabinach z bankomatami, w budkach, w których za dnia siedzieli strażnicy

parkingów podziemnych, w kotłowni hotelu nad jeziorem - i nie dbał o siebie. Wszedł do restauracji i zapłacił za filiżankę kawy i dwa jajka pieniędzmi, które jak dumnie wyjaśnił, zgromadził, wygrzebując z kontenerów na śmieci butelki i puszki. Powiedział jej,

44

że pochodzi z zamożnej rodziny z Long Island i kiedyś, dawno temu, widział więcej świata, niż mogłaby sądzić: poznał też ludzi, o których czytała w książkach, czasopiśmie i encyklopediach.

Serena przypuszczała, że większość jego paplaniny ma jedynie bardzo luźny związek z rzeczywistością. Ale pamiętała dziesięć dni spędzonych w BEDS, to, jak bardzo mili byli dla niej ludzie w schronisku. Nie wiedziała, czy Laurel tam nadal pracuje, ale pomyślała, że nawet jeżeli nie, byłoby to odpowiednie miejsce pomocy dla jej nowego znajomego. Tak więc przyprowadziła go do przytułku, gdzie Sam Russo znalazł mu łóżko w części dla mężczyzn. W porozumieniu z lekarzem ze szpitala stanowego określono mieszankę środków chemicznych, które ustabilizowały zachowanie Bobbiego i znowu zsynchronizowały jego własną rzeczywistość z resztą świata. Bobbie nie postrzegał ziemskiej planety dokładnie tak jak większość ludzi, ale przestał być zagrożeniem dla samego siebie. Potem, gdy personel schroniska stwierdził, że Bobbie może żyć samodzielnie - korzystał nawet z bonów żywnościowych i karty debetowej na zakup produktów spożywczych - BEDS znalazł mu pokój w hotelu New England. Dwadzieścia dwa metry kwadratowe, łóżko, szafa wnękowa. Płyta do podgrzewania potraw oraz niewielka lodówka. Z łazienki korzystał wspólnie z innymi lokatorami na piętrze, a z kuchni z

pozostałymi mieszkańcami budynku. Nic nadzwyczajnego. Ale było to miejsce pod dachem, niezwykle ciepłe zimą, za to charakteryzujące się doskonałą wentylacją w latem. Było lepsze niż ulica, a dzięki dotacjom rządu federalnego mieszkał w nim niemal za darmo.

TAMTEJ JESIENI PRZYJACIEL Laurel kończył czterdzieści cztery lata. To oznaczało, że chociaż był od niej osiemnaście lat starszy, to i tak młodszy od swojego poprzednika, gościa, który wprawdzie twierdził, że ma tylko pięćdziesiąt jeden lat, ale niemal na pewno kłamał. Używał kremu przeciwzmarszczkowego do twarzy (aczkolwiek nazywał go emulsją nawilżającą) i chyba łykał viagrę — a potem lewitę i cialis — jak orzeszki w czekoladzie. Dzięki temu sypialnia często była miejscem małostkowych kłótni, bo w czasie gdy on był pod wpływem viagry (jej zdaniem niepotrzebnie, zważywszy, że swoim niewzmocnionym libido zaimponowałby dziewiętnastoletniemu rozpustnikowi z korporacji studenckiej), ona wciąż zażywała środki przeciwdę-presyjne. Była to niewielka dawka i Laurel ograniczała ją, w miarę jak nabierała dystansu do napaści i patrzyła na nią z innej perspektywy. Ale gdy

45

ona chemicznie tłumila swój popęd seksualny, jej przyjaciel podsycił swój wszystkimi lekami, których reklamy emitowano w przerwach programu *Monday Night Football*.

Nie dlatego jednak zerwali ze sobą. Rozstali się, ponieważ on chciał, żeby Laurel przeprowadziła się do wiejskiej rezydencji, którą zbudował na działce dziesięć mil na południe od Burlington, na której kiedyś znajdowała się farma mleczna - był dyrektorem w firmie wdrażającej jakieś nowa-

torskie oprogramowanie dla szpitali - a ona nie chciała mieszkać na przedmieściach. Nie chciała mieszkać z nim, więc się rozstali.

Jej obecny przyjaciel, David Fuller, też był dyrektorem, ale żywił głęboką niechęć do angażowania się — co Laurel uważała wówczas za ujmującą oraz użyteczną cechę charakteru i co jak dotąd rzeczywiście czyniło ich związek znacznie trwalszym od większości jej romansów. Laurel nadal chwilami musiała być blisko ludzi, szczególnie nocą — stąd znaczenie jej przyjaźni z Talią. Ale jak zaobserwował jej psychoterapeuta, wciąż najwyraźniej sama nie dojrzała do prawdziwego zaangażowania.

Chociaż David chętnie pozwalał, by ich znajomość trwała na luzie, nie był człowiekiem oziębłym. Dojrzały związek nie był mu na rękę po części dlatego, że był rozwiedzionym ojcem dwóch dziewczynek: starsza z nich była jedenastoletnią początkującą gwiazdą dramatu budzącą zachwyty Laurel, która żałowała, że nie widują się częściej. Dzieci były dla Davida najważniejsze, zwłaszcza że jego eks-żona w listopadzie ponownie wychodziła za mąż, a Laurel szanowała tę hierarchię.

David był wydawcą strony redakcyjnej w gazecie miejskiej. Miał lśniące nowością, piękne spółdzielcze mieszkanie z widokiem na jezioro Champlain, ponieważ jednak chciał poświęcić dziewczynkom więcej czasu i ponieważ jego pierwsze małżeństwo rozpadło się kompletnie, szansa na to, że będzie nalegał na rychłą przeprowadzkę Laurel do siebie, była znikoma. W rezultacie w swoim mieszkaniu spędzał nie więcej niż dwie, trzy noce. W inne wieczory albo pełnił opiekę nad córkami, Marissą z klasy szóstej i Cindy z pierwszej, albo pracował do późna, tak aby w te dni, gdy rzeczywiście miał je u siebie, mógł im poświęcić całą uwagę. Tak więc Laurel widywała dziewczynki tylko parę razy w miesiącu, zwykle na

piknikach bądź filmach lub (raz) na nartach. Dwukrotnie przekonała Davida, by pozwolił jej gościć Marissę samą w sobotę, i za każdym razem spędziły wspaniały dzień, robiąc zakupy w sklepach ze starą odzieżą, w których Laurel często bywała,

46

i eksperymentując przy niezliczonych stoiskach kosmetycznych w jedynym eleganckim domu towarowym w centrum miasta.

Gdy sprawował opiekę nad swoimi dziećmi, zawsze dbał o to, by najpierw odwiedzić Laurel do jej mieszkania. Ona nigdy nie zostawiała w lokum Davida żadnego śladu swojej sporadycznej obecności - szczoteczki do zębów, szlafroka czy tamponów.

David znany był z surowych, sardonicznych wstępniaków, które pisał, gdy czuł, że miała miejsce albo ogromna niesprawiedliwość, albo monumentalna głupota wymagające zajęcia stanowiska. Miał mocno zarysowaną szczękę, był wysoki, co najmniej sześć stóp wzrostu, i mimo wieku nie stracił gęstych włosów w kolorze słomy; strzygł je teraz krótko, ale gdy był młodszy - zanim został wydawcą strony redakcyjnej i musiał wybrać wizerunek publiczny - to właściwie wyglądał trochę jak surfer. Laurel widziała jego zdjęcia. Nie pływał wprawdzie, ale biegał, więc podobnie jak jego przyjaciółka, był w doskonałej formie.

Czasem, gdy byli razem w restauracji, młody kelner mówił coś, co sugerowało, że przypuszczał, iż David jest ojcem Laurel, ale zdarzało się to rzadziej, niż bywało z innymi jej przyjaciółmi w latach po napaści. Ostatecznie był od niej starszy o niecałe dwie dekady; większość pozostałych była starsza o co najmniej dwadzieścia lat. Poza tym ona też robiła się co-

raz starsza.

Wieczorem, w dniu gdy Katherine pokazała jej zdjęcia Bobbiego Crockera, Laurel miała randkę z Davidem i widzieli się po raz pierwszy od czterech dni. Poszli do meksykańskiej restauracji niedaleko redakcji. Ilekroć jednak starali się poważnie porozmawiać o tym, co robili w dniach rozstania, Laurel uświadamiała sobie, że wraca w rozmowie do bezdomnego niegdyś mężczyzny i jego zdjęć. Ilekroć rozmyślała o fotografiach, które leżały w pudle, robiła się trochę roztargniona i podekscytowana. Przy kawie znowu poruszyła temat Crockera i David rzekł - swoim charakterystycznie oschłym tonem, wyraźnie rozdzielając sylaby:

- Myślę, że to świetnie, iż interesujesz się pracami tego gościa jak artystka. Jako fotograf. Popieram to. Ale mam nadzieję, że rozumiesz, iż Katherine obarcza cię bardzo czasochłonnym zadaniem. Z tego co słyszę, ten projekt może pochłonąć wszystkie twoje wolne chwile - teraz i w przyszłości.
- Ona mnie nim nie *obarcza*.

David uśmiechnął się i wyprostował na krześle, krzyżując ręce na piersi.

47

— Znam Katherine od bardzo, bardzo dawna. O wiele dłużej niż ty.

Obserwowałem ją na zebraniach zarządu, na kwestach, marszach charytatywnych. Stałem obok niej i czytałem nazwiska bezdomnych na dorocznej mszy za BEDS w kościele unitariańskim. Chyba z kilka razy robiłem z nią

wywiady do naszych artykułów. *Obarczanie* może nie jest właściwym okreś

leniem na jej metody. Katherine jest zdecydowanie zbyt uwodzicielska, żeby

to czynić. Ale jest uwodzicielką i świetnie potrafi dopiąć swego. Tego, cze

go potrzebują jej podopieczni. A teraz akurat jej podopieczni potrzebują sporo. Do licha, wiesz o tym lepiej ode mnie. Codziennie oglądasz skutki cięć w budżecie federalnym.

Laurel tak naprawdę poznała Davida w grudniu poprzedniego roku, gdy oboje wylądowali obok siebie w pochodzie przy świecach, który poprzedziła milcząca manifestacja BEDS na Church Street. Była to jedna z tych nocy, gdy jest tak zimno, że powietrze szczypie w twarz, ale migoczący szereg świec ciągnął się niemal przez dwa kwartały, a gdy dotarli do ratusza, we dwójkę wymknęli się do małej mrocznej restauracji na czekoladę na gorąco.

- Cóż, jeżeli jej nie przeszkadza to, bym skupiła uwagę na pracach Bobbiego, czemu miałyby mnie przeszkadzać? - zapytała Laurel. - I czemu miałyby przeszkodzić tobie?
- Mnie nie przeszkadza. To by sugerowało, że mam więcej niechęci do tego pomysłu, niż w rzeczywistości. Ale ani przez chwilę nie wierzę, że Katherine spodziewa się, że będziesz kuratorem tej wystawy — analizować zdjęcia, odświeżać je i opisywać — w godzinach pracy. Będziesz spędzała wieczory i weekendy w ciemni, a gdy już z niej wyjdiesz, będziesz starała się rozgryźć przy komputerze, kim są widoczni na zdjęciach ludzie.

Laurel naprawdę nie sądziła, że chodzi o nagły wybuch męskiego egoizmu wieku średniego. Rozumiała, że David nie niepokoi się tym, że to przedsięwzięcie pozbawi go kontaktu z Laurel w wieczory, gdy nie będzie opiekował się dziećmi. Jednak w jego uwagach był cień protekcjonalności i to sprawiło, że przyjęła obronną postawę. Nie po raz pierwszy próbował narzucić jej mądrość, która jego zdaniem przychodziła z wiekiem. Laurel zareagowała więc słowami:

— Jeżeli się martwisz, że nie będę pod ręką, gdy zechcesz się zabawić, to bądź spokojny. Nie jest tak, że mam jakiś wyznaczony termin. Pracowałam bym nad tymi zdjęciami, gdy będę miała ochotę, i tylko wtedy. Miałabym dodatkowe zajęcie, gdy ty będziesz spędzał czas z córkami.

48

- Słowo daję, tu nie chodzi o mnie. Chodzi o ciebie. Gdy twój początkowy entuzjizm dla tego gigantycznego przedsięwzięcia się wyczerpie, myślę, że przekonasz się, iż obróbka materiału i robienie odbitek z cudzych prac jest bardzo frustrujące.
- Wtedy przestanę.

David niespiesznie bawił się uszkiem swojej filiżanki i Laurel przez chwilę myślała, że ma zamiar powiedzieć coś więcej na ten temat. Ale on był mężczyzną ogromnie dumnym z wynikającego z jego osobowości autentycznego spokoju w stosunkach z rodziną, znajomymi i swoją młodą przyjaciółką. Oszczędzał swą wybuchowość i słuszny gniew na polityków i decydentów, którzy go obrazili, i uwalniał je tylko w druku — nigdy osobiście. W ciągu dziewięciu miesięcy ich znajomości i siedmiu romansu ni-

gdy nie słyszała, by podniósł głos; nigdy też nie przeżyli poważnej kłótni. To mogło być — *on mógł być*— irytujące.

W końcu sięgnął przez stół i delikatnie pomasaował jej palce.

- Więc dobrze - rzekł. - Nie chcę na ciebie w żaden sposób naciskać. Z obiadu, który jadłem przedwczoraj z dziewczynkami, został mi niesa mowicie dekadenski pikantny sos karmelowy, mam też w zamrażarce lody waniliowe. Zjedzmy deser w łóżku. Jeżeli wyjdziemy teraz, będziemy mogli

nago pożegnać zachodzące nad jeziorem słońce.

Chwilę po tym, jak puścił jej dłonie, do ich stolika podszedł młody kelner.

- Więc - rzekł z roztargnieniem, licząc, że odbędzie krótką rozmowę towarzyską, gdy sięgał do kieszeni fartucha po ich rachunek - przyjechaliście obejrzeć uniwersytet?

ROZDZIAŁ TRZECI

M

IESZKANIE, KTÓRE LAUREL DZIELIŁA Z TALIA, było tym samym, które zaczęły wspólnie wynajmować na początku ostatniego roku studiów w college'u. Zajmowało dwie trzecie pierwszego piętra pięknej wiktoriańskiej kamienicy w pagórkowatej części Burlington, zmanierowanej dzielnicy eleganckich budynków w stylu georgiariskim i wiktoriańskim, a nawet kilku domów z lat dwudziestych, wyposażonych w stylu arts and crafts, o kilka zaledwie przecznic od uniwersyteckich akademików z jednej strony i

miasta Burlington z drugiej. Zdecydowaną większość tych budynków stanowiły domy jednorodzinne — zamieszkane przez miejscowych prawników, lekarzy i profesorów uniwersytetu — ale kilka, takich jak ten, w którym rezydowały Laurel i Talia, zostało podzielonych na mieszkania. Schronisko BEDS w miejskim Old North End znajdowało się w odległości piętnastu minut spacerem od domu, a kościół baptystów, w którym Talia pracowała jako pastor opiekujący się młodzieżą - dwunastu. Ich dom był również niedaleko ciemni fotograficznej w kampusie, gdzie Laurel raz w tygodniu nadal robiła odbitki ze swoich negatywów. Gdy dwie młode kobiety się tu sprowadziły, były najmłodszymi lokatorami w kamienicy. Do czasu. Teraz dom zamieszkiwali głównie dwudziestoparoletni studenci, a one były jedynymi osobami pracującymi na pełny etat.

Po drugiej stronie korytarza, w mniejszym mieszkaniu zajmującym resztę ich piętra mieszkał student pierwszego roku medycyny, szczupły elo-kwentny młodzieniec z Amherst, który zdawał się tryskać szczenięcą ener-

50

gią. Miał delikatne, dziewczęce niemal rysy twarzy cienkie szaroblond włosy, które zaczęły już rzednąć, oraz spore poczucie humoru. Był zapalonym rowerzystą - wszyscy jego koledzy, którzy go odwiedzali, też wyglądali na entuzjastów kolarstwa - i odkąd wprowadził się w lipcu do domu, dwa razy pytał Laurel, czy nie chce się wybrać na przejażdżkę. Właściwie to był właścicielem dwóch rowerów: szosowo-terenowego i szosowego. Nazywał się Whitaker Nelson, ale powiedział, że wszyscy mówią na niego Whit. Najwyraźniej chciał poznać ją lepiej, ale

instynktownie wyczuł, że trudno będzie po prostu (i w oczywisty sposób) zaproponować, by gdzieś razem wyszli.

Do grona pozostałych lokatorów należały trzy kobiety i jeden mężczyzna porozrzucani nad oraz pod nimi w czterech osobnych mieszkaniach. Najbardziej interesującym pośród nich, przynajmniej zdaniem Talii, był tak naprawdę pies, będący własnością początkującej weterynarz imieniem Gwen. Zwierzak, Merlin, był łagodnym kundlem z Humane Society, mieszańcem springer-spaniela i - sądząc po rozmiarach - konia pociągowego. Był olbrzymi i wyglądem przypominał nieco kuca szetlandzkiego. Czasem, gdy Gwen wyjeżdżała na weekend, Talia miała przyjemność podejmowania prób wyprowadzenia bestii na spacer. Zwykle to on po prostu wyprowadzał ją.

Wiara religijna w rodzinie Talii objawiała się chyba w co drugim pokoleniu. Jej dziadek - ze strony ojca - był pastorem kościoła episkopalnego na Manhattanie i nawet celebrował ślub jej rodziców. Jednakże ojciec Talii zawsze nazywał tę świątynię Pierwszym Kościołem Świętego Brunchu i złościło go to, jak frekwencja spadała latem, gdy wierni co weekend wędrowali na wschód do Hamptons. Gdy Talia była w przedszkolu, odszedł z Kościoła, tak więc ona bywała tam tylko wtedy, gdy mieszkała u dziadków. A jej matka? Zawsze miała alergię na wszystko, co przypominało religię. Talia bała się, że ta kobieta zażyczy sobie, by na nabożeństwie żałobnym po jej śmierci zamiast hymnów śpiewano piosenki z widowisk muzycznych.

Talia zaczęła wracać do Kościoła po tym, jak Laurel wyjechała do domu dochodzić do siebie po napaści na początku drugiego roku studiów w college[^]. Nagle została sama w ich małym mieszkaniu przy wydziale i

przestraszyła się. Ten jeden cichy głos? Słyszała go. Nie był to głos zielonoświątkowca mówiącego językami, a łagodne i uspokajające pomrukiwanie. I zanim się zorientowała, czerpała — ku wielkiemu zaskoczeniu własnemu i swoich rodziców - pociechę z towarzystwa wiernych w niedzielne poranki. Rozejrzała się w sytuacji i wylądowała w kościele baptystów, ponieważ wydawał się on

51

tyle robić z ludźmi z marginesu — ubogimi, bezdomnymi i narkomanami — który zaludniali centrum. I tam zaczęła modlić się za Laurel. Oraz za lu

dzi, którzy na nią napadli. Miała wrażenie, że łatwiej jest modlić się o prze

mianę dwóch złoczyńców niż za tysiące osób, które były ich ewentualnymi

ofiarami. W jej mniemaniu chodziło tylko o statystykę, prawdopodobieństwo oraz jej poczucie, że Bóg jest pewnie cholernie zajęty.

Początkowo znajomi denerwowali ją i mówili, że przechodzi na baptyzm, ponieważ kościół był blisko najlepszego centrum handlowego w Burlington. Przyznawała, że było to jakąś zachętą. Ale lubiła swoje niedzielne ranki w świątyni. Pastor był zaś wegetarianinem i Laurel podobało się, że zwierzęta często występowały w jego kazaniach.

Mimo to gdy skończyła studia, była tak samo niepewna tego, co ma robić ze swoim życiem, jak Laurel: rozważała możliwość studiowania na wydziale teologii, ale równie dobrze mogłaby wylądować na Wharton. Wiedziała jednak, że kocha Burlington, kiedy więc pastor zapytał, czy

interesowałoby ją pozostanie w mieście i uruchomienie programu dla nastolatków w parafii, skorzystała z okazji. Piętnaście miesięcy później zapisała się na studia magisterskie z teologii i opieki duszpasterskiej w pobliskim Saint Michael's College, codziennie dojeżdżając na zajęcia samochodem i równocześnie dalej pracując z nastolatkami w kościele. Poza Laurel, jej znajomi nie dowierzali. Ale gdy otrzymywała dyplom magisterski, także byli obecni — jak większość nastolatków, a nawet niektórzy z ich rodziców z kościelnej grupy młodzieżowej.

Pracowała w kościele już od ponad czterech lat, program przyniósł korzyści i przeważnie bawiła się lepiej niż kiedykolwiek przedtem w swoim życiu

- a Talia była osobą, która w ciągu ćwierćwiecza spędzonego na planecie Zie

mia bawiła się, ile wlezie. Zawsze pociągali ją mężczyźni o spojrzeniach, które

potrafiły spalić spódnicę, w istocie rzeczy sama miała takie spojrzenie.

Dorastała na Manhattanie i decyzja, by studiować na University of Vermont, była aktem buntu: oznaczała, że nie zamierza już dłużej nosić butów na trzy- lub czterocalowych szpilkach, które kosztowały tyle co rower górski, ani podtrzymywać przyjaźni z osobami mającymi czelność (bądź pozbawionymi samoświadomości) nazywać siebie *Muffy*. W rezultacie Talię i jej rodziców nadal łączyły stosunki, które ona uważała za w najlepszym razie trudne. Oni postrzegali Vermont jako odludny masyw górski zamieszkały głównie przez świętoszkowatych liberałów w pordzewiałych subaru, którzy ubierali się wyłącznie we flanele i wełny. Było to błędne wyobrażenie, któ-

re Talia starała się skorygować: przypominała im, że wielu z jej sąsiadów w rzeczywistości jeździ volvo. Mimo to jej rodzice nigdy nie przyjechali na północ, ona zaś wracała na południe tylko w najważniejsze święta: na Wielkanoc, Boże Narodzenie oraz wyprzedaż w Neiman Marcus (niektóre nawyki zanikały z większym trudem od innych).

Ona i Laurel często jadały razem śniadanie, gdy Laurel wracała z uniwersyteckiego basenu, zjadły je również rankiem w dniu pogrzebu Bobbiego Crockera. Gdy jej współlokatorka przyszła z włosami wciąż wilgotnymi od pływania, Talia czytała gazetę, siedząc na podłodze. Wyprawiła już małą ucztę na stoliku z lustrzanym blatem, który Laurel odkryła przed laty na wyprzedaży domowych sprzętów. Były jabłka i gruszki w plasterkach, bajgle obok kubka z serkiem jagodowym, sok pomarańczowy i gorąca herbata z torebek.

- Myślę, że przez jakiś czas powinnaś trzymać się z daleka od wody

— zauważyła Talia, ledwie rzucając okiem znad gazety.

- Czemu? Wyglądam jak suszona śliwka? — zapytała Laurel z łazienki, zawieszając swój mokry kostium w kabinie prysznicowej.

- Ależ skąd. Ale woda staje się okropnie niebezpieczna - odparła Talia.

- Widziałaś dzisiejszą gazetę? Człowiek myślał, że bezpiecznie jest maszero

wać przez bagna Alabamy, a tu piszą, że w okolicy grasuje czterometrowy, ważący pół tony aligator. Najwyraźniej w czasie huraganu uciekł w zeszłym

tygodniu z zoo. Reaguje na imię *Chucky*. Tymczasem pięciometrowy żarłacz

ludojad zadomowił się w Woods Hole przy przyładku Cod - w wodzie głębokiej na trzy, cztery stopy.

- Myślę, że w szkolnym basenie nie ma mięsożernych drapieżników. Chyba nie muszę się obawiać, że padnę ich ofiarą.

- Może nie aligatorów i rekinów. Ale strzeż się studentów w speedo.

- Przecież ja też noszę kostium Speedo!

Talia złożyła gazetę i przeciągnęła się.

- Speedo na kobietach są odpowiednio skromne. Speedo na mężczyznach są nieodpowiednio... pouczające. Dostarczają zbyt wielu informacji. A komplet zawsze jakoś wygląda pyszałkowato. Wiesz, co mam na myśli? Wszystko wydaje się takie... guzowate. Jakiej frekwencji spodziewasz się dzisiaj na pogrzebie?

Laurel opowiedziała jej o Bobbiem Crockerze i zdjęciach, które zostawił. Obie martwiły się o frekwencję podczas pogrzebu, ponieważ z tego co wiedziały, Crocker nie miał żadnej rodziny.

53

- Myślę, że nie będzie zła. Niewielka, ale przyzwoita. W każdym razie zjawi się grupka z BEDS na tyle duża, żeby zapełnić furgonetkę.

- Dobrze. Kameralnie, ale nie pusto.

- Nie, pusto nie - odparła Laurel, siadając po drugiej stronie stołu. Talia chciała jej podać bajgla, ale Laurel ubiegła ją i wzięła sama. Talia zdawała sobie sprawę, że traktuje swoją współlokatorkę jak niepełnosprawną. Zbyt dużo starała się za nią robić. - Mimo to chętnie zobaczę, kto jeszcze się zjawi — ciągnęła Laurel. — Mogłabym się czegoś dowiedzieć. Może zjawi się tam ktoś, kto będzie w stanie mi

pomóc w wyjaśnieniu zagadki zdjęć, które znaleźliśmy.

Jej przyjaciółka podniosła część gazety i spojrzała na nagłówki w dziale lokalnym. Po chwili poruszyła temat, który tamtego rana najbardziej zaprzętał jej myśli:

— Robisz coś w następną sobotę?

— To dość odległy termin — odparła Laurel. — Prawdopodobnie to co zwykle, jak sądzę. Trochę pofotografuję. Może popływam. Zobaczę się z Davidem.

- Chcesz zagrać w paintball ze mną i z moją grupą młodzieżową?
- Słucham?
- W paintball. No wiesz, nawiązać kontakt z dzieckiem, które w tobie drzemie?
- Dziecko, które we mnie drzemie, nie jest komandosem. Po co, na miły Bóg...
- Uważaj.
 - Po co u licha zabierasz grupę swoich podopiecznych na grę w paintball? Jakie teologiczne nauki można wyciągnąć z biegania po lesie i strzelania do siebie nawzajem.
 - Zupełnie żadnych. Ale jest początek roku szkolnego i chcę, żeby członkowie grupy zaczęli tworzyć więzi i działać zespołowo. Chcę, żeby się wzajemnie poznali. I... co nie jest nieznaczącym dodatkiem... zawsze dobrze jest pokazać dzieciom, że są dorośli, którym zależy na nich na tyle, by poświęcili sobotę na wspólną grę w paintball.
 - Nie moglibyśmy po prostu pójść na wycieczkę? No wiesz, las, wieńcówki. Żadnej broni.

- Och, daj spokój, to nie jest prawdziwa broń. A zabawa stworzy atmosferę koleżeństwa i przyda chłopcom wigoru. Prawda wygląda tak, że teraz potrzebuję zajęć, które rozruszają te dzieciaki.
- Mogę się nad tym zastanowić?

54

- Nie. Potrzebuję jeszcze jednego opiekuna i wiem, że grupa cię uwielbia.
- Czy w ten właśnie sposób próbujesz mnie skłonić do częstszych wizyt w kościele?
- Jeżeli to cię tam zaprowadzi jutro rano, wspaniale. Ale nie, tego nie mam w programie. Po prostu myślę, że zbyt rzadko wychodzisz z domu.
- Wychodzę na okrągło. To ty nie masz w tej chwili żadnego przyjaciela.

Talia zignorowała tę uwagę, ale tylko dlatego, że to była prawda.

—Może i wychodzisz — odparła po prostu — ale nie z automatycznym karabi

nem do paintballu i kilkuset kulkami z farbą. To jest *prawdziwe* wychodzenie.

Talia wiedziała, że przyjaciółce trudno jest jej odmówić. Tak naprawdę większości ludzi przychodziło to z wielkim trudem. Była dumna ze swoich zdolności perswazji. W przeszłości Laurel dołączyła do niej, gdy grupa młodzieży zbudowała olbrzymie proce do miotania balonów z wodą przez uniwersyteckie boisko do rugby, towarzyszyła grupie na zatrwajającą odrażającej inscenizacji musicalu *Chrystus Superstar* w teatrze środowiskowym (Judasz zawisł nad parterem widowni). Oraz była jednym

z opiekunów, gdy budowali tratwę na regaty na jeziorze Champlain, żeby zebrać pieniądze na miejscowy punkt dożywiania. Utrudnienie polegało na tym, że wszystkie łodzie musiały być domowej roboty, a materiały nie mogły kosztować więcej niż sto pięćdziesiąt dolarów. Ich łódź kosztowała o wiele mniej. Zbudowano ją głównie ze sklejki oraz starych beczek po ropie (pomalowali je jednak na efektowny jasnozielonkawy błękit) i sunęła wdzięcznie po wodzie przez z górą półtorej minuty, zanim zaczęła się przechylać, a potem tonąć. Mimo to sponsorzy nastolatków zjawili się ze swoimi gwarancjami.

- Powinam cię ostrzec - mówiła dalej Talia - że paintball ma jedną wadę... i to sporą.
- Chodzi o to, że jest nieco dziki? Odrobinę antyspołeczny?
- Och, nie naślij na mnie wszystkich posterunkowych!
- Więc o co?
 - Będziemy musiały nosić okulary, które są duże i niezgrabnie wydłużone. I naprawdę brzydkie. To fatalne świadectwo nienadążania za modą.
- Będziemy musiały, co?

Talia potwierdziła skinieniem głowy. Zauważyła, że Laurel posłużyła się słowem *my*. Jeszcze nie wyraziła zgody, ale dla obu z nich było jasne, że wybierze się z nimi.

N

A POGRZEBIE BOBBIEGO NA CMENTARZU WOJSKOWYM W WinOOski było w sumie dziesięciu żałobników, w tym pastor, którego Laurel spotkała po raz pierwszy; Serena Sargent, do której zadzwoniła z wiadomością o śmierci Bobbiego; kobieta, która wydawała lunch w jadłodajni Armii Zbawienia, oraz przedstawiciel VFW, który chciał komuś - komukolwiek - wręczyć pięknie złożoną flagę amerykańską. Zjawili się jednak również trzej lokatorzy z hotelu New England, którzy poznali Bobbiego w ostatnim roku życia i którzy zgodnie z przypuszczeniami Laurel mieli po czterdzieści, pięćdziesiąt parę lat. A z BEDS dołączyły do niej Katherine Maguire i Sam Russo, kierownik nocnej zmiany, który miał dyżur, gdy Serena przyprowadziła Bobbiego. Mżyło, ale był ciepły jesienny dzień i kiedy stali pod czarnymi parasolami, które zapewnił dom pogrzebowy, i słuchali, jak pastor czyta psalmy dla człowieka, którego nigdy nie spotkał, mżawka nie była uciążliwa. Potem Katherine sypnęła łopatą trochę wilgotnej ziemi na skromną trumnę w wykopanym dole i mogli się zbierać.

Laurel była zadowolona, że przyszła, z wielu powodów, a najważniejszym z nich było pragnienie pożegnania się z tym często speszonym, ale czasami charyzmatycznym starcem. Gdy jadła śniadanie z Talią, zdała sobie sprawę, że dla wielu opiekunów społecznych w BEDS Bobbie stał się swego rodzaju maskotką: nie dzieckiem z plakatu - choć zdaniem Katherine najwyraźniej mógł się nim stać pośmiertnie - ale chwalebnie niestrudzo-

nym i ekscentrycznym duchem. Ocalonym. Bobbie wręcz lubił kręcić się po ośrodku dziennym. Gdy miał dobre dni, potrafił skłaniać do uśmiechu mężczyzn cierpiących na nerwicę frontową, którzy wchodzili niepewnym krokiem do przytułku, raz na zawsze pozbawieni życiowych możliwości.

Była wzruszona (ale nie zaskoczona) tym świadectwem przyjaźni, które zawarł z innymi bezdomnymi kiedyś mężczyznami podczas swojej krótkiej bytności w hotelu New England, i ucieszyła się na widok Sereny — i na myśl, że jeśli nawet nie ma się świetnie, to przetrwała. Serena zauważyła w rozmowie, że chce się wyrwać spod ciotczyngo dachu i być w życiu kimś więcej niż tylko kelnerką. Ale mimo to wyglądała znacznie zdrowiej, niż ostatnim razem gdy się widziały, tak więc Laurel powiedziała, że chce się dowiedzieć jak najwięcej na temat Bobbiego. Serena zgodziła się z nią spotkać w następnym tygodniu.

W drodze powrotnej do furgonetki BEDS, z której skorzystali, by przejechać wszystkich z centrum Burlington do Winooski - wszystkich z wyjątkiem Sereny i dystyngowanego weterana wojny w Korei, który pojawił się znikąd z flagą - Laurel dreptała u boku Sama przez mokry trawnik. Sam przewyższał ją wiekiem o kilka zaledwie wiosen, miał może dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat. Był dawnym fanem grupy Phish, obdarzonym niesforną grzywą rudych włosów, które ściągał z tyłu w koński ogon, i nieelegancko okrągłym brzuszkiem u tak młodego człowieka. Sam uważał się jednak za dużego, nie grubego, mężczyznę i potrafił szybko zapewnić poczucie bezpieczeństwa bezdomnym, którzy przybywali do schroniska — co dla większości pracowników opieki społecznej nie było łatwym zadaniem.

- Jestem po prostu ciekawa — zaczęła. — Sądziś, że to Bobbie zrobił te wszystkie zdjęcia?
- Bez wątpienia. Gdy przyprowadzono go do schroniska, nie miał ze sobą nic więcej. Ten człowiek nie miał nawet żadnej bielizny oprócz kalesonów, które nosił... miał jednak te zdjęcia.
- Ale skąd wiesz, że był fotografem?
- Po prostu tyle wiedział. Potrafił mówić o Muddym Watersie...
- O Muddym Watersie?

- Bluesmanie z lat czterdziestych i pięćdziesiątych... gdy naprawdę powstawał rock and roli. Jak rozumiem, w tym pudle jest zdjęcie Watersa i jego zespołu. Bobbie opowiadał mi o tym, jak robił zdjęcia na jednej z sesji nagraniowych w dawnej wytwórni Chess Records. A innym razem usłysza-

57

łem tę niesamowitą opowieść o tym, jak zawieszono go na jakimś żurawiu nad boiskiem futbolowym, żeby zrobił zdjęcie blisko dwustu cheerleaderek kręcących obręczami. To było dla „Time'a” lub jakiegoś innego magazynu. Nie, nieprawda: dla „Life'u”. Zrobił dla nich mnóstwo rzeczy.

— Widziałeś kiedyś te zdjęcia?

- Nie chciał mi ich pokazać. To nie było bezpieczne — odparł Sam, spo
glądając teatralnie na boki, udając, że sprawdza, czy nikt nie podsłuchuje.

— Katherine wspominała o tym samym. Czego się obawiał?

- Laurel, ten człowiek był schizofrenikiem! Z tego, co mi wiadomo, obawiał się kosmitów!
- Nigdy nie mówił, że...
- Raz powiedział coś, co skłoniło mnie do przekonania, że źródłem paranoi Bobbiego był jego ojciec. Nie chodziło o lęk przed ojcem. Bobbie bał się chyba, że tych zdjęć szukają ludzie, którzy znają jego starego.

Gdy dotarli do furgonetki, Laurel pociągnęła Sama za rękę, żeby móc zadać mu jeszcze jedno pytanie, zanim znajdą się w otoczeniu przyjaciół Bobbiego w furgonetce.

—Powiedz mi, jak człowiek, który robi zdjęcia dla magazynu „Life”, łąduje na ulicy? Wiem, że był chory umysłowo. Ale jak temu biedakowi tak

kompletnie zawaliły się plany? Nie miał żadnej rodziny? Żadnych przyjaciół? Jak to możliwe, skoro był taki sympatyczny?

Sam Russo dał ruchem ręki znak mężczyznom, którzy pakowali się do furgonetki w swoich znoszonych adidasach i płóciennych koszulach ze sklepu z używaną odzieżą, w spodniach, które zawsze pachniały ulicą: Howardowi Masonowi, Paco Hidalgo, Pete'owi Stambolinosowi.

—A jak zawalają się plany któremukolwiek z nich? Bobbie mógł być kie

dyś całkiem dobrym fotografem... czy miał prawdziwy talent, oceniłabyś lepiej

ode mnie... ale jak powiedziałaś, był umysłowo chory. Było też oczywiste, że

miał poważne kłopoty z koncentracją. Trzydzieści, czterdzieści lat temu

nie

wiele mogliśmy na to poradzić. Mieliśmy torazynę. Dopiero zaczynaliśmy eks

perymentować z haloperidolem. Ale to niemal wszystko. I spójrzmy prawdzie

w oczy. Ty zobaczyłaś go dopiero po tym, jak wrócił do zażywania leków. Nie

widziałaś... ani, wybacz, nie czułaś... Bobbiego po nocy spędzonej w podziemnym parkingu. Albo wtedy, gdy wyrzucono go z tamtej restauracji, bo siedział tam godzinami, zamawiając i jedząc, jakby zbliżał się koniec świata,

choć nie miał ani centa w kieszeni. Albo wtedy, gdy próbował mi wmówić, że

58

kiedyś spędzał sporo czasu z Corettą Scott King. Chodzi mi o to, że mógłbym go sobie wyobrazić z niektórymi z tych muzyków. Ale Coretta Scott King? To już przesada. I Bóg jeden wie, jakie środki łykał w swoim życiu... no wiesz, okazjonalnie... i jakie miał problemy z nadużywaniem środków odurzających. Albo z jakimi demonami wkroczył w dorosłość. Ja na pewno nie wiem. Może Emily. Emily Young. Ale wierz mi: tym, czego nie wiem o tych ludziach... o którymkolwiek z nich... można by wypełnić książkę.

W CZASIE GDY LAUREL była na pogrzebie, sekretarka Katherine podrzuciła do jej gabinetu małą kopertę z innymi zdjęciami Bobbiego. Było w niej dwanaście zdjęć migawkowych, niektóre zbrązowiałe i pożółkłe ze starości.

Ledwie Laurel zaczęła je przeglądać, przerwała z nerwowym biciem serca i zastygła w bezruchu. Na czarno-białym zdjęciu tak starym, że jego brzegi były wycięte w okrągłe ząbki, widniał dom stojący na drugim brzegu zatoczki naprzeciw ośrodka sportowo-rekreacyjnego, w którym Laurel spędziła tak znaczną część swojego dzieciństwa. Rezydencja Pameli Buchanan Marshfield. Laurel natychmiast rozpoznała taras i przyległy portyk z ośmioma grubymi kolumnami. Balkony z widokiem na wodę. Przystań. Pod spodem znajdowało się drugie, inne zdjęcie domu.

Nigdy nie przyszło jej na myśl, że Bobbie Crocker może być jakoś spokrewniony z Buchanunami z East Egg. Bo i czemu miałyby jej przyjść? Odkąd wyjechała na studia i przestała spędzać długie letnie dni w ośrodku, niewiele myślała o Jayu Gatsbym i rodzinie mieszkającej po drugiej stronie wód zatoczki. Tak naprawdę nie myślała o nich za wiele nawet wtedy, gdy klubowy basen był jej drugim domem.

Ustawiała zdjęcia przy monitorze swojego komputera i skierowała spojrzenie na następną fotografię. Oto on, ośrodek sportowo-rekreacyjny z szeroką masywną kamienną wieżą. Pod tą odbitką znajdowało się zdjęcie pierwotnego basenu — basenu Gatsby'ego. A dalej dwa zdjęcia z przyjęć, z których jedno było opatrzone zapisaną ołówkiem datą: rocznica zburzenia Bastylia, 1922. Widniał na nim mężczyzna - jak przypuszczała, sam Gatsby - stojący z wyrazem tłumionego niemal rozbawienia obok swojego jasnożółtego roadstera. I wreszcie zdjęcie dzieci: dziewczynka miała chyba dziewięć lat, a chłopczyk może z pięć, pozowały obok portyku rezydencji Buchanarów przed beżowym kabrioletem. Było oczywiste, że ten obrazek również pochodził z lat dwudziestych.

Laurel przypomniała sobie, co kiedyś powiedział jej Bobbie, jedną z

wielu uwag, które — jak wtedy sądziła - były bezpodstawnymi urojeniami. Po-

59

wiedział, że dorastał w domu, którego okna wychodziły na zamek po drugiej stronie zatoczki. Dom Gatsby'ego nie był zamkiem, ale wybudowano go z kamienia i miał wieżę, która przypominała trochę wieżę strzelniczą.

Laurel podniosła w tym momencie słuchawkę telefonu i zadzwoniła do swojej matki, mając nadzieję, że tego popołudnia nie gra w brydża bądź w tenisa ani nie pojechała pociągiem do miasta na zakupy z przyjaciółkami lub do muzeum. Odkąd zmarł jej mąż — ojciec Laurel — pozwoliła, by drzemiąca w niej skłonność do aktywnego działania stała się nieokiełznana: wiecznie przebywała poza domem. Oczywiście Laurel usłyszała głos matki w automatycznej sekretarce i odłożyła słuchawkę. Następnie zadzwoniła do swojej ciotki Joyce - matki kuzyna Martina - ponieważ od chwili zamążpójścia ona również mieszkała w tej okolicy i należała do klubu. Ciotka Joyce nie spędzała czasu tam, gdzie spędzali go rodzice Laurel, czy same Laurel, znała jednak lokalną historię oraz grząski teren towarzyskich intryg równie dobrze jak inni.

Odebrał Martin, wypowiadając niestrudzenie dobrodusznym i ckliwie sentymentalnym głosem słowa, które jedynie rodzina Laurel potrafiła przełożyć z jako taką dokładnością. Ponieważ Martin przyszedł na świat zarówno z syndromem Downa, jak i z częściową głuchotą, mówił tak, jakby miał usta pełne biszkoptowego ciasta. Laurel rozumiała go jednak prawie zawsze, nawet w rozmowie przez telefon, on zaś był chyba jedyną znaną jej osobą, która przypuszczalnie przez całe życie nie powie nigdy o nikim złego

słowa. Serce miał wielkie, uosobienie bezkrytyczne. Nazywał ją Córką Laurel zamiast po prostu Laurel, ponieważ otrzymała imię po swojej babce (która zmarła, gdy Laurel była w szkole średniej). Dla Martina ta znacznie starsza kobieta na zawsze pozostała Babcią Laurel.

Po tym, jak Laurel zapewniła go, że wkrótce ich odwiedzi, i zaproponowała wspólne obejrzenie musicalu w Święto Dziękczynienia, Martin przekazał słuchawkę ciotce Joyce. Ze względu na zamieszkiwanie w bliskim sąsiedztwie domu jej matki oraz z uwagi na przyjaźń łączącą Laurel z kuzynem, rozmawiały ze sobą przypuszczalnie częściej, niż wiele dorosłych siostrzenic rozmawia ze swoimi ciotkami. Ta kobieta była dla niej, pod pewnymi względami, drugą mamą, kiedy więc Martin powiedział jej, kto dzwoni, nie sądziła, że Laurel ma jakieś szczególnie interesujące wieści.

Miała jednak, i od razu do nich przeszła. Powiedziała ciotce o Bobbiem Crockerze oraz o zdjęciach, które zostawił, głosem tylko trochę podekscytowanym, stopniowo przygotowując się do wyjawienia tego, co uważała za swoje wielkie odkrycie.

60

- A Pamela Buchanan Marshfield miała młodszego brata, prawda?
- Faktycznie, miała — odparła ciotka Joyce z wyjątkowym spokojem. - Zmarł, gdy była nastolatką. Ja pewnie byłam wtedy niemowlęciem. Oczywiście nigdy go nie poznałam. To tylko kolejne przekleństwo ciążyące nad tą biedną rodziną. Mieli więcej pieniędzy... i jak się wydaje, więcej pecha... niż ktokolwiek ze znanych nam ludzi. Dlaczego o nim pomyślałaś?

W tle Laurel usłyszała smyczki, które zapowiedziały początek uwertury do musicalu *Król i ja*. Martin właśnie wsunął płytę do odtwarzacza CD i Laurel wyobraziła sobie, jak wkłada na siebie wspaniałą syjamską kamizelkę i jedwabne, uszyte przez matkę spodnie.

- Zmarł jako nastolatek? - zapytała ciotkę, lekko oszołomiona. Podniosła zdjęcie dwojga dzieci. Chłopczyk miał na sobie krótkie spodnie w szkocką kratę z szelkami. Dziewczynka była w letniej sukience balowej z głębokim dekoltem i bufiastymi rękawami.
- Jestem tego całkiem pewna. Czemu to cię dziwi?
- Ten bezdomny, o którym ci mówiłam. Ten bardzo stary bezdomny mężczyzna. Bobbie Crocker. Myślałam... i chyba myślę... że tak naprawdę był Buchananiem.
- Chłopiec Buchananów mógł mieć na imię Bobbie. Ale mógł także być Williamem. Może Billym. Tak, imię Billy brzmi znajomo. Ale Robert też. Oczywiście nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ ten chłopak zginął w jakimś wypadku, gdy miał szesnaście lub siedemnaście lat.
- Mężczyzna, o którym mówię, spędził parę tygodni w przytułku, zanim znaleźliśmy mu mieszkanie — ciągnęła Laurel. — Ale często kręcił się w pobliżu biur i ośrodka dziennego. Zmarł przedwczoraj, nie mając żadnej znanej nam rodziny, ale pracownik socjalny, który przejrzał jego dobytek, natknął się na kopertę ze starymi zdjęciami. I jest w niej parę zdjęć rezydencji Marshfieldów... domu, gdzie mieszkali Tom i Daisy Buchananowie... i jedno małej dziewczynki oraz małego chłopca ze starym domem w tle. Stoją przed samochodem z lat dwudziestych.
- Jesteś pewna, że to ten sam dom?

- Całkowicie! Jest jeszcze zdjęcie posiadłości Jaya Gatsbyego... country clubu... oraz jego samego ze swoim sportowym samochodem.
- Cóż, nadal nie rozumiem, czemu miałabyś wyciągnąć wniosek, że ten bezdomny to Buchanan. Syn zginął. Powszechnie wiadomo, że syn Toma i Daisy zginął. Powiedziałaś, że ten gość nazywał się Campbell, prawda?

61

- Crocker - poprawiła ją Laurel.
 - Myślę, że to ostatecznie zamyka tę sprawę. Po cóż miałby nazywać się Crocker, skoro jego nazwisko brzmiało Buchanan?

Laurel wyprostowała się na swoim krześle i odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Widziała nos ciotki i jej wargi zaciskające się w charakterystyczny sposób, ilekroć dyskutowała o czymś, co uważała za nieprzyjemne. Matka Laurel miała taką samą skłonność. Obie wyglądały wówczas tak, jakby jadły cytrynę, i był to niezmiernie niesympatyczny rodzinny tik nerwowy.

- Może zamyka. A może nie — odparła. - Skąd twoim zdaniem miał wszystkie te zdjęcia? - Laurel wiedziała, że zabrzmiało to apodyktycznie, ale stale myślała o tym, co Bobbie mówił o swoim dzieciństwie. Przez chwilę bała się, że sama też się krzywi.
- Och, Laurel, proszę, nie bądź rozczarowana.
- Nie jestem.
 - Jesteś. Słyszę to w twoim głosie. Jesteś zła, ponieważ nie podzielam twojego przekonania, że ten bezdomny człowiek...
 - Nie był bezdomny. Znaleźliśmy mu lokum. Tym właśnie się zaj-

mujemy.

- Więc dobrze: dawniej bezdomny. Złóscisz się, bo mam wątpliwości. Może dzieci na tym zdjęciu rzeczywiście są Pamelą i Billym... czy Bobbiem. Nieważne. Ale skąd wiesz, że ten człowiek nie natknął się na te zdjęcia gdzieś w kubie na śmieci? Albo w jakimś antykwariacie? Może znalazł album fotograficzny w śmieciach i zachował kilka zdjęć. Jak sama mi mówiłaś, bezdomni... przepraszam, dawniej bezdomni... zachowują czasem niebywałe rzeczy.

Laurel spoglądała przez chwilę na chłopczyka na fotografii, próbując dopatrzeć się podobieństwa do Bobbiego Crockera. Może błysk w oczach. Kształt twarzy. Ale nie potrafiła. Nie żeby nie mogło go być. Trudno było jednak je dostrzec, ponieważ gęsta puszysta broda skrywała tak dużą część twarzy Bobbiego.

- I oczywiście to wszystko nasuwa wniosek, że chłopczyk na zdjęciu jest bratem Pameli, a dziewczynka Pamelą — ciągnęła ciotka. — Skąd ten przeskok? Czemu nie mogliby być dwójką innych dzieci w odwiedzinach w tym domu? Może gośćmi?
- Chyba mogliby.
- Tak! Może byli przyjaciółmi rodziny. Albo kuzynami - dodała starsza kobieta, a jej głos odzyskał typową dla niej, przyjemną śpiewną intona-

62

cję. W tle Laurel słyszała, że Martin przeskoczył na kompakcie do pierwszego dużego numeru króla i ze zwykłym wdziękiem śpiewa na całe gardło „A Puzzlement”. Braki w wymowie z nawiązką nadrabiał

entuzjazmem.

- Ale ja naprawdę mam przecucie, że chyba jestem na tropie czegoś — zauważyła.
- Może zatem powinnaś porozmawiać z Pamelą Marshfield. Czemu nie? Pokaż jej te zdjęcia. Zobacz, co powie.

Laurel sięgnęła po zdjęcie, przytrzymując słuchawkę ramieniem przy uchu, i spojrzała na dziewczynkę. Na jej twarzy malował się wyraz dostojnego skupienia; wyobraziwszy ją sobie jako starszą kobietę, ujrzała dość onieśmielającą osobę.

- Wiesz, gdzie teraz mieszka?
- Nie mam pojęcia. Ale Daytonowie mogą wiedzieć. Albo Winstonowie.
- Daytonowie to ta rodzina, która kupiła jej dom?
- Zgadza się. A Winstonowie zbudowali ten elegancki dom w stylu elżbietańskim na kawałku ziemi, który dawniej był jej własnością. Pani Winston też jest już bardzo stara. Sądzę, że jej mąż zmarł. Chyba mieszka sama.

Drzwi do gabinetu Laurel były otwarte na oścież i ujrzała lekko zezowatego młodego mężczyznę z kłapczastymi uszami i chudą indyczą szyją kręcącego się po korytarzu. Włosy miał ufarbowane na kolor pomarańczowego kool-aid, a na obu wychudłych rękach długie rany cięte, jedną szytą aż po rękaw przepoconego szarego T-shirtu. Był w oplakany stan i Laurel poznała po jego osłupiałym spojrzeniu, że nie może uwierzyć, iż znalazł się tutaj, w miejskim schronisku dla bezdomnych.

- Mam klienta — powiedziała do słuchawki. — Chyba muszę kończyć.
- W porządku. Daj mi znać, jeżeli dowiesz się czegoś ciekawego o swoim zagadkowym człowieku — powiedziała ciotka Joyce, wymieniły

słowa pożegnania i rozłączyły się.

Laurel wstała, żeby powitać swojego nowego podopiecznego. Miała wrażenie, że od bardzo dawna nic nie jadł, zaproponowała więc, żeby przeszli do kuchni na kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Formularze mogły poczekać, aż się posili.

ROZDZIAŁ PIĄTY

M

ATKA DAŁA MU NA IMIĘ WHITAKER; nosił je również jej ojciec. Jego starszy brat zmienił je na Witless*, gdy się kłócili w Des Moines. Jego opiekun na pierwszym roku studiów przezwał go Witty**, ponieważ Whitaker zazwyczaj skrywał swą nerwowość i niepewność za grubą zasłoną ironii. Uważał, że to sprytny zabieg. Młody adept przez pewien czas obawiał się, że przywisko przylgnie do niego. Nie przylgnęło. Dzięki Bogu. Byłoby to zbyt wielkim brzemieniem. Tak więc większość ludzi po prostu uważała, że ma na imię Whit. Tak przynajmniej się przedstawiał, i tak właśnie nazywali go tamtego lata oraz jesieni pozostali lokatorzy kamienicy, łącznie z Laurel i Talią.

Whit miał dwóch kumpli do pomocy przy wnoszeniu jego rzeczy, w tym osiłka, z którym kiedyś grywał w rugby, ale Talia i Laurel były tamtego sobotniego ranka na miejscu i też zaproponowały mu pomoc. Natychmiast stracił dla nich głowę. Talia miała wspaniałą migdałową cerę i kruczoczną grzywę włosów, które splatała w długi warkocz sięgający jej niemal do pasa. Potrafiła sprawić, by szare spodnie od dresu i żółty T-

shirt z logo UVM wyglądały niczym strój codzienny z katalogu z bielizną damską. Była rozbrajająco wysoka i poruszała się z wdziękiem i pewnością siebie tancerki.

* Dosł. Bezmyślny (przyp. tłum.). **Dosł.
Dowcipny (przyp. tłum.).

65

Whit przypuszczał, że podkochiwali się w niej wszyscy nastolatki w jej kościele — o ile nie wprawiała ich w onieśmienie i nie odbierała im mowy

- a wszystkie dziewczyny pragnęły ją naśladować. Talia najwyraźniej była pastorem rockandrollowym.

Laurel miała na głowie czapkę bejsbolówkę z wydrukowanym z przodu sloganem schroniska dla bezdomnych: „Bezpieczeństwo ojczyzny zaczyna się od domu”, i jej koński ogon unosił się nad plastikowym paskiem regulacyjnym niczym strumień wody w fontannie. Gdy pędziła w górę i w dół schodów z pudełkami jego płyt kompaktowych i plastikowymi workami na śmieci pełnymi jego czystych koszul i skarpet, odbijał się on wręcz od jej karku. Laurel miała na sobie różowe tenisówki marki Ked s oraz obcisłe dżinsowe rybaczki i jej łydki zrobiły na nim wielkie wrażenie. *Gastrocnemius. Solens. Peroneus longus.* Mięśnie, które rozciągały jej stopy podczas ruchu. Łydki rowerzystki. Łydki pływaczki. Łydki - owszem, przyznał w duchu, nie chodziło wyłącznie o ocenę anatoma — kochanki.

Mógł się zadurzyć w każdej z tych kobiet. Obie były o cztery lata starsze od niego i już sam ten fakt działał jak silny afrodyzjak. Dlaczego?

Oznaczało to, po prostu, że zakończyły już edukację. Wówczas każda kobieta, która miała pracę, wydawała mu się niebywale egzotyczna.

Ale to Laurel bezwiednie rzuciła na niego pierwszy urok. Whit uległ chyba dlatego, że zrobiła to w tak niezamierzony, tak przypadkowy sposób. Wczesnym popołudniem tamtego dnia, gdy zakończyli już niemal przeprowadzkę, stali razem na jego małym - i przymiotnik *mały* rzeczywiście był tu stosownym słowem; był to raczej gzyms z balustradą — tarasie. Wyszli tam, żeby odsapnąć i napić się wody. Byli zgrzani, spoceni i ciężko dyszeli z wysiłku. Laurel zapytała go o stan Iowa, jego rodzinę i dom, w którym dorastał. Zapytała, dlaczego chce być lekarzem. Wydawała się tak szczerze

- i głęboko - zaciekawiona jego odpowiedziami na te pytania, że przez chwili

lę obawiał się, iż traktuje go jak beznadziejny przypadek, jednego ze swoich podopiecznych, którzy zjawiali się w schronisku. Potem jednak wyzbył się tej obawy, bo uświadomił sobie, że jego nowa sąsiadka właśnie taka jest.

Pytała o innych, ponieważ interesuje się nimi - i chyba również dlatego, że dzięki temu nie musi mówić o sobie. Niezależnie od przyczyny, Whit z bijącym mocno sercem paplał o sobie, dopóki Laurel nie zrobiła czegoś tak niesamowicie serdecznego i niespodziewanego, że aż wstrzymał oddech.

Gdy

opisywał jej farmę swojego ojca, Laurel skropiła wodą z butelki cienką chu-

steczkę, którą trzymała w kieszeni spodni, po czym nachyliła się ku niemu i przytknęła mu ją do żuchwy. Najwyraźniej Whit skaleczył się w którymś momencie, drobna rana znowu zaczęła krwawić, i jeszcze tego nie zauważył. Stali w ten sposób, wystarczająco blisko, by móc się pocałować, przez dobre pół minuty.

Laurel miała w sobie opiekuńczość, a zarazem głęboką wrażliwość. Whit dostrzegł te cechy w tym, co postanowiła zrobić ze swoim życiem, oraz w jej stosunku do Talii: Talia przypominała starszą siostrę, która nad nią czuwała.

Whit nie odczuwał skrępowania w kontaktach z dziewczynami, ale zawsze był trochę nieśmiały. Miał kiedyś przyjaciółkę, która powiedziała mu, że jest pociągający w bezpieczny sposób. Przypuszczalnie sądziła, że to komplement, ale tydzień później zerwała z nim. W college'u miał opinię osoby dyskretnej. Zastanawiał się czasem, czy gdyby przyszedł na świat jedno pokolenie wcześniej, byłby najlepszym przyjacielem wszystkich dziewczyn — tym, który jest przy nich, gdy skrzywdzi je jakiś świr z drużyny futbolowej lub ze studenckiej rozgłośni, i pomaga się pozbierać. Ale który, oczywiście, zawsze wraca do domu sam. W rezultacie był wdzięczny losowi, że urodził się wtedy, gdy się urodził.

Whit nie udawał, że rozumie kobiety, i przez cały sierpień oraz pierwsze tygodnie września Laurel była dla niego szczególną zagadką. Wybrali się razem na parę filmów i raz potańczyć - jako przyjaciele, nic więcej, zawsze w grupie — a kilka razy poszli do centrum na lody. Nic zdrożnego. Wiedział, że jego dziadkowie z Iowa byliby dumni. Przekonał się, że Laurel zapala się do rozmowy, gdy poruszali temat jej pracy z bezdomnymi, jego studiów medycznych, filmów, które widzieli. Mogli rozmawiać o polityce

oraz religii i robili to — czasem krótko w korytarzu kamienicy, a czasem dłużej na werandzie od frontu. Jednak inne tematy zdawały się zmieniać Laurel w ciągu paru sekund z osoby przyjemnej w nieobecną i Whit dobierał je coraz ostrożniej. Raz zasugerował, że zabierze ją na rowerową przejażdżkę przepięknymi drogami na zachód od Middlebury, i Laurel zareagowała tak, jakby zaproponował udział w pogrzebie. Zrobiła się wyniosła, po czym przeprosiła i wróciła z werandy do swojego mieszkania. Innym razem Whit bajdurzył — uroczo, jak przypuszczał, w stylu Comedy Central - o krwawych horrorach i głupocie tych kobiet i mężczyzn, którzy zawsze giną w lesie, i wówczas Laurel zupełnie zamknęła się w sobie. Nigdy go nie poniżyła ani nie zlekceważyła; dla Whita było oczy-

67

wiste, że Laurel nie poniża i nie lekceważy nikogo. Nagle przerywała rozmowę i ruszała do BEDS, do uniwersyteckiej ciemni lub sklepu spożywczego. W odróżnieniu od Talii chyba nie miała żadnych przyjaciół.

Rozumiał oczywiście, że gdyby Laurel miała przyjrzeć się jego światu, też nie dostrzegłaby w nim szczególnie szalonego życia towarzyskiego. Ale przecież on miał usprawiedliwienie: właśnie zaczynał studia medyczne. Dla samej biochemii mógłby poświęcić życie, ucząc się na pamięć nazw, struktur i dróg przemian. I owszem, potrafił rumienić się ze wstydu w obecności ładnych kobiet.

Mimo to miał wrażenie, że nadejdzie czas, gdy będzie żałował wielu rzeczy, które mówił, bez względu na to, jak niewinne wydawały się teraz jego uwagi. Wskazywała na to rozmowa przeprowadzona w połowie

września. Był ranek dnia powszedniego i Whit stał w kolarskich spodenkach i czarnym T-shircie taras był obok mieszkania, który wychodził na ulicę, gdy Laurel wypadła z drzwi kamienicy i ruszyła chodnikiem w kierunku miasta. Przypuszczalnie gapił się (choć, myślał potem z nadzieją, niezbyt nachalnie) na nią. Nagle Laurel odwróciła się w stronę domu, okręcając się niemal jak baletnica na czubku adidasa, uniosła wzrok, zobaczyła, że ją obserwuje, i uśmiechnęła się.

Whit pomachał jej w odpowiedzi dwoma palcami i liczył, że to, jak baczenie się jej przyglądał, nie rzucało się w oczy. Może to dyskretne pozdrowienie wyglądało na niedbałe. Przeliczył się: po tym, jak spojrzała na niego, a następnie szybko odwróciła wzrok, wywnioskował, że jego ogromne zainteresowanie było dla niej oczywiste.

- Zapomniałaś o czymś? - zwołał.

- Tak - odparła i wbiegła z powrotem do domu. Chwilę później ponownie wyłoniła się z drzwi. Whit prawie nie drgnął.

Przez sekundę nie był pewien, czy grzeczniej będzie okazać ciekawość, pytając, po co wróciła, i czy może ryzykować, że wprawi ją w zakłopotanie swoim pytaniem. Domyślił się, że Laura zapomniała swojego krążka macicznego. Miała przecież przyjaciela, starszego mężczyznę, który pracował w redakcji gazety. Ale po krótkim wahaniu, gdy Laurel potrząsnęła kluczami na kółku po zamknięciu drzwi budynku, zapytał:

- Cóż to takiego ważnego?

- Książka o rock and rollu. O korzeniach rock and rolla. Jest w niej rozdział o Muddym Watersie.

- Nie wiedziałem, że tak bardzo interesujesz się historią muzyki.

Laurel przewróciła oczami i uśmiechnęła się.

- Wierz mi, że nie. Ale mieliśmy podopiecznego, który mógł być związany z paroma twórcami rocka. - Laurel miała czerwony plecak przewieszony

niebiedbale przez ramię i przesunęła go teraz na pierś, żeby rozpiąć zamek i wrzucić książkę do środka.

- Jakiś bezdomny? - Yhm.

- Był muzykiem? - Nie.

- Pisał piosenki?

- Nie. Fotografował.

- Gdzie teraz mieszka? /

- Nie żyje.

- Och, tak mi przykro.

- To trochę smutne. Ale żył bardzo długo. Był starcem.

- Więc badasz teraz historię muzyki rockowej, ponieważ... ponieważ?

- To skomplikowane. Tak naprawdę interesuje mnie, kto robił im zdjęcia. Mogłabym ci powiedzieć więcej, ale to trwałoby prawie do południa, a ja muszę być w pracy. Później wprowadzę cię w temat. Dobrze?

- Tak. Muszę się przejechać - odparł, mając nadzieję, że zabrzmiało to odpowiednio bezceremonialnie, ale obawiał się, że wypowiedziane słowa stworzyły wrażenie nonszalancji i braku odpowiedzialności. - Dzisiaj zaczynam zajęcia dopiero o wpół do jedenastej.

- Rzeczywiście mamy różne harmonogramy.

- Ty też całkiem niedawno studiowałaś.

- Niekiedy wydaje się, że wieki temu.

Whit pochylił się nad balustradą. Nie był całkowicie pewien, skąd się on bierze, ale miał niepokojące wrażenie, że zaraz powie dokładnie nie to, co trzeba. Znowu. Po prostu wiedział. Czuł jednak, że musi coś powiedzieć, więc brnął dalej.

- To będzie bardzo krótka przejażdżka. Pomyślałem, że w ten weekend mógłbym się wybrać na znacznie dłuższą. Może w Underhill. Są tam wspaniałe szlaki służące do zwózki drzewa. Pewnie jeżdżę rowerem tak, jak

ty pływasz. Powiedz mi jeszcze raz: czemu zamieniłaś rower na kostium pływacki?

69

- Nie sądzę, bym ci już raz mówiła — odparła Laurel, w ogóle nie patrząc na niego, tylko koncentrując się na zasuwaniu zamka w swoim plecaku. Taka uwaga, usłyszana od każdej innej osoby, zabrzmiałaby szorstko i pozostawiłaby w nim poczucie głębokiego poniżenia. Ale w ustach Laurel wydawała się tylko wyrażać smutek. Jakby nagle ten temat ją znużył.
- Nie chcesz pojechać ze mną? Mam dwa rowery. Mógłbym w jednym obniżyć siodełko i jeździłoby ci się bardzo wygodnie. Byłem tam... w Underhill... miesiąc temu i na jednym odcinku las po prostu całkowicie się rozstępuje, a widok...
- Muszę pędzić, Whit. Wybacz - powiedziała, nie patrząc nawet na niego, gdy wpadała mu w słowo.
- Och, rozumiem - rzekł Whit.

Chociaż, oczywiście, tak naprawdę nie rozumiał. Jeszcze nie. I wcale a wcale.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W

PIERWSZYCH DNIACH PO TYM, JAK KATHERINE dała Laurel zdjęcia znalezione w pokoju Bobbiego, młoda pracownica opieki społecznej nie mogła oderwać wzroku od zdjęcia młodej rowerzystki. I przyłapywała się na tym, że tak długo wpatruje się w trykot, włosy, drzewa w tle, aż — niemal niespodziewanie — robi się jej niedobrze. Znowu, po latach, widziała w wyobraźni twarze tych dwóch mężczyzn dokładnie tak, jak je zapamiętała z długich letnich dni spędzanych w gmachu sądu w Burlington. Raz musiała odłożyć fotografię i wsadzić głowę między uda. Omal nie straciła przytomności.

Oczywiście zaintrygowało ją również to, że dziwnym trafem Bobbie Crocker posiadał zdjęcia ośrodka sportowo-rekreacyjnego z czasów jej młodości. Zastanawiała się, jakie znaczenie ma fakt, że być może dorastał w jej zakątku Long Island — że być może w dzieciństwie pływał w tej samej co ona zatoczce — a potem, wiele lat później, znalazł się na tej samej leśnej drodze w dniu, w którym omal nie zginęła. Że sfotografował ją na kilka godzin (może minut) przed napaścią. Ale to nasuwałoby wniosek, że Laurel rzeczywiście jest tą dziewczyną na rowerze. I że to zdjęcie zostało zrobione tamtej koszmarnej niedzieli — a nie którejś z dwóch poprzednich. I Laurel po prostu nie mogła mieć pewności. W

pewnym sensie nie chciała jej mieć, to bowiem niebezpiecznie blisko skojarzyłoby Crockera z tą zbrodnią.

Łatwiej było za to skupić się na tragedii tracącego dach nad głową człowieka o tak oczywistych artystycznych zdolnościach i dokonaniach. Mimo

71

to starała się nie śledzić tego wątku zbyt obsesyjnie. Poza pobieżnym przejrzaniem kilku ciężkich tomów o dawnym rock and rollu i fotografii w połowie dwudziestego wieku niewiele uczyniła, żeby zbadać jego tożsamość — zwłaszcza że nie natrafiła na jego nazwisko w żadnym z opisów zdjęć w tych książkach. Mimo to podczas pogrzebu Bobbiego umówiła się na następny tydzień na spotkanie z Sereną, a następnego dnia zostawiła wiadomość w poczcie głosowej pracownicy opiekującej się Bobbiem, Emily Young, prosząc o spotkanie po jej powrocie z wakacji. Emily sprzątała mieszkanie Bobbiego w hotelu New England razem z Katherine, po czym natychmiast wyjechała na długi rejs po Morzu Karaibskim. Właśnie dlatego nie było jej na pogrzebie przy forcie Winooski.

Tak więc przez dwa kolejne dni tygodnia Laurel pracowała, znowu wychodziła z Davidem, a rano pływała. Zagrała nawet w kręgle z Talią i facetem, z którym jej współlokatorka zamierzała się spotykać, a potem, gdy wróciły do domu, surfowała w sieci ze swoją przyjaciółką, żeby obie mogły dowiedzieć się więcej o paintballu.

Laura przyniosła pudło z fotografiami z powrotem do swojego mieszkania, ale tylko z roztargnieniem przerzuciła jego zawartość, zajmując się przy okazji innymi rzeczami: myciem zębów, rozmawianiem

przez telefon, oglądaniem wiadomości w telewizji. Nie zaczęła jeszcze starannie archiwizować zdjęć, żeby sprawdzić, co przedstawiają, ani nie zabrała negatywów do ciemni uniwersyteckiej, żeby zrobić pierwsze odbitki. Na to przyjdzie czas później. Po czym, w piątek, pojechała do domu na ferie. Ani Katherine, ani Talia nie musiały pytać dlaczego. Wiedziały. Zbliżała się rocznica napaści i Laurel miała taką zasadę, że tego dnia nigdy nie było jej w Vermont. Zamierzała wrócić w następny wtorek, po rocznicy, i w środę podjąć na nowo pracę w BEDS.

Po śniadaniu wrzuciła do plecaka trochę rzeczy i kosmetyków, po raz ostatni sprawdziła palniki w kuchence i przygotowała się do jazdy na południe swoją sfatygowaną, ale funkcjonalną hondą. Nie była pewna, czy będąc w domu, spróbuje spotkać się z Pamelą Buchanan Marshfield, ale na wszelki wypadek ściągnęła z Internetu numery telefonu zarówno do Day-tonów, jak i pani Winston oraz upewniła się, czy ma w torebce zdjęcia migawkowe Bobbiego zapakowane do koperty ochronnej.

ZNALEZIENIE PAMELI MARSHFIELD przyszło Laurel niemal z dziecinną łatwością. Nie musiała nawet o niej wspominać: Rebecca Winston zrobiła to za nią.

72

Laurel trzymała słuchawkę telefonu przy uchu, stojąc w kuchni pamiętającej czasy jej dzieciństwa, i obserwowała, jak mgła za oknem powoli ogarnia najpierw sosny na skraju trawnika - odgrozonego od brzegu cieśniny Long Island jedynie klinem chronionego lasu — a potem drewniane huśtawki i dobudowany domek lalek, który stał w ogródku za domem niczym wielki ciężki kloc niemal od dnia jej narodzin. Zobaczyła,

jak sójka ląduje na spiczastym daszku domku i obserwuje trawnik. Zbliżała się pora sobotniego lunchu, a ona dopiero się zbudziła. Spała blisko dwanaście godzin.

Rebecca Winston opisała już jesienną wycieczkę autobusową po lasach Nowej Anglii, na którą wybrała się pięć lat temu krętymi drogami pnącymi się po zboczach Gór Zielonych. Opowieść była piekielnie nudna, ale Laurel nie powiedziała jej tego. Potem Rebecca samorzutnie wyraziła obawę, że już wkrótce nie będzie mogła mieszkać sama w swoim domu, i rozmowa naturalnie i gładko zeszła na temat córki Toma i Daisy Buchananów.

- Wiem, że w pobliżu są bardzo ładne ośrodki dla emerytów, ale ja kocham swój dom. W tej chwili patrzę na wodę. Jest pięknie. Kojąco. Zwłaszcza gdy jest mgiełka. I mam środki. Oczywiście. Ale nie mogłabym sprowadzić wszystkich pomocnic, które może ściągnąć ktoś taki jak Pamela Marshfield. Wiedziałaś, że ona ma pielęgniarki, które mieszkają u niej? Dwie! - mówiła.
- Gdzie ona teraz mieszka, pani Winston? Wie pani?
- Musisz mówić mi Becky.
- Jakżebym mogła — odparła Laurel.

Pani Winston była ponad trzy razy starsza od niej.

- Słucham?
- Spróbuję.
- Niech usłyszę, jak to mówisz. Spełnij kaprys staruszki.
- Pani...
- Śmiało!
- Dobra. - Przełknęła ślinę. - Becky.

- Było to aż tak przykre?
- Ależ skąd.
- Dziękuję.

- Wiesz, gdzie teraz mieszka pani Marshfield? —*Ja* będziesz musiała nazywać panią Marshfield.
- Rozumiem.

73

- Mieszka w East Hampton. Słyszałam, że ma tam okazały dom.
- Bardziej okazały niż jej dawna posiadłość... w twoim sąsiedztwie?
 - Nie tak duży. Ale komu potrzebne pięćset czy sześćset metrów kwadratowych, gdy zmarł ci mąż i nie masz dzieci? Mimo to mały nie jest. I ludzie mi mówią, że widok zatoczki zapiera dech w piersi. Ja widzę tę zatoczkę zapełnioną łodziami i domami. Kiedyś obserwowałam, jak wy, dzieci, wyprowadzaliście z klubu swoje sunbirdy. Jak wywracaliście się w kajakach. Natomiast Pamela ma za oknem długi odcinek Atlantyku i własną plażę. Ktoś mi mówił, że gdy jest ciepło, wynoszą ją na szezlong i obserwuje z tarasu fale.
- Jest aż tak niedołączna?
- Nie, aż tak bogata.
- Czy gdybym do niej zadzwoniła, dobrze by to przyjęła?
 - Prawdopodobnie wolałaby otrzymać list. Należy do pokolenia, które jeszcze pisze listy. I pisze je w szczególnie ekscentryczny sposób. W pewnych kręgach znana jest z długich oficjalnych listów, które są pełne opinii i opowieści. Korespondowałyśmy przez pewien czas po

jej przeprowadzce.

- Masz jeszcze te listy?
- Och, wątpię. Nasz kontakt urwał się już dawno temu.
- Przyjechałam tutaj tylko na parę dni, chyba więc zaryzykuję telefon

— powiedziała Laurel i Rebecca dała jej numer do Pameli Marshfield -
po

nieważ jednak był zastrzeżony, Laurel musiała obiecać, że nikomu go nie
przekaze. I potem, gdy tylko odłożyły słuchawki, zadzwoniła do posiadło
ści Pameli w East Hampton.

LAUREL NIGDY NIE ROZUMIAŁA, CO Tom Buchanan widział w Myrtle Wilson,
kobiecie, z którą miał w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku ten
absurdalny romans i którą Daisy przez przypadek przejechała, prowadząc
samochód swojego kochanka. Tom Buchanan chyba nie był zbyt miły
- chyba rzeczywiście był agresywnym łobuzem, który kiedyś złamał
Myrtle

nos — ale był przystojny i bogaty. Laurel знаła jego dom. Wiedziała,
gdzie

trzymał swoje kuce do gry w polo. Ale Myrtle Wilson? Laurel nigdy nie
spotkała nikogo, kto faktycznie ją znał. Ale najwyraźniej ta kobieta nie
była

ani szczególnie bystra, ani szczególnie miła: była zaniedbaną piskliwą
oso

bą ze skłonnością do strojenia min. Nie była nawet zbyt atrakcyjna. Oczy
wiście nie zasłużyła na to, by zginąć tak, jak zginęła. Nikt nie zasługiwał:

Laurel też omal nie zginęła pod kołami samochodu — przejechana razem z rowerem. I jak Myrtle zostawiono ją na pastwę śmierci, gdy furgonetka odjechała z dużą szybkością. Lecz Laurel i tak nie uważała Myrtle za bratnią duszę. Po prostu nie rozumiała, jak mężczyźni takiemu jak Tom mogła się spodobać taka kobieta. Zawsze zakładała, że jego następna kochanka była bardziej przewidywalną zdobyczą.

Laurel przez prawie całe następne niedzielne popołudnie rozmyślała o Tomie i Daisy, ponieważ w poniedziałek rano zamierzała poznać ich jedyną córkę. Jakaś kobieta, albo pielęgniarka, albo osobista asystentka, odebrała w sobotę jej telefon, kazała jej poczekać i przekazała wiadomość pani Marshfield. Laurel przeprosiła, że dzwoni zamiast napisać. Wyjaśniła jednak, kim jest, i powiedziała kobiecie, że ma trochę zdjęć dawnej posiadłości Buchananów oraz pani Marshfield z czasów, gdy była małą dziewczynką. Dodała, że bardzo chce je przywieźć i się przedstawić. Nie wspomniała o chłopcu widocznym na jednym ze zdjęć ani o Bobbiem Crockerze. Po chwili ciszy kobieta wróciła i powiedziała, że pani Marshfield z radością zobaczy się z nią w poniedziałek o jedenastej.

Prawie całą niedzielę spędziła w pokoju zabaw w domu swojego kuzyna. Martin był na etapie oglądania *Czterdziestej Drugiej Ulicy*, tak więc poświęcili znaczną część popołudnia na stepowanie. Jego matka znalazła mu niedawno w sklepie z używaną odzieżą czarny cylinder oraz laskę i oboje odśpiewali kilka razy „Young and Healthy”. Martin był prawie o głowę niższy od Laurel, a tę różnicę wzrostu można było przypisać zarówno syndromowi zespołu Downa, jak i temu, że Laurel była chudą, mającą prawie sześć stóp dziewczyną. Martin miał jednak zwodniczo szerokie ramiona i męską sylwetkę, która wydaje się stworzona do

noszenia eleganckich rzeczy. Wyglądał dziarsko w blezerach i tańczył z charyzmatycznym zapamiętaniem. Sądząc po uściskach, jakie Martin otrzymywał od młodych znajomych kobiet z wadami rozwojowymi, Laurel wyczuwała, że chłopak może być prawdziwym pożeraczem serc, ale tak naprawdę te młode kobiety - podobnie jak młodzi mężczyźni - ścisnęły wszystkich bez wyjątku. Ilekroć jako wolontariusz mierzyła czas na olimpiadach specjalnych, strasznie dużo lekkoatletów poświęcało cenne sekundy, żeby móc ją objąć i powiedzieć jej, jak świetnie się bawią i jak bardzo ją kochają.

- Tańczysz bosko - zauważył szarmancko, po czym, może dlatego, że właśnie powiedział coś o dużym ciężarze emocjonalnym i był zażenowany,

75

szybko dodał: - Jesteś taka głupia. — Tym *non sequitur* wypełniał wszelkie przerwy w rozmowie, które sprawiały, że czuł się nieswojo. Tego wieczoru, po raz trzeci według rachuby Laurel, obejrzeni razem *Królewnę Śnieżkę*, opuszczając wszystkie sceny z czarownicą, jabłkiem i piorunem, które przerażały Martina.

Laurel czuła, że to doskonały sposób na spędzenie popołudnia i pierwszej części wieczoru. Rok po zakończeniu przez nią studiów był rokiem przestępnym, więc faktyczna rocznica napaści nastanie dopiero jutro. Ale napaść miała miejsce w niedzielę, więc tego roku Laurel była szczególnie wdzięczna, że nie ma jej w Vermont. Uwielbiała Góry Zielone, ale gdy zbliżał się zachód słońca, stwierdziła, że jest jej duszno i czuje niepokój. Z ulgą uzmysłowiła sobie, że znajduje się o sześć godzin jazdy samochodem

na południe — w świecie, w którym mogła stepować ze swoim uradowanym kuzynem, rozmyślając równocześnie o serii osiemdziesięcio- i osiemdzie-sięciopięcioletnich zdjęć przedstawiających wyidealizowanego przemytnika i tajemniczego małego chłopca.

PACJENT 29873

... mówi szybko i z ożywieniem, ale łatwo mu przerwać- choć nie na poziomie mowy przyspieszonej. (Uwaga: poza rozmowami z lekarzem pacjent mówi/utrzymuje kontakty towarzyskie w bardzo niskim stopniu). Nastrój pacjenta nasuwa wniosek o umiarkowanej pobudliwości, afekt jest pełny, proces myślenia spójny.

Treść myśli: pacjent wypiera się myśli o zrobieniu krzywdy sobie bądź innym. Wciąż pochłonięty niezwykłymi przekonaniem, niewiele poza tym skłonny jest uczynić tematem dyskusji. Zaprzecza, by słyszał głosy — choć od czasu do czasu widać, jak na oddziale mówi do siebie (utrzymuje, że tylko „powtarza” materiał).

Przekonania pacjenta nadal powodują upośledzenie funkcjonalne; małe współdziałanie z innymi, czy to w szpitalu, czy to z przyjaciółmi poza szpitalem, najwyraźniej z obawy, że rozmowa na temat przekonań doprowadzi do nieporozumień i poczucia ułomności. Ponadto nie wydaje się skłonny do skupienia się na kwestiach praktycznych, takich jak przyszła kuracja w grupie terapeutycznej i planowanie zwolnienia z zakładu.

Z notatek Kennetha Pierce'a,
psychiatry prowadzącego,
szpital stanowy w Waterbury, Yermont

ROZDZIAŁ SIÓDMY

D

ZIEWCZYŃKA, JEDENASTOLATKA, PRZYKUCNEŁA w sadzie jabłoniowym, trzymając w dłoni mekintosza, którego właśnie zerwała z jednej z najniższych gałęzi drzewa. Potem ugryzła kawałek jabłka, zaskoczona zarówno jego cierpkim smakiem, jak i soczystością. Nosila elegancką bluzę w zielonkawym kolorze i dopasowaną do niej opaskę na głowę w kształcie podkowy. Włosy dziewczynki wciąż miały słodki, czysty zapach szamponu truskawkowego.

Jej sześćioletnia siostra próbowała teraz sturlać się ku niej, ale w tej części sadu zbocze wzgórza nie było zbyt strome. W dodatku ziemia była usłana jabłkami, młodsza dziewczynka musiała więc odpychać się z pomocą łokci i stóp. Na niewielkiej pochyłości terenu zsuwała się raczej, niż toczyła.

-To kradzież, Marisso - powiedziała, wstając i wskazując ruchem ręki na lekko nadgryzione jabłko w dłoni starszej siostry. Na niebie za nią ciągnęły się fale białych chmur, ciąg skrzydeł na błękitnym tle nieba. Przypominały one Marissie żaluzje w oknach łazienki w mieszkaniu ojca.

-Co?

- Jedzenie jabłka, za które tatuś nie zapłacił.

Marissa westchnęła i ugryzła następny kawałek. Tym razem żuła owoc z przesadą, ruszając zuchwą jak mechaniczną tłocznią. Zauważyła, że usta

jej młodszej siostry są pokryte karmelem z kandyzowanego jabłka, które zjadła, gdy przyszły do sadu — tego, za które *zapłacił* ich ojciec — a przód jej białej sportowej bluzy jest upstrzony plamami od gnijących jabłek, po

78

których dopiero co się turlała. Wyglądała jak dziecko z telewizyjnej reklamy proszku do prania.

- Powinnam powiedzieć — dodała sześciolatka.
- Powinnaś zrobić wiele rzeczy — odparła Marissa, przełknąwszy kęs jabłka — znowu z ostentacyjnym ruchem żuchwy. Od trzech lat grywała w teatrach środowiskowych z dorosłymi, na co dzień będącymi przeważnie bankierami, nauczycielami i fryzjerkami. Miała nadzieję, że kiedyś osiągnie jeszcze więcej: marzyła o Broadwayu. — Może powinnaś zacząć od nietarza-nia się po ziemi jak te żałosne brudasy z przedszkola — ciągnęła. — A może powinnaś pomyśleć o tym, by raz na parę miesięcy umyć twarz.

Młodsza siostra — pulchna dziewczynka imieniem Cindy - chyba nie czuła się szczególnie dotknięta tą reprimendą. Wzruszyła ramionami. Potem podjęła próbę starcia karmelu z twarzy rękawem bluzy, ten jednak zakrzepł już niczym krew. Żeby zrobić z tym porządek, suchy rękaw zdecydowanie nie wystarczał.

Gdy ojciec zaproponował, by dziś po południu wybrali się do sadu, Marissa spodziewała się, że jego nowa - a w każdym razie nowsza, ta imieniem Laurel, którą ich matka lekceważyła z powodu młodego wieku - przyjaciółka też z nimi pójdzie. Ale Marissa lubiła Laurel, była więc

zawiedziona, gdy ojciec powiedział, że pójdą tylko we troje i nie będą wstępować po Laurel do jej mieszkania na wzgórzu koło college'u.

- Wciąż masz lukier na twarzy - powiedziała po chwili.

Cindy znowu spróbowała go zetrzeć, tym razem oblizując palce i rozmazując resztki posiłku, które okalały jej wargi jak makijaż klauna.

• Zniknął? - zapytała Cindy.

• Wygląda o wiele lepiej - skłamała Marissa. Nie było sensu uświadamiać siostrze, że jest kompletnym flejtuchem. Mimo wszystko Marissa nie wiedziała, dlaczego tego popołudnia czuje się taka marudna. Swój wspólny weekend spędzili dotąd dość przyjemnie. Po wczorajszej wizycie na wyprzedazy rzeczy używanych na trawniku u jednej z sąsiadek mamy obejrzeni zaskakująco mało dziecięcy film, który wszystkim bardzo się podobał, a potem poszli na obiad na pizzę (której kawałek, jak można się było spodziewać, Cindy udało się rozmazać na mankietach swetra, na których zostały plamy. Na ich widok mama przewróci z irytacją oczami i powie coś złośliwego tacie). Dziś rano ojciec przyrządził wafle na śniadanie. Jeszcze nie zrobiła zadania domowego i myśl o tym dręczyła ją nieco z głębi świadomości. Za-

79

wsze jednak mogła zabrać się do matematyki oraz do swojej lektury w kąpielni po kolacji, gdy wrócą do mieszkania taty.

Zastanawiała się, czy jej obecne złe nastawienie ma jakiś związek z matczynym zamiarem poślubienia Erica Tourneau w listopadzie. Dziś rano przypadkowo usłyszała, jak rodzice sprzeczekali się przez telefon,

dyskutując o tym, gdzie Marissa i jej siostra mają być w dniach przed i po uroczystości ślubnej. (Niestety, doskonale wiedziała, gdzie ma być w tym wielkim dniu).

- Masz zamiar to wszystko zjeść? - zapytała Cindy.

W oddali, z górą siedemdziesiąt pięć jardów od nich, ich tato wspinał się na palce, sięgając po jabłka na szczególnie patykowatym drzewie. Gdy rzucił kolejne dwa do wiklinowego koszyka u swoich stóp, znowu na nie spojrział. Marissa naprawdę nie wiedziała, jak i kiedy odeszła od ojca. Wiedziała, że zrywała jabłka z innego drzewa, a potem minęła rząd tych, na których jabłka wisiały zbyt wysoko, by mogła ich dosięgnąć. Nie miała pojęcia, jak między nimi powstała taka luka.

- Dobra, powiedz mi, co byłoby gorsze? - zapytała młodszą siostrę. — Zjedzenie tego jabłka w całości, czyli kradzież całego owocu? Czy niedojedzenie go, czyli marnotrawstwo żywności?

Sześciolatka myślała o tym, ale tylko przez chwilę. Potem uśmiechnęła się i zrobiła fikołka na grząskiej ziemi, rozgniatając plecami jakieś jabłko, które pozostawiło na jej garderobie długą jabłecznikową plamę. *Ta mała, pomyślała Marissa, jest beznadziejna. Kompletnie beznadziejna.* Wiedziała, że narzeczony mamy uważał chyba czasami, że Cindy jest słodka, ale to pewnie dlatego, że Erie nie miał jeszcze własnych dzieci i nie wiedział, co mówi. Nie wiedział, czego się spodziewać po sześciolatce. Poza tym, tak naprawdę nie miał wyboru: Cindy musiała mu się podobać, ponieważ żenił się z mamą.

Marissa miała złe przeczucie, że on i jej matka będą jeszcze kiedyś mieli dzieci. To także budziło w niej niechęć do Erica - oraz złość na

mamę. Spowodowało również, że czuła jeszcze większą sympatię do Laurel. Ojciec powiedział jej, że ona i Cindy są dla niego najważniejsze i nie ma zamiaru spotykać się teraz z żadną kobietą pragnącą mieć dzieci. Laurel jeszcze bardziej zaskarbiła sobie tym sympatię Marissy.

- Myślisz, że tatuś kupi nam jeszcze jedno lukrowane jabłko, gdy będziemy wyjeżdżać? — zapytała Cindy, fiknąwszy koziółka, z oczami okrągłymi z dumy ze swojego drobnego gimnastycznego wyczynu.
- Ja nie zjadłam pierwszego.

80

- Taa - potwierdziła Cindy. - Bo chciałaś poczekać, aż ukradniesz prawdziwe z tego sadu.
- To, ta ostatnia, małostkowa, idiotyczna, zupełnie nielogiczna, kompletnie dziecinna uwaga, przepełniło czarę. Nadeszła pora, by uciszyć siostrę - a przynajmniej ją przepędzić.
- Owszem — przyznała Marissa, świadoma po części, że musi uważać, by w swojej złości nie zmrużyć oczu, co zepsułoby cały efekt. Spojrzała za to powoli, teatralnie za siebie i zdumiała się nieco, że fale chmur wysoko nad nimi reagują na jej sygnał i łączą się, aby zakryć słońce. Sad ciemniał na ich oczach.
- Co? - zapytała jej siostra. - Co?
- Cii. Nie ruszaj się.
- Powiedz!
- Powiem. Ale nie ruszaj się... tylko przez chwilę. Dobrze? Słucham. To bardzo ważne. — Przydała swojemu głosowi szczebiotliwego drżenia w nadziei, że zabrzmiała w nim nuta błagania, a zarazem... strachu.

Autentycznego strachu.

Poskutkowało. Mała stanęła jak posąg. Po czym, niemal zdesperowana, głosem niewiele głośniejszym od szeptu zapytała: -Co?

- Usłyszałam coś. A potem... potem ta jabłoń za tobą. Ona po prostu... poruszyła się.

- To przez ten wiatr.

- Nie. Nie przez wiatr. Zaczęła wysuwać gałęzie... i przeciągać się.

Cindy zawahała się, próbując stwierdzić, czy jej starsza siostra robi jej na złość.

- Nieprawda — zaprzeczyła w końcu, ale uczyniła to ledwie słyszalnie, mamrocząc. Marissa wiedziała, że sześciolatka wciąż wierzy w duszki oraz

trolle i jakiegoś dziwnego karłowatego wesołka imieniem Tomten, o kto

rym czytała w książeczce z obrazkami. Dziwne, że mała nie sądziła, że Teletu-

bisie są prawdziwe — chociaż możliwe, że w nie również wierzyła.

Najlepsze,

iż Marissa wiedziała, że Cindy przerażają złe, gadające drzewa z *Czarodzieja*

z *Oz-ów* strach całkowicie przyćmiewał jej lęk przed latającymi małpami.

Zaledwie przedwczoraj oglądały ten film na DVD i w chwili gdy drzewa za

częły ciskać jabłkami w Dorothy i jej przyjaciół, Cindy (znowu) zagrzebała

się pod poduszkami leżącymi na kanapie, dopóki się to nie skończyło.

- Prawda - powiedziała cicho, najciszej jak **się dało**. - **Nie okłamałabym** cię w tak ważnej sprawie.
- Zmyślasz. Drzewa nie mogą się ruszać.
 - Jasne, że mogą. Jak inaczej mogliby nakręcić tę scenę w *Czarodzieju z Oz*. Podeszli do jabłoni i poprosili je, a drzewa powiedziały...
- Nie. Nieprawda!
 - Laurel ma zdjęcia! - Marissa nie miała pojęcia, skąd wzięło się to łgarstwo, ale obie siostry wiedziały, że przyjaciółka taty jest fotografem, i to kłamstwo było niemal odruchowe.
- Gadających drzew?

Marissa skinęła powoli, niemal niedostrzegalnie, głową.

- Jabłoni. I one mają... wściekłe miny.

Cindy zdawała się przyswajać sobie tę informację i tworzyć w wyobraźni portret wściekłych jabłoni, który łączył to, co zapamiętała z filmu (a w istocie rzeczy nie mogła zapamiętać wiele, ponieważ przez prawie całą tę scenę trzymała głowę pod poduszkami), z tym, co widziała w otaczającym ją sadzie. Szponiaste pazury zrobione z gałązek. Długie chwytne gałęzie. Gniewne oblicza, które powstały w korze. W wieku sześciu lat nie trzeba było mieć bujnej wyobraźni, by zacząć się śmiertelnie bać jabłoni. Marissa wyczuła, że jej siostra niezupełnie wierzy, że drzewo za jej plecami się poruszyło, ale chyba zasiała w sercu Cindy na tyle dużo wątpliwości, że warto było pobiec do tatusia - choćby po to, by naskarżyć na starszą siostrę i przysporzyć jej kłopotów. Gwałtownie, niemal jak bomba z opóźnionym zapłonem, dziewczynka wybuchła.

- Tatusiu! - jęknęła, zawierając w tych trzech sylabach całą swą despe

rację i trwogę, po czym odwróciła się i pobiegła do niego co sił w swoich pękatych nóżkach. Wyglądała niczym przerażony krasnal.

Marissa domyślała się, że ojciec powie jej coś o straszaniu młodszej siostry, ale nie będzie przy tym zbyt surowy. Przecież znęcanie się nad młodszą siostrą praktycznie należało do jej obowiązków. Zastanawiała się, czy przypadkiem przyjaciółka taty rzeczywiście nie ma zdjęć jabłoni. Mało prawdopodobne, ale nigdy nic nie wiadomo. Zanotowała w pamięci, żeby następnym razem zapytać Laurel, jakie rzeczy fotografuje. Może Laurel mogłaby nawet zrobić jej zdjęcie. Portret. Naprawdę profesjonalne zdjęcie portretowe. Nie miała takiego i denerwowało ją to, ilekroć szła na przesłuchanie. A w teatrze w Burlington mieli wystawiać

82

parę spektakli, w których były role dla małej dziewczynki, musiała więc być gotowa.

Laurel oczywiście była dziewczyną mającą poważną tajemnicę. Marissa nie do końca wiedziała, o co chodzi, ale nie była to tajemnica radosna. Przypuszczała, że pewnego dnia pozna ten sekret, zwłaszcza gdyby Laurel i jej tato nadal się spotykali — na co liczyła. Laurel przypominała raczej starszą siostrę, która nigdy nikim nie dyrygowała, niż aktualną przyjaciółkę taty. Parę razy wybrały się na zakupy, tylko we dwie, i był niezły ubaw. Laurel miała też kuzyna, który interesował się teatrem muzycznym, tak więc знаła nawet słowa kilku piosenek ze spektakli, w których wystąpiła Marissa. Spędziła jednak z Laurel dostatecznie dużo czasu, by za zasłoną pozorów mignęła jej ciemność.

Ugryzła ostatni kawałek jabłka, po czym cisnęła ogryzek w stronę jed-

nego ze słupków pobliskiego płotu z drewnianych szczap (chybiając celu) i ruszyła po zboczu w stronę ojca i siostry. Zdała sobie sprawę, że stoi przed nią szczególnie sękata stara jabłoń, ta z bliźniaczymi węzłami o parę stóp nad jej głową, dość wyraźnie przypominającymi załzawione oczy. Brwi były łukowate, bruzdami w korze spływały łzy. Nim się spostrzegła, biegła co tchu, by dogonić Cindy i ojca. Dotarłszy do nich, stwierdziła, że musi złapać siostrę i udawać, że ten sprint był tylko elementem zabawy w berka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W

NIEDZIELĄ WIECZOREM LAUREL trafiła okrężną drogą do pokoju, gdzie kiedyś mieścił się gabinet jej ojca, i usiadła przed komputerem, który pomogła wybrać matce, gdy przyjechała do domu na Boże Narodzenie przed dziewięcioma miesiącami. Spędziła przyjemnie czas w Internecie, surfując po stronie magazynu „Life” - przez trzy kwadransy oglądała stare okładki - ale nie było tam śladu po starym fotografie, który niedawno zmarł w Vermont. Oczywiście to naprawdę nic nie znaczyło: na stronie internetowej zamieszczono tylko okładki i trochę klasycznych zdjęć. Potem rozszerzyła zakres swoich poszukiwań, przez dwie godziny wpisując w przeglądarce nazwiska. Znalazła wielu Robertów Buchananów, łącznie z dziewiętnastowiecznym poetą brytyjskim oraz dwudziestowiecznym aktorem amerykańskim. Byli wśród nich radiolodzy, pośrednicy w handlu nieruchomościami, profesorowie wielkich i małych uniwersytetów. Trafił się

też Robert Buchanan, który był pisarzem, chyba wciąż żyjącym i mieszkającym gdzieś w Australii. Znalazła także sześciu licealistów o tym nazwisku i imieniu, którzy mieli własne strony internetowe — niektóre imponujące, niektóre lubieżne i obraźliwe.

Następnie przeszła do Crockerów - o imieniu Robert i Bobbie. Tych ostatnich było tylko trzynastu i chyba wszyscy byli sportowcami ze szkół średnich lub ochroniarzami (właściwie to ochroniarzy było dwóch, jeden w Nowym Meksyku i jeden w Wirginii Zachodniej). Z drugiej strony, gdy

84

wpisała imię Robert, znalazła niemal piętnaście tysięcy możliwości, w tym mistrzów w strzelaniu do metalowych sylwetek zwierząt, zapaśników i rozmaitych ekspertów lub specjalistów - łącznie z platonikiem z Cambridge oraz uczonym odznaczającym się imponującą wiedzą o owadzie zwanym *Phyllophaga anxia*. Nawet szybko przesuwając dane na ekranie, obejrzała w Google'u zestawienie zbiorcze maleńkiego jedynie ułamka możliwych tropów.

W rezultacie Laurel próbowała zawęzić pole poszukiwań innymi określeniami: „fotografia”, „fotograf” bądź „magazyn »Life«”. W końcu udało się jej ograniczyć je do możliwej do sprawdzenia liczby haseł - w niektórych przypadkach do zaledwie jedenastu.

Ostatecznie jednak nie znalazła żadnych informacji o człowieku, który jej zdaniem mógł być synem Toma i Daisy Buchananów. A przecież minęła już północ. Trzy godziny pracy i nie odkryła nikogo, kto mógłby być jej niegdyś bezdomnym podopiecznym z Vermont, żadnych fotografów zbliżonych wiekiem do dawnego klienta BEDS. Jej Bobbie Crocker— albo

być może jej Robert Buchanan — zdawał się nie istnieć w nieskończonym wirtualnym świecie stworzonym w sieci.

Tuż PRZED WYJAZDEM Laurel na studia klubowy basen w West Egg został wyposażony w system podgrzewania wody, choć więc w poniedziałek rano powietrze niosło z sobą rześki przedsmak prawdziwej jesieni, Laurel poszła popływać. Przepłynęła ponad milę i nawet skoczyła kilka razy z dolnej trampoliny, delektując się nagłym lotem z rześkiego powietrza do balsamicznej wręcz wody. Wyszła z wprawy i straciła gibkość piętnastolatki, ale przyjemnie było wzbić się wysoko z trampoliny.

Zanim wyszła, podniosła ręcznik leżący na trawie przy dzikich jabłoniach — z czasów dorastania powróciło wyobrażenie młodych matek z małymi dziećmi - owinęła się nim jak peleryną i wspięła się po drabince na trzymetrową trampolinę. Nie zamierzała jeszcze raz wskoczyć do wody — nigdy nie czuła się pewnie, skacząc z wyższego poziomu. Chciała jednak sprawdzić, czy z tej wysokości widok dawnego domu Buchananów jest inny, czy może zobaczyć więcej. Nie dało się. Ale przez długi czas patrzyła na rzędy przeszklonych drzwi, okna wykuszowe i jaskrawe pnącza bluszczu, który porastał mury. Uważnie przyjrzała się portykowi z boku oraz przystani, która nawet teraz sterczała w głąb zatoczki. Próbowała sobie wyobrazić skrawek

85

klubowego trawnika, gdzie Jay Gatsby stał w ciemności zahipnotyzowany światłami z drugiej strony wody, i co znaczyło dla niego zwłaszcza to jedno światło na końcu przystani. Dopiero potem pojechała do domu, żeby zjeść śniadanie z matką.

Chociaż niektórzy małżonkowie starzeją się znacznie, gdy umrze ich partner, śmierć męża właściwie dodała chyba Ellen Estabrook animuszu. Laurel nie miała wątpliwości, że matka go kochała. Nie miała też wątpliwości, że miłość matki była odwzajemniona. Lecz jej ojciec był pod wszelkimi względami wielką osobowością: w chwili śmierci ważył pewnie ponad dziewięćdziesiąt kilo, a mając sześć stóp i trzy cale wzrostu, przewyższał większość mężczyzn. Był muskularny i w doskonałej formie: jego śmierć na atak serca była dla nich wszystkich szokiem. Poza tym żadna komórka jego ciała nie była nieruchoma: ojciec Laurel stale się ruszał, czy to w kancelarii prawnej na Long Island, gdzie pełnił rolę starszego wspólnika, czy to piekąc kurczaka na ruszcie podczas rotariańskiej zbiórki funduszy w parku, czy też podczas spotkania z ludźmi jak on z natury na tyle życzliwymi, by pomagać w sfinansowaniu sierocińca w Hondurasie.

Odkąd zmarł, Ellen zaczęła nakładać hennę na włosy, a do malowania ust wybierała teraz szminki w intensywnych odcieniach wiśni, niewątpliwie projektowane z myślą o dziewczynach jeszcze młodszych od Laurel. Zaczęła również nosić dużo czarnych rzeczy, ale nie z powodu żałoby. Nosila obcisłe czarne T-shirty, czarne dżinsy, czarne koszule. Laurel wiedziała, jej matka z nikim nie umawia się na poważnie (choć oczywiście miała chyba mnóstwo przyjaciół), przypuszczalnie nie wymyślała też siebie na nowo pod wpływem konkretnego planu złapania drugiego męża. Ale miała tylko pięćdziesiąt pięć lat i postanowiła, świadomie bądź nie, ożywić swoje życie. Była piękną kobietą w średnim wieku — wciąż olśniewającą i posagową — i Laurel z zadowoleniem dostrzegła w rysach jej twarzy siebie za lat trzydzieści.

Zanim tuż po ósmej zjadły we dwójkę śniadanie, Laurel nie spała już od blisko trzech godzin. Powiedziała matce o wszystkich fotografiach, które pozostawił Bobbie, z wyjątkiem zdjęcia dziewczyny na rowerze. Z nikim nie podzieliła się swoimi podejrzeniami co do tożsamości rowerzystki — sama myśl, że powraca do tego fragmentu swojego życia, przejęłaby Ellen Estabrook głęboką trwogą.

Matka wyjaśniła już jej, że prawie nic nie wie o Pameli Marshfield, rozmawiały więc głównie o podróży do Toskanii, w którą Ellen wyruszała

86

w najbliższą sobotę. Od śmierci męża wyszło na jaw coś jeszcze: jej zamiłowanie do podróży. Rodzice Laurel byli kiedyś we Włoszech, ale było to parędziesiąt lat temu i większość czasu spędzili wówczas w Rzymie. Teraz Ellen wybierała się z przyjaciółką na dwa tygodnie do tokańskiej szkoły gotowania na przedmieściach Sieny.

Gdy Laurel wkładała kubek po kawie do zmywarki, gotowa pójść do łazienki na piętrze, żeby umyć zęby przed podróżą, matka podeszła do niej i ostrzegła:

- Bądź ostrożna, kochanie. - Wiem, że niektórzy z mieszkających tu ludzi uważają, że Buchananowie byli godną politowania, dotkniętą nieszczęściem rodziną. Wierzy w to nawet twoja ciotka. Ale ja nie wierzę. Myślę, że wszyscy oni byli dość odrażający.

Laurel uważnie przyjrzała się matce. Ellen miała na sobie T-shirt z delikatnej czarnej bawełny obrębionej w ząbki wokół szyi. Pewnie sporo

kosztował u Bergdorfa. Przez chwilę miała ochotę zażartować o ataku ze strony jakiegoś starego, zapewne osiemdziesięciokilkuletniego próchna, ale się powstrzymała. Żadnej z nich słowo *atak* nie mogło przejść przez usta w innym kontekście niż otwarta wojna. Rzadko rozmawiały ze sobą o okresie, gdy Laurel mieszkała w rodzinnym domu po napaści w Underhill, nawet w jej rocznicę. Matka często martwiła się o bezpieczeństwo córki oraz o rany, jakie w jej psychice pozostawiło otarcie się o śmierć, i Laurel wiedziała, że dyskusowanie z nią o tym tylko pogarsza sytuację.

- Cóż, ojciec Pameli chyba był odrażający - stwierdziła, zamiast stroić sobie żarty.

-Jej matka też była okropna. Nie zapomnij, że to właśnie ona, Daisy, zabiła tę biedną kobietę. Przejechała ją i zostawiła na ulicy na pastwę śmierci. Twój ojciec zawsze mówił, że gdyby siostra Myrtle Wilson była lepiej wykształcona... albo bardziej skłonna do pieniactwa... wytoczyłaby Daisy proces o nieumyślne spowodowanie śmierci.

- Myślę, że mnie nie przejedzie. Chyba nawet już nie prowadzi samo chodu.

Natychmiast pożałowała tej swobodnej uwagi. Matka wypić duży łyk kawy i Laurel spostrzegła, że jeszcze raz wyobraża sobie swoją córkę na rowerze w chwili, gdy dwaj napastnicy usiłovali ją na odjezdnym przejechać.

-Jest piekielnie bogata - kontynuowała jej matka, dochodząc po chwili do siebie. — Ale nigdy nie dała ani centa na żaden z projektów dobroczynnych,

nad którymi pracował twój ojciec. Nawet na sierociniec. Pewnego popołudnia sam poszedł do jej domu po prośbie. Tak właśnie ludzie zbierający fundusze nazywają takie wizyty. *Chodzeniem po prośbie*. Zgodziła się przyjąć jego i kogoś jeszcze z Klubu Rotariańskiego, pewnie Chucka Hallera. Ale gdy przybyli na miejsce, była całkowicie nieczuła. Niezainteresowana całym przedsięwzięciem. Ojciec nie mógł pojąć, czemu poświęciła czas na to spotkanie.

- Jak dawno temu zmarł pan Marshfield?
 - Niedługo po tym, jak sprzedali dom. Chyba dwadzieścia pięć lub sześć lat temu.
- Jak myślisz, dlaczego nie mieli dzieci?
 - Och, nie potrafiłabym odpowiedzieć na to pytanie. Może nie mogli. Może nie chcieli - odparła matka. Uniosła brwi i dodała melodramatycznie: — Może mieli dość rozsądku, by nie hodować dalej diabelskiego nasienia.

Laurel uśmiechnęła się i obserwowała, jak matka dziewczęcym gestem bawi się zapięciem sztyftu w jednym ze swoich kolczyków, a potem pochyla się, całując ją w policzek i mrużąc:

- Mmm. Chlor. Uwielbiam zapach chloru w twoich włosach. Dzięki niemu myślę, że nadal jesteś moją córeczką.
- Czy jest aż tak wyraźny?
 - Zapach chloru? Tylko z bardzo bliska. A nie będziesz się przecież do nikogo przytulać.

Laurel wracała nazajutrz do Vermont i nie wiedziała, czy matka planuje coś szczególnego na ich wspólną kolację: wieczorem miała do nich dołączyć jej siostra, Carol. Zapytała więc, czy w drodze do domu powinna

kupić coś konkretnego.

— Nie. Tylko jedź bezpiecznie. I... mówię to poważnie...
zachowaj

czujność przy tej kobiecie.

-Ty naprawdę się o mnie martwisz, prawda?

-Trochę chyba tak. Nie lubię tej rodziny i owszem, nie podoba mi się, że tak bardzo cię pochłaniają prace tego człowieka. O to także chodzi. To mnie trochę niepokoi. Wiem...

•O czym?

•Wiem, jak poważnie traktujesz swoją pracę. Wiem, jak bardzo troszczysz się o ludzi, którzy trafiają do schroniska.

— Niepotrzebnie się martwisz, mamó. Lubiałam Bobbiego, a prace, które zostawił, zrobiły na mnie wrażenie. Chcę zrozumieć, jak wylądował

88

w BEDS. Ale w tym momencie to wszystko jest tylko skutkiem ciekawości akademickiego badacza.

Laurel poczuła, jak splatają się palce ich rąk i jak zgrabne dłonie matki delikatnie ściskają jej własne. Ellen posłała córce niespokojny uśmiech. Laurel naprawdę nie wiedziała, czy matkę bardziej niepokoi to, że jej krucha córeczka angażuje się w projekt, który wytrąci ją z równowagi, czy też ten instynktowny matczyny niepokój opiera się na czymś, co wiedziała o Pameli Buchanan Marshfield.

JEDNA Z PIERWSZYCH REFLEKSJI Laurel? Pani Winston była w całkowitym błędzie: Pamela Marshfield nie musiała ani nie chciała być nigdzie

noszona. Ta kobieta miała swoje lata, ale bynajmniej nie była słabowita. Jak na kogoś w tak sędziwym wieku, podobnie jak jej brat, prezentowała zdumiewająco dobrą formę. „Mówcie, co chcecie o Buchananych — pomyślała Laurel, gdy jej wzrok spoczął na Pameli - ale mają piekielnie dobrą pulę genów. Ta kobieta liczyła sobie osiemdziesiąt sześć lat, ale była onieśmielająca, świadoma swoich praw i pewna siebie — i wystarczająco kostyczna, by Laurel nie przestała czuć się nieswojo. Zachowywała czujność, ponieważ było oczywiste, że Pamela nigdy jej nie traci.

- Zaskakujące, że potrzebowałam tyle czasu, by się wyrwać z North Shore - powiedziała wkrótce po tym, jak Laura przybyła do East Hampton.

Nosiła białą bluzkę bez rękawów, która odsłaniała ostre jak muszla końce obojczyka, oraz kwiecistą spódnicę, opadającą niemal do wyłożonej włoski

mi płytkami powierzchni tarasu, gdzie popijały herbatę. Wypiełgnowany pas, trawnika szeroki chyba na dwieście jardów, oddzielał taras od plaży. Morze było spokojne, a fale niczym spieniona woda z kubła przewróconego

na podmiejskim podjeździe pluskały raczej, niż załamywały się przy brzegu.

— Nigdy tam nie wracam.

Pamela Marshfield była wychudzona w sposób charakterystyczny dla wielu bogatych starszych kobiet: skóra na jej skroniach była mocno naciągnięta, ale zwisała fałdami z ramion i szyi. Włosy miały szarobiały kolor starego popiołu z kominka i były ostrzyżone krótko, po męsku. Laurel spostrzegła białe plamy na jej rękach i grzbietach dłoni w

miejscach, gdzie kiedyś przypuszczalnie znajdowały się pieprzyki, starcze krosty i zmiany przednowotworowe.

- Przyjemnie było tam dorastać — odparła Laurel. - Chyba nie osiedlę się w West Egg...

89

— Nikt nie osiedla się w West Egg - powiedziała staruszka z nieznaczącym, lekceważącym ruchem dłoni. — Samo to wyrażenie, *osiedlanie się*, oznacza pionierskiego ducha i chęć zapuszczenia korzeni. Tam nie ma żadnych korzeni. Ludzie przejeżdżają tamtędy, gdy... pną się w górę. Zawsze tak było.

Laurel zrozumiała tę uwagę: West Egg nigdy nie było równie modne jak East Egg — zawsze stanowiło świat nuworyszów - i Pamela Marshfield, podobnie jak Tom i Daisy, uważała chyba wszystkich, którzy mieszkali po drugiej stronie zatoczki, za intruzów pokroju Gatsby'ego.

- Moi rodzice zawsze byli tam wystarczająco szczęśliwi — powiedziała Laurel, mając nadzieję, że sprawia przy tym wrażenie pogodnej i opanowanej.
- Cieszę się. Rozumiem, że pani pływa.
- Owszem, tak właśnie utrzymuję sprawność.
- Chyba powiedziała pani Julii... mojej sekretarce, dziewczynie, z którą rozmawiała pani w sobotę... że pływała pani w ośrodku naprzeciw naszego dawnego domu.

Laurel musiała powstrzymać blady uśmiech, słysząc, jak gospodyni na-

zwała Julię dziewczyną: oprócz rozmowy przez telefon dwa dni wcześniej spotkały się, gdy czekała w rezydencji, i ta *dziewczyna* była co najmniej pięć lat starsza od jej matki.

- Tak. Dorastając, większą część lata spędzałam w tym basenie i w zatonie za pani dawnym domem.
- Zawsze trochę się dziwiłam, że moi rodzice nigdy się nie przeprowadzili. Sądziłabym, że... ten widok... mógł być przykry.
- Przeszkadzało to pani?
- Ten widok?

Laurel potwierdziła skinieniem głowy.

-Nie.

W oddali na południu płaski horyzont był poprzerywany kalafiorowatymi cumulusami, niczym rząd wspaniałych kolumn doryckich podtrzymujących niebo. Pamela obserwowała je z Laurel przez długą chwilę, zanim dodała:

- Rozumiem, że ma pani jakieś zdjęcia, które chce mi pani pokazać.
- Tak. — Laurel sięgnęła do skórzanej torby, którą matka sprezentowała jej tego lata na urodziny, i wyjęła z niej kopertę z fotografiami przywiezionymi z Yermont. Pierwszą, którą położyła na dzielącym je szklanym stole,

90

było zdjęcie małego chłopca i dziewczynki koło portyku w domu Pameli z czasów dzieciństwa. Starła się ocenić reakcję majątnej wdowy, ale Pamela niewiele dała po sobie poznać. W końcu Laurel zapytała:

- Czy to pani i pani brat?

- Rzeczywiście. Powiedziałabym, że mam na tym zdjęciu dziewięć lat, a pani? To oznaczałoby, że mój brat ma - zawahała się przez krótką chwilę, próbując chyba określić dokładną różnicę wieku między nią a jej bratem - lat pięć.
- Pamięta pani, kiedy zrobiono to zdjęcie... i co zamierzała pani tego dnia robić?
- Och, mogło zostać zrobione o dowolnej porze. Najwyraźniej wyjeżdżaliśmy w jakieś dość ciekawe miejsce. Ale też zawsze wyjeżdżaliśmy gdzieś, gdzie było dość ciekawie.
- Wyobrażam sobie, że miała pani urocze dzieciństwo — stwierdziła nieszczerze Laurel. Próbowwała tylko powiedzieć coś grzecznego, żeby wypełnić ciszę, która zdawała się ogarniać taras, ilekroć jedna z nich milkła.
- Myślę, że jest dość powszechnie wiadomo, iż moi rodzice mieli bardzo burzliwe małżeństwo. Tak więc robili różne rzeczy. *My* robiliśmy różne rzeczy. Jeździliśmy po świecie, byliśmy ciałem w bezustannym ruchu. Tak właśnie moi rodzice radzili sobie z tym małżeńskim rozdźwiękiem. Ja i brat wcześniej to zrozumieliśmy, tak więc powiedziałabym, że w dzieciństwie mieliśmy uprzywilejowaną pozycję, ale nie nazwałabym go uroczym.
- Rozumiem. Przepraszam.
- Ma pani inne zdjęcia?

Laurel ułożyła na stole kilka innych zdjęć domu, jakby wróżyła jej z kart do tarota. Przywiozła też ze sobą fotografie Gatsby'ego i zdjęcia z przyjęć — oraz jego domu i basenu — ale w ostatniej chwili postanowiła nie wyjmować ich z koperty. Mogłaby tylko zrazić tym Pamelę Marshfield

do siebie.

- Bardzo lubiłam ten pokój — powiedziała kobieta, wskazując na dwa okna z kamiennymi słupkami na pierwszym piętrze, widoczne na jednym ze zdjęć. - Był to pokój gier ze stolikiem, przy którym moja matka grywała czasem w brydża — ze swoimi i moimi przyjaciółkami — z victrolą w wiśnio

wej szafce oraz stołem bilardowym. Robert uwielbiał bilard. Brydża też. Już

w bardzo młodym wieku był dobrym karciarzem.

91

- Robert? Nie mówiliście na niego Bobbie? - zapytała Laurel i uświadomiła sobie, że w jej pytaniu zabrzmiała nuta zaskoczenia.
- Nie. Zawsze był Robertem, aż po dzień, w którym zmarł - odparła Pamela, ale coś - ton wyćwiczony raczej niż smutny — w jej głosie trąciło fałszem. — Skąd pani je wzięła?
- Były w posiadaniu człowieka, który zmarł w zeszłym miesiącu w Burlington. Bardzo miłego osiemdziesięciodwuletniego pana. — Laurel oczekiwała jakiejś reakcji - najmniejszego choćby skinienia głową, nagłego westchnienia, uniesienia brwi w wyrazie smutku bądź zaskoczenia - ale kobieta wytrzymała jej spojrzenie i nic nie powiedziała.
- Był bezdomny — mówiła dalej Laurel. - My... moja organizacja, BEDS... znaleźliśmy mu skromne mieszkanie. Te zdjęcia stanowiły część jego niewielkiego dobytku, gdy przybył do schroniska.
- Jest ich więcej ?

- Tak. Kilka zdjęć migawkowych i trochę odbitek i negatywów profesjonalnych fotografii, które zrobił. Tym właśnie zarabiał na życie. Był fotografem... prawdę mówiąc, całkiem dobrym.
- Przywiozła pani ze sobą jakieś inne zdjęcia?
 - Nie — skłamała Laurel i obserwowała, jak gospodyni pilnie się im przygląda, skupiając uwagę głównie na zdjęciu przedstawiającym ją i jej brata.
 - Chyba mogę je zatrzymać — powiedziała Pamela. — Właściwie to mam bardzo niewiele naszych wspólnych zdjęć.
- Przykro mi, ale nie może pani - odparła Laurel.
 - Nie? - Pamela Marshfield wydawała się zaskoczona. Laurel domyśliła się, że ludzie przypuszczalnie rzadko jej odmawiają. — Dziewczyno... Laurel... na co ci one?
 - Przede wszystkim, nie należą do mnie. Ten człowiek zmarł jako podopieczny BEDS, nie pozostawiwszy testamentu, kolekcja jego zdjęć trafi więc do miasta Burlington. Magistraccy prawnicy rozdysponują wówczas fotografie według swojego uznania, ale jestem pewna, że zachowają cały zbiór w nienaruszonym stanie. Nawet zdjęcia migawkowe, jak sędzę. Te fotografie stanowią jedyną prawdziwie wartościową rzecz, jaką Bobbie miał w momencie śmierci, a miał ich niewiele.

Pamela lekko wybałuszyła oczy, gdy Laura wymówiła słowo *Bobbie*.

— Nie powiedziała mi pani, jak nazywał się ten człowiek.

— Bobbie Crocker.

- Brzmi jak nazwa ciasta w proszku dla mężczyzn - mruknęła Pamela i Laurel uśmiechnęła się grzecznie, słysząc ten żarcik.
- Miał w sobie coś z artysty. Był prawdziwym zwierzęciem towarzyskim. Nawet po tym, jak przenieśliśmy go do mieszkania, nadal się czasem pojawiał w schronisku. Pomagał nowym pensjonariuszom poczuć się trochę lepiej. Mocny, gromki głos. Duże poczucie humoru.
- Cóż, nie rozumiem, co jest wartościowego w zdjęciach jakiegoś bezdomnego i dlaczego nie może pani spełnić życzenia starej kobiety. Jestem pewna, że miasto nie przejęłoby się, gdyby pani dała mi te zdjęcia... zwłaszcza że najwyraźniej należały kiedyś do mojej rodziny.
- Na pewno ma pani rację. Po prostu teraz nie mogę ich pani zostawić. Nie są moją własnością. Ale porozmawiam z prawnikiem z magistratu, który współpracuje z moją grupą. Być może otrzyma je pani z chwilą, gdy cała kolekcja zostanie zarchiwizowana.
- Wygląda na to, że jest spora. Tylko jak duża? - dopytywała się gospodyni i Laurel zdała sobie sprawę, że zaczyna węszyć. - Jest w niej wiele innych zdjęć mojego brata i moich? I moich rodziców?
- Nie wiem. Nie sędzę. Ale tak naprawdę nie zaczęłam jeszcze przeglądać negatywów.
- Ach, jest pani fotografem - zauważyła, posyłając Laurel blady, grobowy uśmiech. - Fotografem i pływaczką.
- Zgadza się.
- I ciekawi to panią, ponieważ mieszka pani w West Egg i dopatruje się w tych zdjęciach... czego? Pomoże mi pani zrozumieć?

Mewy opadły całą chmarą na plażę w oddali i zaczęły dumnie stąpać po wilgotnym piasku.

- Sądziłam, że ten zmarły mężczyzna był pani bratem — odpowiedziała ostrożnie. — I zaciekawiło mnie, jak człowiek tak... posłużyć się tu pani określeniem... uprzywilejowany stał się bezdomnym w Vermont.
 - Wasz bezdomny z pewnością nie był moim bratem. Mój brat zginął w wypadku samochodowym w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Miał szesnaście lat.
 - Przykro mi. Moja ciotka nie znała szczegółów, ale myślała, że chyba zginął jako nastolatek.
- Dziękuję. Ale nie musi być pani przykro. To było, całkiem dosłownie, wieki temu.

93

- Była pani przy tym?
- Z moim bratem? Boże broń. Studiowałam wtedy w Smith Colege. Robert... trochę kłócił się z rodzicami i dość nagle opuścił dom. Był z przyjacielem, siedemnasto- lub osiemnastoletnim chłopakiem. W ich samochodzie pękła opona i stoczyli się do rowu gdzieś w Dakocie Północnej. Obaj byli przypuszczalnie zbyt pijani, żeby chodzić, a tym bardziej jeździć autem.
- Jego przyjaciel też zginął?
- To był po prostu ktoś, kogo Robert poznał w Grand Forks. Może słowo *przyjaciel* sugeruje zbyt bliską więź. Owszem, on też zginął.
- Jak nazywał się jego przyjaciel?
- Nie potrafię powiedzieć.
- Nie pamięta pani? -Nie.

- Przypomina sobie pani, w **jakim to było mieście?**
- W Dakocie Północnej? Laurel skinęła głową.
- Koło Grand Forks. Może w samym Grand Forks. Na starej autostradzie numer dwa. To pamiętam.
- Czy któryś z pani kuzynów wiedziałby coś o tym wypadku... albo o pani bracie?
- Och, oboje często bawiliśmy się z naszymi kuzynami z Louisville. Fayami, Williamem i Reginaldem. Ale oni nie żyją. Może powiedzieli coś swoim dzieciom, ale kontakt z nimi wymagałby sporo mało owocnej pracy.
- Nie sądzi więc pani, że ten bezdomny człowiek, Bobbie Crocker, był pani bratem?
- Czemu miałabym sądzić, że nim był? Mój Boże, nawet gdyby Robert nie zginął, czemu miałby zniknąć? Po cóż zmieniałby nazwisko?

Laurel musiała powstrzymać się od podania prostego wyjaśnienia: choroba umysłowa. Nagle zaczęła się obawiać, że jeżeli zaraz nie zgarnie zdjęć ze stołu, zrobi to Pamela Marshfield, przysunęła je więc do siebie i wrzuciła do koperty. Zauważyła, że gospodyni przygląda się jej.

- Ma pani przy sobie więcej tych zdjęć, prawda?
- Nie — odpowiedziała po prostu. Wiedziała, że formalnie i tak nie może ich dać Pameli, ponieważ nie są jej własnością. Ale czy kogokolwiek by to obeszło? Mało prawdopodobne. Mimo to Laurel nie potrafiła się rozstać z nimi - ani ze zdjęciami migawkowymi, które miała ze sobą, ani

z materiałem zdjęciowym, który został w Vermont — z jednego decydującego powodu. Czują, że Pamela kłamie. Ta kobieta zaprzeczała, że Bobbie Crocker był jej bratem, i lekceważyła podopiecznego BEDS jako człowieka. Laurel uznała, że to niewybaczalne. Pamela Marshfield mieszkała sobie w rezydencji nad oceanem, podczas gdy jej brat zmarł na klatce schodowej. W budynku, który niegdyś był podupadłym hotelem, w drodze do swojego pokoiku. Odmowa zwrotu zdjęć stanowiła więc karę.

Poza tym, jeżeli Laurel miała wyjaśnić, jak ten człowiek trafił z rezydencji usytuowanej naprzeciw klubu pływackiego z czasów jej dzieciństwa na leśną drogę i do schroniska dla bezdomnych w północnym Vermont — a teraz chciała się tego dowiedzieć bardziej niż kiedykolwiek - te zdjęcia mogły być potrzebne w jej poszukiwaniach.

Czy sądziła, że może to mieć swoje następstwa? Ta myśl przyszła jej do głowy. Jednak rozumiała tak samo dobrze jak wszyscy, że często ludzkie poczynania prowadziły do zupełnie niezamierzonych skutków. Oczywiście żaden z jej podopiecznych nie zamierzał wylądować w BEDS.

- Co jeszcze znajduje się więc w tej kopercie? - pytała ją Pamela.

-Och...

- Jeżeli są to zdjęcia mojego brata, nie sądzi pani, że mam prawo je zobaczyć?
- Nie, to są...
- Dziecko, proszę, podaj mi je teraz. Nalegam - powiedziała staruszka, po czym błyskawicznie sięgnęła przez mały stół i po prostu wyciągnęła Laurel kopertę z dłoni, jakby dwudziestosześcioletka była berbeciem trzymającym w rękach cenny kryształ. Laurel była zbyt

zaskoczona, żeby ją powstrzymać.

- Cóż — powiedziała Pamela, przeciągając jedną sylabę w krótkie zdanie, gdy zaczęła je przeglądać. Zatrzymała się na zdjęciu Jaya Gatsby'ego. - Nie powinnam była wątpić w twoje słowa. To nie są zdjęcia Roberta, prawda?

-Nie.

- Mój brat oczywiście nigdy nie poznał tego okropnego człowieka. Ja faktycznie spotkałam go raz czy dwa razy, ale byłam za młoda, by coś zapamiętać.
- Gdzie go pani poznała?

Gospodyni spojrzała na Laurel, zmarszczyła nieznacznie czoło w wy-studiuowany sposób, po czym zupełnie zignorowała jej pytanie.

95

- Ludzie znają tylko jego wersję wydarzeń. To znaczy wersję Gatz-a. Tak, rzecz jasna, naprawdę się nazywał. James Gatz. *Zmienił* nazwi-sko na Gatsby. Takim właśnie był człowiekiem. A jednak wszyscy zawsze całkowicie ulegali jego czarowi. Widzi pani? Wystarczy spojrzeć na ludzi obecnych na tym przyjęciu. Albo na tym. Gatz hipnotyzował ludzi swo-im bogactwem.

- A pani rodzice nie hipnotyzowali?

-Nie.

Pamela Marshfield zdawała się dumać nad zdjęciem dawnego basenu, w którym zamordowano Gatsby'ego, zanim wsunęła zdjęcia z powrotem do koperty. Później oparła ją o swoją filiżankę i spodek. Laurel odruchowo sięgnęła przez stół, by odzyskać kopertę, mimowolnie przewracając przy

tym filiżankę. Filiżanka spadła gospodyni na kolana, ale nie stukła się i, na szczęście, była pusta. Sytuacja stała się jednak niezręczna i Laurel wstała, żeby przeprosić.

- Tak mi przykro - powiedziała, szukając stosownych słów. - Mam nadzieję, że nie poplamiałam pani spódnicy.
- Mogła pani po prostu poprosić o te zdjęcia, Laurel - odparła protekcyjnie Pamela niskim gromkim głosem. - Zaufaj mi: nie miałam zamiaru ich ukraść. Samo dotknięcie tego z panem Gatzem wzbudziło we mnie niemal nieprzeparte pragnienie umycia rąk.
- A spódnica?
- Spódnica jest czysta.
- Naprawdę mi przykro - powtórzyła Laurel, świadoma, że jednym paranoidalnie gwałtownym ruchem pozwoliła wydrzeć sobie wszelką posiadaną dotąd władzę. Mimo to wciąż czuła, że gdyby nie odebrała odbitek, Pamela Marshfield rzeczywiście sama by ich nie oddała.

Gospodyni pokręciła teraz głową, skrzyżowała ręce na piersiach i zapytała:

- Niech mi pani zatem powie, co następnie zamierza pani zrobić?

Laurel nie była całkowicie pewna, co Pamela ma na myśli, powiedziała jej więc o swoim zamiarze odświeżenia prac Crockera i sprawdzenia, jakie zdjęcia istnieją w negatywach. Przyznała, że ma nadzieję, iż pewnego dnia BEDS poświęci temu człowiekowi indywidualną wystawę, na którą zasługują jego fotografie. Kiedy skończyła, Pamela wstała i było wiadomo, że rozmowa dobiegła - niemalże - końca.

- Sądzę, że rozumie pani teraz, że ten fotograf nie był moim bratem?
— zapytała i ruszyły przez przeszklone drzwi do salonu, a pas błyszczącej podłogi z białego twardego drewna, oddzielający dwa wspaniałe grube perskie dywany, odbijał echem stuk ich obcasów. Ze sklepionego sufitu zwisał masywny żyrandol w stylu art deco, setki żarówek oprawionych w klosze w kształcie delikatnych anielskich skrzydeł.

Laurel zastanawiała się przez chwilę nad pytaniem gospodyni. Sądziła, że prawda wygląda zupełnie inaczej.

- Gdzie jest pochowany? - zapytała, zamiast udzielić odpowiedzi.

Pamela przystanęła.

- Chce pani dowodu? Potrzebuje pani ciała, czyż nie? Czy uspokoiłoby to panią, gdybyśmy ekshumowali zwłoki mojego biednego brata i zlecili badanie DNA z kosmyków jego włosów?
- Chciałabym tylko zobaczyć grób... jeśli mogę.
- Nie - odparła Pamela. - Nie może pani.
- Ponieważ...
 - Świetnie, niech pani pojedzie obejrzeć grób. Nie mogę pani w tym przeszkodzić. Znajduje się w rodzinnym mauzoleum na Rosehill.
- Rosehill?
 - W Chicago, młoda damo. To cmentarz w Chicago... skąd pochodzi rodzina mojego ojca. Może pani tam pojechać i sama zobaczyć. Jest niedaleko krypt rodziny Searsów i Montgomery'ego Warda. Radzę jednak, żeby dała pani temu spokój. Po prostu proszę zostawić tę kość... tak, zdaję sobie sprawę, że jest to dość przerażająca gra słów...

i dać temu spokój. Z pewnością ma pani ciekawsze rzeczy do zrobienia w swoim życiu. I byłoby mi przykro, gdyby marnowała pani swoje młode lata na jakąś niebezpieczną obsesję.

- Niebezpieczną?

Pamela Marshfield uśmiechnęła się znacząco.

- Chyba lepiej byłoby ją określić mianem niezdrowej. Mimo to mój brat i pani bezdomni nie wydają się obiecującym zestawieniem.

Laurel nie czuła się zagrożona - jeszcze nie - ale wyraźnie zrozumiała, że to przestroga. Tym bardziej stanowczo zapragnęła kontynuować swoje poszukiwania. Gdy wsiadała do samochodu, uznała za rzecz interesującą, że gospodyni ani razu nie zapytała, jak bezdomny człowiek wszedł w posiadanie rodzinnych zdjęć Buchananów.

97

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

P

O WYJŚCIU PRACOWNICY POMOCY społecznej Pamela Buchanan Marshfield siedziała sama w swoim gabinecie i ze smętną miną przeglądała jedyny album, w którym zachowały się zdjęcia jej brata. Jej - i teraz była to oficjalna informacja — świętej pamięci brata. Odszedł, dosłownie lub metaforycznie, tak dawno temu, że była zaskoczona głębią swojego smutku.

Jej ojciec wyrzucił bądź zniszczył wszystkie inne albumy ze zdjęciami

Roberta albo też zaginęły one na przestrzeni lat. Ten jedyny miał swoje lata, był niemal równie stary jak ona. Wiele ze zdjęć odkleiło się od zakurzonych stron i tam, gdzie kiedyś znajdowały się kawałki taśmy klejącej, były żółte paski dwu- i trzycalowej długości. Jej matka nigdy zbyt nie dbała o zachowanie archiwów. W istocie rzeczy Daisy Buchanan rzadko myślała o jutrze. Na większości fotografii Robert był bardzo małym chłopcem; na bardzo wielu wyglądał dokładnie tak, jak na zdjęciu migawkowym, które Laurel przyniosła do domu.

Ta dziewczyna najwyraźniej miała negatywy. I wyglądało na to, że było ich całkiem sporo.

Na spotkanie z Laurel Pamela postanowiła założyć kolczyki, które kiedyś należały do jej matki. Miała zupełną pewność, że były prezentem od Jamesa Gatza, ponieważ brylanty - było ich dużo — zostały osadzone w dużych, okazałych stokrotkach, matka zaś nosiła je chyba tylko wtedy, gdy ojciec wyjeżdżał z miasta lub zadawał się z najnowszą z niekończącego się szere-

99

gu kochanek. W dodatku wyglądało na to, że właściwie z każdym innym klejnotem będącym własnością jej matki wiązała się jakaś historia. „*Te rubiny należały do babci Delii — babci Fay z Louisville — a dostała je od swoich rodziców, gdy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym została przedstawiona w towarzystwie. Twój ojciec dał mi te perły na dziesiątą rocznicę naszego ślubu. Ten brylant? Prezent od niego po tym, jak pieprzył się z tą okropną kobietą z Lancaster*”. Język jej matki w miarę upływu lat stawał się wyraźnie coraz barwniejszy, zaczęła też od czasu do czasu pić,

nawet do lustra. Daisy nigdy nie wylewała za kołnierz, ale zwykle dobrze znosiła alkohol. Tom Buchanan również. Bywali pijani, ale dopóki nie robili się agresywni, mało kto zdawał sobie z tego sprawę.

W okresie kilkuletniej przyjaźni z dyrektorem agencji reklamowej Bruce'em Bartonem, ojciec zupełnie przestał pić. Barton stanowił drugie B w spółce BBDO i był autorem książeczki, która stała się wielkim bestsellerem, *Człowiek, którego nikt nie zna*. Barton przedstawił w niej Jezusa Chrystusa jako pierwszego wielkiego biznesmena: rodzaj stanowczego człowieka, który byłby mile widziany w zarządach największych korporacji tamtej dekady i który czułby się swobodnie na przyjęciach dodających pikanterii ówczesnej epoce — może nawet na tych dionizyjskich hulankach, które James Gatz urządzał dla nieznajomych po drugiej stronie zatoczki. Zdaniem Bartona (oraz, przez pewien czas, jej ojca) Jezus był mężczyzną, który wolał męskie towarzystwo, hulaką przemieniającym wodę w wino i bardzo sugestywnym gawędziarzem — twórcą przypowieści będących wzorcem dla autorów sloganów reklamowych na całym świecie.

Patrząc z perspektywy czasu, Pamela naprawdę nie była wcale zaskoczona tym, że jej ojciec jednym tchem przeczytał *Człowieka, którego nikt nie zna*, a potem związał się z autorem książki i przez kilka lat próbował wieść bardziej przykładowe życie. Tom Buchanan często szukał tego, co bez cienia ironii nazywał „materiałem naukowym”, i dzieło Bartona stanowiło poważny postęp w stosunku do części innych tytułów, do których się przywiązał: *The Rise of the Colored Empires* Goddarda i *Commandeering Oriental* Melc-kiego oraz szczególnie gniewnej i prymitywnej krótkiej tyrady niejakiego C.P. Evansa, zatytułowanej *The Pure American*. Wciąż

pamiętała ich obwoluty oraz gniewne kłótnie jej rodziców, które wybuchały, gdy matka mówiła coś zjadliwego o jednej z tych ksiązek, a ojciec stawał w ich obronie.

100

Naprawdę nie spodziewała się uwag dziewczyny na temat swoich kolczyków, ale mimo to miała nadzieję usłyszeć jakiś komentarz. Przede wszystkim dlatego je włożyła. Duże jaskrawe stokrotki. Chciała sprawdzić, jak dużo wie ta pracownica opieki społecznej, i pomyślała, że biżuteria może ją skłonić do wynurzeń. Zaciekawilo ją, że Laurel nie zamierzała pokazywać zdjęć Gatza i jego przyjęć. Zastanawiała się teraz, czy już sam ten szczegół nie powiedział jej wszystkiego, co musiała wiedzieć. Ta mała nadal bała się zranic jej uczucia. Nie chciała też ujawniac świadectw niewierności jej matki.

Mimo to dla Pameli było oczywiste, że musi odzyskać zdjęcia. Wszystkie. Negatywy również. Poświęciła całkiem sporą część życia ratowaniu reputacji swoich rodziców i zadrzała teraz na myśl o tym, jaką prawdę można wyczarować z tych starych fotografii. Być może jej ojciec nie zasługiwał na rehabilitację, ale matka tak. Jej matka zawsze robiła wszystko, na co było ją stać.

Robert oczywiście w to nie wierzył i między innymi dlatego uciekł z domu. Co widział, gdy patrzył na Daisy, Toma lub na nią? Najwyraźniej widział coś więcej. Coś innego. Wybuchal śmiechem co jakiś czas, choć nikt nie dowcipkował. Albo robił to, nie czekając na puentę. Rzucał na stronie pikantne uwagi w niestosownych chwilach. Na proszonym obiedzie. Po debiucie jednej z jej przyjaciółek w Plaža. Gdy przyjeżdżali

kuzyni z Louis-ville. Pamela pamiętała sytuacje z czasów jego dojrzewania, gdy ona lub jedno z jej rodziców zastawało go samego w jakimś pomieszczeniu - kuchni, salonie bądź w jego sypialni, przy otwartych drzwiach - mamroczącego do siebie, raz zwiniętego w kłębek na podłodze jadalni, z głową i tułowiem w niszy zimnego kominka, z palcami obu rąk zaciśniętymi mocno na tchawicy. Kolejne wyobrażenie, którego nigdy nie zapomni, jedno z najbardziej okropnych: wielka kałuża krwi - krwi Roberta - jaką zostawił na kapie swojego łóżka po tym, jak potłukł szklane figury królów i królowych ze swojego ulubionego kompletu szachów a następnie opadł na materac. Pamela właśnie wróciła do domu po poszukiwaniach odpowiedniego college'u z jedną ze swoich przyjaciółek, gdy usłyszała, jak szlocha, i poszła na piętro, żeby dociec przyczyny. Skończyło się na tym, że wyciągała z jego dłoni ostre jak sztylet odłamki czarnego i błękitnego szkła, gdy oboje czekali na karetkę. Nigdy jej nie powiedział dokładnie, co się stało ani dlaczego to zrobił, ale wyglądało na to, że próbował poucinać szachowym monarchom głowy.

Wówczas jej bratu zdarzały się jednak jeszcze długie okresy idealnej jasności umysłu i uroczego zachowania. Robert był niezwykle przystojny

101

i zawsze wzbudzał zainteresowanie dziewcząt. Tańczył nie gorzej niż inni chłopcy z East Egg i często zapraszano go na przyjęcia. Zawsze był bardzo zabawny. Gdy liczył piętnaście, szesnaście lat — a ona uczyła się w Smith — zrozumiała, że ma prawdziwe dziewczyny. Była jedna, którą wraz z Dai-sy lub matką dziewczyny w charakterze przyzwoitki zabierał na Manhattan do kina, na sztuki teatralne lub na koncerty. Nie

interesowała go nauka gry na jakimś instrumencie, lubił jednak Duke'a Ellingtona, Artie Shawa oraz Horace'a Heidta i jego Musical Knights. Matka mówiła jej, że dyżurny na potańcówce doniósł, że Robert pocałował dziewczynę z sąsiedztwa imieniem Donelle, gdy oboje tańczyli w rytm ballady Billie Holliday. Daisy wyraźnie się tym ucieszyła.

A sporadyczne akty przemocy — jak ten z szachami? Cóż, a czy Tom nie bywał agresywny? Sama Daisy z pewnością też miewała zmienne nastroje. Ile to razy ciskała talerzami i kieliszkami do wina - zwykle, ale nie zawsze, w swojego męża.

Niestety, Pamela miała jedynie bardzo mglisty obraz tego, co jej brat był w stanie zrobić przez wszystkie lata swojej nieobecności. Brakowało jej konkretów. Przez znaczną część życia nie wiedziała nawet, gdzie się podziwał — co robił i gdzie mieszkał. Najlepszy dowód, jak wielką niechęć żywił do niej i jej rodziców. Nie tylko ich unikał, nie tylko się ich wystrzegał. Przez te lata skutecznie opierał się jej sporadycznym wysiłkom, by załatwić mu pomoc.

Z jednym małym wyjątkiem. Kiedyś - jeden raz - przekonała go, żeby zgłosił się do szpitala Oakville.

Mimo to z każdą z fotografii w jej albumie wiązało się mnóstwo wspomnień. Pamela zatrzymała się nad zdjęciem, które ojciec zrobił matce, Robertowi i jej, gdy ona miała dwanaście lat. Siedziały z matką na burcie żaglówki, którą ojciec kupił w jednym z krótkich okresów niezupełnie (jak zawsze) szczyrych prób znalezienia wspólnych zajęć dla nich czworga. Wtedy chyba dokonał takiej próby po raz ostatni. Łódź była zakotwiczona na piaszczystej plaży za ich domem, którą ojciec stworzył wkrótce po tym, jak ten żaloszny George Wilson zamordował Jamesa Gatza. W ciągu paru

dni, jakby chcąc dać znać światu, że guzik go obchodzi, czy ludzie chcą stać koło rezydencji po drugiej stronie zatoczki i gapić się na światło na końcu ich rodzinnej przystani, usypał na części trawnika opadającego ku zatoczce pagórek z miękkiego białego piasku. Pewnego ranka razem z sześcioma ludź-

102

mi z łopatami i grabiami przyjechały trzy wywrotki wypełnione budulcem na nowe nabrzeże i pod koniec dnia pomost wcinał się w zatoczkę z plaży zamiast z trawnika.

Rzadko zawracali sobie głowę przywiązywaniem łodzi do pomostu, ponieważ łatwiej było po prostu wciągnąć ją na piach. Łódź była zdecydowanie zbyt mała, by wypływać nią daleko poza zamknięte wody zatoki. A w rzeczywistości i tak mogli bezpiecznie żeglować nią tylko we trójkę, co zdaniem Pameli dodatkowo świadczyło o nieszczerości zapewnień ojca, że kupił ją dla całej *rodziny*.

Na zdjęciu Pamela i jej matka nosiły stosowne skromne kostiumy kąpielowe. Zdumiało ją — jak niemal zawsze gdy oglądała zdjęcia matki — jak bardzo ustępowała jej urodą. Daisy Buchanan miała wówczas dopiero trzydzieści sześć lat, była o dwadzieścia lat zaledwie starsza od swojej córki.

Pamela spostrzegła, że jej brat pozuje do zdjęcia boso, ale ma na sobie długie spodnie khaki i koszulę w poziome marynarskie pasy. Niewątpliwie matka kupiła mu ten strój w ramach współzależnej próby podtrzymania niezdecydowanych mężowskich starań, by przekonać świat (i samych siebie), że ta żaglówka to tylko kolejne świadectwo wspaniałej zabawy,

jaka zawsze towarzyszyła ich wspólnemu rodzinnemu życiu.

Niedługo po zrobieniu tego zdjęcia jej brat i ojciec znowu się pokłócili. Gdy Robert miał dwanaście lat, ich kłótnie stały się bardzo częste. Ta była szczególnie przykra, ponieważ wtedy po raz pierwszy jej brat próbował wmieszać się w jedną z jadowitych sprzeczek rodziców. Nawet teraz Pamela doskonale pamiętała, co ją wywołało. Ojciec przez przypadek ustawił ich troje do zdjęcia w taki sposób, że w tle znalazł się dom, który kiedyś był własnością Jamesa Gatza. Najwyraźniej wbrew swojej woli. Tak przynajmniej twierdził. Chciał, by za nimi było tylko błękitne niebo i woda. Kiedy więc odkrył swój błąd, kazał im wszystkim ustawić się z drugiej strony żaglówki. Ale wtedy problemem stawało się słońce. W rezultacie on i Robert wciągnęli łódź kilka stóp głębiej na plażę, żeby w kadrze było widać jedynie delikatnie rozkołysane fale oraz bezkresne letnie niebo, i zdjęcie zachowane w albumie w końcu zostało zrobione.

Tyle że matka po prostu musiała naśmiewać się z tego, jak ojciec nalegał na przesunięcie łodzi, żeby na tym obrazie rodzinnej harmonii nie położył się cieniem należący kiedyś do jakiegoś przemysłowca dom, który wyglądał jak francuska rezydencja z wieżą.

103

- Doprawdy, Tom - powiedziała, wskazując za siebie ruchem zwieszanej bezwładnie dłoni - zachowujesz się tak, jakby tam były duchy. Jeżeli nie chcesz oglądać tego starego domiszcza, to powinniśmy się przeprowadzić. Chyba należało to zrobić wiele lat temu.

Nastrój natychmiast się popsuł.

- Chcę, żebyś widziała ten dom - rzekł. - Mnie jest on obojętny.
- Nie rozumiem dlaczego - odparła. - Powinieneś...
 - Nie powinniśmy byli się przeprowadzać - burknął stanowczo. - Nie chcę być do niczego zmuszany i nie pozwolę, by zmuszano ciebie.
 - Nikt mnie nigdy do niczego nie zmuszał. Z wyjątkiem ciebie.

Matka Pameli siedziała, a ojciec stał. Ich spojrzenia spotkały się i przez długą okropną chwilę żadne nie odwracało wzroku. To ojciec pierwszy mrugnął powieką, ale odwracając się, rzekł:

- Nie chodziło o to, że nie chciałem mieć tego domu na zdjęciu. Nie chciałem żadnego domu. Żadnego domu w kadrze.
- Och, proszę cię. Teraz jesteś fotografem? Naprawdę myślisz o takich sprawach jak kompozycja kadru?
- Musisz go widzieć - powtórzył Tom.
- Dopiero co wyjaśniałam. Nie muszę...
- Uznaj to za pokutę.
 - Pokutę? Czy ty w ogóle znasz sens tego słowa? - zapytała, po czym przewróciła oczami, wyciągnęła szyję jak łabędź i powoli pokręciła głową. Pozwoliła sobie na zduszony śmiech jego kosztem. Tego już nie zniósł.
 - Świetnie, chcesz mieć ten dom w kadrze? To się da załatwić! — warknął. Nagle chwycił ją za oba przeguby rąk, napięte bicepsy rozciągnęły krótkie rękawy jego koszuli, i najpierw poderwał ją na nogi, a potem zaciągnął parę kroków dalej, tak że stała po kostki w wodzie. Tam pchnął ją mocno, i Daisy wylądowała z pluskiem na siedzeniu w lekko pofalowanej wodzie. Zanim zdołała wstać, przykucnął, podniósł aparat do oka i pstryknął zdjęcie. A potem

jeszcze jedno. Ona spojrzała nań wyzywająco spod powiek, ale nie odezwała się ani słowem i nie uczyniła żadnego ruchu, żeby go powstrzymać.

- Teraz zawsze będziesz widzieć ten dom - rzekł Tom. - Zawsze!

Zarówno Pamela, jak i Robert wiedzieli już, jak ojciec poniewierał matkę. Ale nigdy nie robił tego poza domem. Tylko wtedy, gdy pili we dwójkę i nie wytrzymywali dotkliwego, spowodowanego kacem bólu głowy. Tak

104

więc zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, Robert podbiegł do Toma i uderzył go w brzuch tak mocno i z tak niespodziewaną furją, że pozbawił go tchu. Gdyby nie przełożony przez głowę pasek aparatu, ten prawdopodobnie wpadłby z pluskiem do wody, gdy Tom zgiął się wpół, a będący w aparacie film zostałby zniszczony.

- Przestań! - krzyknął Robert do ojca. — Nie bij jej! Przestań!

Czasami Pamela próbowała złagodzić ich kłótnie, zanim przybierały tak gwałtowną postać, zmieniając temat. Mówiąc o jakimś chłopcu, którym się zainteresowała — niezawodny sposób zwrócenia uwagi obojga rodziców. Niekiedy była wieczorem nawet na tyle przezorna, by rozcieńczyć gin wodą. Jednak w tym przypadku po prostu stała, gdy kilka grubiańskich komentarzy rozrosło się jak grzyby po deszczu w ten publiczny wybuch w środku lata, teraz zaś - po raz pierwszy, ale niestety nie ostatni - jej brat wmieszał się w to, napadając na dumnego, aroganckiego i onieśmielającego swą posturą Toma Buchanana.

Matka wstała tak szybko, że woda spływała strumieniami z jej stroju

kąpielowego. Towarzyszył temu wspaniały odgłos ssania wody w miejscu, gdzie upadła. Daisy zdołała dostać się między męża a syna dokładnie w chwili, gdy Tom zamachnął się na chłopca. Zamiast zdzielić go na odlew grzbietem dłoni, trafił Daisy. Uderzył ją tak mocno w policzek, że głowa jej się odwróciła, jakby spoczywała na wrzecionie, i Pamela krzyknęła, myśląc, że skręcił jej kark. Nie skręcił, ale Daisy, obróciwszy się wokół własnej osi, upadła na piasek i aż do jesieni miała na twarzy siniaka. Jej dzieci rzuciły się na nią i przytuliły do siebie. Rozpaczliwie pragnęły się dowiedzieć, jak poważnych doznała obrażeń.

Tom, wciąż zasapany, obserwował ich przez ułamek sekundy, po czym ciężkim krokiem wyszedł z płytkiej wody z aparatem objającym się mocno o pierś i ruszył z powrotem do domu po wypielegnowanym trawniku. Pamela pozostała z matką i bratem na plaży przez co najmniej dwadzieścia minut, dopóki nie usłyszeli wszyscy najpierw skrzypienia otwierających się szerokich drzwi wozowni, a potem ryku silnika nowego czarnoczerwonego pierce'a-arrowa. Dopiero gdy warkot samochodu zupełnie ucichł w oddali, poszli do domu, wlokąc za sobą nogi jak ranni żołnierze, i zaczęli okładać Daisy twarz lodem. Matka nawet nie próbowała poprawić nastroju jakąś żartobliwą uwagą pod adresem swojego męża.

Pamela uznała teraz za interesujące, że matka nie zadała sobie trudu zachowania innych zdjęć zrobionych tamtego dnia przez Toma — na których

spogląda na męża po tym, jak wrzucił ją do płytkiej wody. Najprawdopodobniej dlatego, że tak niekorzystnie na nich wyglądała.

Gdyby były choć trochę twarzowe, matka z całą pewnością by je zachowała. Któż wiedziałby po latach, co naprawdę wydarzyło się tamtego popołudnia? Tak przynajmniej pomyślałaby matka. To wszystko mogło być niewinnymi dzikimi harcami. Daisy przypuszczalnie trafiła do grobu, wierząc, że uratowała wizerunek rodziny.

Ale oczywiście nie uratowała. Nie całkowicie. Niektórzy ludzie uważali ich rodzinę za ledwie nieszczęsną i feralną — co zważywszy na tragiczne losy jej brata chyba rzeczywiście było prawdą. Któż mógłby to rozstrzygnąć? Może jej własna bezpłodność też była jakimś znakiem. Lecz Pamela wiedziała, że inni uważają jej rodziców za dekadentów, lekkoduchów i ludzi wyzbytych uczuć. Niektórzy uważali ich za okrutników.

Mimo to była pewna, że po letniej przygodzie z Gatzem jej matka przez resztę lat żyła dla swoich dzieci. Nie pamiętała Daisy z czasów, gdy była w ciąży z Robertem, ale dorastając, słyszała wystarczająco dużo opowieści, by wiedzieć, że matka uwielbiała każdą chwilę spędzoną z tym dzidziusiem w swoim łonie, a jej stosunki z Tomem nigdy nie były lepsze. I już nigdy więcej nie miały być tak dobre. Największa tragedia w życiu matki? Nie śmierć Jamesa Gatza, choć Pamela zdawała sobie sprawę, jak bardzo matka go kochała. Nie była nią również odpowiedzialność za śmierć kochanki jej męża, Myrtle Wilson. Była nią utrata syna.

Na tym polegała wielka życiowa tragedia Daisy Buchanan.

A teraz, pomyślała Pamela, ja też go raz na zawsze straciłam.

Przez chwilę rozmyślała o ogłoszeniu, które zobaczyła w piątek w gazecie. Tamtego popołudnia zadzwoniła do swojego prawnika. Po czym następnego dnia, w sobotę, zadzwoniła do niej ta pracownica pomocy

społecznej z West Egg. Ciekawe, czy dziewczyna wie o ogłoszeniu - o poczynaniach schroniska. Przypuszczalnie wiedziała. Mimo to...

Przypomniała sobie minę Laurel, zbolałą po strąceniu filiżanki tamtego rana. Młode dziewczę wykazywało dziwne zainteresowanie tymi zdjęciami. Chciało je mieć. Pamela pamiętała jednak, że sama też żywi taką chęć - właśnie dlatego, iż nie wiedziała, jakie sceny mogą przedstawiać te negatywy i co Robert mógł fotografować w późniejszym okresie życia. Mogła się tego tylko domyślać.

Postanowiła więc, że odzyska zdjęcia co do jednego. Przynajmniej tyle była w stanie uczynić dla swojej matki.

106

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W

E WTORKOWE POPOŁUDNIE TALIA RICE siedziała w słabo oświetlonej kawiarni, popijając czekoladę na gorąco pokrytą na niemal całej powierzchni purchawkowatą chmurą bitej śmietany. Jednocześnie gawędziła z czterema swoimi podopiecznymi z kościelnej grupy młodzieżowej. Kawiarnia była niegdyś elegancką spółdzielnią rzemieślniczą z półkami ręcznie toczonych garnków, ręcznie wytapianych kieliszków do martini i robionej ręcznie srebrnej biżuterii. Półek już nie było, ale została ciemna boazeria i obecni właściciele pokryli ściany i sufit bujną roślinnością oraz wijącymi się pnączami. Talia wyobrażała sobie, że przypomina to trochę picie kawy w kolumbijskiej dżungli — gdyby nie błękitny blask ekranów laptopów, na

których studenci niestrudzenie przeszukiwali sieć z rustykalnych stolików, oraz rozmaitych dzwonek i furczeń ich telefonów komórkowych - a dzieci z jej szkoły średniej lubiły tu przychodzić, ponieważ zwykle wypełniał ją tłum studentów. Talia bardzo często przesiadywała w tym samym miejscu, gdy chodziła do szkoły.

Od czasu do czasu zerknęła na swoją czekoladę i wędrowała myślami do sprawy, którą rozważała z niezdrową swoim zdaniem częstotliwością: Jak długo jeszcze będzie się mogła tak żywić? Jej wstrzykująca sobie botox, chrupiąca marchewki i kompulsywnie uczęszczająca na siłownię na manhattańskiej Upper East Side matka nie mogła już odżywiać się tak, jak dawniej - przynajmniej jeżeli pragnęła pozostać przy anorektycznym rozmiarze cztery, który przypisywała sobie w rozmowach z przyjaciółmi (choć Talia wiedziała, że coraz większa część zawartości matczynej garderoby ma rozmiar 6). Domyślała

107

się, że ma przed sobą przynajmniej pięć lat, ale dużo będzie zależało od tego, kiedy urodzi dzieci. A Talia pragnęła mieć dzieci, pragnęła z całych sił.

To oczywiście, oznaczało zamążpójście. Ona zaś od czasu studiów w college[^] nie miała nawet prawdziwego chłopaka. W tym czasie utrzymywała mnóstwo kontaktów seksualnych: jeżeli byłaś młodą kobietą i żyłaś w tym mieście, nie mogłaś ich nie mieć. Były to jednak głównie przygody z przyjaciółmi, których spotykała na przyjęciach: mili chłopcy. Wieczory niezłej zabawy. Żadnej przyszłości.

Ostatnio zaś znikły nawet te przypadkowe, zaspokajające popęd

kontakty seksualne. Tak jakby jej obecność w kościele — sama bliskość czegoś, co po prostu mogło stanowić busolę moralną — okazywała się wystarczająca, by ograniczyć do minimum liczbę zwykłych dni tygodnia, gdy miała niemal pewność, że jest nienasycona. Nie żeby nienasycenie było niemoralne. Ale im więcej czasu spędzała z dwunastolatkami, tym częściej zdawała sobie sprawę, że wraca chyłkiem do swojego mieszkania i zastanawia się, co u diabła sobie myślała, uprawiając w wieku piętnastu, szesnastu lat seks ze swoimi kolegami na Manhattanie.

— Ilu więc zbiórek funduszy potrzebujemy? — pytał ją Matthew.

Nosił

czapkę bejsbolową bostońskich Red Sox założoną daszkiem do tyłu i tak mocno naciągniętą na głowę, że daszek muskał kołnierz pseudowojskowej kurtki. Czwórka licealistów, których tego popołudnia częstowała czekoladą

na gorąco i przekąskami, tworzyła komitet planujący działania grupy.

Talia

była trochę zawiedziona, że Matthew wraca do tematu zbiórki funduszy, ale nie zaskoczyło jej to. Kilka minut wcześniej, z namowy jej rozbajająco

uczonej drugoklasistki Vanessy, rozmowa zeszła na krótko na temat wolnej

woli i tego, co miał na myśli święty Paweł Apostoł, gdy napisał, że drogi do

wolności należy szukać w posłuszeństwie. Niewiele rzeczy działało na nerwy

Matthew— i wielu z jej nastoletnich podopiecznych - bardziej niż

dogłębna

analiza Biblii. Zwykle Talia musiała im przypominać, że dwa i trzy tysiące lat temu ludzie byli jeszcze bardziej prymitywni niż ich dziadkowie i z całej

tej przemocy, braku szacunku i złorzeczeniu można wyciągnąć naukę.

- Myślę, że jednej na miesiąc - odparła. - Ale to wszystko zależy od tego, jak owocne będą zbiórki i jak ambitnie chcemy podejść do naszej pra

cy misyjnej. - *Praca misyjna* była terminem, którym określali fundusze, jakie

zamierzali zebrać tego roku i przekazać BEDS w czerwcu - na zakończenie

roku szkolnego. Laurel opowiedziała nastolatkom o bezdomnych w Burling

ton i grupa natychmiast zgodziła się im pomóc.

108

Talia wiedziała oczywiście, że potrzebowali również pieniędzy na to, co nazywali swoimi „działaniami”, ponieważ wyprawy na koncerty rockowe - nawet te chrześcijańskie - do wesołych miasteczek, kina i (owszem) ośrodka gry w paintball nie były bezpłatne.

- Ile kosztuje ta zabawa w paintball? - zapytała Randy, druga młoda dama w komitecie, czytając chyba w jej myślach i nawet nie próbując ukryć oburzenia rozrywką, którą zaplanowali na nadchodzącą sobotę. Latem Randy obcięła prawie wszystkie włosy, a to co zostało, ufarbowała na czarno i niemal codziennie przy pomocy pianki

układała w grzebień z kłujących sztylecików. W tym tygodniu dodała błękitny pas i trochę przypominała Indiankę z plemienia Mohawków. Dziewczyna miała chyba nadzieję, że budzi swoim wyglądem lekkie przerażenie, ale jej oczy były zbyt okrągłe - nawet z całą masą tuszu na rzęsach - a twarz zbyt anielska. Miała nawet dołeczki w policzkach. W sumie wyglądała jak zwykła małolata strojąca się przed lustrem dla zabawy.

- Nie za dużo - odparła Talia. - Ja i Laurel płacimy za siebie, a ludzie w ośrodku wpuszczą was wszystkich na poligon za połowę ceny, ponieważ jesteście grupą młodzieżową. A jeden parafianin zgodził się zapłacić za całą amunicję. - Ironia zawarta w tym ostatnim zdaniu skłoniła ją do chwilowej samoobserwacji, krótkotrwałej jednak i — dzięki sile woli - powierzchownej. Talia nie lubiła zestawienia słów *parafia* i *amunicja*.
- Cóż, jestem totalnie podjarany! - To reakcja Matthew. Jak można się było spodziewać, chłopcy mieli do gry w paintball stosunek znacznie bardziej entuzjastyczny niż dziewczęta. Lekko, lecz z pewnością nie delikatnie, Matthew walnął w ramię Schuylera, drugiego chłopaka w komitecie, i dodał: - Włóż na siebie kilka bluz, bracie. Trafienia kulami z farbą mogą zaboлеć!

Schuyler, siorbiąc, wypił potężny łyk swojej czekolady na gorąco i po kiwał głową, wydając z siebie głębokie westchnienie świadczące o błogim zadowoleniu. Wcześniej zjadł już babeczkę wielkości grejpfruta posypaną wiórkami czekoladowymi.

- Gdzie o tym słyszałeś? - zapytała Talia. Nikt jej nie powiedział, że uderzenia kulami z farbą mogą być bolesne. Myślała, że pociski są

małe i mają konsystencję galaretowatych kulek kąpielowych - są czymś, co trzymane zbyt długo niemal rozpuszcza się w palcach.

- Gdzie słyszałem? Poczujęm je na własnej skórze! — odparł Matthew. — Raz w zeszłym roku zagrałem i właściwie to zostałem totalnie upokorzony. Potem przez wiele dni chodziłem jak stary przyk.

109

Dla Talii - oraz najwyraźniej dla dwóch siedzących przy stole dziewczyn — była to nowość. Kątem oka widziała ich nieco zażenowane miny.

- Och, daj spokój, tak strasznie chyba nie boli? - powiedziała. - Dyrektorzy w średnim wieku grają w to stale w ramach ćwiczeń integrujących. Biorą kilkunastu pracowników - samych palantów w białych kołnierzykach, którzy po zakończeniu gry przeważnie wymagają defibrylacji...
- Defibry... czego? — zapytała Randy.
- Elektrowstrząsów. Przywracają bicie serca... po zatrzymaniu jego pracy.
- To aż tak wyczerpujące?
 - Paintball? Nie! Chodziło mi tylko o to, że gra w paintball nie może być aż tak trudna ani aż tak bolesna, skoro wielu pozbawionych kondycji, niemłodych już...

Urwała, czując czyjaś dłoń na swoim ramieniu, i od razu się odwróciła. Ujrzała Davida. Przyjaciela Laurel. Ostatni z szeregu *niemłodych* przyjaciół jej współlokatorki. Parę razy zjedli we troje kolację, ale David nigdy nie nocował w ich mieszkaniu. Po cóż miałby to robić, skoro miał własne mieszkanie z widokiem na jezioro i oboje mogli tam czuć się zupełnie

swobodnie? W rezultacie Talia nie znała go zbyt dobrze. Z pewnością zaś nie znała go na tyle dobrze, by liczyć na to, że David uzna jej pogardliwą uwagę o pozbawionych kondycji, niemłodych już... palantach w białych kołnierzykach za zabawną.

Z zażenowaniem uświadomiła sobie, że użyła słowa palant.

- Czy naprawdę wydaję się aż tak stary i niedołążny? — zapytał żartobliwie rozbawionym głosem. Był co najmniej o dziesięć lat starszy od wszystkich pozostałych gości kawiarni. Miał na sobie szary tweedowy blezer i nosił okulary w szylkretowych oprawkach. Talia miała przynajmniej nadzieję, że miały być retro. Możliwe, że tak naprawdę David nosił je od dziesięcioleci. Ludzie w średnim wieku nie byli pod tym względem aż tak niereformowalni jak emeryci, ale bez wątpienia zbyt rzadko wymieniali stare niegustowne oprawki swoich okularów.
- Uogólniałam — odparła Talia i zaczęła wstawać, ale David delikatnym dotknięciem zasugerował, że nie musi tego robić z jego powodu. Po czym cofnął dłoń i pomachał nią - w rzeczywistości zsalutował raczej - uczniom stłoczonym obok niej przy stoliku.
- Jak się masz? - zapytała Talia, zaskoczona cichością swojego głosu. Czy naprawdę była aż tak zawstydzona własnymi słowami?
- Mam nadzieję, że na respirator jeszcze za wcześnie.

110

- Ja tylko żartowałam. Ja...
- Ja też tylko żartuję. Słowo daję, nie poczułem się urażony.
- Cóż zatem cię tu sprowadza?

David potoczył oczami na boki niczym konspirator, jakby chciał się

upewnić, czy ktoś nie podsłuchuje. Po czym scenicznym szeptem odparł:

- Sprzedają tu kawę. Można ją kupić i - znowu jego spojrzenie prze mknęło od ściany do ściany kawiarni — i przynieść do biura.

Talia potwierdziła skinieniem głowy. Redakcja jego gazety znajdowała się tuż za rogiem.

- Grywa pan w paintball... w ramach ćwiczeń integrujących lub czegoś takiego? - zapytał Matthew. Wszyscy siedzący przy stoliku, nawet dziewczęta, wybuchnęli śmiechem.
- Tego nie mogę o sobie powiedzieć. A wy macie taki zamiar?
- W sobotę, stary! - oznajmił krzepki nastolatek. - Jestem podekscytowany!
- W takim razie ja też - odpowiedział mu cierpliwie David, po czym zwrócił się znowu do Talii: - Miałaś jakieś wieści od Laurel po jej wyjeździe na Long Island?
- Parę e-maili. Nic istotnego.
- Już wróciła? Wiem, że miała zamiar przyjechać dzisiaj do domu.
- Być może. Nie byłam w domu od śniadania.
- Cóż, zobaczę się z nią jutro wieczorem. Pozdrów ją ode mnie - rzekł David, a potem wycofał się w głąb kawiarni, gdzie trzech młodzi mężczyźni z kolczykami w wielu miejscach twarzy płasali jak derwisze za kontuarem baru, mieląc i parząc kawę oraz gorące napoje z długiego menu.

- Ten goguś - to słowo zostało rozciągnięte w dwie długie sylaby - spotyka się z Laurel? — zapytała Vanessa, która nie była w stanie ukryć niedowierzania pobrzmiewającego w swoim głosie. Vanessa była uczennicą Talii. Spojrzała teraz na młodą pastor swoimi mądrymi oczami. Miała

barwione henną proste włosy — tak proste, że opadały jak zasłony z obu stron jej twarzy.

- Owszem.

- Ma chyba tyle lat, że mógłby być jej ojcem?
- Prawie. Ale myślę, że co najwyżej mógłby być jej wujkiem.

Zapamiętała sobie, żeby przy następnym spotkaniu z Laurel powiedzieć jej, że członkowie grupy mogą ją zdenerwować komentarzami na temat wieku jej przyjaciela. Zrozumiała też, że powinna ostrzec przyjaciółkę, że wbrew

111

uprzednim zapewnieniom trafienia kulami z farbą mogą być bardziej bolesne, i uczciwie przyznać się do niewiedzy. Cóż, może nie *ostrzec*- a przynajmniej nie używać tego akurat słowa. Wiedziała, że czasem traktuje Laurel delikatniej, niż naprawdę należało, ale element przemocy zawarty w tej grze nasunął wątpliwości, czy naleganie na to, by dołączyła do nich w najbliższą sobotę, rzeczywiście jest najlepszym pomysłem. Minęło wprawdzie wiele lat, odkąd jej przyjaciółka została napadnięta, i już prawie o tym nie rozmawiały, ale to zdarzenie wyrządziło zdecydowanie więcej szkód w jej psychice, niż Laurel po sobie pokazywała. Nadal starała się opuszczać Vermont w samą rocznicę napaści.

Talia zastanawiała się czasem, czy rzeczywiście wie o wszystkim, co się zdarzyło tamtej niedzieli w Underhill. Niekiedy zadawała sobie pytanie, czy ktokolwiek posiada tę wiedzę.

Szybko się jednak opamiętała. Chodziło o paintball. O zabawę. A prawda wyglądała tak, że Laurel rzadko wychodziła z domu. Parę razy w

tygodniu widywała się wieczorem z Davidem, pływała ze swoją szefową, ale poza tym spędzała większość czasu z bezdomnymi, którzy chcieli po prostu pozostać w ciepłe schroniska. Talia była właściwie jej jedyną prawdziwą przyjaciółką. To zaś, oczywiście, rodziło pytanie o kolejną zagadkę w biografii Laurel: czemu pozwoliła Talii pozostać częścią swojego życia, skoro świadomie skazała się na wygnanie z reszty ludzkiego tłumu. Kiedyś przynależała przecież do niego. Obie do niego przynależały, obracając *się* podczas studiów w gronie młodych kobiet, które ubierały się podobnie, podobnie mówiły i dzięki zwykłej przewadze liczebnej mogły sobie wzajemnie pomagać w znoszeniu nawet najbardziej niezręcznych lub upokarzających sytuacji towarzyskich. Laurel odizolowała się jednak od reszty swojej paczki od czasu tego koszmarnego wypadku na początku drugiego roku studiów.

— Przypomnij mi - pytała teraz Vanessa głosem modulowanym przez młodzieńczy brak zainteresowania i nudę, który sprawił, że młoda pastor na powrót stała się uczestniczką rozmowy. - Właściwie dlaczego mamy grać w ten paintball?

Talia pochyliła się ku młodszej dziewczynie wsparta łokciami na ukrytych pod obcisłymi dzinsami kolanach i uśmiechnęła się najszerszej, jak umiała.

— Dlatego... i będziesz mi musiała uwierzyć na słowo... że sprawi nam to ogromną frajdę. W porządku?

Pomyślała, że musi powiedzieć to również Laurel - i to w dokładnie

taki sam sposób - gdy się z nią zobaczy.

112

ROZDZIAŁ JEDENASTY

C

ZASAMI LAUREL I JEJ SZEFOWA PŁYWAŁY OBOK SIEBIE, a czasem na bardziej oddalonych torach, w zależności od tego, jak tłoczno było na basenie, gdy przychodziły. Nie ścigały się ze sobą. Nie rozmawiały. Tak naprawdę, licząc pokonane długości basenu, nie zwracały na siebie uwagi. Kiedyś Laurel zapytała Katherine, o czym myśli pływając, i jej szefowa stwierdziła, że prawie wcale nie myśli, że na ogół się wyłącza, a gdy j uż się nad czymś zastanawia, zwykle są to rozważania bardzo prozaiczne. Jak szybko drobne skaleczenia zdają się goić w chlorowanej wodzie. Czy czepek uciska płatek jej ucha. Dlaczego jeszcze nie opanowała nawrotu pod wodą mimo cierpliwych pouczeń swojej podwładnej.

Laurel także nie snuła szczególnie głębokich myśli — nie zastanawiała się nad czarnymi dziurami, nie analizowała poezji Wordswortha — ale często podczas pływania rozwiązywała drobne problemy życiowe lub znajdowała rozstrzygnięcie dylematów, przed którymi stawali jej bezdomni klienci. Jak przywrócić komuś' tymczasową zapomogę. Czy kobieta z dzieckiem może kwalifikować się do programu dożywiania. Kto niedawno przeszedł z powodzeniem przez BEDS i może zechciałby przyjąć współlokatora. Od czasu do czasu myślała o swoim przyjacielu i zastanawiała się, czy mógłby być mężczyzną, z którym kiedyś zamieszka.

Wróciła do Vermont we wtorek po południu, a już w środę rano była z powrotem w basenie, oddzielona jednym torem od swojej szefowej, którą uważała również za swoją mentorkę. Tego rana uświadomiła sobie, że odtwarza w myślach rozmowę z Pamelą Marshfield, tak jak godzinami odtwarzała ją

113

dzień wcześniej, w samochodzie. Mimo zaprzeczeń tej kobiety - mimo wątpliwości swojej matki i ciotki — miała teraz większą niż kiedykolwiek pewność, że Bobbie Crocker był młodszym bratem Pameli. Nie zamierzała - przynajmniej na razie — lecieć do Chicago, żeby zobaczyć na tamtejszym cmentarzu nagrobek bądź mur mauzoleum z imieniem Robert i nazwiskiem Buchanan wyrytymi w marmurze lub granicie, ale powstrzymała się tylko dlatego, że nie była pewna, czego by to dowiodło. Starła się nie myśleć w kategoriach spisku, lecz spędziła wystarczająco dużo czasu ze schizofrenikami paranoidalnymi, by nie wykluczać najgorszego. Przecież nawet paranoicy mieli wrogów. Poza tym stale wracała myślami do prawdopodobnego wniosku, który sprawiał, że pływając, unosiła się gniewem: Buchananie - Daisy, Tom oraz ich córka Pamela - porzucili członka swojej rodziny który ich potrzebował. Brata. Syna. Podobnie jak tylu bezdomnych, których widywała, Bobbiego skazali na poniewierkę ludzie, którzy mieli być przy nim bez względu na wszystko. I w odróżnieniu od wielu takich rodzin, klan Buchanarów miał środki, by zapewnić byt Bobbiemu, gdy ten był w potrzebie, zamiast traktować go jak szaleńca z poddasza, którego należy ukryć przed światem bądź wyrzucić.

W rezultacie Laurel niemal ze złością zaczęła tworzyć w myślach pewien plan. Na piątek umówiła się już na lunch z Sereną Sargent, ale były też inne osoby, z którymi mogła się spotkać, łącznie z częścią lokatorów w hotelu New England. Zaczęłyby od trzech mężczyzn, którzy przyszli na pogrzeb. Musiała też zrobić coś więcej ze zdjęciami, które pozostawił Bobbie, niż tylko przeglądać je, dojadając równocześnie resztki jogurtu z kubka lub śledząc wiadomości telewizyjne. Powinna zinwentaryzować zdjęcia, których odbitki już zostały zrobione, i spróbować je opisać: kogo na nich widać, gdzie i kiedy je zrobiono. Powinna zacząć robić stykówki z pozostawionych przez Bobbiego negatywów i uważnie obejrzeć, co na nich jest. Powinna sprawdzić, czy istnieje więcej powiązań z domem w East Egg lub inne kamienie milowe znaczące trasę smutnej włóczędzy, która przywiodła go z posiadłości nad cieśniną Long Island do hotelu dla bezdomnych w Burlington i zaprowadziła, przynajmniej na krótko, na leśną drogę, na której Laurel omal nie została zamordowana.

Poza tym gdzieś w jego aktach w BEDS znajdował się numer przydzielony przez Urząd ds. Weteranów oraz numer jego ubezpieczenia. Same te cyfry mogły otworzyć rozmaite możliwości. Laurel nie powinna nadużywać dostępu do akt w ten sposób, ale Crocker nie żył i wyglądało na to, że nie zostawił nikogo, kto mógłby się tym przejąć.

114

NIKT w BEDS nie zwrócił uwagi na to, że Laurel szpera w aktach podopiecznych schroniska. Tom Buley, pracownik socjalny zatrudniony w BEDS chyba od czasów gdy Laurel była w szkole podstawowej, szukał właśnie czegoś w szufladach kartoteki. Laurel weszła obojętnie do

ciasnego, pozbawionego okien pomieszczenia gospodarczego, gdzie przechowywano papiery bezdomnych, którzy pukali do ich drzwi. Tom rzucił uszczypliwą uwagę o wiekowych metalowych szafach na dokumenty, mrucząc pod nosem, że pewnie pełniły rolę rekwizytów w tanich filmach o bombach atomowych z lat pięćdziesiątych, a gdy oddano je BEDS musiały już być bardzo stare. Laurel uśmiechnęła się, szybko znalazła cienką teczkę Bobbiego i długą chwilę studiowała treść jego formularza przyjęcia do przytułku.

Spostrzegła, że Bobbie powiedział Emily Young, że skończył jednaście klas, nie więcej, i jest weteranem wojennym. Był kawalerem: w formularzu nie tylko zaznaczono kratkę dla osób stanu wolnego, ale obok kratki dla osób żonatych i zamężnych widniały nagryzmołone — przypuszczalnie ręką Bobbiego - słowa „Może kiedyś!”. Nie było namiarów na osobę, którą należało poinformować w razie nagłej potrzeby. I żadnych śladów zatrudnienia. Na pytanie o „ostatni okres pracy” Bobbie odpowiedział: „Gdy ludzie słuchali jeszcze muzyki dyskotekowej”. Napisał, że nie ma żadnych bieżących problemów zdrowotnych poza tym, że jest „cholernie stary”, ani stomatologicznych, „ponieważ nie mam zębów”. Laurel nie była pewna, jak rozumieć fakt, że Emily pozwoliła mu wpisać do formularza własnoręcznie tyle komentarzy i że niektóre ze swoich odpowiedzi Crocker kończył wykrzyknikami.

Bobbie przyznał, że cierpi na udokumentowaną chorobę umysłową, i Emily napisała obok: „Być może cierpi na psychozę dwubiegunową, być może jest paranoikiem, prawdopodobnie schizofrenikiem”. Zaznaczyła pola, z informacją, że otrzymał poradę psychologiczną i był prowadzony przez lekarza psychiatrę, a także leczony w szpitalu psychiatrycznym. Ter-

miny leczenia określono po prostu słowem „niedawno”. Crocker przyznał (wręcz chwalił się tym), że kiedyś miał poważne problemy alkoholowe, ale „poradził sobie z nimi!” przed wielu laty. Nie miał żadnego adresu i powiedział, że jest trwale bezdomny. Na formularzu był numer Medicaid, numer z Urzędu ds. Weteranów oraz numer ubezpieczenia społecznego - wszystkie, jak się wydawało, dopisane później przez Emily.

Laurel zapisała pospiesznie najważniejsze dane na żółtym bloczku i wsunęła teczkę z powrotem do szuflady.

115

W ŚRODĄ WIECZOREM, zanim jeszcze poszli na kolację, Laurel i David pojechali do jego mieszkania nad jeziorem i rzucili się do łóżka w sypialni, z okien której roztaczał się spektakularny widok na Adirondack. David spróbował delikatnie ułożyć się na niej, ale Laurel jak zawsze się temu sprzeciwiła — przygważdżając go do materaca dłońmi ułożonymi na jego piersi i opierając się na nich w chwili, gdy go dosiadała - a on dał za wygraną. Od lata po pierwszym roku studiów w college'u nie współżyła z żadnym mężczyzną w tej pozycji; mimo spostrzeżenia jej psychoterapeuty, że to lękowa - aczkolwiek naturalna - reakcja na napaść, nie sądziła, by kiedyś znowu na to pozwoliła.

Później, po stosunku, opowiedziała Davidowi szczegółowo o swojej wizycie u Pameli Buchanan Marshfield.

- Chcesz rady przed następną taką rozmową? — zapytał. Laurel z zadowoleniem pogrążyła się w błogim letargu. On także. Leżała zwinięta w kłębek z głową wtuloną w jego pierś, patrząc z roztargnieniem, jak siwe włosy zaczynają wdzierać się w czarny gąszcz porastający

okolice mostka. David oczywiście nigdy nie widział jej piersi, ponieważ Laurel na to nie pozwalała; nawet wtedy, gdy się kochali, nosiła jedną z licznych halek i koszulek lub eleganckie kuse T-shirty. Tego wieczora była to krótka jedwabna halezka na ramiączkach w kolorze — jak napisano w katalogu — światła słonecznego. Laurel odniosła wrażenie, że David może czuć się trochę winny, że raz jeszcze sprawdzał, czy nie pozwoli to jemu być na górze, i zastanawiała się, czy nie zapewnić go, że nie uczynił nic nierozsądnego — czuła, że David w podziwu godny sposób cierpliwie znosi zarówno jej tajemnicę, jak i widoczne blizny. Nie chciała jednak ryzykować zepsucia tej przyjemnej chwili.

- Oczywiście — odparła po prostu.
- Gdy twój rozmówca skończy odpowiedź na twoje pytanie... powiedział wszystko, co chce powiedzieć... mówisz „Yhm”, po czym milkniesz. Wyczekujesz go. Nie martw się, nie będziesz musiała czekać zbyt długo. W dziewięciu przypadkach na dziesięć poczuje się zmuszony coś dodać. I niezmiennie chodzi o prawdziwą rewelację.
- Naprawdę?
 - Skutkuje prawie zawsze... nawet w rozmowach na najbardziej pikantne tematy. Najciekawsze rzeczy mówią właśnie po „Yhm”.
- Zapamiętam to.
- Szukałaś Bobbiego Crockera w przeglądarce Google'a?

- Tak. Buchanana także. I nic nie znalazłam. I to po wypróbowaniu wszystkich kombinacji z Crockerem i Bobbiem oraz Buchananem i

Robertem. Zajrzałam także do formularza przyjęcia i zdobyłam takie dane jak numer ubezpieczenia społecznego i numer z Urzędu ds. Weteranów.

- Jako dziennikarz jestem z ciebie dumny. Jako etyk już nie tak bardzo.
- Uważasz, że popełniłam błąd, zdobywając te numery?
 - Może postąpiłaś trochę dwuznacznie. Ale sądzę, że nic się nie stało. Naprawdę. Nie masz chyba zamiaru kraść jego tożsamości - rzekł beztrąsko. - Prawda?
- Nie wiem. Bobbie to imię dość androgyniczne...
- To prawda. Zwłaszcza w niektórych rejonach Południa.

Zamiast dezodorantu David stosował pod pachami talk, który pachniał jak werbena. Laurel zwracała na to uwagę wyłącznie w łóżku, ale bardzo lubiła tę woń.

- Powinnam też sprawdzić, czy jest jakaś informacja o wypadku samochodowym w Grand Forks.
- Owszem, ale wydarzył się tak dawno temu, że to bardzo mało prawdopodobne. .. chyba że...

David ziewnął, więc Laurel dobrodusznym szturchnięciem dała mu znak, by mówił dalej.

- Chyba że chłopak, który zginął z Buchananem...
- Przy złożeniu, że Buchanan naprawdę zginął - wtrąciła Laurel.
 - Tak, przy tym założeniu. Ale do tego można by dojść na podstawie numeru ubezpieczenia. W każdym razie czuję, że jeżeli ten drugi chłopak nie był synem jakichś ważniaków z Grand Forks i jakaś gazeta nie prześledziła dziejów tej rodziny w ostatniej dekadzie, o wypadku dowiesz się niewiele. Gdybyś chciała, mógłbym poszukać w

Lexis-Nexis w moim biurze.

- Chciałoby ci się?
 - Oczywiście. Muszę jednak przyznać, że nie liczę na znalezienie cze-
gokolwiek. Ale nie zaszkodzi sprawdzić.
- Dziękuję.
 - I ta kobieta z Long Island powiedziała, że jej brat został pochowany w
Chicago, prawda?
- Tak. Na Rosehill. Chyba w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym.
 - Cóż, chyba da się odnaleźć świadectwo zgonu, co potwierdziłoby...
albo, jeżeli go nie znajdziemy, podważyłoby jej wersję. Pozwól, że
trochę

117

popracuję w sieci. W gazecie mamy serwisy informacyjne, które
abonujemy, dostępne tylko dla dziennikarzy. Zobaczymy, co jeszcze
możemy znaleźć. A jeżeli to nie poskutkuje, zawsze można schodzić
zelówki.

— Zelówki? — zdziwiła się Laurel. — To jakaś kolejna
wyszukiwarka?

David roześmiał się i Laurel poczuła, jak faluje mu pierś.

- Nie. Jeżeli naprawdę pasjonuje cię twoje nowe hobby, sama jedź na
Rosehill i studiuj archiwa. Sama jedź do sądu okręgowego w swoim zakąt-
ku Long Island, żeby zobaczyć, jakie dokumenty się zachowały. Oraz do
miejscowej biblioteki. Na dobrą sprawę, jeżeli jej brat rzeczywiście zginął
w wypadku samochodowym, może napisano o tym w gazecie.

Na komodzie naprzeciw jego łóżka stało zdjęcie dwóch córek Davida stojących na szczycie Snake Mountain, pagórka z płaskim wierzchołkiem na południe od jeziora. Włosy miały rozwiane i rozczochrane, ich okrągłe buzie były umazane brudem po pieszej wycieczce. Wyglądem wyraźnie przypominały piękne zdziczałe istoty. David zrobił to zdjęcie tamtego lata i Laurel wyobraziła sobie, jak klęczy niespełna dwa metry od nich, bez najmniejszej zadyszki. Był szczupły, atletycznie zbudowany i silny: to wróżyło mu długie życie. Przewidywała, że przeżyje jej ojca o dziesięciolecia, i nagle ucieszyła się na myśl, że te dziewczynki mają tatę, który jest im oddany i bardzo dba o siebie. Który w odległej przyszłości może nie będzie częścią jej życia, ale na pewno będzie częścią życia swoich córek.

BYŁ TO STRZAŁ w ciemno i Laurel niczego po nim nie oczekiwała. Ustawa o możliwości przekazywania danych o ubezpieczeniu zdrowotnym i odpowiedzialności za nie zabraniała dostawcom usług w ochronie zdrowia ujawniania informacji o pacjentach osobom niezwiązanym z bieżącą opieką nad nimi. Jej celem była ochrona prywatności pacjentów i zapewnienie, by nigdy nie wykorzystano ich do-kumentacji medycznej przeciwko nim ani nie upubliczniono jej bez ich zgody. Mimo to nazajutrz, w czwartek, Laurel zadzwoniła do szpitala stanowego w Waterbury, żeby się przekonać, czy któryś z jego pracowników powie jej coś o pacjencie nazywającym się Bobbie Crocker. Nikt nie mógł — czy też, dla ścisłości, nikt nie chciał tego zrobić. Rozmawiała z sympatycznym młodym człowiekiem, który przypuszczalnie był w jej wieku i opiekował się pacjentami, a potem z grzeczną, lecz powściągliwą asystentką w biurze dyrektora. Wyjaśniła im obojgu, że jest pracownicą BEDS, i

sprecyzowała, dlaczego interesują ją wszelkie informacje, które mogliby podać.

118

Nie mogli podać żadnych.

Nie wolno im było nawet przyznać, że staruszek nazwiskiem Crocker leczył się kiedyś w ich szpitalu.

Laurel wybierała się tamtego wieczoru do ciemni, ale po drodze wstąpiła do swojego mieszkania i znalazła wiadomość, którą Talia zostawiła jej na stoliku w salonie.

Co się dzieje, proszę pani? Unikasz mnie? Powinnam wrócić między 6a 6.30. Zjedzmy razem kolację i nadróbmy zaległości. Chcę się dowiedzieć wszystkiego o Twojej podróży do domu.

XOXOXO, T

Ostatni raz widziała się z Talią przed swoim wyjazdem na Long Island. We wtorek wieczorem jej współlokatorka wyszła z przyjaciółmi, a środowy wieczór Laurel spędziła u Davida. Mogły zjeść razem śniadanie w środę rano, po jej wizycie na basenie, ale ponieważ Laurel od paru dni nie bywała w biurze, poszła prosto do schroniska. Tak długie okresy braku kontaktu między nimi w czasie gdy obie były w mieście, dotychczas się nie zdarzały. Laurel zastanawiała się nad zmianą planów i odłożeniem wyprawy do ciemni na porę po kolacji, ale w końcu stwierdziła, że nie chce czekać tak długo. Poza tym uznała, że zobaczy się z Talią w piątek, choćby tylko po to, by poznać szczegóły sobotniej wycieczki do ośrodka gry w paintball. Skreśliła więc pospiesznie krótki list z przeprosinami, po

czym spakowała negatywy, odbitki, a nawet zdjęcia migawkowe Bobbiego. Postanowiła trzymać wszystko razem w swojej szafce obok uniwersyteckiej ciemni na wypadek, gdyby chciała porównać poszczególne zdjęcia. Potem zeszła cicho po schodach i na powrót odetchnęła rześkim jesiennym powietrzem. Zamierzała coś zjeść w domu, ale wolała nie ryzykować. Im dłużej zwlekała, tym większa była szansa, że Talia może wrócić - a wtedy Laurel mogłaby zabrać się do pracy dopiero po kilku godzinach.

STYKÓWKI ŚWIADCZYŁY O TYM, jak bardzo zniszczone są negatywy, ale Laurel sumiennie dalej czyściła je i robiła z nich odbitki, w każdym przypadku będąc dobrej myśli. Niektóre fotografie, dopóki nie znalazła nikogo, kto byłby skłonny odtworzyć je cyfrowo, miałyby wielkie rysy i pęknięcia biegnące przez środek bądź całe fragmenty zamazane i zaciemnione. W pewnym

119

momencie jakiś student, młodszy od Laurel o pięć, sześć lat, który także pracował tego wieczoru w dużej uniwersyteckiej ciemni, zajrzał do jednej z jej kuwet. Był krępy, niskim osobnikiem w wyciągniętym podkoszulku z kilkoma kolczykami w jednym uchu i falami zmierzwionych włosów w kolorze koguciego grzebienia. W czerwonym świetle ciemni wyglądał niemal tak, jakby wyjęto go z kart komiksu.

- To Eisenhower — zauważył triumfalnie, wskazując na zdjęcie w kuwecie.
- Wiem - mruknęła Laurel. Przypomniała sobie, jak ktoś kiedyś opowiadał, że Bobbie twierdził, iż ten prezydent był mu winien

pieniądze.

- W takim razie to nie *ty* je zrobiłaś. Pewnie są wiekowe.
- Wiekowe nie, ale stare.
- I to bardzo. - Student zaglądał przez chwilę do kąpielni chemicznej, po czym dodał: — To z Wystawy Światowej. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty. Queens. Ta kula nadal stoi. Niedaleko Shea Stadium.
- Racja. - Laurel odpowiadała tak apatycznie, jak tylko mogła, wystrzegając się ostentacyjnej nieuprzejmości. Miała nadzieję, że po prostu sprawia wrażenie zapracowanej. Zaabsorbowanej. Skupionej.
- Kto je zrobił?
- Pewien stary człowiek. Niedawno zmarł.
- Z pewnością niezbyt troszczył się o swoje rzeczy.
- Owszem — zgodziła się Laurel.
- Szkoda. Dobry był. - Tak.
- Ja fotografuję głównie metal, wiesz?

Nie wiedziała, ale potwierdziła skinieniem głowy. Była ciekawa, czy dalej będzie paplał, jeżeli ona sama zachowa milczenie. Bała się, że będzie nalegał, by obejrzała jego prace.

— Tak, samochody, rowery i ogniwa łańcucha w zbliżeniach. Tego rodzaju obiekty.

Laurel znowu kiwnęła głową. Nieznacznym, ledwie dostrzegalnym ruchem.

— Czasem, gdy mówię, że fotografuję głównie metal, ludzie

myślą,

że

chodzi o rocka. O zespoły muzyczne. Wiesz, jak w heavy metalu.

Laurel westchnęła, ale zrobiła to odruchowo, nie z politowaniem. Będzie musiała być nieuprzejma albo przynajmniej oziębła. Zaczęła bardzo

120

ostentacyjnie gapić się na negatywy wiszące ze znajdującego się za nią drutu, jakby młodzieniec był zupełnie niewidzialny, i gdy nie powiedziała nic więcej, on mruknął z wielką powagą:

- Jejkę, mam masę roboty. Aloha.
- Powodzenia - powiedziała Laurel, rzucając to słowo odruchowo, jak kość psu, i ku jej wielkiej uldze chłopak wrócił do swoich odbitek. Pracowała przez kolejne dwie godziny, długo po tym, jak wyszedł, do momentu zamknięcia ciemni na noc. Obserwowała, jak w płytkich wannach ukazują się nie jeden, lecz dwóch prezydentów (tym drugim był Lyndon Johnson w dużym kapeluszu i bolo pod szyją), a także aktorka z jakiegoś nieznanego jej musicalu, której nazwiska nie umiała sobie przypomnieć, krzykliwie odziany perkusista jazzowy z papierosem w ustach, rząd suszarek do włosów w salonie fryzjerskim — ich hełmy przypominały nocniki z podłączonymi grubymi węzami harmonijkowymi — młodzieńcy Jesse Jackson obok kobiety, którą przypuszczalnie była Coretta Scott King, jakiś osobnik, w którym zdołała dopatrzeć się Muddy'ego Watersa (ale mógł to być ktoś inny), samochody ze statecznikami na błotnikach, lampa woskowa, Bob Dylan, starsza kobieta, przypuszczalnie jakaś pisarka, saksofony (trzy), stragan warzywny w pobliżu Czternastej Ulicy na Manhattanie,

łuk na placu Waszyngtona, wierzchołek Chrysler Building, sześć następnych fotografii z Wystawy Światowej sześćdziesiątego czwartego roku oraz - ze znacznie nowszych negatywów zrobionych innym aparatem — tak znienawidzona przez nią leśna droga w Vermont. Na jednej odbitce widać było tę młodą kobietę na rowerze górskim. I znowu, podobnie jak na tym sztucznie postarzonej zdjęciu, które Bobbie nosił przy sobie i które Laurel po raz pierwszy ujrziała w pudle przyniesionym do jej biura przez Katherine, dziewczyna znajdowała się zbyt daleko, by Laurel mogła rozpoznać rysy jej twarzy. Ryła jednak wysoka i chuda, a rama roweru z pewnością przypominała jej poobijanego treka.

Były też oczywiście trzy negatywy z duzoobrazkowego aparatu ukazujące łuk podkowiastego podjazdu, który biegł od nadbrzeżnej drogi w East Egg do posiadłości Buchananów i Marshfieldów. Laurel zobaczyła na nich samochód zaparkowany obok schodów od frontu i chociaż niewiele wiedziała o samochodach, poznała, że to ford mustang. Biała karoseria, czarny sztywny dach. Laurel była całkiem pewna, że pochodzi z lat sześćdziesiątych.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

K

ATHERINE MAGUIRE, ZAMKNAWSZY NA MOMENT oczy, zwróciła twarz ku

porannemu wrześnieowemu słońcu. Szła obok magistrackiej prawniczki Chris Fricke wybrukowaną drogą, która od dziesięcioleci prowadziła do zbiegu pasaży handlowych w Burlington. Katherine uważnie słuchała mecenas Fricke, a zarazem delectowała się ciepłem słońca na swoich powiekach.

- Jego kancelaria prawna mieści się na Manhattanie, ale tak naprawdę posiada lokum w Underhill... drugi dom, nie biuro. Tak więc trochę już wie o BEDS — wyjaśniła Chris, a obcasy jej butów stukały o kostkę co trzy lub cztery wypowiedane sylaby. Chris była jedną z magistrackich prawniczek, która wspierała BEDS od sześciu lat, niemal od dnia, gdy została adwokatem i zaczęła pracować dla miasta. Była trochę starsza niż dyrektor BEDS — Katherine przypuszczała, że Chris liczy sobie pięćdziesiąt parę lat — i stanowiła naprawdę budujący przykład: studia prawnicze rozpoczęła dopiero wtedy, gdy młodszy z jej dwóch synów poszedł do szkoły średniej. Podobnie jak większość pracowników magistratu była energiczna, zdecydowana i całkowicie pewna, wbrew wszelkim dowodom podważającym tę pewność, że tym, co robi, zmienia świat. Poświęcała nawet czas na wolontariat w schronisku, co wykraczało poza zaangażowanie większości prawników, którzy współpracowali z BEDS. Spróbowała zrozumieć, jak okropnie jest na ulicy oraz czego naprawdę potrzebują ludzie bezdomni, i w ten sposób zyskała lojalność i szacunek Katherine.

- Zobaczył ogłoszenie, które zamieściliśmy w gazecie? - zapytała Katherine.

- On albo jego klientka. Tak czy inaczej, dowiedział się, co znaleźliśmy, i uważa, że te zdjęcia mogły należeć do jego klientki, starszej pani mieszkającej na Long Island.
- I chce, żebyśmy mu je oddali?
- Sprawiasz wrażenie rozczarowanej — zauważyła prawniczka.
 - Bo jestem rozczarowana. Chciałam się upewnić, że zdjęcia nie należały do kogoś, ponieważ tak wypada i dlatego, że chciałam się zabezpieczyć. Ale oczywiście chcę, żeby zostały w BEDS. Naprawdę nie sądziłam, że ich prawdziwy właściciel się kiedyś pojawi.
 - Nie wiemy na pewno, że to prawdziwy właściciel. Opisałam zdjęcia, które znajdowały się w pudełku, i możliwe, że ta kobieta nim jest. To mogłyby być zdjęcia jej domu, a ona mogłaby być jednym z dzieci na zdjęciu migawkowym.
- Powiedziałaś, że to starsza pani. Ile ma lat?
 - Osiemdziesiąt parę. Wystarczająco dużo, by odpowiadać wiekiem dziewczynce na jednym ze zdjęć. Ale dobrze się trzyma - odparła Chris. — Może jest zdziecinniała, ale wygląda na to, że bardzo twarda z niej sztuka. Wciąż zdrowa, wciąż dobrze poinformowana.
- Czy ten prawnik wyjaśnił, dlaczego chce mieć te zdjęcia.
 - Przypuszczalnie dlatego, że na nich jest. Albo że jest na nich jej dom. Kolekcjonuje sztukę i jakiś czas temu zniknęły niektóre z jej zdjęć. I część negatywów. Chce więc, byśmy zwrócili cały ten kram. Z pewnością zaś nie życzy sobie, by Laurel coś drukowała. Chce, byśmy wysłali wszystko temu prawnikowi, tak aby mogła odzyskać zdjęcia, które jej zdaniem należą do niej.

- Czy twierdzi, że jest jakoś spokrewniona z Bobbiem?
 - Wręcz przeciwnie. Utrzymuje, że nic go z nią nie łączy. Twierdzi, że rzeczywiście miała brata, ale zginął jakiś czas temu. Ona i jej prawnik nie są pewni, gdzie Bobbie zdobył zdjęcia migawkowe jej rodziny oraz domu i odbitki, które stanowiły część jej zbioru. Czuje jednak, że naruszono jej prawa, i chce odzyskać fotografie.

Katherine stanęła w miejscu i odwróciła się od słońca do prawniczki.

- Musimy to zrobić? - Zdała sobie sprawę, że w jej głosie pobrzmiewa rozdrażnienie, i ten ton się jej nie spodobał. Był to jednak odruch.

124

-Niekoniecznie. Musimy się temu trochę uważniej przyjrzeć. Na ironię zakrawa to, że gdyby ta kobieta była spokrewniona z Bobbiem Crockerem, mogłaby mieć prawo do tych fotografii jako jedyny żyjący członek jego rodziny. Ponieważ jednak nie jest spokrewniona, znacznie trudniej jest jej twierdzić, że są jej własnością. Sam fakt, że widać ją na zdjęciach, nie oznacza, że ma do nich prawo.

Katherine poczuła lekki rumieniec na twarzy i uznała, że jest on spowodowany nie tylko słońcem.

- Słuchaj, chcę urządzić Bobbiemu wystawę. Zasłużył na nią, ale gdy żył, odmówiliśmy mu, bo nie potraktowaliśmy go poważnie. Przynajmniej ja nie potraktowałam go serio.
- Naprawdę źle się z tym czujesz, co?
 - Tak, trochę. Ale chodzi też o inne kwestie: po pierwsze, te fotografie są wspaniałą promocją dla osób, którym służymy. Pokazują, że człowiek, który zrobił w swoim życiu coś niezwykłego, który poznał

ważnych ludzi, też mógł stać się bezdomny. Po drugie... a może wcale nie po drugie... liczę na to, że ten zbiór może być sporo wart dla BEDS, jeżeli potrafimy uczynić z tej wystawy kwestę.

- To żaden problem... zakładając oczywiście, że nie będziemy musieli oddać wszystkiego tej kobiecie z Long Island. - Chris spojrzała na zegarek i stukając obcasami, ruszyła Church Street w dalszą drogę do swojego biura w ratuszu. Po chwili dodała: - I nie zdziw się, jeżeli ten prawnik zadzwoni do ciebie... albo do Laurel.
- Naprawdę?
- Może to zrobić. Nie dostał ode mnie tego, co chciał, niewykluczone więc, że spróbuje dotrzeć do jednej z was.
- Och, mam nadzieję, że nie zadzwoni do Laurel.
- Z jakiegoś szczególnego powodu?
- Bobbie... czy też ktoś inny... zrobił parę zdjęć klubu pływackiego, gdzie Laurel bywała w dzieciństwie. I wnioskuję, że w całej kolekcji jest co najmniej jedno zdjęcie dziewczyny na rowerze w Underhill - na tej samej leśnej drodze, na której Laurel została napadnięta.
- Zdjęcie dziewczyny w wieku Laurel?
- Tak sądzę. Nie widziałam go, ale Laurel natknęła się na nie i opowiedziała mi o nim. Chyba wywołało w niej wstrząs. A skojarzenie tych zdjęć sprawiło, że bardzo się... zaangażowała.

Prawniczka także знаła historię **Laurel** i **Katherine** spostrzegła, że **teraz** spogląda na nią nerwowo.

- To nieprzyjemny zbieg okoliczności.
- Klub pływacki czy dziewczyna na rowerze?
- Jedno i drugie - odparła Chris.
 - Ale to tylko zbieg okoliczności — wyjaśniła Katherine, nagle poczuw-szy się trochę zepchnięta do obrony. — Nic poza tym. To musi być zbieg okoliczności, prawda? I nie miałam pojęcia, że w pudle są te zdjęcia, gdy zaproponowałam, żeby je przejrzeć.

Chris pokręciła głową.

- A jednak Laurel na pewno irytowała trochę świadomość, że bezdomny schizofrenik robił zdjęcia tego basenu, a potem dziewczyny na rowerze.

Katherine zastanawiała się, czy jej przypomnieć, że wówczas Bobbie chyba miał jeszcze dach nad głową. Zrozumiała jednak, do czego zmierza Chris — chodziło jej o słabe punkty Laurel — tak więc się pohamowała. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła poważnego błędu, oddając Laurel to pudło ze starymi fotografiami.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

H

OWARD MASON, PACO HIDALGO I PETE STAMBOLINOS przyszli na pogrzeb Bobbiego na cmentarzu wojskowym w Winooski. W piątek rano Laurel dała sobie spokój z pływaniem i poszła prosto do hotelu New England, gdzie zjadła z nimi śniadanie w kuchni, z której wspólnie korzystali jego mieszkańcy. Nie miała pewności, czego się od nich dowie, ale była tak bardzo przejęta perspektywą tego spotkania, że wstała i wyszła z domu,

zanim zza drzwi sypialni Talii dobiegły jakiekolwiek szmery. Ponieważ zaś później miała zjeść lunch z Sereną Sargent, wierzyła, że przed zmrokiem w sprawie tożsamości Bobbiego Crockera będzie wiedzieć znacznie więcej, niż wiedziała teraz.

Kuchnia w starym hotelu niewiele różniła się wielkością od kuchni w większości podmiejskich domów. Była funkcjonalna i mieszkańcom schroniska dla bezdomnych — a wcześniej ulicy — bardzo ułatwiało to życie, ale nikt nie zamierzał jej pokazywać w magazynie wnętrzarskim. Szafki, ofiarowane przez pobliski sklep z meblami kuchennymi i łazienkowymi, wykonano z prasowanego drewna, a linoleum na podłodze otrzymali od szkoły średniej, w której przerabiano stołówkę. Poza tym osiemnastu lokatorom nie było łatwo wspólnie korzystać z kuchenki z czterema palnikami, z jednego piekarnika i jednej lodówki, która świetnie służyłaby jednej rodzinie, ale była zdecydowanie za mała dla całej masy litrowych, półlitrowych oraz okazjonalnie wciskanych na górne półki dwulitrowych kartonów z napojami. W kuchni stał jeden okrągły stół.

127

Gdy Laurel przyszła tam w piątek rano, ze zdziwieniem stwierdziła, że trzech mężczyzn przygotowało naprędce ucztę. Ujrzała meksykański pieróg śniadaniowy nadziewany półmiękkim jasnożółtym serem i czerwoną papryką, smażone na tłuszczu grzanki z grubą warstwą masła i cukru pudru oraz pączki z dżemem kupione w sklepie ogólnospożywczym za rogiem. Pomyślała, że temu posiłkowi powinna chyba towarzyszyć angioplastyka, ale wzruszyły ją ich starania. Domyśliła się, że brak im towarzystwa.

Howard wskazał z namaszczeniem na blat kuchenny, gdzie jedzenie było wystawione niczym dania barowe w restauracji i zapytał:

- Dobre, co?
- Wygląda świetnie - odparła Laurel. - Nie wiem, od czego zacząć.
 - Zawsze zaczynaj na słono. I kończ na słodko - poradził Paco. Paco był mniej więcej w wieku jej matki, ale skórę miał tak wysuszoną i szarą, że wyglądał wystarczająco staro, by móc być jej dziadkiem.
- Można by również postępować zgodnie z hasłem z naklejek, jakie widuje się na zderzakach samochodów - rzekł Howard. - „Zycie jest krótkie. Zaczynaj od deseru”. Zawsze mi się ono podobało.

Laurel nałożyła sobie na talerz wszystkiego po trochu. Z czajnika stojącego na kuchence wlała do kubka gorącą wodę i zajęła krzesło, które Howard odsunął dla niej zgrabnym ruchem od stołu. Potem zamoczyła w niej torebkę z herbatą, przyglądając się i czekając, aż każdy z trzech mężczyzn usypie na swoim talerzu małą górę jedzenia.

- Chcesz więc dowiedzieć się czegoś o Bobbiem - rzekł szorstko Pete, gdy tylko usiadła. Wsparł brodę na dłoni i w miejscu, gdzie normalnie nosił stary zegarek, ukazała się „bransoletka” nieopalonej białej skóry. Podobnie jak większość mieszkańców hotelu New England, latem i jesienią spędzał sporo czasu na dworze: potrzebował zarówno ucieczki od ciasnoty swojego spartańskiego pokoju, jak i codziennego zajęcia, które zapewniało mu komfort psychiczny. Laurel wiedziała, że Pete lubi przesiadywać na ławce niedaleko siedziby Armii Zbawienia, nasłonecznionej rano i ocienionej po południu. Czasem brylował tam, a czasem po prostu spał. Nie pił już, ale Laurel nie miała pojęcia, jak przestał. Zbyt gniewnym okiem spoglądał na świat,

by być członkiem AA.

- Kiedyś był bogaty — poinformował ich Howard. — Obrzydliwie bogaty.
- Taa, ja też - odparł Pete.

128

- Nieprawda - zaprzeczył Howard.
 - Może wszyscy byliśmy bogaci pod różnymi względami - oświadczył Paco.
- Niee, Bobbie naprawdę był bogaty - upierał się Howard.
 - A skąd o tym wiesz? - zapytał go Pete głosem lodowatym i gniewnym zarazem. — Howardowi zrzędała mina. - Skąd mógłbyś to wiedzieć? Bobbie nie pamiętał nieraz nawet, skąd pochodzi. A kiedy indziej prowadził długie rozmowy ze swoim ojcem. Z nieżyjącym ojcem, Laurek.. żebyś wiedziała. Nie traćmy z pola widzenia faktu, że ten człowiek przebywał w szpitalu psychiatrycznym.
- O jakich sprawach dyskutowali? - zapytała.
- Przecież to on słyszał głosy. Nie ja.
 - Och, rozumiem. Zastanawiałam się po prostu, czy może powiedział, i co mówiły.
 - Gdy ludzie mówią do siebie publicznie... a zwłaszcza gdy wkurzają się na człowieka, który od pewnego czasu nie żyje... prędzej poproszę ich, żeby się przymknęli, niż żeby zdradzili mi swój wielki sekret.

Laurel nie zdziwiło, że Bobbie był zły na ojca, domagała się więc dalszych wyjaśnień:

- Pewnie więc słyszałeś, co mówił.

Pete przewrócił oczami.

- Mówił, że jego tato miał sporo znajomości, duży wpływ na właściwych ludzi. No wiesz, wyświadczał im przysługi. Bobbie nie rozumiał więc, dlaczego jego stary nie wzywa kogoś, by mu przyszedł z pomocą. Czy jeszcze lepiej, by przyszedł z pomocą komuś jeszcze. Muszę przyznać, że Bobbie rzadko prosił tatę o pomoc dla siebie. Czasem w tych rozmowach pojawiali się niektórzy z nas. Kiedyś, próbując go zmusić po prostu do zamknięcia jadaczki, powiedziałem, że nie potrzebuję od jego ojca żadnej pomocy. A gdy to go nie uciszyło, powiedziałem mu, że jego tato naprawdę dobrze słyszy i że nie musi mówić tak głośno. I tym, dziękuję bardzo, zmusiłem go przynajmniej dla odmiany do szeptu.
- Wszystkich znał - rzekł nagle Paco.
- Ojciec Bobbiego? - zapytała Laurel.
- Nie. Bobbie.
 - Mówił, że znał ludzi, którym robił zdjęcia - wyjaśnił **Pete**, wsuwając kęs grzanki do ust. — Ponoć właśnie tak ich poznał.

129

— Nigdy nie pokazywał wam swoich zdjęć, prawda? — zapytała

Lau
rek

Pete głośno zachichotał, wydając z siebie przeciągły skowyt, i rozparł się na krześle z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- W żadnym razie. Twierdził, że ktoś na nie poluje. Na nie albo może na niego.

- Wiesz kto?
 - Wszechobecni oni. Połowa czubków w tym hotelu myśli, że ktoś na nich poluje.
 - Grzanki bardzo dobrze smakują też z dżemem winogronowym - rzekł Howard. - Jeżeli nie stać cię na prawdziwy syrop klonowy, nie zastępuj go sztucznym. Po prostu użyj dżemu winogronowego.
- Czy powiedział wam, gdzie mieszkał, gdy był fotografem?
- O ile nim był — zauważył Pete.

- Był, widziałam te zdjęcia - odparła Laurel. - Wczorajszy wieczór spędziłam w ciemni na uniwersytecie, robiąc stykówki oraz odbitki z części negatywów. On naprawdę był fotografem.

- Skubany.

- Skubany — powtórzyła Laurel.

— Co przedstawiają? - zapytał Paco. - Naprawdę sławnych ludzi?

Laurel opowiedziała im o zdjęciach, które Bobbie zostawił, i o tym, co zobaczyła na negatywach, z których poprzedniego wieczoru zrobiła odbitki. I wtedy Pete zaskoczył ją pytaniem:

- Byłaś już w bibliotece? Przejrzałaś stare czasopisma na mikrofilmach? Coś ci powiem: sprawdź w „Life” i „Look”. Mają je wszystkie. Wtedy z opisów dowiesz się na pewno, czy Bobbie zrobił te zdjęcia czy nie.

- Znakomity pomysł — zgodziła się Laurel.

Howard uśmiechnął się szeroko i spojrzał z dumą na swojego przyjaciela.

- Pete może i jest najbardziej gburowatym sukinsynem, jakiego znam,

ale również jednym z najbardziej inteligentnych.

- Zrobiłem grzanki. Nie jestem gburowaty.
- Bobbie powiedział mojej znajomej, że pochodzi z Long Island - oświadczyła Laurel. - Czy mówił o tym któremuś z was?
- Taa. I dorastał nad zatoczką w cieśninie - odparł Paco i Laurel natychmiast poczuła elektryzujący dreszcz w piersi.

130

- Co jeszcze?
- Mówił, że mieszkał w rezydencji.
- Czy wspominał kiedyś o rodzeństwie? Howard zlizął z palców pączkowy cukier puder.
- Nie przypominam sobie.
- Kiedyś mieszkał we Francji - rzekł Pete. — Tak przynajmniej **mówił**. Twierdził, że walczył tam podczas drugiej wojny światowej.
- Kiedy tam mieszkał? - zapytała Laurel. — Powiedział ci?
 - Przypuszczam, że tuż po wojnie. Walczył tam, a potem wrócił. **A może** po prostu został. Nie wiem. Był w Normandii.
 - A później mieszkał chyba na Środkowym Zachodzie - rzekł Howard.
 - Na Środkowym Zachodzie? - W głosie Laurel zabrzmiało wyraźne zaskoczenie.
 - Co, sądzisz, że to niemożliwe? — zapytał Pete. — Wydaje się o wiele bardziej prawdopodobne niż to, że mieszkał w jakiejś francuskiej willi otoczonej mnóstwem słoneczników.

- Myślę, że wszystko jest możliwe. Po prostu nie wyobrażałam go sobie na Środkowym Zachodzie... ani, jeśli już o to chodzi, we francuskiej willi ze słonecznikami.

- Ejże, nie mam pojęcia, czy w tej willi były słoneczniki. Mówił jedynie, że narodowi socjaliści przejęli ją dla swoich oficerów i mocno zniszczyli, a potem Amerykanie ostrzelali część budynku. Była tam ponoć winnica i rzędy pokrytych winoroślą altan, ale gdy wojna się skończyła, już dawno ich tam nie było. Z jednego skrzydła willi... oczywiście nie tego, w którym mieszkali... została tylko wielka sterta gruzu.

- Czemu tam wrócił? Chodziło o kobietę?

- Tak twierdził.

- Czy wyjawiał któremuś z was jej nazwisko? Albo nazwę miasta?

Trzej mężczyźni spojrzeli na siebie obojętnie. Najwyraźniej nie zrobił tego.

- Dobrze więc, co mówił wam o Minnesocie? — zapytała. - Kiedy tam mieszkał?

- Słuchaj, *mieszkał tam* sugeruje chyba zbyt wiele. Nie wiem, czy był tam miesiąc, czy rok.

- Tak czy inaczej: z jakiego powodu?

131

- Podobno miał tam rodzinę. To oczywiście nic nie znaczy, bo twierdził również, że ma rodzinę w Kentucky - odparł Pete, unosząc swój plastikowy talerz pod kątem, a następnie zgarniając zeń widelcem resztki meksykańskiego pieroga. - Gdyby zapytać go we właściwym

dniu, powiedziałby, że ma krewnych na Marsie.

- Cóż, myślę, że rzeczywiście miał kuzynów w Kentucky. Kogo twoim zdaniem miał w Minnesocie?
- Tego nie wiem - mruknął Howard i jego głos niemal natychmiast przygasł.
- Czy wymienił kiedyś jakieś miasto?
- Nie. Tak... wymienił. Saint Paul. Czy Saint Paul jest w Minnesocie?
- Oczywiście.
- I...
- Tak?
- Kiedy teraz o tym myślę, może faktycznie wspominał coś o mieszkającym tam dziadku - mówił dalej Howard, a przypominanie sobie było tak wyczerpujące, że z wysiłku zmarszczył czoło. - Czy to możliwe, by miał dziadka w Minnesocie?
- Z pewnością. Co jeszcze? Dzielnica? Nazwa? Ulica? Cokolwiek?
- Och, szkoda, że wiem tylko tyle. Chyba mówił więcej, ale moja pamięć. Nie jest już taka jak kiedyś.
- A Chicago? Czy kiedyś mówił coś o Chicago?
- Być może - odparł Howard, ale Laurel poznała po jego głosie i po gniewnym spojrzeniu Pete'a, że nagina dla niej fakty. Mówił to, co jego zdaniem chciała usłyszeć.
- Dobrze, oto jedna z najważniejszych rzeczy, których nie mogę rozgryźć - powiedziała, gdy niezręczna cisza stała się dla niej nieznośna.
- Może zosrawił jednemu z was jakąś wskazówkę: jak człowiek, który pewnie pochodził z bardzo bogatej rodziny, skończył bez grosza przy duszy? Wiem, że cierpiał na schizofrenię. Wiem, że miał problemy

emocjonalne. Wiem, że pił zdecydowanie zbyt dużo. Ale czemu nie zaopiekowała się nim rodzina? Czyż nie od tego są rodziny?

- Moja nie - odparł Pete.
- Ani moja - zgodził się Paco.
 - Poza tym zakładasz, że stary Bobbie lubił swoją rodzinę - zauważył Pete.

132

- A oni z kolei lubili jego - dodał Paco, odchylił się na krześle i zapalił papierosa bez filtra od palnika kuchenki za sobą. Zaciągnął się głęboko, po czym wydmuchnął aureolę błękitnego dymu.

Laurel rozmyślała przez chwilę o Buchananach — o Daisy, Tomie i Pameli — i o tym, jak wielką budzili w niej niechęć. A potem o tym, jak dużą sympatią ludzi cieszył się chyba Bobbie. Może był czarną owcą w rodzinie z tego prostego powodu, że był miłym człowiekiem. Porządnym gościem. Możliwe, że Buchananowie go wydziedziczyli, ale chyba bardziej prawdopodobne było to, że sam zerwał z nimi — z ich nieokiełznaną bezmyślnością i zwyczajnym brakiem przyzwoitości, które zdawały się cechować całe to okropne plemię.

- Opowiedzcie mi jakąś historię o Bobbiem - zaproponowała.
- Historię? — zapytał Howard.
- O czymś, co kiedyś zrobił... albo co kiedyś zrobiliście razem.
 - O czymkolwiek? - zapytał Paco, mrużąc oczy od dymu ze swojego papierosa.
 - O czymkolwiek. O czymś, co może mi pomóc zrozumieć, jakim był człowiekiem.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, niezupełnie w kropce, ale też nie do końca pewni, czego Laurel oczekuje.

- Bał się demona - rzekł w końcu Paco, wzruszając ramionami.

- A kto się go nie boi? - odparł Pete.

 - Nie, naprawdę. Bobbie widział go kiedyś.

Laurel pochyliła się na krzesło.

- Emily też o tym powiedział. Emily Young... swojej opiekunce społecznej. Co mówił tobie, Paco?

- Zrobił zdjęcie tego demona.

- Naprawdę?

- Tak powiedział.

- Jak on wyglądał?

 - Nie wiem. Może dlatego właśnie zwariował. Wiesz, że nie możemy oglądać oblicza Boga? Może nie możemy również oglądać oblicza diabła?

 - Och, błagam - rzekł Pete. - Był świrem na długo przedtem, zanim zrobił zdjęcie jakiemuś jarmarcznemu dziwadłu, którego uznał za demona.

- Jarmarcznemu dziwadłu?

 - Taa. Kuglarzowi. To było jakiś czas temu. Ale z jego nielicznych sensownych słów... a wierz mi, w tym wypadku Bobbie wyrażał się mało

sensownie... wynikało, że nasz zmarły przyjaciel **spotkał diabła na jarmarku**, który urządzą w Essex pod koniec lata.

- Jarmark w Champlain Valley.

- Zgadza się. Osiem, dziesięć mil stąd. Nieważne. Trwa do pierwszego poniedziałku września. Pokazują strzyżenie owiec, dojenie krów i olbrzymie dynie. Takie tam farmerskie sprawy. Poza tym jest aleja z kuglarzami, palantami, którzy prowadzą gry i przejażdżki. Jestem pewien, że to tam Bob-bie spotkał swojego „demoną”. Może był to ktoś, kto go zranił... no wiesz, fizycznie. Sprął go. Albo okradł z resztek forsy. A może była to tylko jakaś menda, która w oczach Bobbiego wyglądała jeszcze straszniej niż on sam.

-Może znajdziesz go na zdjęciach, które dostałaś — zauważył Howard.

Laurel zastanawiała się nad tym przez chwilę. Dotychczas nie natknęła się na żadną demoniczną postać. Nie znalazła też żadnych zdjęć z dorocznej okręgowej wystawy rolniczej i jarmarku. Pamiętając zrobione przez siebie odbitki, była ciekawa, czy Pete się myli i czy tak naprawdę nie powinna szukać kogoś z czasów dzieciństwa Crockera, może zdjęcia kogoś, kogo poznał, dorastając. Kogoś z jego rodziny.

- Jesteś pewien, że mówił o jarmarku w Champlain Valley, Pete? — zapytała.

- Nie w *stu procentach*. Gdy mówi się o Bobbie, nie można być niczego pewnym. Może to był jakiś kuglarz w Nowym Jorku. Lub w Minnesocie. Albo w Louisville. Powiedziałaś, że miał tam rodzinę, prawda?

- Owszem.

- Chcesz usłyszeć jedną historię? - zapytał Pete.

- Chcę.

- No to proszę. To jest Bobbie Crocker, który był moim przyjacielem. Naszym przyjacielem. Ostatniego lata przyglądaliśmy się żurawiom dźwigowym, gdy budowali ten nowy budynek nad jeziorem. Ten, w którym będą luksusowe mieszkania i sklepy. Byliśmy tylko we dwójkę i pociliśmy się niemiłosiernie. To musiał być lipiec. Już nie piję, ale wtedy miałem wielką ochotę na piwo. Czułem w ustach jego smak. Lodowato zimne piwo... w butelce. Może nawet litrowego budweisera. Od trzech lat... wtedy od niespełna trzech... nic nie piłem, ale miałem w portfelu parę dolców, a w pobliżu placu budowy znajdował się sklep ogólnospożywczy. Myślałem sobie: piwo. Co tam, do kur...? Naprawdę, co znaczy jedno marne piwo? Nawet

134

litrowe. Co, przez nie wyląduję z powrotem na ulicy? Cóż, odpowiedź oczywiście brzmi: Tak, wyląduję... bo nie potrafię poprzestać na jednym. Muszę obalić, powiedzmy, skrzynkę. Ale miałem zamiar to zrobić; miałem zamiar kupić sobie piwo. A Bobbie, Bogu dzięki, czytał w moich myślach i zabrał mnie stamtąd. Zaprowadził mnie na ocienioną ławkę i posadził mnie na niej z paroma yoo-hoo. No wiesz, z rym mlekiem czekoladowym w butelce.

- Pił je Miś Yogi - wyjaśnił Howard.
- Cóż, mówił, że pije, w reklamach. Myślę, że prawdopodobnie pił również piwo — zauważył Paco.
- Te yoo-hoo mnie uratowały. Zimne słodkie napoje czasem pomagają. I właśnie Bobbie nade mną czuwał.

Laurel myślała o tym przez chwilę i przypomniała sobie chwyt, który

David przedwczoraj wieczorem, gdy byli w łóżku, kazał jej wypróbować w trakcie zbierania informacji.

- Yhm - mruknęła po prostu, kiwając głową, a potem umilkła.

Oczywiście Pete — nawet ten chłodny, zblazowany i sceptyczny Pete - mówił dalej.

- Siedzieliśmy w cieniu pod jednym z klonów, których nie ścięli, pa trząc na wodę oraz góry Adirondack i popijając swoje yoo-hoo. I Bobbie mówi: „Myślisz, że ten widok jest wspaniały? Szkoda, że nie widziałeś wi

doku, który miałem w dzieciństwie z sypialni. Cieśnina Long Island z jed nego okna i rezydencja z wieżą strzelniczą z drugiego". Wieża strzelnicza! Wyobraź sobie! Oczywiście byłem pewny, że przebywa w swoim świecie fantazji, uśmiechnąłem się więc tylko i zmieniłem temat.

Nagle Howard odsunął swój talerz i splótł dłonie na blacie stołu.

- Wiesz, co było w Bobbiem najlepsze? — zapytał wymownie.

Wszyscy czekali na odpowiedź.

I wreszcie:

- Był po prostu normalnym człowiekiem.

Pete znowu pozwolił sobie na swój mocny, krótki i gorzki śmiech.

- Tak, to był Bobbie Crocker. Paru dziadków gra sobie w golfa w Fort Lauderdale, a on spędzał lato za kontenerem na śmieci przy Cherry Street, a zimy w stanowym szpitalu psychiatrycznym. Ten Bobbie Crocker po pro stu był normalnym człowiekiem.

Gdy Laurel przeniosła spojrzenie z powrotem na Howarda, ten kiwał głową na znak zgody, z tęsknym wyrazem lekko spuszczonej oczu,

wicie nieświadomy gniewu oraz ironii, którymi Pete Stambolines zaprawiał tak wiele swoich wypowiedzi.

PÓŻNYM RANEM KATHERINE wsunęła głowę do gabinetu Laurel, która siedziała z nowym podopiecznym imieniem Tony, młodzieńcem twierdzącym, że osiem lub dziewięć lat temu był gwiazdą licealnej drużyny futbolowej z Revere w Massachusetts. Tony spędził ostatnią noc w skrzydle schroniska przeznaczonym dla mężczyzn. Zraził się do swojej rodziny — podobnie jak Pete, Paco, Howard i (tak, pomyślała) Bobbie. Jedyną różnicą było to, że był znacznie młodszy od nich. Wiercił się na swoim krześle, miał nawyk wyginania i rozczapierzania palców i obgryzał swoje paznokcie do tego stopnia, że chyba cały naskórek krwawił mu w ciągu nocy.

- Przepraszam, że przerywam, ale muszę teraz wyjechać na spotkanie w Montpelier i chciałam cię złapać przed opuszczeniem biura — zaczęła Katherine. Pomachała Tony'emu dyskretnym przeproszającym ruchem dłoni i uniosła ręce w geście, który sugerował, że nie pozostaje jej nic innego jak im przerwać. Laurel dołączyła do niej na korytarzu.

- Być może zadzwoni do ciebie pewien nowojorski prawnik z prośbą, byś przestała robić odbitki zdjęć Bobbiego Crockera - powiedziała Katherine. — Może nawet poprosi, byś przekazała je jemu... lub jakiejś innej osobie. Nie daj się zastraszyć.

- Nie tak prędko! Prawnicy? Kiedy zaangażowaliśmy w to prawników?
- Nie zaangażowaliśmy — odparła Katherine i Laurel od razu zrozumiała, kto to zrobił - i dlaczego Katherine jest lekko rozgorączkowana. Czowała się przymuszona i nie miała zamiaru tego tolerować. Nie zamierzała też dopuścić do niefrasobliwego lekceważenia pragnienia jednego ze swoich podopiecznych. Powiedziała Laurel o rozmowie z magistracką prawniczką, po czym dodała: - Oczywiście ta kobieta nie dzwoniła osobiście. Ludzie uprzywilejowani nigdy tego nie robią. Zadzwoił jej prawnik. Zatelefonował do Chris Fricke. Tak czy inaczej ta starucha uważa, że zdjęcia należą do jej rodziny, ponieważ ona widnieje na niektórych.
- Na jednym.
- A na paru jest jej brat.
- Na jednym.
- Jest też parę zdjęć jej dawnego domu.

136

- Owszem.
- Tak czy inaczej ona twierdzi, że Bobbie pewnie ukradł pudło pełne zdjęć i negatywów albo je gdzieś znalazł, i chce zwrotu wszystkiego w nienaruszonym stanie... dokładnie w takim, w jakim zostawił to Bobbie. Chce sprawdzić, co jest tam jeszcze takiego, co mogłoby być jej własnością.
- Bobbie niczego jej rodzinie nie zabrał! On jest członkiem jej rodziny! Jej bratem!

Katherine zawahała się i uważnie przyjrzała się Laurel.

• Naprawdę w to wierzysz?

• Nie wierzę w to - odparła cicho, z irytacją, Laurel. - Ja to wiem. Jestem tego całkowicie pewna.

• To przestań, proszę. Od razu porzuć tę myśl. Rozumiesz?

• Co? Dlaczego?

• Gdyby Bobbie naprawdę był jej bratem... co jak rozumiem, jest zupełnie niemożliwe... wtedy rzeczywiście musielibyśmy chyba wszystko jej oddać.

• Mam dla ciebie nowinę, Katherine. Nie wątpię w to ani trochę - powiedziała Laurel, próbując (bez powodzenia) zachować spokój w głosie. - Wszystko pasuje, to oczywiste. Dziś rano zjadłam śniadanie z paroma gośćmi z hotelu New England...

• Pozwól, że zgadnę. Z Petem i jego kumplami? To musiał być niezły odlot.

• Było świetnie. Przygotowali dla mnie prawdziwą ucztę. Ale rzecz w tym, że nawet informacje, którymi podzielili się ze mną, wskazują na to, że Bobbie jest bratem tej kobiety.

• Naprawdę?

• Bobbie mówił im, że dorastał na Long Island. I że ma rodzinę w Kentucky.

• Rozumiem związek z Long Island. A co jest w Kentucky?

• Stamtąd właśnie pochodziła jego matka. Urodziła się i wychowała w Louisville.

Katherine westchnęła i lekko ścisnęła rękę Laurel.

- Kiedy mi powiedziałaś, co rozpoznałaś na zdjęciach, też pomyślałam, że być może dorastał koło waszego klubu pływackiego. Naprawdę. I kto wie, mogłoby się okazać, że masz rację. Ale...

137

- Robił zdjęcia tego domu... domu, w którym spędził dzieciństwo!... jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych! Nie dalej jak wczoraj wieczorem zrobiłam parę odbitek!
- Albo robił je ktoś inny... może na życzenie tej kobiety.
- Posłuchaj...
 - Laurel, prawnik tej kobiety bardzo wyraźnie stwierdził, że brat jego klientki zginął wiele lat temu. Wiele dziesięcioleci temu. Nikt nie wie, jak Bobbie zdobył te zdjęcia i negatywy, ale ta kobieta chce, żebyś ich nie dotykała. Chce również, byśmy je oddali. Czego nie musimy robić... przynajmniej jeszcze nie teraz... właśnie dlatego, że twierdzi, iż Bobbie nie był jej bratem. Ani żadnym krewnym. To bardzo ważne i właśnie o to mi chodzi. Dopóki ta matrona powtarza, że ona i Bobbie nie są spokrewnieni, to nie jest tego spadkobierczynią i tym samym nie może rościć sobie pretensji do jego majątku jako rodzina.

Laurel przez chwilę analizowała słowa Katherine; była świadoma ironii sytuacji. Gdyby Pamela Buchanan Marshfield potwierdziła pokrewieństwo z Bobbiem, miałyby wówczas powód żądać — i być może otrzymać — fotografii. Najwyraźniej rzeczywiście byli ludzie, którzy chcieli je mieć. Obawy Bobbiego mogły być niewspółmierne do realnego zagrożenia, ale nie były całkowicie bezpodstawne.

- Jeżeli BEDS zatrzyma odbitki, gdy skończę je robić...
- Nie BEDS, a miasto Burlington. Prawnie nazywa się to *przejściem spadku bezdziedzicznego na rzecz państwa*. Ponieważ Bobbie zmarł, nie zostawiwszy testamentu, jego majątek trafia do miasta, które ma nim rozporządzać. W Burlington oznacza to sprzedaż rzeczy wartościowych i przekazanie pieniędzy na szkolnictwo... chociaż jestem całkiem pewna, że w tym wypadku miasto sprzeda je nam za, powiedzmy, dolara, żebyśmy mogli je wykorzystać do kwesty.
- I właśnie dlatego chcesz, żebyśmy je zatrzymali.
- Po części. Ale również dlatego, że stanowiły jedyną rzecz na świecie, która była dla jednego z naszych podopiecznych na tyle ważna, że brał ją wszędzie tam, dokąd się udawał. Musimy to uszanować. I chcę, żebyśmy urządzili Bobbiemu wystawę, na którą zasłużył. Bardzo podoba mi się pomysł wystawy przypominającej miastu, że bezdomni też są ludźmi i mają zdolności, marzenia i osiągnięcia.
- A więc mogę dalej robić odbitki.

138

Katherine zawahała się i przez chwilę Laurel bała się, że każe jej przerwać pracę. I wreszcie:

- Tak. Tylko... tylko pamiętaj, że te zdjęcia należały do człowieka, który... który nie był tym, kim przypuszczasz, że był. I... -spojrzała na Laurel w znajomy sposób, ponieważ właśnie tak patrzyła na nią matka, gdy

była zaniepokojona... — staraj się nie rozmawiać z dzwoniącymi do ciebie prawnikami. Ale jeżeli będziesz musiała, w żadnym razie nie utrzymuj, że

Bobbie był czyimkolwiek bratem. Dobrze?

Laurel skinęła głową, ale czuła, jak pod wpływem złości zaczynają jej drżeć kąciki oczu. Była wściekła zarówno dlatego, że czuła się cenzurowana, jak i dlatego, iż najwyraźniej nawet Katherine nie wierzyła w to, co jej zdaniem było faktem.

Katherine uścisnęła ją i pomachała Tony'emu, ale ten spojrzał na dyrektora schroniska tak protekcyjnie i pogardliwie, że Katherine wpadła do gabinetu jak wicher i oficjalnie go przeprosiła. Po czym odwróciła się i ruszyła korytarzem. Jednak zanim zniknęła za rogiem, przystanęła i dodała:

- I w sprawie jego tożsamości mówię poważnie. W porządku?

Laurel potwierdziła skinieniem głowy, ale myślami była już przy zdjęciach i pracy, jaką wykona w weekend w uniwersyteckiej ciemni.

PACJENT NR 29873

... brak zainteresowania innymi pacjentami i utrzymywaniem kontaktów towarzyskich w pokoju dziennym. Omamy słuchowe zdają się zanikać, ale nadal zaprzecza kluczowym zdarzeniom i ma istotne luki w pamięci zgodne z dysocjacją osobowości.

Z notatek Kennetha Pierce'a,
psychiatry prowadzącego,
szpital stanowy w Waterbury, Yermont

ROZDZIAŁ CZTRENASTY

W

PIĄTKOWY RANEK DAVID FULLER SIEDZIAŁ W POCZEKALNI gabinetu pediatrycznego ze starszą córką, boleśnie świadom, że wszystkie pluszowe zwierzęta, plastikowe zabawki i błyszczące czasopisma to istna płytką Petriego ze środkami zakaźnymi. Co gorsza, małe dzieci w poczekalni kaszlały, oddychały chrapliwie i kichały. Chciał, by poddano ich kwarantannie gdzieś daleko, z dala od Marissy — która w tej chwili czuła się świetnie, będąc praktycznie jedynym dzieckiem w swojej klasie, które nie miało anginy. Znaleźli się tutaj tylko dlatego, że skaleczenie na małym palcu jej prawej stopy nie chciało się goić: jego córka przypuszczalnie zbyt rzadko ściągała ocierające ją adidasy, buty do stepowania i baletki.

Marissa była oczywiście wręcz zachwycona, że przydzielony im przez HMO* pediatra mógł ją przyjąć jedynie w piątek rano - akurat wtedy, gdy miała mieć lekcję matematyki. Siedziała teraz obok Davida na pomarańczowej kanapie pokrytej sztuczną skórą, podwinąwszy stopę pod udo, z nosem w magazynie „Cosmo Girl!”, który jego zdaniem był w tej poczekalni czymś zupełnie niestosownym. (Gdzie podziały się przydatne w takich sytuacjach numery „Highlights“?). David bał się, że jej milczenie ma związek z lekturą zakazanych na co dzień rzeczy, o których w końcu zaczęła czytać. Żeby więc zdjąć z niej urok tego zajęcia, zapytał (napuszczonym, jak się obawiał, tonem):

* Edukacyjny magazyn dla dzieci

- A tak w ogóle to jak się czujesz?
- W porządku.
 - Czy ten magazyn naprawdę jest aż tak urzekający? Mam wielką nadzieję, że nie czerpiesz zbyt wielkiej przyjemności w świadectwach rozkładu, które tam znalazłaś... bo jeśli tak, to twoja matka mnie zabije.
- Nie zabije.
- Chodzi ci coś po głowie?

Marissa uniosła wzrok znad czasopisma.
- Pytasz, czy chodzi w tej chwili?
- Oczywiście. O czym myślisz... w tym momencie?
 - Cóż, skoro pytasz. Mama uważa, że Laurel jest dla ciebie zdecydowanie zbyt młoda. - Jego była żona, prawniczka, była tego rana w sądzie.
 - Czemu twoja matka w ogóle się przejmuje wiekiem kobiet, z którymi się spotykam?
- Nie wiem.
 - Złe pytanie. Wybacz. Czy przeszkadza ci to, że twoja matka nagle niepotrzebnie interesuje się wiekiem Laurel?
 - To wcale nie jest nagle zainteresowanie - Marissa wrzuciła czasopismo z powrotem na półkę obok kanapy i ziewnęła, po czym przeciągnęła się. Wsparła głowę na ręce ojca.
- Dziękuję, że mi powiedziałaś — rzekł po prostu.
- Nie ma sprawy.

- Więc... przeszkadza ci to? -Wiek Laurel? Nie.
- Przeszkadza Cindy?
 - Ona kompletnie nie zdaje sobie sprawy z tego, ile **kto** ma **lat**. Dla niej Laurel jest w wieku mamy.
 - Myślę, że powinnaś bardziej doceniać swoją siostrę.
 - Niewiele bardziej.
 - Jak na dziewczynkę z bolącym palcem jesteś dziś **naprawdę butna** — rzekł David.
 - Hej, zeszłej nocy bolało jak diabli.
 - Yhm.
 - Więc?
 - David odsunął rękę i objął córkę.
 - Więc nic. Cieszę się, że się tym zajmujemy.

142

- Zobaczysz się z **Laurel w ten weekend?** — zapytała po chwili milczenia.
- Zobaczę.
- Dziś wieczorem? -Tak.
- W sobotę też? Albo w niedzielę?

„Śledztwo” Marissy zastanowiło Davida. Czy pytała dlatego, że chciała zobaczyć się z Laurel, czy z obawy, że jego przyjaciółka pozbawi go czasu dla córek? Ona i jej siostra zaczęły do niego bardziej lgnąć, odkąd ich matka oznajmiła, że ma zamiar wyjść w listopadzie za Erica Tourneau, kolegę prawnika ze swojej kancelarii. Marissa chyba nie sądziła, że Laurel jest przeszkodą na drodze do pojednania rodziców - pojednania, które było

zupełnie wykluczone, zanim jeszcze jego eks-żona i Erie zakochali się w sobie, choć David rozumiał, że dziecko mimo to czepia się nieraz uparcie resztek nadziei - ale być może czuła, że Laurel odciąga uwagę jej ojca.

-Mam zamiar spędzić ten weekend z tobą i twoją siostrą - odparł, mając nadzieję, że zabrzmiało to obojętnie. Dziewczynki, jak zwykle, były u niego od chwili, gdy zabierał je w sobotę, do momentu wyjścia do szkoły we wtorek rano. Nie spodziewał się, by w ciągu następnych paru dni Laurel i jego córki spędziły czas razem; dziś wieczorem jadł z nią kolację właśnie po to, żeby przez weekend móc się całkowicie poświęcić swoim córkom. Starannie dzielił swoje życie i odkrył, że zaletą spotykania się z kobietą tak młodą jak Laurel jest to, że nie żądała od niego snucia małżeńskich planów. Nie czuła macierzyńskiej presji, ponieważ miała jeszcze mnóstwo czasu na to, by zostać matką. Ilekroć spotykał się z kobietami w swoim wieku, już na pierwszej randce czuł, że jest oceniany jako potencjalny mąż; gdy zdawał egzamin — co było regułą, ponieważ żył i miał stałą pracę - na drugiej lub trzeciej wypływał temat dzieci. Prawda zaś wyglądała tak, że nie zamierzał znowu zostać

ojcem.

Chodziło nie o to, że nie kochał dzieci, a raczej o to, że był oddany córkom

i nigdy nie uczyniłby nic, przez co czułoby, że ktoś zajął lub mógłby zająć ich

miejsce. Tak właśnie było w jego przypadku. Jego ojciec ożenił się ponownie

i odkąd urodziła mu się córka i syn, David, wędrujący między domami roz

wiedzionych rodziców, zawsze czuł się jak obywatel drugiej kategorii.

Czy to było uczciwe wobec Laurel? Chyba nie. Wiedział, że w tym sensie - a także pod innymi względami - nie jest dla niej szczególnie odpowiednim kompanem. Nie był nim dla wielu kobiet. To, co sam uważał za zwykłe odgradzanie różnych sfer swojego życia, zdaniem innych było

143

oziębłością. Jedna przyjaciółka oświadczyła mu, gdy zrywali ze sobą, że jest obojętny emocjonalnie. Zważywszy na niezabliźnione rany Laurel, mogło to być skazą szczególnie obciążającą. Ale David był przekonany, że ona widzi to inaczej, że właśnie ze względu na własną potrzebę otoczenia się kokonem, traktuje jego wstrzemięźliwość za oznakę tego, iż jest dla niej odpowiednim partnerem. I oczywiście pomógł mu jego wiek. David wiedział, że Laurel pożąda tylko starszych mężczyzn, i rozumiał dlaczego.

Czy źle się czuł ze swoją obojętnością? Czasem tak. Ale nie na tyle źle, by chcieć się zmienić.

Tamtego rana w gabinecie pediatrycznym zaczął jednak mieć wąpli-

wości co do zainteresowania Laurel pracami Bobbiego Crockera. Kiedy więc Marissa o niej napomknęła, pomyślał, że właściwie dłuższy kontakt z jego dziećmi mógłby Laurel dobrze zrobić. Cokolwiek, byle odwrócić jej uwagę od postaci tego starego zmarłego fotografa.

- Czemu pytasz o Laurel? - zapytał Marissę.
- Potrzebuję zdjęcia portretowego.
- Słucham? - David naprawdę nie był pewien, czy się nie przesłyszał.
 - No wiesz, zdjęcia, na którym będę wyglądała naprawdę profesjonalnie. Idę na przesłuchanie do *Cudotwórczym* i będę konkurować z blisko pięćdziesięcioma kandydatkami do roli Helen Keller. To będzie prawdziwy casting, sądzę więc, że przyda mi się wszelka możliwa pomoc.
- I chcesz, żeby Laurel zrobiła ci zdjęcie?
- Mogłabym jej zapłacić z kieszonkowego za parę następnych miesięcy.
- Och, Boże święty, wątpię, żeby chciała przyjąć pieniądze.
 - Myślisz, że miałyby coś przeciwko temu? Ja nie. Wiem, że to wielka przysługa, i w ogóle...

David odetchnął z ulgą, że Marissa wspomniała o jego przyjaciółce tylko dlatego, że chciała mieć zdjęcie portretowe.

- Nie nazwałbym tego wielką przysługą — odparł.
 - Cóż. To wciąż byłaby przysługa. Zwłaszcza gdyby mnie to nic nie kosztowało. A Laurel już i tak wiele dla mnie zrobiła.
- Wiele?
- Ona zna każdy odlotowy sklep z ciuchami w mieście i zabrała mnie już chyba do wszystkich. Widziałeś przecież spódniczki i szale, jakie mi kupiła, gdy byliśmy razem.

- Pamiętam.

144

-Myślę, że właśnie to tak bardzo poruszyło mamę. Myśl, że twoja przyjaciółka w wieku pomaturalnym...

-Twoja matka dobrze wie, że Laurel skończyła studia cztery lata temu. Wie również, że zdobyła dyplom magistra pomocy społecznej.

Marissa zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym powiedziała:

- Mam pytanie.
- Słucham?
- Czasem Laurel wydaje się, sama nie wiem, nieobecna.

David wiedział, że jego starsza córka jest spostrzegawcza i wrażliwa, nie był więc zaskoczony, że wyczuła, iż z Laurel coś się dzieje. Że jest trochę zgaszona. Jego zdaniem Laurel już zawsze miała być piękną, lecz zranioną ptaszyną. Nie zamierzał jednak dyskutować o tym, co wydarzyło się w Underhill. A w każdym razie nie w tym momencie. Może kiedyś. Marissa musiała wiedzieć, że świat nie jest miejscem bezpiecznym. Nawet Vermont. Ale nie myślał wdawać się w szczegóły.

- Och, sądzę, że podobnie jak my wszyscy, Laurel bywa czasem smutna
 - odparł po prostu, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to wymijająco.
- Nie smutna. Chodzi o coś innego.
- O co w takim razie chodzi?
- O to, że Laurel jest... delikatna.
- Delikatna?
- Jak zasłony w jadalni mamy. Te przejrzyste. Pamiętasz?

- Pamiętam.
- Ale ja naprawdę ją lubię. Wiesz o tym, co?
- Wiem.

Kobieta z podkładką do pisania — pielęgniarka w wieku Laurel — zawołała łagodnie: — Marissa? — i zlustrowała wzrokiem małą grupę pacjentów w oczekiwaniu na odzew.

- To my - powiedział David, unosząc rękę, a potem, ponieważ wydało mu się to zabawne, rękę córki.

Marissa zachichotała na myśl o tym, że jest marionetką, ale wstając, odwróciła się do niego.

- A więc Laurel może mi zrobić portret?
- Zapytamy ją - odparł David, ale sądził, że Laurel się zgodzi. Był zadowolony. Nagle zaintrygowała go myśl, że Marissa podzieli się swoimi aktorskimi zainteresowaniami z Laurel. Spodobał mu się pomysł, by Laurel

145

w czasie wolnym robiła coś - cokolwiek - co nie dotyczyło prac fotografa schizofrenika.

- Naprawdę?

— Oczywiście.

Marissa podskoczyła **dwa lub trzy razy z rzędu, klasnęła w dłoń i zamknęła oczy, bo najwidoczniej właśnie wylądowała prosto na obtartym palcu.**

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

L

AUREL NIE POŚWIĘCIŁA SERENIE ZBYT WIELE CZASU

PODCZAS pogrzebu Bobbiego przed tygodniem; rozmawiały tylko po to, by ponownie nawiązać kontakt i umówić się na lunch.

Gdy ujrzała ją w piątek, bezdomna kiedyś nastolatka wyglądała nadspodziewanie staro, ale też wydawała się zdrowsza. W chwili przybycia Lau-rel była już w bistro na nabrzeżu nieopodal restauracji, w której sama pracowała. Siedziała przy stoliku, zwrócona twarzą do przystani dla promów, i jeden z dużych statków właśnie wpłynął między pirsy od południowej strony jeziora. Pasażerowie - głównie turyści - wychodzili tłumnie na jesienne słońce. Prom był duży, ale jego pokład opuszczało tyle osób, że przypominał Laurel cyrkowe wozy z klaunami.

Oczy Sereny miały jak dawniej intensywnie niebieski kolor, ale rysy twarzy złagodniały i zaokrągliły się, maskując wystające przedtem kości policzkowe. Blond włosy nadal spływały jej na ramiona, ale w którymś momencie Serena rozjaśniła je o parę tonów. Gdy ujrzała Laurel, uniosła brwi, dźwignęła się nieco z krzesła i zaszalutowała jej dyskretnie. Różowy T-shirt młodej kobiety sięgał linii żeber, z niewielkiego pępka wylaniał się niczym nit na dzinsach lśniący kolczyk. Serena nosiła w uszach cienkie srebrne pierścienie, z których każdy miał wielkość bransolety.

- Nie widzujemy się od lat, a teraz spotykamy się drugi raz w ciągu dwóch tygodni - zauważyła.

Laurel przyniosła ze sobą fotografie formatu osiem na dziesięć cali,

które zrobiła przed laty, i gdy tylko usiadły, wyjęła je z torebki.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedziała i obserwowwała, jak oczy oglądającej zdjęcia Sereny robią się okrągłe.
- Byłam u kresu. Dziewczyno, w heroinowym makijażu nigdy nie było mi do twarzy - mruknęła Serena, kręcąc głową z lekkim niedowierzaniem. Po czym — z obawy, że uraziła uczucia Laurel - dodała: - To znaczy, to są świetne zdjęcia. Po prostu wyglądam trochę przerażająco. Rozumiesz?
- Rozumiem. W heroinowym makijażu nikomu nie jest do twarzy — odparła Laurel.
- Mogę je zatrzymać?
- Po to je przyniosłam.
- Dziękuję. Kiedyś pokażę je swoim dzieciom, żeby je porządnie wystraszyć. A może nie. Kto by chciał oglądać swoją matkę w takim stanie?
- Znalazłaś się w niewłaściwym miejscu, i to nie była twoja wina. Stałaś na nogi.

Serena przewróciła oczami.

- Poszcęściło mi się. Ciotka wróciła i wzięła mnie do siebie. Teraz muszę znaleźć własne lokum. Pora już na to.

Laurel uświadomiła sobie, że nie wie, czy ciotka, u której mieszka Serena, jest siostrą jej matki czy ojca. Ponieważ jednak jej matka zniknęła, gdy Serena była jeszcze malutka, Laurel miała wrażenie, że ta kobieta musi być spokrewniona z jej tatą. Zapytała więc Serenę, czy w ogóle widuje ojca lub z nim rozmawia.

- Nie, on trzyma dystans. A moja ciotka trzyma nas z dala od siebie

nawzajem. Wie, że jej brat to menda. Kiedyś przysłał mi czek. Nie miałam zamiaru go spieniężać, ale ciotka stwierdziła, że powinnam. Wobec tego spró

kowałam. Był bez pokrycia. Innym razem ojciec zjawił się nieproszony... i pijany... w święta wielkanocne, ale u ciotki było sporo gości i nawet tak urżnięty zrozumiał, że nie jest mile widziany, zmył się więc. Ale wie, gdzie

pracuję i gdzie mieszkam. Kiedyś znowu się pojawi.

Gdy czekały, Serena uśmiechnęła się, widząc, jak dwie kelnerki gawędzą przy barze.

- Dziewczyno, gdybym tak usługiwała, wylaliby mnie.

W końcu jedna z kelnerek podeszła do stolika i Laurel zamówiła sałatę z warzywami ogrodowymi oraz dietetyczny napój gazowany. Czowała jeszcze w żołądku obfite śniadanie.

148

- Jak świeża jest sałatka jajeczna przyprawiona curry? — zapytała Serena.
- Świeżutka — uśmiechnęła się kelnerka, chude jak patyk dziewczę, która wydawała się za młoda na pracę w restauracji, i Serena postanowiła spróbować.

Wokół siedzieli przedsiębiorcy płci obojga, których biura wychodziły na jezioro, oraz turyści, którzy zwiedzali Burlington. One rozmawiały o swojej pracy i przy okazji Serena opowiedziała Laurel o swoim chłopaku. Spotykała się z facetem, który pracował na nocną zmianę w wytwórni lodów w Wa-terbury, ale właśnie starał się o posadę w dziale marketingu.

Uważała, że ma szansę, ponieważ był bystry, a firmę bardziej interesowały dobre pomysły niż to, czy ktoś posiada dyplom college'u — on zaś najwyraźniej miał sporo doświadczenia w branży lodziarskiej. Laurel opisała swój związek z Davidem i nie była zbyt zaskoczona uwagą swojej rozmówczyni:

— To trochę przelotna znajomość, co?

Pomyślała, że w głosie Sereny pobrzmiewa rozczarowanie.

— Tak — odparła po prostu. — Trochę przelotna.

W końcu Laurel wspomniała o Bobbiem Crockerze i opowiedziała o tym, jak zmarł, pozostawiając zdjęcia ośrodka sportowo-wypoczynkowego, w którym ona spędziła znaczną część swej młodości, i o tym, że sądzi, że dorastał jako syn bogatych rodziców w rezydencji po drugiej stronie zatoczki. Następnie poprosiła, by Serena ponownie opowiedziała o tym, jak go znalazła.

— Było zupełnie oczywiste, że nie ma dokąd pójść — odparła Serena.

- To znaczy powinien był *dokądś* trafić. W szpitalu nie otwiera się po prostu

drzwi i nie mówi się: „Leć, ptaszku, leć”. Mieszkałam w Waterbury na tyle długo, by wiedzieć, że zawsze jest jakiś plan postępowania z pacjentami.

On

powinien był gdzieś trafić. Powinien był u kogoś mieszkać. Ale nie umiał mi powiedzieć gdzie ani u kogo. Albo nie chciał. Kto wie? Nie potrafił nawet wytłumaczyć, jak trafił do Burlington. Autobusem? Autostopem? Nie mam zielonego pojęcia. Rzecz w tym, że w przypadku wielu tych ludzi wy

starczy bardzo niewielkie zachwianie, a spadają z konia. Przystają zażywać

leki. Ale on bardzo mi się spodobał i pomyślałam, że z niewielką pomocą mógłby dać sobie radę sam. Sądziłam, że nie musi już wracać do szpitala. Naprawdę. Nie stanowił dla nikogo zagrożenia. Właśnie dlatego przypro wadziłam go do BEDS. Wystarczająco często rozmawiałam w pracy z poli-

149

ej antami i szeryfami, by wiedzieć, że oni zrobiliby to samo. — **Rozparła się** na krześle i splotła dłonie na karku.

- Co ci się w nim spodobało? - zapytała Laurel.
- Och, był bardzo życzliwy. To znaczy stale chciał **mi pomagać**. **Było** to oczywiście trochę szalone.
- Dlaczego?
- Cóż, proponował, że zadzwoni do prezesów wytwórni płytowych. Powiedziałam mu, że nie śpiewam, ale to nie miało znaczenia. Gadał bez przerwy o wszystkich znajomych prezesach wytwórni, którzy byli mu winni przysługę, i o tym, jak jednym telefonem załatwi mi kontrakt nagraniowy. Dlaczego to robił? Dlatego, że dałam mu dodatkową porcję surówki z białej kapusty. A potem dokładkę za darmo. To wszystko. Chodzi mi o to, że ten staruszek wchodzi do restauracji i ma tyle pieniędzy, że ledwie mu starcza na ser z rusztu! No i wiesz, był bardzo zabawny - choć pewnie umierał z głodu. Wchodzi wolnym krokiem tamtego wieczoru i zaczyna mi opowiadać dowcipy z gatunku „Puk, puk. Kto tam?” o bezdomnych i o tym, ilu

bezdolnych potrzeba do wkręcenia żarówki. Ponieważ zaś nie miał pieniędzy, stale dawał mi napiwki w postaci rad. „Oto napiwek” - mówił. „Przysługa za spory kawałek koca”. To było oklepane, ale miłe. Niestety, Bobbie po prostu nie chciał mi powiedzieć, gdzie jest jego miejsce. W tym rzecz. Nie mam pojęcia, gdzie sypiał, zanim wylądował na ulicy.

- Masz rację - przyznała Laurel. - Musiał mieć jakieś lokum między wyjściem ze szpitala a przybyciem do BEDS. Najwyraźniej przekazano go komuś innemu.

Serena wzruszyła ramionami.

- Stale pytałam go, gdzie mieszka. I w końcu potarł naprawdę mocno powieki... jak mały chłopiec, używając pięści... i powiedział, że tej nocy niemal na pewno będzie spał tam, gdzie spał dzień wcześniej.

- Czyli?

- W kotłowni tego hotelu w górnym odcinku ulicy. To niedorzeczne, by ktoś nocował w takim miejscu. Nie wiedziałam, jak długo tam mieszkał, ale nie chciałam, by spędził tam kolejną noc.

Kelnerka wróciła z napojami i obie umilkły na chwilę. Laurel przyglądała się, jak Serena wysuwa słomkę z papierowego opakowania.

- Przeprowadziłaś go więc do nas - powiedziała.

150

- Tak. I wcale się przed tym nie bronił. Słyszysz się o bezdomnych naprawdę niechętnych powrotowi z ulicy pod dach... hej, sama taka byłam... ale on był bardzo zadowolony.
- Rozumiał, dokąd go zabierasz?

- Tak. Potrzebował tylko zapewnienia, że nikt nie zabierze mu torby. Zapytałam, co w niej ma tak ważnego, a on odparł, że swoje zdjęcia.
- Kiedy zobaczyłaś się z nim ponownie?
 - Och, niedługo przed jego śmiercią. Kiedyś opiekunka Bobbiego... kobieta imieniem Emily, pewnie ją znasz... przyprowadziła go pod restaurację, żeby mógł mi podziękować. Jest bardzo sympatyczna. A następnym razem widziałam go na tej cichej manifestacji przy świecach, które urządza się na Church Street tuż przed Bożym Narodzeniem. No wiesz, na tym marszu, podczas którego wypowiada się imiona bezdomnych?

Laurel uśmiechnęła się.

- Byłaś tam? Szkoda, że cię nie widziałam.
 - Taa, byłam w tłumie. Za bardzo się wstydziłam, żeby wypowiedzieć imię w kościele, ale miałam świecę i maszerowałam. Do diabła, zobacz, co dla mnie zrobiliście.
 - Jeśli dobrze pamiętam, spędziłaś w schronisku półtora tygodnia. Wcale nie zrobiliśmy tak dużo.
 - Ale to były dni, gdy naprawdę potrzebowałam dachu nad głową - odparła kategorycznie Serena, spoglądając na Laurel w oczy z zaskakującym dla niej przejęciem.
- Czy Bobbie mówił ci coś o swojej siostrze?
 - Siostrze? Nie wiedziałam nawet, że ma siostrę. Laurel potwierdziła skinieniem głowy.
 - Nie widziałam jej na pogrzebie. Żyje? -Tak.
 - Znasz ją?

- Trochę. Poznałam ją w zeszłym tygodniu.
- Też jest lekko szurnięta?

Laurel zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Nie. A przynajmniej nie tak jak Bobbie. Właściwie to dość wstrętne babsko.
- Domyślam się, że nie łączyły ich zbyt serdeczne stosunki.
- Nie. Nigdy nie wspominał o rodzicach?

151

- Ani słowem - odparła Serena i głos jej spoważniał, jakby próbowała wyobrazić sobie rodzinę dla Bobbiego Crockera. — Ani jednym słowem.
- A tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy przyszedł do restauracji? Sięgnij pamięcią wstecz. Co jeszcze powiedział, gdy zapytałaś, czy ma dokąd pójść?

Przyniesiono sałatki. Laurel widziała, że Serena wspomina sierpniowy wieczór, gdy Bobbie zjawił się przy barze z marynarskim workiem i kieszenią pełną drobnych.

-Niech pomyślę — mruknęła. Zamówiona przez nią sałatka jajeczna była

pomarańczowa od curry i spoczywała jak kula na liściu sałaty lodowej w kształt

cie dłoni. — Rzeczywiście powiedział jedną rzecz, która może być istotna.

-Yhm.

- Mówił coś o facecie, z którym pracował w jakimś czasopiśmie. Tamten nazywał się... Reese.

- To imię czy nazwisko?

- Nie wiem, czy Bobbie mi to powiedział. Ale mam coś z tej opowieści na końcu języka.

- Mów.

- To było jakiś rok temu.

- Wiem - powiedziała Laurel, mając **nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt** natarczywie.

- Sądzę, że Reese to było jego imię. I...

- I?

- I wiesz co? Być może Bobbie mieszkał u Reese'a. Po wyjściu ze szpitala. To chyba wszystko.

- Czemu się wyprowadził? Serena starannie przeżuwała sałatkę.

- Nie dają do niej selera. My dajemy. W sałatce jajecznej musi być seler.

- Masz rację — zgodziła się uprzejmie Laurel. — Czemu uważasz, że Bobbie się od niego wyniósł?

- Może został wyrzucony?

- Bobbie? W gruncie rzeczy sama w to nie wierzysz, prawda?

- Och, nie dlatego, że był złym współlokatorem, i w ogóle. Może nie dokładał się do czynszu.

- Miał osiemdziesiąt lat! Jak dużej pomocy mógł oczekiwać ten Reese... tym bardziej że Bobbie trafił do niego prosto ze szpitala?

152

- Ludzie są okrutni - odparła **bezceremonialnie Serena. - Przecież**

wiesz o tym.

- Ale Bobbie był... stary.

Serena pochyliła się do przodu, jej głowa zawisła nad talerzem. Oczy zrobiły się okrągłe, a słowa były ciche, lecz gniewne:

- Wiek nie ma nic do rzeczy. Mój osiemdziesięcioletni tata pojawia się na progu mojego domu i co? Mogę go przenocować lub pozwolić mu marznąć na ulicy? Jakoś nie wyobrażam sobie siebie otwierającej drzwi. A nie uważam się za złego człowieka. Ale okrutnym jest ten, kto okrutnie postępuje. Lub coś w tym stylu.

Laurel zastanawiała się nad jej słowami.

—Jestem pewna, że Bobbie nigdy nie zrobił Reese'owi żadnej krzywdy... a przynajmniej nie znęcał się nad nim tak, jak twój ojciec nad tobą.

- Masz rację. Twierdzą tylko, że tego nie wiemy. Myślę, że jeżeli chcesz wiedzieć na pewno, musisz odnaleźć tego Reese'a.
- Czy Bobbie zdradził, gdzie on...
 - Albo ona. Stale mówię on, ale niewykluczone, że Reese była kobietą.
- I że jeszcze żyje?
 - Zaczęłabym szukać w Burlington... albo na przedmieściach. Może Bobbie trafił z Waterbury do Burlington, zanim stracił dach nad głową. Może został przekazany pod opiekę kogoś, kto mieszka w tej okolicy.
- To by zakrawało na ironię.
 - Hej — powiedziała Serena, przyglądając się dwójce pięknych młodych kobiet w ich wieku w minispódniczkach. Laurel pomyślała, że to młode pracownice biura prasowego. - W życiu chodzi o ironię. O

ironię, szczęście oraz... przewagę na starcie. Czemu trafiła mi się mama, która zniknęła z domu bladym świtem, i tato, który uważał, że moja głowa to worek treningowy? Dlaczego te dwie miały rodziców, którzy pilnowali, by robiły zadania domowe, a potem posłali je na studia? Nie jestem rozgoryczona. Naprawdę. Ale wiem również, że życie nie zawsze jest sprawiedliwe... i mam wrażenie, przyjaciółko, że ty wiesz o tym równie dobrze jak ja.

LAUREL WYSZŁA TEGO dnia z pracy punktualnie o piątej, mimo że tak naprawdę niewiele w niej zrobiła. Chciała jednak dotrzeć do biblioteki w Burlington przed zamknięciem czytelni wydawnictw naukowo-informacyjnych,

153

ponieważ bardzo chciała zacząć oglądać tamtejsze mikrofilmy lub stare numery magazynu „Life”.

W bibliotece mieli oprawione egzemplarze tylko z okresu po tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku, ale na mikrofilmach numery aż po rok trzydziesty szósty. Laurel była podekscytowana i z pomocą równie przejętego bibliotekarza wybrała na chybił trafił szpulę z mikrofilmem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Potem usiadła w boksie i zaczęła przeglądać zdjęcia, począwszy od stoiska spożywczego w sklepie Woolwortha w Greensboro w Karolinie Północnej, a skończywszy na fotografii Charles'a de Gaulle'a dumnie oznajmiającego o zdetonowaniu pierwszej francuskiej bomby jądrowej. Zobaczyła Dawida Ben Guriona, Nikitę Chruszczowa i amerykański samolot zwiadowczy U-2. Był też artykuł o Carylu Chessmanie, człowieku, o którym nigdy nie słyszała, ale którego

twarz przyprawiła ją o dreszcze, miał bowiem zostać stracony za porwanie i zgwałcenie dwóch kobiet dziesięć lat wcześniej. Z artykułu wynikało, że chyba był niewinny.

Starła się omijać reklamy, ale wywierały na nią hipnotyczny wpływ: łagodne papierosy zachwalane przez piosenkarzy i aktorów, bombowce sił powietrznych wykorzystywane do sprzedaży oleju silnikowego do samochodów, przepisy kulinarne dołączane do reklam zup w puszkach, ciast w proszku i pojemników z twarogiem Bordena.

Zawsze też, mrużąc oczy, odczytywała napisany drobną czcionką tekst, który od czasu do czasu - ale rzadko — widniał obok lub pod zdjęciami. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu jedynie drobny ułamek zdjęć był opatrzony nazwiskami autorów. Chyba dopiero przy majowym numerze, tuż przed porą zamknięcia biblioteki, odkryła przyczynę. Na początku każdego numeru znajdowała się długa wąska stopka wydawnicza pełna nazwisk, w tym nazwisk redaktorów oraz autorów artykułów i zdjęć.

I tam właśnie się pojawił - nie Bobbie Crocker i nie Robert Buchanan. Na widok ich personaliów okręciłaby się niczym bączek na swoim obrotowym krześle. Zamiast nich ujrzała coś, co w tym momencie wydało się jej niemal równie cenne. Nad długim blokiem nazwisk trzydziestu fotografów, nad ułożoną w porządku alfabetycznym litanią obejmującą Margaret Bourke-White, Cornella Capę i Alfreda Eisenstaedta widniało nazwisko zastępcy kierownika działu fotoreporterskiego, Marcusa Gregory'ego Reese'a.

mieć pełny wykaz nazwisk, po czym zajrzała do książki telefonicznej Burlington w poszukiwaniu numeru telefonu Marcusa Reese'a. Nie było go w wykazie abonentów. Nie figurował też w strefach numerycznych Waterbury, Middlebuiy i Montpelier. Następnie poszła do redakcji gazety, znajdującej się zaledwie dwie przecznice dalej na zachód, przy College Street. Za kwadrans miała się spotkać z Davidem przed kinem, ale była tak podekscytowana swoim odkryciem, że chciała mu pokazać kopię stopki wydawniczej.

Gdy przybyła na miejsce, David rozmawiał przez telefon w swoim gabinecie, ale rozmowa wyraźnie dobiegała końca, Laurel położyła więc wydruk na nierównym stosie papierów na jego biurku i wskazała na personel działu fotoreporterskiego. David skinął uprzejmie głową, ale było oczywiste, że nazwisko Reese nic mu nie mówi. Laurel dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że nie ma w tym nic niezwykłego. Jeszcze nie wiedział, co zrobiła; nie towarzyszył jej podczas lunchu z Sereną. Kiedy więc odłożył słuchawkę, podzieliła się z nim wszystkimi informacjami, które od niej uzyskała.

- Skubaniec - mruknął David.
- Nie udało mi się znaleźć Reese'a w książce telefonicznej, ale pomyślałam, że poszukam go w Internecie. Chcę też skorzystać z serwisów informacyjnych, które abonujecie w gazecie. Skoro już mamy numer ubezpieczenia, zobaczmy, co uda się nam znaleźć.
- My? Nie *wybieraliśmy* się przypadkiem do kina? Laurel zawahała się.
- To nie potrwa długo.

- Potrwa — odparł David, podnosząc się z krzesła. — Powinniśmy już zmykać.

- Pozwól mi to zrobić — powiedziała, wyrzucając z siebie to krótkie zdanie z zaskakującym dla nich obojga gorączkowym przejęciem.

David przez chwilę milczał, po czym rzekł:

- Odpuść sobie na dzisiaj. Wyluzuj się.

- To ważne — odparła, nie potrafiąc złagodzić tonu swego głosu.

- Dla kogo?

- Dla mnie. Ważne dla mnie. Mogłabym sądzić, że to wystarczający powód.

David przyjrzał się jej uważnie. Ich związek był tak całkowicie pozbawiony żywszych uczuć, że chyba żadne z nich nigdy nie skarciło drugiego.

155

- Bardzo proszę - rzekł, choć wyraźnie wolałby, żeby poczekała z tym do jutra.

Ruchem ręki wskazał swoje krzesło i swój komputer.

- To naprawdę zajmie mi tylko chwilę - ciągnęła Laurel. - Nie jesteś ciekaw?

- Jestem. Ale nie jestem opętany.

-Ja też nie jestem opętana. Po prostu chcę odnaleźć tego Reese'a, żeby móc do niego zadzwonić. Chcę go zapytać, dlaczego wyrzucił Bobbiego... albo dlaczego Bobbie sam postanowił odejść.

- Może po prostu zmarł— odparł David, nie potrafiąc - bądź nie chcąc

- ukryć irytacji w głosie.

- Reese?

Przytaknął.

- Tak po prostu. Ten człowiek zmarł i Bobbie trafił z powrotem na ulicę. Coś ci powiem: ty szukaj Reese'a w sieci i zobacz, co się okaże, a ja pójde sprawdzic nekrologi. W jakim miesiacu przyprawdzono Bobbiego do BEDS?

- W sierpniu.

- Świetnie. Przejrzę nekrologi z zeszłego lata.

Laurel miała wrażenie, że propozycja Davida wynika zarówno z poczucia winy za wcześniejszą szorstką reakcję, jak i z faktu, że nie zdobył jeszcze z Le-xisNexis obiecanych informacji na temat wypadku samochodowego z udziałem Roberta Buchanana. Mimo wszystko była mu wdzięczna za pomoc.

DWÓCH RZECZY dowiedzieli się od razu: że w sieci jest pokaźna liczba stron, na których pojawiało się nazwisko Reese, i że - dokładnie tak jak sugerował David - stary kierownik działu fotoreporterskiego zmarł przed czternastoma miesiącami, w lipcu ubiegłego roku. David wrócił z nekrologiem, który ukazał się w gazecie, natomiast Laurel znalazła w Internecie szereg krótszych nekrologów. Czytała przy biurku wycinek z informacją o śmierci Reese'a, a David stał obok niej, zadowolony ze swojego odkrycia.

MARCUS GREGORY REESE

BARTLETT - Marcus Gregory Reese, lat 83, zmarł

niespodziewanie 18 lipca w swoim domu w Bartlett. Marcus -

znakomity fotograf i redaktor szeregu

156

renomowanych gazet i czasopism, który w pracy zawodowej używał pełnego imienia i nazwiska, lecz przez przyjaciół zawsze był nazywany „Reese” - urodził się w Riverdale w stanie Nowy Jork, ale po przejściu na emeryturę osiadł w Bartlett.

Urodził się 20 marca jako najmłodszy z pięciorga dzieci Andrew i Amy Reese'ów. Po ukończeniu Riverdale High School zaciągnął się do marynarki wojennej, gdzie odznaczył się w służbie na Pacyfiku podczas drugiej wojny światowej. Gdy wrócił do Stanów Zjednoczonych, zainteresował się fotografią i uczynił z fotografowania swój zawód, robiąc zdjęcia najpierw dla „Newark Star-Ledger”, potem dla „Philadelphia Inquirer”, a w końcu dla magazynu „Life” - gdzie przez prawie trzydzieści lat pracował również jako redaktor działu fotoreportażu.

Po drodze dwa razy się ożenił. Jego pierwsze małżeństwo, z Joyce McKen-ną, skończyło się rozwodem; drugie, z Marjorie Ferris, śmiercią Marjorie na raka w 1999 roku.

Reese'a przeżyła starsza siostra, Mindy Reese Bucknell z miejscowości Clear-water na Florydzie.

Chrześcijańskie nabożeństwo żałobne zostanie odprawione w środę 21 lipca o jedenastej w kościele kongregacjonalistów w Bartlett, po czym na cmentarzu New Calvary odbędzie się

pochówek. Uroczystość przygotował dom pogrzebowy Bedarda McClure'a.

CZŁOWIEK NA ZDJĘCIU wyglądał raczej na sześćdziesiąt niż na osiemdziesiąt trzy lata, Laurel uznała więc, że w nekrologu posłużono się starą fotografią. Reese był na niej tęgim mężczyzną z krzaczastymi brwiami, falistymi siwymi włosami i podbródkiem, który przechodził prosto w grubą jak kłoda drewna szyję. Nosił przyciemnione okulary oraz sweter pod szyję z płócienną koszulą z wyłogami kołnierzyka przypinanymi na guziki i uśmiechał się szeroko do obiektywu w sposób, którego nie można było nazwać inaczej jak zawadiackim. Może nawet — zadowolonym z siebie.

David uśmiechnął się ponuro, gdy skończył lekturę nekrologu.

- Zawsze bardzo mi się podobał ten zwrot: „Zmarł niespodziewanie”.

Jak niespodziewana może być śmierć w wieku osiemdziesięciu trzech lat?

- To zawsze brzmi tak, jakby ktoś został zamordowany lub sam się zabił, prawda? Albo jakby jakiś lekarz popełnił rażący błąd w sztuce.

David przysiadł na brzegu szafki stojącej za biurkiem.

157

— Prawdopodobnie atak serca. Przypuszczam, że nie było w tym nic zagadkowego.

Pewnie miał rację, ale Laurel milczała. W dużej mierze pod wpływem swojego spotkania z Pamelą Marshfield i telefonu jej prawnika do BEDS nauczyła się wszędzie doszukiwać zagadek.

- Myślę też, że teraz już wiemy, gdzie ten twój Crocker zdobył te fotografie - ciągnął dalej David z brodą wspartą na dłoniach.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Prawdopodobnie zabrał je Reese'owi. Z tego co mówisz, wnioskuję, że Bobbie nie był okazem zdrowia psychicznego.
- Myślisz, że je ukradł? - zapytała zdumiona samym tym pomysłem.
 - Przede wszystkim nie powiedziałem, że ukradł. To sugeruje zbyt duże zdolności umysłowe. Mówię tylko, że chyba je... zarekwirował. Być może po śmierci Reese'a.
- Uważam, że to i tak kradzież.
- Dobrze więc: ukradł. Albo może ten Marcus Gregory Reese mu je dał.
- Ale dlaczego tak sądzisz?
 - Dlatego, że żadne z nas nie widziało nazwiska Bobbiego w stopce „Life'u”.
- To jeszcze nie znaczy, że nie zrobił tych zdjęć!
 - W nekrologu napisano, że Reese był fotografem — nie ustępował David, przerywając Laurel, po czym ruchem dłoni wskazał monitor komputera na biurku, na którym widać było wyszukane przez nią strony internetowe z nazwiskiem Reese. - I spójrz tam: ta witryna jest w całości poświęcona zdjęciom Reese'a. Ta również. I ta. Nie zdziwiłbym się, gdybyś znalazła to zdjęcie z hula-hoop lub jedną z fotografii Muddy'ego Watersa z nazwiskiem Reese'a jako autora.

Laurel pomyślała, że to możliwe, ale rozumowanie Davida miało jedną lukę. Starła się zachować spokój, nie przyjmować postawy obronnej. W końcu dotarło to do niej.

— Zakładamy, że Bobbie rzeczywiście mieszkał u Reese'a —

powiedzia

ła powoli.

-Tak.

- I że mieszkał tam, ponieważ szpital stanowy przekazał go pod opiekę Reese'a.
- Zgadza się.

158

- I że znali się, ponieważ pracowali razem w magazynie „Life”. Właśnie tego dowiedziałam się od Sereny, pamiętasz? Wydaje mi się, że Bobbie przyjechał do Vermont, ponieważ wiedział, że mieszka tu Reese. Przejrzałam numery magazynu tylko z jednego roku, tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego. Może Bobbie pracował dla „Life'u” w połowie lat pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych. Może mając więcej czasu, znajdę całe roczniki z nazwiskiem Bobbiego w stopce wydawniczej.
- Sugerujesz więc, że Bobbie znał Reese'a, ponieważ Reese był redaktorem w jego dziale.
- Mam słuszność?
- Nie. To zbyt pochopny wniosek. Mogli się znać z tygodnika bez żadnego związku z pracą w jednym dziale. Nawet jeżeli rzeczywiście się tam poznali, to Bobbie mógł tam być równie dobrze dozorcą. Albo strażnikiem. Albo windziarzem. Wiele lat temu zatrudniano przecież windziarzy.
- Powinnam sprawdzić tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty rok — numery z tego okresu. Przedwczoraj wieczorem wywołałam trochę

zdjęć z Wystawy Światowej. Mogłabym tam znaleźć nazwisko Bobbiego.

David pokiwał ostrożnie głową, jak ojciec dziecku, gdy jest bliski irytacji. Po czym podniósł się ze stolika, sięgnął po myszkę komputera i zaczął klikać w krzyżyki w kratkach w prawym górnym rogu monitora, żeby się wylogować. Zanim Laurel zdołała go powstrzymać, wyłączył już przeglądarkę, nie zdążył jednak jeszcze wyłączyć samego komputera.

- Co robisz? — zapytała.

- Zabieram nas stąd, żebyśmy nie spóźnili się na film. Jeżeli w ogóle chcemy dotrzeć do kina przed rozpoczęciem seansu, musimy już wyjść. Nawiasem mówiąc, mam ci do powiedzenia coś bardzo zabawnego o Marissie. Chce, żebyś zrobiła jej zdjęcie portretowe. Możesz sobie wyobrazić?

David dalej mówił, ale Laurel przestała go słuchać. Po wyłączeniu przeglądarki nie widziała skróconych opisów całej masy stron poświęconych Marcusowi Gregory'emu Reese'owi, a przecież, niczym maniak internetowy, musiała je widzieć. Na własne oczy. Nie tylko *chciała*, ale *musiała* je znowu zobaczyć. Chociaż więc rozumiała, że David próbuje ją wyprowadzić z biura i zaczyna mówić coś o swojej córce, znowu kliknęła w ikonę przeglądarki.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie możemy po prostu pójść na następny seans? Pewnie jest o dziewiątej.

- Laurel!

- Jeżeli naprawdę chcesz, możesz iść. To żaden problem. Możemy się

spotkać na kolacji po filmie.

- Nie chcę iść do kina sam. Chcę iść na randkę z moją dziewczyną. To spora różnica.

Laurel trafiła do komputerowego rejestru stron, które były przeglądane tego dnia, i powróciła do stron o Reesie wyszukanych przez Google.

- Nie mogę teraz przerwać — powiedziała, a jej głos był tak niepewny i cichy, że sama go nie poznawała. — Wiem, że jestem coraz bliżej.
- Pozwól, że upewnię się w stu procentach, że to rozumiem: chcesz spędzić piątkowy wieczór przy moim biurku, przeglądając strony internetowe poświęcone zmarłemu redaktorowi działu fotoreporterskiego tygodnika „Life”. Zgadza się?
- Nie cały piątkowy wieczór. Daj mi tylko pół godziny, dobrze? Potem możemy pójść na kolację albo wrócić do twojego mieszkania. Co tylko zechcesz. Po prostu nie chcę wychodzić w tej chwili. Nie... mogę. A...

-Tak?

-A te serwisy informacyjne dla reporterów? Możesz mi któryś pokazać? Dobrze? Żebyśmy mogli zobaczyć, czego można się dowiedzieć na podstawie numeru ubezpieczenia Bobbiego?

David pomasaował powieki, po czym wyrzucił w górę ręce w geście kapitulacji. Znowu sięgnął ręką nad ramieniem Laurel, ale tym razem kliknął w część przeglądarki oznaczonej słowem „Ulubione” i wskazał jej strony.

— Spróbuj na tej — rzekł, klikając w ikonę — i wpisz w tym polu numer jego ubezpieczenia. — Później opadł na jedno z krzeseł ustawionych na przeciw biurka i zaczął przeglądać stertę gazet leżących obok na podłodze.

— Masz pół godziny. Potem gaszę światło i wychodzimy.

REESE, JAK się dowiedziała, był doświadczonym fotografem: kompetentnym, ale nieszczególnie — sądząc ze zdjęć, które znalazła w sieci — utalentowanym. Przypuszczalnie lepiej sprawdzał się jako redaktor, co tłumaczyło jego stałe zatrudnienie w tej roli w „Lifie”. Zawartość obejrzanych przez nią stron internetowych wskazywała na to, że pod koniec życia najprawdopodobniej wystawiał własne prace w takich miejscach, jak sala katechetyczna kościoła, do którego chodził - uczynił to mniej więcej na półtora roku przed śmiercią. Postanowiła odwiedzić któregoś dnia wiernych z tej parafii, na początek pastora. Pomyślała, że w nadchodzącą niedzielę mogłaby nawet wziąć udział

160

w nabożeństwie w Bartlett i spotkać się z ludźmi, którzy znali Reese'a - oraz być może jego ekscentrycznego przyjaciela, Bobbiego Crockera.

Jeden dłuższy nekrolog w czasopiśmie fotograficznym zawierał informację, że pracując dla gazet, Reese zajmował się fotografią sportową, ale w pudle pozostawionym przez Bobbiego Crockera, z wyjątkiem odbitki z dziewczętami z hu-la-hoop, nie było żadnych zdjęć sportowych — Laurel uznała też, że traktowanie go jako zdjęcia sportowego jest przesadą. Nic w biografii Reese'a nie świadczyło o jego zainteresowaniu muzyką, jazzem bądź rozrywką, typowym dla prac Crockera, tak więc — w odróżnieniu od Davida — nie wyzbyła się przekonania, że to Bobbie jest autorem odbitek, które znaleziono w jego mieszkaniu.

Ostatnią rzeczą, którą zrobiła przed wpisaniem numeru ubezpieczenia Crockera, było sprawdzenie nazwisk Crocker i Marcus Gregory Reese

razem. Nic nie znalazła.

Co gorsza, zbieranie informacji na podstawie numeru polisy wprowadziło ją tylko w jeszcze większe zdenerwowanie i zdziwienie. Numer ten nie należał w rzeczywistości do Roberta Buchanana, o czym Laurel była przekonana. Był natomiast przypisany Robertowi Crockerowi. Jej Bobbiemu Crockerowi: urodził się w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku i zmarł, według informacji na stronie internetowej, na początku miesiąca. W Burlington w stanie Vermont.

Podobnie nie istniał numer ubezpieczenia młodszego brata Pameli, co byłoby jak najbardziej sensowne, gdyby to, co powiedziała podczas spotkania z Laurel, było prawdą: brat Pameli urodził się przed wprowadzeniem ubezpieczenia społecznego i gdyby, zgodnie z jej informacją, zginął w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, to odszedłby z tego świata, zanim przyznano by mu jego numer w celach podatkowych.

Oczywiście z tego samego powodu zapisy na stronie internetowej nie mogły potwierdzić, czy Buchanan zginął przed sześćdziesięciu pięciu laty.

W konsekwencji radość, której doświadczyła w boksie w bibliotece, ulotniła się niemal zupełnie. David nie należał do osób, które szepną: „A nie mówiłem?”, ale było jej głupio i czuła się zawstydzona. Wciąż uważała, że Bobbie Crocker był bratem Pameli, ale gdy wyraziła tę myśl słowami, zrozumiała, że podobne urojenia miewa wielu jej podopiecznych. Wiedziała, że numer ubezpieczenia Bobbiego może wykorzystać skuteczniej i że to zrobi, ale ponieważ spóźnili się już na swój film, uległa usilnym prośbom Davida, by wyłączyli komputer i wyszli.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W

HIT POTRAFIŁ W ZAGRACONEJ STAREJ WIKTORIAŃSKIEJ WOZOWni jednym palcem przenieść swój rower turystyczny nad taczkami oraz sprzętami innych lokatorów: nartami, deskami snowboardowymi i deskorolkami, butami oraz swoim drugim rowerem, a także nad tekturowymi pudłami po komputerach, wypakowanych książkami, ubraniami, grzejnikami do talerzy i kubkami. Na wpół świadomy, że Talia przegląda swoją pocztę gdzieś z tyłu na podjeździe, podniósł teraz rower tak samo, jak odstawiał go na noc. Był wczesny piątkowy wieczór i słońce dopiero co zniknęło za grzbietami Adirondack po drugiej stronie jeziora. Na dworze wciąż było jasno, choć wkrótce miała zapaść ciemność i nadchodzący zmrok nawilżał powietrze. Whit nie był pewny, czy podnosi rower jednym palcem, żeby zademonstrować, jak lekka jest rama — co w jego mniemaniu świadczyło o wysokiej klasie roweru - czy też dlatego, że ten drobny manewr byłby dla tej dziewczyny niewymuszonym świadectwem jego brutalnej siły. Niezależnie od wzajemnej sprzeczności tych motywów Whit przypuszczał, że łączą się one ze sobą. Interesował się jednak nie Talią, ale jej współlokatorką, to zaś znaczyło, że prawa przechodniości hormonalnej niezmiennie sprawiały, że obecnie skłaniał się ku niej. Prawda wyglądała tak, że gdy tylko odrywał uwagę od zajęć i ćwiczeń laboratoryjnych, często myślał o Laurel, choć miał świadomość,

że ona jest związana z innym człowiekiem. Wydawała się samotna, życzliwa i niemal nieznośnie tajemnicza.

163

Szybko przypiął rower do słupka stojaka. Gdy wyłonił się z wozowni, Talia siedziała na schodach od frontu. Było oczywiste, że nie obchodziło jej w najmniejszym nawet stopniu, w jaki sposób odstawił swój rower na miejsce, nie zwróciła też uwagi na łatwość, z jaką uniósł jego ramę.

Uznał, że nie jeździł na tyle daleko ani intensywnie, by rozsiewać wokół szczególnie odrażającą woń, dosiadł się więc do niej. Nie był zaskoczony, widząc, że Talia czyta broszurę poświęconą paintballowi. Przypuszczał, że otrzymała ją jako druk reklamowy.

— Reklamowe śmieci - powiedział.

Talia spojrzała na niego i przez chwilę wydawała się zakłopotana. Po czym, zrozumiałwszy, co Whit ma na myśli, odparła z ostentacyjną niechęcią w głosie.

- *Zamówiłam to. Zażyczyłam sobie tego. Uważaj, młody człowieku.*
- *Zamówiłaś broszurę o paintballu? Po co?*
 - *Och, wy, mięczaki w obcisłych kolarskich spodenkach, jesteście wszyscy tacy sami.*
 - *Czyżby właśnie znieważono moją męskość? - zapytał z uśmiechem, ale w takich sytuacjach chwilami zastanawiał się, jak poważnie Talia traktuje połowę z tego, co mówi.*
- *Po prostu nazywam ich tak, jak ich postrzegam.*
- *Rzeczywiście. Do czego ci jest potrzebna broszura o paintballu? Tylko mi nie mów, że naprawdę któregoś dnia zamierzasz zabrać tam*

swoje dzieciaki z kościoła.

- Jutro.
- Nabijasz się ze mnie. -Nie.
- Naprawdę?
- Którego słowa nie zrozumiałeś? Spotykamy się w kościele i wyjeżdżamy około dziewiątej. Chcesz do nas dołączyć?
- Nie sędzę.
- Mógłbyś pojechać kościelną furgonetką. Mieści siedemnaście osób. Nie ma lepszego sposobu, by zwrócić śniadanie, niż godzinna jazda kościelną furgonetką.
- I lepszego sposobu, by trafić na pierwsze strony gazet. „Kościelna furgonetka" to łaciński synonim „tragicznego wypadku z udziałem dzieci i dorosłych pełnych najlepszych intencji". Mogłabyś sobie sprawdzić. To

164

część programu zajęć na pierwszym roku wydziału medycyny: biochemia. Embriologia. Furgonetki kościelne.

- Będzie tam Laurel. — Talia spojrzała na błyszczącą broszurę w swoich dłoniach. Whit miał wrażenie, że odwróciła wzrok, bo nie była w stanie zachować powagi, gdy przekazywała mu tę ciekawostkę. Zastanawiał się, czy jego zainteresowanie Laurel aż tak rzuca się w oczy.
- Co dokładnie robi się podczas gry w paintball? - zapytał. - Wyobra-

zam sobie wielu brzuchatych, marnie zresocjalizowanych facetów w panterkach goniących po lesie i strzelających do siebie pociskami z farbą.

- To dość trafny opis. Ale jest podział na drużyny. Oraz sędzia.

- Sędzia?

- Yhm.

Whit nie miał specjalnej ochoty spędzać dnia z licealistami z jej grupy parafialnej. Ale na sobotę, aż do wczesnowieczornego spotkania z ciotką i wujem na kolacji, nic nie planował. Przyjechali do Vermont, żeby podziwiać liście drzew, które — ku ich wielkiemu rozczarowaniu - najbarwniej i najbardziej onirycznie miały się prezentować dopiero za kilka dni.

- O której godzinie wrócicie? - zapytał.

- Nie później niż o czwartej bądź pół do piątej.

Whit sięgnął po broszurę i przyjrzał się mapce pola walki. Nie potrafił sobie wyobrazić siebie w roli strzelca. Ale z drugiej strony nie potrafił sobie również wyobrazić w tej roli Laurel.

- Mamy zamiar spędzić tam większość czasu — powiedziała Talia, wskazując na ciąg falujących linii topograficznych. — To Pasma Nieszczęść. Jest

tam skład paliwa, który mamy zdobyć.

Coś w słowach *skład paliwa* sprawiło, że cały ten pomysł wydał mu się mniej abstrakcyjny.

- Czy to w niczym cię nie krępuje w kontekście wojny w Iraku?

Talia odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Mam trzech szkolnych przyjaciół w Gwardii Narodowej, wszyscy byli w Iraku lub są tam w tej chwili. Jeden spędził miesiąc w Tikricie. Jeżeli

po

jedziesz jutro z nami, poznasz dwójkę dzieciaków, których starsi bracia służą

w Gwardii; jeden z nich był w Faludży. Nie jestem ani nieświadomą gąską, któ

ra nie ma pojęcia o tym, co się dzieje na Bliskim Wschodzie, ani socjopatyczną

neokonserwatystką, którą rajcuje zabawa w wojnę. Rozumiesz? To gra. I moim

zdaniem jest o niebo zdrowsza niż ich gry komputerowe... niż *wasze* gry kom-

165

puterowe, w których, z tego co wiem... wcielacie się w role snajperów i terrorystów. Choćby tylko dlatego, że gonią na świeżym powietrzu, zamiast przesiadywać w dusznych pokojach, garbiąc się nad swoimi konsolami. Dzieciaki *chcą* to robić. W każdym razie niektóre. Traktują to jak zdobywanie chorągwi lub amatorską grę w futbol. Ja uważam to za sposób przygotowania do pracy zespołowej i pokazania im, że są dorośli... — wiem, że przyznajesz to z bólem serca, Whit, ale w ich oczach jesteście dorośli... - którzy troszczą się o nich. Którzy mają ochotę spędzać z nimi czas. Żeby więc odpowiedzieć na twoje niesamowicie bogate w treść pytanie: Nie, nie krępuje mnie to. W porządku?

Whit potwierdził skinieniem głowy, nieco zszokowany. Też miał konsolę. Wmawiał sobie, że nadal grywa na niej od czasu do czasu, żeby się wyładować. Złagodzić stres. Tłumaczył sobie, że to w celach...

terapeutycznych.

— Wchodzisz w to?

Whit znowu skinął głową. Po krótkiej diatrybie Talii nie miał odwagi odmówić.

PEWNEGO WIECZORU w początkach sierpnia poszedł potańczyć z Laurel, Talią i dwójką ich przyjaciół z UVM - dość miłym gościem imieniem Dennis oraz dziewczyną imieniem Eva. Tworzyli paczkę lub, jak z upodobaniem mawiała Talia, stado. Był czwartkowy wieczór i tuż po dziesiątej spotkali się z Dennisem i Evą w klubie przy Main Street. Whit wciąż poznawał dopiero Talię i Laurel, pochlebilo mu więc, gdy zapukały do jego drzwi i wyciągnęły go z domu. Czuł się wtedy znacznie młodszy od swoich sąsiadek z drugiej strony korytarza, bo przed trzema zaledwie miesiącami ukończył college i przez kolejnych parę lat miał jeszcze studiować. Talia i Laurel nie były zatem tylko starszymi od niego kobietami: były starszymi kobietami pracującymi. Zgoda, obie pracowały w środowiskach, w których mogły ubierać się w zasadzie tak samo jak podczas studiów, ale jednak — w odróżnieniu od Whita - co tydzień otrzymywały wypłatę czekiem.

Klub nie był specjalnie zatłoczony, ponieważ zajęcia w college'ach jeszcze się nie zaczęły, mógł to więc być jeden z tych wieczorów, gdy atmosfera szybko staje się krępująca. Było jednak inaczej, głównie dlatego, że wybrali się całą paczką. Tańczył z Laurel, tańczył z Talią i przez kilka minut nawet z Evą. Eva pracowała w dziale marketingowym dużego centrum handlowego tuż pod Burlington i była jedyną osobą w ich gronie, która rzeczywiście zadawała miejskiego szyku.

Whit czuł już do Laurel sympatię i delektował się możliwością rozmowy, gdy kapela robiła przerwy w grze. Nawet wówczas miał wrażenie, że sam jest o wiele bardziej zainteresowany tańcem niż ona. A jednak Laurel dobrze się bawiła. Widział to.

Ale dopiero w drodze do domu dokładnie zrozumiał, dlaczego ulega jej urokowi. Talia i Dennis zamierzali zostać w klubie na ostatnią część koncertu, lecz Eva i Laurel były skłonne zakończyć zabawę. Miały bardziej sztywny czas pracy niż Talia i naprawdę musiały rano wstać. Tak więc wyszli we trójkę około północy i ruszyli do domu, zamierzając najpierw odprowadzić Evę, potem pść się w stronę wzgórza, na którym oboje mieszkali.

Przeszli trzy przecznice, gdy ujrzeli włóczęgę. Siedział na czerwonej plastikowej skrzynce na mleko, oparty o mur i okutany czarnym płaszczem przeciwdeszczowym z odciętymi rękawami. Krył się w mroku, wyczuli go zatem, zanim go spostrzegli. Twarz miał pociągłą, choć znaczna jej część była zamaskowana gęstym gniazdem brody, a włosy zwisały mu po bokach skręconymi brudnymi sznurkami. Łysiał na czubku głowy, a jego czaszka była pokryta owrzodzeniami. Whit domyślił się, że mężczyzna jest grubo po pięćdziesiątce, lecz Laurel wyjaśniła mu później, że zapewne liczył niespełna czterdzieści pięć lat. Eva zauważyła go pierwsza, wzięła Whita za rękę i zaczęła prowadzić go na drugą stronę ulicy, z dala od nieznanego. Whit najpierw nie zdawał sobie sprawy, o co jej chodzi, więc podążył za nią. Ale potem odetchnął smrodem, odwrócił się i ujrzął włóczęgę. Ten był przytomny i mówił do siebie szeptem. Nie krzyczał, ale jego ciche mamrotanie, odkąd tylko zdali sobie

z niego sprawę, było chyba jeszcze bardziej niepokojące.

Laurel podeszła prosto do mężczyzny. Przykucnęła przed nim i zwróciła na siebie uwagę. Zapytała go o imię i powiedziała mu, jak się nazywa. Z pewnością nie powrócił całkowicie do rzeczywistości, ale gdy Whit i Eva stali nieruchomo oniemiałi i przestraszeni, Laurel ujęła go za ręce - a Whit wyraźnie zrozumiał, że dotknięcie brudnej ręki włóczęgi jest zarówno aktem miłosierdzia, jak i odwagi - i podniosła go ze skrzynki. Powiedziała im, że powinni iść do domu, ale zostali z nią, gdy odprowadzała mężczyznę do schroniska. Ponieważ było lato, a wtedy bezdomni wytrzymują na dworze znacznie dłużej, w schronisku mieli wolne łóżka i Laurel z pomocą kierownika wykąpała go i nakarmiła, a potem przekonała, by tej nocy spał pod dachem. Ulokowanie go w przytułku zajęło jej blisko godzinę. Mężczyzna

167

nie rozmawiał z resztą z nich. Tak naprawdę Laurel też niewiele powiedział, ale przynajmniej przestał mamrotać, a oczy nie latały mu już niczym kule we flipperze. Utkwiły w oczach Laurel i było oczywiste, że w jej obecności czuje się bezpieczny. Bez względu na to, jakich spisków padł ofiarą i jakie urojenia zaprowadziły go na ulicę, na chwilę się od nich uwolnił.

Kiedy Laurel dołączyła z powrotem do Ewy i Whita, przeprosiła ich, że przez nią stracili godzinę snu, i we trójkę znowu ruszyli w górę wzgórza. Whit był wstrząśnięty zarówno smrodem, jak i całkowitą bezradnością człowieka, którego Laurel przyprowadziła z ulicy do schroniska, a także pierwszą wizytą w jego murach. Zrozumiał jednak, że po czterech spędzo-

nych tam latach pracy oraz okresie wolontariatu na Laurel nie robiło to w ogóle wrażenia.

On zaś był nie tylko wstrząśnięty. Czuł dla niej podziw.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

L

AUREL ZDAWAŁA SOBIE SPRAWĘ, ŻE W PIĄTEK WIECZOREM nie była najlepszą partnerką- ani w restauracji, ani w mieszkaniu Davida. A wszystko dlatego, że czuła, jak zegar odmierza tykaniem czas, który został jej na obróbkę zdjęć Bobbiego Crockera. Telefon prawnika zaniepokoił ją. Chciała robić odbitki z negatywów, zwłaszcza odkąd postanowiła spędzić przynajmniej część niedzieli w Bartlett. W konsekwencji nie przełamali do końca bariery chłodu, a w sobotę rano Laurel wróciła do domu grubo przed śniadaniem, żeby móc się przebrać i rozpocząć pracę w ciemni UVM. Gdy w łóżku całowała Davida na pożegnanie, ten nawet nie próbował ukryć swojego rozczarowania.

- Dlaczego nagle tak bardzo cię to absorbuje? Jakie to ma teraz znaczenie, kim naprawdę był Bobbie Crocker? Czemu się tym przejmujesz? — pytał z twarzą wciąż na wpół wtuloną w poduszkę. Czasami w sobotnie ranki jedli w łóżku śniadanie, a potem szli na spacer, zanim David wyjeżdżał po dzieci. Kiedy indziej jechał zabrać córki, po czym spotykali się w ustalonym zawczasu celu z dala od sypialni, w której kochali się kilka godzin wcześniej.
- Czemu musiałeś użyć tego słowa?

- Absorbujecie? Bo tak jest. Dwa z trzech swoich wczorajszych posiłków zjadłaś z ludźmi, którzy znali Bobbiego Crockera, a wczoraj wieczorem zepsułaś naszą randkę...
- Wcale nie!

169

- Zniweczyłaś nasze plany, żeby móc spędzić czas, poszukując informacji o człowieku, który kiedyś mógł bądź nie mógł być szefem Crockera. A teraz wychodzisz, żeby spędzić piękną jesienną sobotę w ciemni. I po co to robisz? Żeby móc spędzić jutrzejszy dzień - z pewnością piękną jesienną niedzielę - z ludźmi, których nigdy nie spotkałaś, na rozmowie o dwóch nieboszczykach, którzy może się znali, a może nie.
- Nie wiem, jak długo jeszcze będę mieć te zdjęcia do dyspozycji! Mówiłam ci, że Pamela Marshfield zaczęła angażować prawników. Wszystko wskazuje na to, że lada dzień będę musiała je jej oddać!

David naciągnął prześcieradło na głowę i zakrył nim szczelnie twarz. Laurel wiedziała, że to idiotyczny chłopięcy gest mający złagodzić różnicę zdań, zanim mogłaby się przerodzić w poważną sprzeczkę, ale od wczorajszego wieczoru oboje traktowali się nawzajem tak szorstko, że naprawdę się obraziła. Była już za progiem sypialni, gdy zawołał:

— Co postanowiłaś w sprawie portretu Marissy? Co mam jej powiedzieć? Właśnie podnosiła swój mały plecak z podłogi przy kontuarze oddzielającym kuchnię od salonu.

- Powiedziałam, że się zgadzam — przypomniała mu, świadoma szorstkiego tonu swoich słów. Ale czyż nie uzgodnili tego w piątek

wieczorem? Laurel uwielbiała Marissę i uważała, że fotografowanie dziewczynki będzie dobrą zabawą. Mówiła już to Davidowi.

- Tylko kiedy? Będzie chciała wiedzieć kiedy.

Laurel wiedziała, że w następnym tygodniu ma coś do zrobienia. Chyba w poniedziałek. Albo we wtorek. Chwilami wydawało się jej nawet, że coś zaplanowała na ten dzień. Nie była już tego pewna albo - w każdym razie w tej chwili - nie pamiętała. W końcu zaproponowała:

— Może w poniedziałek po południu, koło wpół do piątej?
Pozwól, że
sprawdzą. Chyba mogłabym wyjść z BEDS trochę wcześniej. Dam ci
znać.

Ale jeżeli nie będę mogła w poniedziałek, zawsze możemy to zrobić w
przy
szłą sobotę. W porządku? - Milknąc, natychmiast uświadomiła sobie, że
liczy
na to, iż David krzyknie w odpowiedzi, że sobota będzie świetnym termi
nem. Chociaż wiedziała, że portretowanie Marissy sprawi jej przyjemność,
czuła przytłaczające brzemie zdjęć Bobbiego Crockera. Było też jeszcze
tyle
innych osób, z którymi musiała porozmawiać.

Przez chwilę czekała na odpowiedź, ale jej nie otrzymała. David sądził
chyba czasami, że sam jego wiek daje mu przywilej oceny sytuacji. Ostat-

nio, ilekroć nie byli w łóżku, Laurel czuła się raczej jak jeszcze jedna z
jego córek - do tego przyrodnia - niż jak jego przyjaciółka. Dawał jej rady,

ale nie poświęcał uwagi. Zastanawiała się, czy w jej głosie zabrzmiała nuta rozdrażnienia, ale uznała, że tego rana naprawdę nie ma czasu na analizowanie wszystkiego, co do siebie mówili, i wyszła.

Gdy dotarła do domu, w mieszkaniu pachniało stęchlizną, otworzyła więc okno wychodzące na mały balkon, na którym latem siadała czasem z Talią. Z balkonu niewiele było widać, ale zapewniał on poranne słońce, a tuż obok rósł wspaniały klon. Drzwi sypialni Talii wciąż były szczelnie zamknięte, co Laurel nie zdziwiło, ponieważ minęła ledwie siódma. Spozrzegła jednak, że jej współlokatorka zostawiła dla niej karteczkę z informacją, że na automatycznej sekretarce jest wiadomość, którą powinna odsłuchać. Gdy Laurel nacisnęła guzik, usłyszała nieznanomy męski głos.

- Dzień dobry. Nazywam się Terrance J. Leckbruge. Jestem prawnikiem z kancelarii Ruger i Oates. Nasza kancelaria reprezentuje Pamelę Marshfield. Bardzo lubię Vermont. Moja żona i ja mamy domek niedaleko pani w Underhill i będę tam jutro oraz w niedzielę. Teraz jest piątek, tuż przed piętnastą, i wyjeżdżam na cały dzień... przepraszam, że dzwonię do pani na początku weekendu. Proszę zadzwonić na moją komórkę, gdy pani wróci, lub jutro rano do mojego domu w Vermont — powiedział z miękkim południowym akcentem, po czym zostawił coś, co przypominało jej zawartość małej książki telefonicznej. Oprócz numerów telefonu komórkowego i stacjonarnego w domku w Vermont podał numer biurowy i jeszcze jeden do stałego miejsca zamieszkania - obydwie miały manhattański numer kierunkowy.

Gdy wymówił słowo *Underhill*, Laurel poczuła napięcie w całym ciele i zastanawiała się, czy nie wymazać tej wiadomości i zająć się swoimi sprawami, jakby nigdy jej nie słyszała. W dodatku było na tyle wcześnie,

że tak naprawdę przez wiele godzin nie musiała odpowiadać na jego telefon. Nie potrafiła się jednak oprzeć ciekawości, jak właściwie Pamela Marshfield zamierza spróbować zmusić ją do oddania zdjęć. Tak więc zanim jeszcze przebrała się w czyste rzeczy i siadła do stołu z miską jogurtu i bananem, postanowiła zadzwonić do prawnika Pameli. Pomyślała, że teraz ma przynajmniej szansę wyciągnąć go z łóżka.

Odebrała jakaś kobieta, sądząc po głosie, zupełnie niepodobnym do nobliwego głosu prawnika, który był jej mężem, całkiem rozbudzona. Wła-

171

ściwie to mówiła z akcentem przypominającym niektórych z sąsiadów Lau-rel na Long Island. Laurel przedstawiła się szybko i wyjaśniła, że poszukuje prawnika nazwiskiem Leckbruge. Terrance Leckbruge. Kobieta zapytała ją grzecznie, czy wie, która jest godzina, i Laurel odparła, że za chwilę musi wyjść z domu i że jej ojciec też był prawnikiem.

- Gdy dzwonią do mnie prawnicy - dodała - oddzwaniam najszybciej, jak tylko mogę. -Właściwie było to całkowite zmyślenie: prawnicy — nie licząc ojca - dzwonili do niej jedynie w roku poprzedzonym nieudaną próbą gwałtu i wówczas jak najdłużej zwlekała z oddzwaniem. Nie znosiła powtarzania opowieści o wypadku, ale w tamtych miesiącach robiła to chyba bezustannie. Po chwili usłyszała, jak siatkowe drzwi otwierają się z piskiem, a potem zatrzasują.
- Laurel, miło mi słyszeć pani głos — rzekł Leckbruge, w budzący zaufanie sposób przeciągając samogłoski, jak przed chwilą na taśmie w automatycznej sekretarce. - Ranny z pani ptaszek, co? Jak się pani

miewa w tym wspaniałym dniu?

- Dziękuję, dobrze. O co chodzi?
 - O co chodzi? Zobaczmy. Cóż, przedwczoraj odbyłem bardzo miłą i bardzo serdeczną rozmowę z jednym z burlingtońskich prawników, reprezentującym BEDS. Z kobietą nazwiskiem Chris Fricke. Muszę pani powiedzieć, że jestem pod ogromnym wrażeniem pracy, jaką wszyscy wykonujecie w tym schronisku. Dajecie przykład innym - rzekł, po czym wypił łyk kawy na tyle głośno, by Laurel usłyszała to w słuchawce.
- Dziękuję.
 - Nie znam wszystkich szczegółów dotyczących tego pana... pana Crockera... ale wygląda mi na to, że wasza grupa naprawdę wybawiła go z opresji.
- Znaleźliśmy mu dom. Tym właśnie się zajmujemy.
 - Jest pani zbyt skromna. Proszę mi wierzyć: pani praca jest o wiele ważniejsza od mojej.
- Miło to słyszeć.
 - Mówię szczerze - odparł Leckbruge i Laurel wyraźnie poczuła, że to prawda. - Zastanawiałem się, czy moglibyśmy wypić razem kawę w czasie mojego pobytu w Vermont. Mogłaby pani przyjechać do naszego domu w Underhill. Nie jest zbyt efektowny, ale za to przyjemny. Kiedyś był, ni mniej, ni więcej, olbrzymią cukrownią. Z trzech stron las, ale mam wspa-

deszczowej stanowi ciężką próbę dla samochodu. Ale przez resztę roku jest w dobrym stanie. Przypuszczam, że ma pani samochód, prawda?

- Tak - odparła. - Ale nie przyjadę do Underhill.

Laurel powiedziała to z tak niewzruszoną pewnością, że Leckbruge przez chwilę milczał.

- No cóż - rzekł w końcu. - Czy powinienem dopatrywać się szczególnych powodów pani... stanowczości?
- Żadnych, jakie miałabym ochotę wyjawic. - Obraz: paznokcie chudsze z dwóch napastników. Właśnie zacisnął dłonie na kierownicy jej górskiego roweru, podnosząc go - ją - z drogi, paznokcie były więc zwrócone w stronę nieba. Pod paznokciami biegły czarne kreski brudu. Od szarpnięć w górę dostała rozstroju żołądka, gdy znowu usłyszała ten oburzająco głupi dowcip. Cipoponcz. Tymczasem ten, który okazał się prawdziwym kulturystą, wyzywał ją od cip, z rykiem kierując to słowo do niej przez otwór w wełnianej masce.
- Nie ma sprawy, nie ma sprawy - mówił Leckbruge. - Spotkamy się w Burlington? Byłoby to możliwe?
- O czym chce pan rozmawiać?
 - O fotografiach, które były w posiadaniu pani zmarłego podopiecznego. Ale założę się, że wiedziała pani o tym.
 - Nie mam nic do powiedzenia. Przykro mi. A nawet gdybym miała, to czuję, że powinnam rozmawiać tylko z Chris Fricke... podobnie jak pan.
 - W Burlington jest wiele niezwykłych kawiarenek. Wszystkie bardzo mi się podobają, zwłaszcza ta koło teatru. Flynn. Serwują tam czekoladę na gorąco, która jest wręcz nieprzyzwoicie dobra. Wiem

również o cudownie dziwacznej winiarni. Może byśmy spotkali się o piątej? Pani wybiera: kawa czy wino.

Wydało się jej, że słyszy poruszenie za zamkniętymi drzwiami pokoju Talii. Nagle naszła ją niejasna myśl, że wraz ze swoją współlokatorką ma do załatwienia jakąś sprawę - miała dokuczliwe wrażenie, że tego akurat dnia powinny coś razem zrobić. Może coś tak zwyczajnego jak zakupy. Ale chyba nie o to chodziło.

Choć bardzo cieszyła się z obecności Talii - choć bardzo ją lubiła; ta kobieta od lat była dla niej starszą siostrą w większym stopniu niż jej rodzona siostra - uświadomiła sobie, że musi wyjść, zanim przyjaciółka ukaże się

173

w drzwiach swojej sypialni. Musiała się dostać do ciemni. *Konieczn*ie. Co znaczyło, że nie może przeciągać tej rozmowy telefonicznej. Tak więc, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, zgodziła się spotkać o piątej z Leckbruge'em w winiarni w Burlington, skoro tylko tym sposobem mogła się rozłączyć i wydostać z domu. Po czym, nie biorąc prysznic, nie przebierając się ani nawet nie przekąszając żadnego owocu na śniadanie, bezgłośnie zbiegła po schodach i wypadła przez drzwi starej wiktoriańskiej kamienicy.

TAM GDZIE KIEDYŚ leżały hałdy popiołu i znajdował się billboard z wizerunkiem doktora T.J. Eckleburga - optyka, którego wyniosła reklama przy drodze ukazywała ogromne, puste, boskie i zimne oczy — mieściło się teraz centrum biurowo-przemysłowe. Wszystkie budynki, sterylne klocki z przyciemnianego szkła, otoczone przez parkingi z wyspami małych

skarłowacia-łych drzew, miały po trzy, cztery piętra. W pobliżu siedziby firmy telefonii komórkowej znajdowała się fontanna, nieciekawa tuleja w czaszy w kształcie parasola, z której tryskała promieniście woda. Laurel natychmiast rozpoznała, że to kompleks ze zdjęć, które zrobił Bobbie, ponieważ kiedyś widziała go z autostrady. To oznaczało, że gdzieś w ziemi, pod jednym z budynków spoczywały drobne resztki stacji benzynowej George'a Wilsona. Być może mały odłamek szkła. Ślad po betonowej płycie, na której stał dystrybutor. W dodatku była tam przypuszczalnie jakaś pozostałość lub złom z kawiarni prowadzonej tamtego okropnego parnego lata tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku przez młodego Greka nazwiskiem Michaelis - głównego świadka w dochodzeniu, które wszczęto po śmierci Myrtle Wilson.

Gdyby Laurel nie знаła prawdziwej tożsamości Bobbiego, mogłaby się zastanawiać, dlaczego fotograf zawracał sobie głowę robieniem zdjęć centrum biurowego na Long Island. Zdecydowanie odszedł od uwieczniania muzyków oraz aktorów i robienia reportaży, co było chyba głównym przedmiotem jego zainteresowań. Mogłaby pomyśleć, że pod koniec kariery zawodowej ograniczał się do fotografowania centrów biurowych do ogłoszeń agencji handlu nieruchomościami — i sądząc po wieku niektórych pojazdów na parkingu, domyśliła się, że zrobiono je pod koniec lat siedemdziesiątych - znała jednak dzieje tej okolicy na tyle dobrze, by rozumieć, co w rzeczywistości robił. Tworzył kronikę miejsca, w którym jego matka przez przypadek przejechała kochankę swojego męża, a następnie uciekła z miejsca zdarzenia.

Laurel zawahała się przez chwilę, spoglądając na zdjęcia centrum moczające się w kuwecie. Jak ciężko Bobbie musiał przeżywać prawdę o Tomie i Daisy? Ile miał wtedy lat? Wszyscy oczywiście dowiadujemy się o swoich rodzicach rzeczy, które budzą w nas lekkie skrępowanie, które odbierają nam pewność siebie. Laurel wystarczająco długo studiowała psychologię, by wiedzieć, jak ważna jest akceptacja niedoskonałości rodziców i jak nieświadomie wykorzystujemy je do częściowego zerwania łączącej nas z nimi więzi w okresie dorastania. Do indywidualizacji. Do rozwoju. Było to niestety częścią procesu dojrzewania. Ale jedną rzeczą — na przykład w jej przypadku - było uświadomienie sobie, że jej na co dzień pracowity, zdyscyplinowany, niezmiernie szczodry ojciec obżera się czasami jak rzymski cesarz, a zupełnie inną wiadomość, że oboje rodzice są cudzołożnikami, a matka potrafiła kobietę, jadąc samochodem kochanka, i zostawiła ofiarę na poboczu, by wykrwawiła się na śmierć.

Laurel zadała sobie pytanie: Czy właśnie wtedy gdy Bobbie dowiedział się o karygodnym tchórzostwie i egoizmie swoich rodziców - o tym, że Daisy nie zatrzymała się przy umierającej Myrtle, a potem Tom poinformował George'a Wilsona, kto jest właścicielem żółtego samochodu, żeby na Gatsbych skrupił się gniew zrozpaczonego mężczyzny — postanowił zmienić nazwisko?

Laurel niewiele wiedziała o schizofrenii, ale magisterium z opieki społecznej i lata spędzone w BEDS wzbogaciły nieco jej wiedzę na ten temat. Nie sposób pracować z bezdomnymi i nie nauczyć się czegoś. To, że Bobbie uciekł z domu, mając szesnaście lat, wiele mówiło, ponieważ schizofrenia często objawia się między okresem dojrzewania a wczesnymi latami dorosłości i od czasu do czasu przyspiesza ją jakieś koszarne

zdarzenie. Przypomniała sobie termin, którym czasami posługiwali się w BEDS: podwójna więź. To wyrażenie miało genezę kliniczną, odnosiło się do teorii Gregoryego Batesona, głoszącej, że szczególny rodzaj złego wychowania dzieci może być źródłem schizofrenii. W gruncie rzeczy oznaczało ono systematyczne mimowolne przekazywanie dziecku szeregu sprzecznych komunikatów: mówienie mu, że się je kocha, i jednocześnie odwracanie się z odrazą. Mówienie, że musi iść spać, gdy jest oczywiste, że chcemy jedynie się go pozbyć. Stwierdzenie, że ma okropnie nieświeży oddech, poprzedzone prośbą, by pocałowało nas na dobranoc. Bateson postawił hipotezę, że po długim czasie dziecko uświadomi sobie, że nie zdoła wygrać w realnym świecie, i w efekcie

175

wykształci świat własny, nierzeczywisty. Teoria podwójnej więzi nie została całkowicie zdyskredytowana, ale Laurel wiedziała obecnie, że większość lekarzy praktyków traktuje naturę - substancje chemiczne w mózgu - jako znacznie ważniejszy od wychowania czynnik warunkujący to, czy jakaś osoba stanie się schizofrenikiem. Jednak w schronisku używało się tego wyrażenia w bardzo podobny sposób jak hasła „paragraf 22”.

Czy zatem dzieciństwo Bobbiego było długotrwałą sytuacją bez wyjścia? Laurel zaczęła sobie wyobrażać scenariusz, w którym syn Toma i Daisy Buchananów dowiaduje się w szkole średniej o tym, co jego rodzice uczynili, zanim przyszedł na świat. Wówczas całe ich fatalne zachowanie, którego był świadkiem przez półtorej dekady - snobistyczna arogancja, małżeńska obłuda oraz, tak, małostkowa beztroska - staje się drobiazgiem

w porównaniu z tym koszmarem. Staje więc przed ich obliczem i pyta, ile z tej opowieści jest prawdą, a ile domniemaniami. Tom zaprzecza wszystkiemu, twierdzi, że to Jay Gatsby siedział za kierownicą tamtego dnia przed zmierzchem w lecie tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku. Lecz Bobbie przejrzał ojca, wie, że ten kłamie.

A jego matka, ta kobieta, która stale mówiła o pieniądzach. Co z nią? Co robi? Czy wyznaje prawdę synowi? Czy też, jak jej mąż, nadal twierdzi, że to Gatsby siedział za kierownicą samochodu? Czy po prostu zachowuje milczenie?

Tak czy inaczej, Bobbie zna prawdę. I ta część istoty szarej jego mózgu, która — do pewnego stopnia — hamowała schizofrenię, nie była już w stanie powstrzymać początkowych objawów.

Być może wtedy nawet sama Daisy zaczęła wierzyć w kłamstwo, którym wraz z Tomem karmiła świat. Któż to mógł wiedzieć? Może Daisy Buchanan poszła do grobu, wypierając się wszystkiego, w końcu traktując krążące wokół niej pogłoski jako niegodziwą fikcję wymyśloną przez dalekich kuzynów i zawistnych sąsiadów.

Przecież pamięć potrafi być łaskawa: Laurel wiedziała, że jeżeli nie jest się schizofrenikiem, czasem można dać sobie radę tylko dzięki dobrodusznej pamięci.

CZYTELNIA WYDAWNICTW naukowo-informacyjnych była w sobotę otwarta do wieczora, Laurel pracowała więc w ciemni bez przerwy przez całe rano i wczesne popołudnie, przeżywając jakoś o butelkowanej wodzie i babeczce

się do przerwy w pracy. Zawsze była jeszcze jedna odbitka do zrobienia. Zdjęcia z Wystawy Światowej zrobione przez Bobbiego przedstawiały pawilon stanu Nowy Jork — wieże wysokości siedemdziesięciu pięciu metrów zaprojektowane przez Philipa Johnsona — oraz symbol samej fety, Unisferę U.S. Steel. Laurel rozpoznała je natychmiast. Wieże i Unisferę widziała z autostrady w Queens chyba setki razy, w dziewiątej klasie miała też nauczyciela historii Ameryki, który dobrze pamiętał wystawę z własnego dzieciństwa i kiedyś przyprowadził całą klasę do Corona Parku w ramach zajęć poświęconych latom sześćdziesiątym.

Bibliotekarz w czytelnicy szybko znalazł jej szpulę mikrofilmu z magazynami „Life'u” z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku i Laurel zaczęła je przeglądać od styczniowego numeru. Spostrzegła artykuł o papieżu Pawle VI, który jako pierwszy biskup Rzymu odbył podróż samolotem, oraz sylwetkę sekretarza obrony Johna McNamary. Był też artykuł o skazaniu Jacka Ruby'ego i kolejny o tym, jak kobieta nazwiskiem Kitty Genovese została pewnego wieczoru brutalnie zamordowana przed swoim mieszkaniem w Queens; jej wołania o pomoc słyszało ponad trzydziestu sąsiadów — z których żaden nie pośpieszył z pomocą.

W końcu w kwietniowym numerze ujrzała pierwsze zdjęcia z Wystawy Światowej we Flushing. Wystawa została oficjalnie otwarta 22 kwietnia przez prezydenta Johnsona i pokazano fotografie modeli rakiet rzeczywistej wielkości - otoczonych przez elegancko ubranych gości; wiele kobiet nosiło białe rękawiczki — a także budynki wystawowe wzniesione przez General Motors, Chryslera i IBM. W numerze znalazło

się zajmujące pół strony zdjęcie pawilonu stanu Nowy Jork (aczkolwiek nie to, którego odbitkę właśnie zrobiła w uniwersyteckiej ciemni) oraz opatrzone podpisem zdjęcie kolei jednoszynowej - jednak jego autorem nie był ani Robert Buchanan, ani Bobbie Crocker.

Laurel była zawiedziona, ale przeglądała dalej i niebawem zdała sobie sprawę, że pochylona na krzesło, mrużąc oczy, wpatruje się w czarno-białe zdjęcie na ekranie przeglądarki. W numerze z następnego tygodnia na przedostatniej stronie znajdowała się fotografia Unisfery. Widok orbitalnych pierścieni z cokołu i rzucająca się w oczy Australia przypomniały jej o zdjęciu zrobionym przez Bobbiego. Przeczytała podpis i proszę, w końcu go znalazła - czekał na nią cierpliwie.

177

Unisfera U.S. Steel otoczona przez fontannę kontynentów, Wystawa Światowa, Flushing, Nowy Jork. Kula wznosi się dumnie na wysokość 12pięter i waży aż 470 ton. Wieczorem świecą się na niej stolice czołowych państw świata, a wysoko nad stalową planetą przelatują ze światem trzy satelity. Łączny koszt: dwa miliony dolarów, ale jest warta każdego centa, zważywszy, jak wspaniale przypomina zwiedzającym, że mimo wszelkich różnic politycznych i etnicznych jesteśmy naprawdę jedną planetą. Unisfera jest zarówno symbolem nowo otwartej Wystawy Światowej, jak i jedną z jej największych atrakcji!

Zdjęcie: Robert Crocker

Laurel chyba nigdy w życiu nie była tak zadowolona. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Davida na jego telefon komórkowy. Bała się jednak,

że po ich porannym rozstaniu David odniesie wrażenie, że ona napawa się swym triumfem. W dodatku nagle poczuła ogromne zmęczenie. Omal nie zakręciło się jej w głowie. Była chyba zbyt zmęczona, żeby rozmawiać.

Z Leckbruge'em miała się spotkać dopiero za trzy kwadranse, wydrukowała więc stronę ze zdjęciem, po czym zwróciła szpulę bibliotekarzowi i usiadła na chwilę na kanapie w czytelnicy, żeby odpocząć. W końcu wstała i resztkami sił dowlokła się do piekarni na tej samej ulicy, żeby kupić butelkę soku i babeczkę. Wiedziała, że gdy spotka się z prawnikiem Pamelą Marsh-field, musi być w stanie najwyższej gotowości.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

P

AMELA SZŁA POWOLI PLAŻĄ ZA SWOIM DOMEM W późne Sobotnie popołudnie, boso, z podwiniętymi nogawkami rybaczek. Jesienne słońce padało na nią niczym fala i przez ułamek sekundy rzeczywiście zachwiała się niepewnie, jakby stąpała po ruchomych piaskach. Przystanąła na chwilę, żeby się przyjrzeć, jak mewy okrążają małego kraba na piasku. Jedna chwyciła go w końcu i wzbiła się w niebo nad falami przyboju. Drugi ptak zaskrzeczał gniewnie i wtedy zauważył Pamelę. Przechylił głowę w jej kierunku z lekkim zdziwieniem, mechanicznie, po czym wystartował w ślad za drapieżnicą. W oddali, w odległości blisko pół mili, widać było na brzegu barwne kropki postaci znacznie młodszych spacerowiczów w niebieskich dżinsach i wiatrówkach, którzy wynajmowali mieszkania w skromniejszych domach

na tym odcinku plaży.

Pamela nie była zaskoczona, gdy T.J. zadzwonił z wiadomością, że pracownica BEDS zgodziła się z nim spotkać. Nie dlatego, że jej zdaniem młody prawnik był niezwykle czarującym mężczyzną — chociaż był — ale dlatego, że wiedziała, iż dziewczyna z West Egg jest ciekawska. Wścibska. Nieskłonna zostawić spuścizny swojego bezdomnego podopiecznego w spokoju. I przez to nieskłonna zrezygnować z okazji do spotkania z prawnikiem z Manhattanu.

Pod tym względem z pewnością przypominała Roberta. Zadawała zbyt wiele pytań. Nie wiedziała, kiedy dać za wygraną.

179

Przecież właśnie dlatego Robert musiał w końcu wyjechać. Albo przynajmniej dlatego postanowił wyjechać. Tak czy inaczej trudno było Pameli wyobrazić sobie, by on i jej ojciec wytrzymali kolejną noc pod jednym dachem po ostatniej awanturze. Oczywiście Robert kiepsko na tym wyszedł: jej ojciec był futbolistą. Graczem w polo. Prawdziwym brutalem. Gdyby matka była wówczas w domu, wmieszałaby się w to i wylądowała w izbie przyjęć szpitala w Roslyn. Na szczęście Tom i Robert Buchananowie zostawili sobie ostatnie i najgorsze starcie na wieczór, gdy Daisy wyszła na brydża. Świadomie bądź nie, Robert wybrał ten moment chyba właśnie dlatego - chociaż jego gniew na nią był równie głęboki, zapiekły i nieprzejednany jak wściekłość, którą czuł wobec Toma. Nawet wtedy Daisy nie przestała go kochać - na zawsze pozostał jej błyskotliwym malcem - ale on po prostu nie umiał znaleźć ani w swoim sercu, ani w straszliwie zmaconym umyśle siły, żeby jej przebaczyć.

Pamela naprawdę niewiele wiedziała i o chorobie umysłowej, i o nastoletnich chłopcach. Nigdy do końca nie zrozumiała, na ile ówczesne zachowanie Roberta można było przypisać szaleństwu, w którym w końcu pogrążył się całkowicie, a na ile było ono wynikiem burzy hormonalnej u dorastającego mężczyzny. Wiedziała, że nie obudził się po prostu pewnego dnia jako szaleniec. Był to powolny i ciągły proces degeneracji, który nabrał chyba tempa, gdy Robert miał piętnaście, szesnaście lat. Pamela nie była już tego pewna. Kto z ich grona w ogóle myślał o takich rzeczach w latach trzydziestych? Daisy i Tom Buchananowie najwyraźniej nie zamierzali tego robić. Mieli mnóstwo własnych groźnych demonów. Ale była mowa o umieszczeniu go w szpitalu (skończyło się na rozmowie) i w pewnym momencie postanowili, że Robert będzie pierwszym Buchananiem, którego nie można posłać do szkoły z internatem. Zmiany nastroju były u niego zdecydowanie zbyt gwałtowne, zupełnie też nie potrafił się skupić na zajęciach w tradycyjnej szkole. I — co zdaniem Toma było zdecydowanie gorsze - nie miał zapалу do sportu. Interesował się tylko fotografią. Kiedy miewał okresy zupełnie szalonej aktywności, spędzał całe noce w ciemni, którą zbudowała mu mama, gdy stało się jasne, że Robert nigdy nie będzie uczęszczał do Exter, Hotchkiss lub Wales. Chodził natomiast do prywatnej szkoły dziennej w Great Neck.

Potem Pamela wyjechała na studia, co oznaczało, że przestała się widywać codziennie z Robertem. Być może więc dostrzegła te zmiany jesz-

cze wyraźniej niż jej rodzice. Gdy w któreś ferie wróciła z college'u, Robert powiedział jej, że mu ulżyło: był niemal pewien, że ją porwano - i

wcale nie żartował. W kolejne święta Bożego Narodzenia powiedział, że widzi na swoich zdjęciach rzeczy, których nie dostrzega nikt inny. Początkowo Pamela miała nadzieję, że świadczy to jedynie o nowo odkrytej pysze artysty bądź krytyka; kiedy jednak nazajutrz pokazał jej swoje zdjęcia, uświadomiła sobie, że Robert rozumie to dosłownie. Zdawał sobie do pewnego stopnia sprawę z nielogiczności tej sytuacji i na myśl o tym Pameli zrobiło się słabo.

Gdy opuszczał dom, zabrał ze sobą niewiele rzeczy, zachowując miejsce w walizce i dużym worku marynarskim na swoje aparaty, negatywy i całe stosy swoich fotografii. Wiedziała, że jest wśród nich jej portret, pokazał go bowiem Pameli, gdy próbowała go uspokoić i przeszkodzić mu w pakowaniu. Ale mogła się tylko domyślać, jakie inne zdjęcia — albo migawki rodzinne, albo własne prace — miał ze sobą w chwili wyjazdu. Raczej wątpliwe, by miał jakiegokolwiek zdjęcia ukazujące Daisy bądź Toma.

Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby — jak błagała matka, gdy wróciła do domu po grze w karty — Tom poszedł tamtego wieczoru za Robertem? Pamela naprawdę tak nie myślała. Dwaj mężczyźni, jeden jeszcze nastoletni, zależliby po prostu inny wieczór na kontynuację swojego bezustannego nierozwiązywalnego konfliktu, a Robert wybrałby inny wieczór na gwałtowne rozstanie. Poza tym wszyscy oczekiwali, że rano wróci. Potem, gdy nie wrócił chyłkiem na śniadanie - że zjawi się na obiedzie. Nawet jej własna próba, by przekonać go do pozostania, trwała krótko i była niezbyt energiczna, zarówno dlatego, że przypuszczała, iż niebawem wróci, jak i dlatego, że zawsze była lojalna wobec rodziców. Wiedziała, kim są i co zrobili. Ale też miała mniej do wybaczenia.

Mimo to ktoś chyba powinien był szukać Roberta w tych pierwszych godzinach, gdy najprawdopodobniej przebywał jeszcze na Long Island. Pamela wróciła na lato do domu ze Smith College, знаła jego przyjaciół i miejsca, gdzie mógł znaleźć schronienie. Mogła go odnaleźć - lub przynajmniej spróbować to zrobić. Poszła nawet na przystań sprawdzić, czy zdoła dojrzeć snop światła latarki lub blask ognisk w pobliżu opuszczonego domu po drugiej stronie zatoczki. Starą posiadłość Gatza kupowano i sprzedawano po tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku co najmniej sześć razy, ale znowu pusta czekała na nabywcę. Jednak Pamela spędziła na brzegu tylko chwilę: myśl, że stoi samotnie, wypatrując światła na drugim brzegu, zdecy-

181

dowanie zbyt mocno przypominała jej o rozpaczliwym zachowaniu Jamesa Gatza tamtej wiosny, gdy prześladował jej matkę. Wróciła więc do domu i wściekłego teraz, lecz milczącego ojca.

Rok później Tom Buchanan oświadczył, że przestało go obchodzić, czy Robert wróci. Chłopak był dla niego kimś niemal martwym. Niedługo potem słyszała, jak ponuro mówi do znajomego z college'u, którego nie widział od dwudziestu siedmiu lub ośmiu lat, że Robert zginął. W wypadku samochodowym. W Grand Forks.

Matka najwyraźniej wynajęła detektywa, żeby ten odnalazł Roberta. Widziano go tam pół roku po opuszczeniu domu. Reszta oczywiście była spontanicznym, zapewne chorobliwym wymysłem: po Grand Forks trop się urywał.

W końcu Pamela słyszała, jak powtarzano tę historię na przyjęciach w

ich eleganckiej jadalni w East Egg: krnąbrny uciekinier zginął, gdy jego samochód dachował w jakimś rowie. Kiedy brała ślub w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym, znajomi znajomych twierdzili wręcz na przyjęciu weselnym, że w Rosehill brali udział w nabożeństwie żałobnym za jej brata.

Zanim go znowu ujrzała, minęły dziesięciolecia, ponieważ Robert nie wrócił do domu nawet na pogrzeb ojca. Pojawił się dopiero rok później, blisko miesiąc po pogrzebie Daisy. Pewnego popołudnia Pamela wyszła na dwór, gdy zobaczyła, jak fotografuje — użył słowa *dokumentowanie* — ich dom. Z początku go nie poznała: upłynęło dużo czasu, a Robert nieładnie się starzał. Śmierdział jak bezdomni, których mijala na ulicach Manhattanu - octem i kwasem. Dumnie chełpił się pewnym pomysłem, który wykluwał się w jego głowie, i Pamela zaproponowała, że załatwi mu wsparcie. Nie udało się jej nawet skłonić go do noclegu. Odraza, którą kiedyś w nim budziła, nie zmalala ani trochę z biegiem lat.

I właśnie dlatego wiedziała, że musi odzyskać te zdjęcia. Mogła się tylko domyślać, jak daleko jej obłąkany brat posunął się w realizacji swojego planu.

Przyglądała się, jak fala cofa się i jak palce jej nóg grzęzną w mokrym piasku. Ta dziewczyna przypuszczalnie nienawidziła jej. *Świetnie*, pomyślała. *Niech traktuje Roberta jak znakomitość*. Faktem było, że to ona - nie Robert — znalazła w sercu siłę, by przebaczyć swoim rodzicom.

Teraz zaś musiała przebaczyć sobie. Nawet gdyby szukała swojego brata tamtej nocy, nie mogłaby go uratować. I tak postradałby zmysły, i tak

sprzeciwiłby się wszystkim próbom pomocy ze strony rodziny. Kiedy jednak wspominała ich życie, mogła jedynie żałować, że nie zdołała go ściągnąć z powrotem - choćby tylko ze względu na ich matkę.

Choćby po to, żeby nie skończył jako... bezdomny.

Ta myśl zaszokowała ją. Bezdomny. W końcu jej niezrównoważony, stuknięty, autodestrukcyjnie zadufany w sobie młodszy brat rzeczywiście wylądował na ulicy. Było to niesłychanie smutne i zupełnie niepotrzebne.

Stadko mew wylądowało przed nią na twardym wilgotnym pasie plaży, zakrytym przed chwilą przez morze. Ptaki zaczęły się dumnie przechadzać i dziobać w piasku. Pamela westchnęła i próbowała sobie przypomnieć, co spowodowało końcową kłótnię między ojcem i Robertem. Po czym, niemal z żalem, pokręciła głową. Wcale nie musiała się długo zastanawiać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W

CZASIE GDY LAUREL SZŁA DO BARU, NIECO POKRZEPIONA sokiem i babeczką, zaświtało jej w głowie, że zgoda na spotkanie z prawnikiem może się okazać grubym błędem. Leckbruge był w zasadzie doradcą strony przeciwnej. A Katherine specjalnie prosiła ją, żeby z nim nie rozmawiała. A jednak proszę, wyraźnie - choć nie całkiem - do tego zmierzała, ponieważ tego ranka nie chciała przedłużać rozmowy telefonicznej. Oczywiście zgodziła się z nim zobaczyć również z ciekawości, co ma do powiedzenia, sądząc, że może zdoła się dowiedzieć czegoś więcej o Bobbiem Crockerze. Była jednak zaniepokojona i dumiała teraz o konsekwencjach i

tym wszystkim, co może się nie udać.

Terrance Leckbruge powiedział jej, że rozpozna go bez trudu, bo będzie czytał „Atlantic Monthly”. W chwili gdy weszła do winiarni, uznała, że i tak by go wypatrzyła wśród klientów. Siedział na wysokim stołku, na okrągłym stoliku przed sobą miał szklankę z białym płynem i mocno sfa-tygowany egzemplarz czasopisma. Wyglądał na czterdziestolatka, ale nie zdziwiłaby się, gdyby był znacznie starszy: jego mocno żelowane, zaczesane do tyłu włosy były tak czarne, że Laurel była całkowicie pewna, że je ufar-bował. Nosił dziwne staroświeckie okulary, których spodziewała się raczej u emerytów: w rombowych oprawkach koloru musztardy. Okulary wyglądały szczególnie irytująco, ponieważ jego oczy miały olśniewający błękitny kolor, a nos był tak mały, że właściwie niewidoczny. Zastanawiała się niemal,

184

czy przykleił je do brwi, by zapobiec zsuwaniu się ich z twarzy, zwłaszcza że gdy ujrzała go z progu winiarni, spoglądał w miesięcznik z lekko przechyloną głową i ustami stężałymi w nieco protekcyjnym uśmiechu. Pod szarą lnianą marynarką miał beżowy T-shirt i Laurel w swoich dżinsach poczuła się ubrana nie dość elegancko, wręcz niechlujnie. Od prawie dwóch dni nie myła włosów i nie brała prysznic, zdała też sobie sprawę, że nosi te same rzeczy, które włożyła na siebie w piątek rano, wychodząc do BEDS. Nie była również w ogóle umalowana i żałowała, że przynajmniej nie nałożyła szminki ani różu.

Leckbruge uniósł wzrok, gdy Laurel zbliżał się do stolika, po czym zsunął się ze stołka. Przez chwilę myślała, że ma zamiar pocałować ją w

policzek, ale myliła się. Ściskając jej dłoń, po prostu nachylił się trochę bliżej niż większość ludzi.

- Pewnie pani Laurel. Jestem Terrance Leckbruge, ale wszyscy moi znajomi nazywają mnie TJ. Zawsze tak nazywali i zawsze będą... nawet wtedy gdy, jak Bóg da, dożyję późnej starości. Wielkie dzięki, że pani wpadła. Wygląda mi pani na bardzo spragnioną. - W bezpośrednim kontakcie jego akcent brzmiał uroczo, był jeszcze bardziej południowy i wyraźny niż wtedy, gdy rozmawiali przez telefon. Laurel zastanawiała się, czy nie jest to poza, ale nie przywiązywała do tego wagi. I tak przyjemnie było słuchać.
- Jestem spragniona — przyznała i sięgnęła po wypolerowaną metalową podkładkę do pisania z kaligrafowaną listą win. Leckbruge pewnie wyczuł, że wybór trunku przekracza jej możliwości, bo szybko polecił jedno z nich. Po czym, gdy przyszła kelnerka, zamówił je dla Laurel, oszczędzając jej łamania sobie języka na niemożliwej do wymówienia nazwie toskańskiej winnicy.

Przez kilka minut rozmawiali o tym, jak bardzo kochają vermonckie dziwactwa, i Leckbruge opowiedział jej, jak przyjemna jest życzliwość jego sąsiadów z Underhill. Laurel umilkła, gdy wspomniał to miasto, i pomyślała, że może uznać to milczenie za przejaw oziębłości - co jej nie przeszkadzało. Gdy tylko przyniesiono jej wino, rzekł:

— Naprawdę, Laurel, bardzo doceniam to, że zechciała pani spotkać się ze mną tak szybko. Naprawdę doceniam. Dziękuję.

— Cóż, muszę przyznać, że gdybym dziś rano nie starała się szybko

wyjść z domu, prawdopodobnie bym odmówiła. Nie chciałam jednak się spierać.

185

- Więc się pani zgodziła.
- Właśnie.
 - Potrafię być bardzo przekonujący - rzekł prawnik, wspierając brodę na kłykciach dłoni.
- Nie tym razem.
- I nieustępliwy.
- To trafniejsze określenie.

— Cóż, jestem wdzięczny, że była pani tak przychylnie usposobiona. Laurel wzruszyła dyplomatycznie ramieniem.

— Gdzie pani dzisiaj była? Co to za niecierpiące zwłoki zobowiązanie,

jeśli wolno zapytać?

Zastanawiała się, czy nie skłamać, ale uznała, że nie ma takiej potrzeby.

— Chciałam dotrzeć do ciemni, żeby popracować nad negatywami zdjęć

Bobbiego Crockera. Żeby zobaczyć, co przedstawiają.

-I?

- I nie zobaczyłam żadnych innych zdjęć pańskiej klientki, jeżeli to właśnie pana ciekawi.
- A jej dom? Posiadłość? Jakies zdjęcia tego typu?
- Niech pan posłucha, nie powinnam nawet tu przychodzić.
 - Ale przyszła pani. Niech pani sobie wyobrazi, że jakiś człowiek...

człowiek poważnie chory... wszedł jakoś w posiadanie zdjęć pani rodziny. Bardzo osobistych zdjęć. Nie chciałaby pani ich odzyskać?

- Schizofrenia Bobbiego Crockera była pod kontrolą. Pan przedstawia go jako niepoczytalnego.
- Nie musimy analizować choroby umysłowej. Dopóki nie pojawiliście się nagle w jego życiu, był bezdomny. Nie wierzę, by rozsądni emeryci mieszkali na ulicy w północnym Vermont, gdy mają jakiś wybór.

— Gdy tylko BEDS dał mu szansę na dach nad głową, skorzystał z niej.

Leckbruge przełknął resztkę wina i skinął na obsługującą ich kelnerkę. Gdy podeszła do ich stolika, rzekł miękkim głosem:

— Było przepyszne. Dokładnie tak wyśmienite, jak pani mówiła.

Mogę

prosić o jeszcze jeden kieliszek?

Kelnerka miała na lewej brwi coś w rodzaju podwójnych kolczyków, na które Laurel aż przykro było patrzeć, tym bardziej że poza tym jej młoda skóra była gładka niczym u modelki w reklamie kremu do twarzy. Wiele znajomych Laurel miało małe kolczyki i tatuaże - nawet Talia przekłuła

186

sobie pępek. Kiedyś, tuż po zrobieniu dyplomu, bawiła się myślą o pójściu za przykładem Talii i przekłuciu sobie pępka. Wiedziała, że przypomina to decyzję o pozowaniu nago do zdjęć erotycznych: najlepiej robić to przed osiągnięciem wieku średniego. Wydawało się jej więc, że skoro ma taki zamiar, powinna go spełnić raczej prędzej niż później. Do salonu body

artu gonił ją dodatkowo jej - jak zawsze starszy - przyjaciel, który uważał, że kolczyk w jej pępku pokaże jeszcze wyraźniej światu, zarówno jak cenną jest zdobyczą, jak i to, jaki z niego ogier. W końcu jednak Laurel uznała, że nie chce przyciągać uwagi swoim brzuchem, bo wówczas ryzykowałaby zwróceniem uwagi na swoje piersi, a od czasu napaści po prostu nie wchodziło to w grę. Poza tym już sam przesadny zapach jej przyjaciela wystarczył, by sprzeciwić się temu pomysłowi.

- Czego zatem — rzekł Leckbruge cicho, niemal rozmarzonym głosem, gdy kelnerka poszła po drugi kieliszek wina — trzeba, żeby zrezygnowała pani z tych fotografii? Przecież właśnie dlatego tu jesteśmy. Moja klientka uważa, że poważnie pogwałcono jej prawa, i chciałaby odzyskać zdjęcia. Pani zaś najwyraźniej rozumie to głębokie poczucie pogwałcenia jej praw. Ostatecznie...
- Skąd ta myśl? - zapytała Laurel i za chwilę przestraszyła się, że w użytym przez niego słowie *pogwałcenie* doszukuje się znaczeń, których w nim nie ma. Ona przypuszczała, że Leckbruge skądś wie, co wydarzyło się przed laty na obrzeżach jego miasteczka, podczas gdy on najprawdopodobniej po prostu sugerował, że Laurel jest szczególnie życzliwą osobą. Już miała przeprosić albo przynajmniej spróbować przypisać ostrość swojej reakcji brakowi snu lub wyczerpaniu — obojętnie — gdy prawnik sięgnął przez stół i położył swą ciepłą i delikatną rękę na jej dłoniach.
- Tak mi przykro. Nie powinienem był tego mówić.

— Nie, to ja nie powinnam być taka drażliwa. Chodzi po prostu o to, że...

Tym razem to on jej przerwał.

—Napadnięto na panią. Rozumiem. Powinienem być użyć słowa innego

niż *pogwałcenie*. To było z mojej strony bezduszne i głęboko bezmyślne.

A więc wiedział. Powinna była się tego domyślić. Przecież miał dom w Underhill. Był prawnikiem. Przypuszczalnie wiedział od samego początku, co się wtedy wydarzyło. Laurel szybko cofnęła rękę i sięgnęła po swój plecak; miała zamiar wyjść. Ale wtedy przypomniała sobie zdjęcie dziewczyny na rowerze na leśnej drodze. Zdjęcie zrobione przez Bobbiego Crockera.

187

- Kiedy brat pańskiej klientki przebywał w Underhill? - zapytała.
- Moja klientka twierdzi, że jej brat zginął bardzo dawno temu. On...
Przecinając powietrze końcami palców, dała mu znak, by zamilkł.
- Kiedy Bobbie Crocker był w Underhill?
 - Nie wiedziałem, że był. Pani wie o jego życiu w Vermont znacznie więcej ode mnie.
 - Robił tam zdjęcia. W Underhill. Widziałam je. Czy pańska klientka sądzi, że one też należą do niej?
- Co przedstawiają?
- Rowerzystkę.
- Panią?

Gdy Laurel zbliżała się do winiarni, rozmyślała o różnych błędach, jakie może popełnić podczas spotkania. Tego wątku nie brała jednak pod uwagę. Ale z drugiej strony czy to na pewno był błąd? Czyż nie przyszła tu w końcu po to, żeby dowiedzieć się jak najwięcej? Westchnęła i w

nagłej ciszy przy ich stoliku po raz pierwszy usłyszała muzykę, szmer rozmów i brzęk kieliszków dookoła. Jakby winiarnia nagle zapełniła się gośćmi.

- Mnie - odparła w końcu, po czym szybko dodała: - Przynajmniej nie jest to wykluczone.
- Nie ma pani pewności.
- Nie w stu procentach. Ale to możliwe.
 - Moja klientka jest kolekcjonerką. Nie ma powodu nie wierzyć, że wśród fotografii, które zniknęły, znajdowało się zdjęcie dziewczyny na rowerze.
 - Zrobiono by je więc siedem lat temu. Kiedy według pańskiej klientki jej kolekcja...
- Część jej kolekcji.
 - Kiedy jej zdaniem część jej kolekcji zniknęła? Musiałaby do tego dojść później.
- O co pani chodzi?
 - Czy Pamela Marshfield poinformowała o tej kradzieży policję? Czy kolekcja była aż tak cenna...
 - Wartości nie można oceniać wyłącznie w kategoriach pieniężnych. Najbardziej zależy jej na zdjęciach domu. Rodziny. Zdjęcie przedstawiające ją i jej brata znaczy dla niej znacznie więcej, niż znaczyłoby, powiedzmy, dla Muzeum Fotograf! George Eastman House. Jeżeli tak bardzo pragnie

pani zatrzymać swoje zdjęcie, to jestem pewien, że moja klientka z radością pani na to pozwoli.

- Nie chcę zatrzymać tego zdjęcia - odpowiedziała Laurel, zdając sobie sprawę, że zaczyna mieć zawroty głowy, że stolik zaczyna powoli unosić

się ku niej. - Chcę...

- Tak?

- Chcę wiedzieć, dlaczego on tam był.
- Zakładając, że naprawdę był.
- Chcę wiedzieć, dlaczego znalazł się na tej drodze tego samego dnia co tamci dwaj mężczyźni. - Wiedziała, że te słowa zabrzmiały jak mamrotanie, niczym żalosna prośba stłumiona warstwą padającego śniegu. Czowała jego coraz grubszą warstwę na *sobie* — oblał ją zimny lepki pot, choć w skroniach słyszała przecież swoje 'dudniące jak tam-tam serce.
- Ludzie, którzy zrobili pani krzywdę?
- Tak! Kogóż innego mogłabym mieć na myśli?
- Ale nie ma pani pewności, że to było tego samego dnia. Prawda?
- Nie. Pewności nie mam.
 - Więc dobrze. Czy napastnicy byli bezdomni? Proszę wybaczyć, po prostu nie pamiętam.
- Czemu pan o to pyta? Czemu to ma dla pana znaczenie?
 - Odnoszę wrażenie, że się pani broni. Jakby uważała pani, że bezdomni nigdy nie uciekają się do przemocy. A jednak dokładnie zeszłej wiosny dwaj wasi podopieczni wdali się w bójkę na noże w uliczce sąsiadującej z pizzerią przy Main Street. Jeden z nich nie żyje,

a drugi siedzi w więzieniu. Według informacji prasowych sprawca... proszę wybaczyć, domniemany sprawca... groził ofierze w waszym schronisku przy śniadaniu w postaci kanapek z masłem orzechowym i dżemem.

Laurel spuściła głowę. Oczywiście, że знаła tę historię. Ale też wiedziała, że ta dwójka była wyjątkowa: wszyscy, którzy spotkali ich w BEDS, bali się, że obaj źle skończą, już w chwili ich przybycia do schroniska. Spędzili tam zaledwie dwie noce i się wynieśli. Sama Laurel nigdy się nie zetknęła z żadnym z tych mężczyzn, była więc raczej zirytowana kompletną bezsensownością ich losów - śmierci i więzienia - niż zasmucona.

- Laurel?

Drgnęła, czując, jak jego dłoń wędruje po jej ręce ku ramieniu, i zmusiła się do uniesienia wzroku.

189

— Jeden z mężczyzn, którzy na mnie napadli, nigdzie nie zagrał
miej
sca — powiedziała w końcu, powoli i niepewnym głosem. — Ale jego
noga
nigdy nie powstała w BEDS. Sprawdziłam to wiele lat temu.

— Mogę pani coś zamówić? Kazać kelnerce przynieść pani wodę?
Czy...

Laurel uniosła brwi i czekała. Przypomniała sobie cofającą, najeżdżającą na nią furgonetkę, i to, jak jej płuca na chwilę wypełniły się spalinami. Ciężar kół na palcach swojej stopy. Złamany obojczyk i palec

ręki. Siniaki na piersiach.

- Cierpi pani na anemię? Cukrzycę? — zapytał Leckbruge.
- Ja tylko... po prostu zrobiło mi się słabo. Nic mi nie jest.
- Nie jestem tego całkowicie pewien. I chciałbym pani pomóc.
- Nie chcę pańskiej pomocy.
- Kiedy panią zgwałcono...
 - Nie zgwałcono mnie - powiedziała Laurel i resztkami sił, wspierając się ręką o blat, wstała od stołu. Leckbruge pospiesznie próbował znowu chwycić ją za ramię, nie wiedziała jednak, czy po to, by jej pomóc, czy żeby powstrzymać. Wydawało się, że jego spojrzenie, dotąd pełne sympatii, robi się ozięble.
- Proszę, przecież nie powinna pani iść teraz do domu.
- Myli się pan.
 - Proszę zostać. Usiąść. Musi pani zostać jeszcze tylko przez chwilę. Nie mogę... pozwolić pani odejść w takim momencie.

Laurel odetchnęła głęboko i przez długi moment nie wypuszczała powietrza z płuc. Świat powoli zaczął z powrotem nabierać ostrości.

— To mówi o was wszystko - mruknęła. - Czemu jest tak, że wy, mężczyźni

czyżni w średnim wieku, wszyscy myślicie, że świat kręci się wokół was?

Usta Leckbruge'a wykrzywiły się refleksyjnie w chłopięcym uśmiechu.

-*Au contraire*. Największym utrapieniem mężczyzny w średnim wieku jest odkrycie, że świat w rzeczywistości nie kręci się wokół niego.

Niestety, to właśnie nas boli.

- Zapamiętam to. Leckbruge zerknął na zegarek.
- Chciałbym dalej prowadzić tę dyskusję.

— Może pan. Z prawnikami magistratu w **Burlington**. Ale nie ze mną.

190

- To nie musi być dyskusja nieprzyjazna.
- Jest taka, skoro znęca się pan nade mną.
 - Nie mam zamiaru się znęcać nad panią. Słowo honoru, Laurel. Nie mam. Są inni, którzy mogliby mieć taki zamiar. Ale ja osobiście nie znęcałbym się nad nikim — a tym bardziej nad kimś, kto przeżył to wszystko co pani. Proszę mi wierzyć.

Laurel zastanawiała się nad jego słowami. Czyżby insynuował, że zna ludzi, którzy mogliby być skłonni ją zastraszyć?

- Czy to była groźba? — zapytała, zażenowana raczej niż przestraszona.
- Nie sędzę — odparł Leckbruge. — Ale proszę obiecać mi jedno. Dobrze?
- To mało prawdopodobne.
 - I tak o to zapytam. Czy zadzwoni pani do mnie, jeżeli zmieni pani zdanie i uświadomi sobie zasadność życzenia mojej klientki?

Laurel spojrzała na niego, a on uniósł brwi ponad te olbrzymie żółte okulary w grymasie, który właściwie mógł być wyrazem zasmucenia. Potem jeszcze raz zerknął na zegarek i wyprostował się na swoim stołku. Wychodząc z baru, Laurel zdała sobie sprawę, że nawet nie skosztowała swojego wina.

GDY WRÓCIŁA DO DOMU, stwierdziła, że drzwi mieszkania są uchylone, i z początku nie przejęła się tym. Pomyślała, że Talia jest już w domu. Jeżeli w ogóle wyobraziła sobie coś konkretnego, to może swoją piękną przyjaciółkę czytającą na kanapie, z iPodem na kolanach i kabelkami wiją-

cymi się do jej uszu, z głową i ramionami poruszającymi się lekko w rytm muzyki. Kiedy pchnęła drzwi, zrozumiała jednak, że Talii nie ma i że zostały obrabowane. Stała w progu mieszkania, na moment oszołomiona, lustrując wzrokiem pokój. Okno prowadzące na balkonik było otwarte, a stojące obok krzesło przewrócone. Delikatna, ręcznie malowana, porcelanowa chińska lampa ze stolika przy kanapie — która stała przez całe lata w salonie rodziców, dopóki matka nie zmieniła wystroju domu po śmierci ojca — leżała rozbita na podłodze. Niski stolik został wywrócony do góry nogami, a książki i gazety ciśnięte na ziemię jak makulatura, zaś małe chińskie biurko Talii przepchnięte bliżej drzwi kuchni, jakby ktoś odsunął je, przeszukując jego jedyną szufladę. Komputer nadal stał na biurku, najwyraźniej nienaruszony, i Laurel ulżyło na myśl, że jego też nie ukradli — chociaż nadal nie miała pojęcia, co dokładnie zniknęło z mieszkania.

191

Nie było mowy, by po prostu wtargnęła do środka w pojedynkę. Najciszej jak mogła zdjęła z ramion plecak i sięgnęła po pojemnik z gazem pieprzowym, który spoczywał gdzieś na dnie. Odkąd wróciła do Vermont, żeby skończyć drugi rok studiów w college'u, nosiła go wszędzie ze sobą. Nigdy go nie użyła i rzadko zaprzętała sobie nim myśli: nie była nawet pewna, czy pamięta, jak się uruchamia rozpylacz w tym konkretnym modelu, ponieważ wyciągając go z przezroczystego plastikowego pokrowca, ledwie rzuciła okiem na instrukcję. Mimo to poczuła ulgę na myśl, że ma go teraz przy sobie, i gdy już znalazł się w jej dłoni, zastygła w całkowitym bezruchu. Bała się, że i tak narobiła już zbyt dużo hałasu.

Nie śmiała nawet przejść na drugą stronę korytarza, żeby zapukać do drzwi Whita. Została więc w progu mieszkania i nasłuchiwała. W pewnym momencie była skłonna zaryzykować i wycofać się na czubkach palców po schodach do wyjścia z budynku, ale całe mieszkanie wydawało się takie ciche, że w końcu gdy przez prawie dziesięć minut z mieszkania nie wydobył się żaden odgłos, Laurel ostrożnie weszła do środka. Było coraz bardziej oczywiste, że ktoś, kto złożył wizytę w jej mieszkaniu, już sobie poszedł.

Laurel spostrzegła, że drzwi do obu sypialni są otwarte, i zajrzała do środka. Wyglądało na to, że są nienaruszone. Pchnęła drzwi swojej sypialni na ścianę, gotowa użyć pieprzu w sprayu i uciec, gdyby poczuła za nimi najmniejszy opór. Zobaczyła swój odtwarzacz płyt kompaktowych na komodzie i mały telewizor na półce w szafie. Nie miała dużo biżuterii, ale tekowe pudełko z kolczykami, bransoletkami i paroma naszyjnikami stało na toaletce. Jej iPod także. Zajrzała do dolnej szuflady komody i oczywiście okazało się, że jej książeczka czekowa i paszport nadal leżą pod swetrami - równiutko poskładanymi, tak jak je ułożyła. Wszystko wyglądało dokładnie jak w piątek rano.

Usiadła na materacu, zastanawiając się, jak rozumieć to, że chyba nic nie zostało skradzione. I wtedy pojęła: nic nie zabrano, ponieważ wszystko, czego chciał intruz, znajdowało się w jej szafce w ciemni UVM. Zdjęcia migawkowe również, ponieważ Laurel chciała trzymać wszystko w jednym miejscu. Nagle nawet to, jak Terrance Leckbruge próbował zatrzymać ją w winiarni, wydało się jej złowieszcze - bo oczywiście było złą wróżbą. Leckbruge przez cały czas wiedział, że ktoś jest w jej mieszkaniu. Chciał ją zatrzymać przy sobie jak najdłużej, a tymczasem jego współpra-

ownik, ktokolwiek nim był, starał się znaleźć negatywy i odbitki zdjęć

192

Bobbiego Crockera. Przypomniała sobie, jak zerka na zegarek i próbował

ją zatrzymać.

- Laurel?

Uniosła wzrok i w drzwiach swojej sypialni ujrzała Talię.

- Ktoś tu był - wyjaśniła wyjaśniła przyjaciółce. Wskutek **przeżytego** szoku jej głos brzmiał monotonicznie. - Ktoś przetrząsnął nasze **mieszkanie**. Szukali negatywów Bobbiego Crockera.
- O czym ty mówisz?
- Coś na nich jest. Na negatywach. Na jednym z negatywów, z których jeszcze nie zrobiłam odbitek, coś jest. Albo też coś ważnego znajduje się na jednym z tych, które już odbiłam, i nie zdałam sobie z tego sprawy.
- Laurel - znowu powiedziała Talia, chociaż tym razem nie było to pytanie. Miała na sobie szarą sportową bluzę z nadrukiem „Zrób mi przyjemność”, na grzbiecie lewej ręki tworzył się mocny siniec, a na prawej spoczywał ciąg nierówno przyklejonych plastrów. Włosy przypominały legowisko szczurów, a ona sama wyglądała na wyczerpaną. Laurel natychmiast sobie przypomniała: paintball. Tego dnia miała pomóc Talii zaopiekować się grupą młodzieży podczas wycieczki na paintballowy poligon.
- Och, na śmierć zapomniałam. Tak mi przykro. Naprawdę dałam ciała, co? Nie wiem, co mam powiedzieć. To był po prostu zupełnie nies-

mowity, przeokropny dzień. Wystawiłam do wiatru najlepszą przyjaciółkę, a teraz przyszedłam do domu, by stwierdzić, że nasze mieszkanie zostało zdemolowane przez...

- Psa Gwen.
- Co takiego?
 - Gwen wyjechała na weekend i poprosiła mnie, bym wyprowadzała Merlina — burknęła Talia, gdy utykając, podeszła do brzegu łóżka i siadła obok Laurel, gdzie próbowała rozmasować dłonią obolałe ramię. Mieszkająca w ich kamienicy Gwen była początkującym weterynarzem, a Merlin dobrodusznym, lecz olbrzymim psem Fo — półpsem, półlwem. Gwen stale twierdziła, że to zwykły kundel ze schroniska dla zwierząt. — Wszystko mnie boli — ciągnęła Talia. — Nie czuj się winna. Nie, wróć. Czuj się winna. Winna jak diabli: dzisiaj naprawdę mogłabyś mi się przydać.

Laurel czuła się tak, jakby prowadziły dwie rozmowy naraz: o paintballu i o tym, co się stało z ich mieszkaniem.

- To pies Gwen narobił tego bałaganu? — zapytała.

193

Talia potwierdziła skinieniem głowy.

- Mniej więcej przed kwadransem. To moja wina. Właśnie wróciłam ze spaceru z nim. A właściwie, to on ze mną spacerował. Ja kuśtykałam za nim. W każdym razie wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas za drzwiami naszego mieszkania, poszłam więc na piętro, by zrobić ci piekielną awanturę za to, że zostawiłaś mnie samą w lesie z tuzinem nastolatków zaopatrzonych w półautomatyczne karabiny marki

Piranha do gry w paintball. Nie otworzyłaś, ale w środku coś na pewno myszkowało...

- Był tam ktoś? Widziałaś go?
- Nie ktoś. Jakies zwierzę. To była wiewiórka.
- Wiewiórka — powtórzyła Laurel.
 - Tak, gdy otworzyłam drzwi, okno było otwarte na oścież, a wzdłuż kanapy biegła wiewiórka. Merlin zobaczył ją i nastąpiła reakcja łańcuchowa. Gonił ją po całym salonie. Przewrócił twoją piękną lampę, rąbnął w stolik. Dwa razy. Omal nie skoczył z balkonu, gdy ta skubana wiewiórka czmychnęła na klon. A ja, przykro to mówić, byłam za bardzo sponiewierana, by ruszać się w tempie potrzebnym do schwytania Merlina, zanim zdemolował razem z wiewiórką nasz salon.
- Więc nie zostałyśmy obrabowane.
 - Najprawdopodobniej nie - odparła Talia. - W każdym razie nie przez wiewiórkę. Widziałam, jak zwiewa, i uciekła z pustymi rękami. A raczej pazurami.
- Nikogo tu nie było.
 - Nie. Tylko wiewiórka. Kochana, szkoda, że nie miałam mojej piranhy. Ten zwierzak przechodziłby całą zimę w neonowym futrze.
- Chyba rzeczywiście dziś rano otworzyłam to okno.
 - Więc byłaś tu. Wydawało mi się, że słyszę, jak wracasz od Davida. I mimo to zapomniałaś, że mieliśmy grać w paintball?
 - Naprawdę. I chętnie bym ci to wynagrodziła. Po prostu... po prostu zapomniałam.
- A gdzie byłaś? Nie odbierałaś telefonu. Nie byłaś u Davida...

- Rozmawiałaś z nim?
- Nie, jego też nie było w domu. Byliście razem? Laurel pokręciła głową.
- Więc gdzie się podziewałaś?
- W ciemni.

194

- Byłaś w ciemni w taki dzień!
- Cóż, poznałam też pewnego mężczyznę...
- Starszego zapewne - zauważyła Talia.
 - Owszem, ale to nie tak. Jest prawnikiem, który chce dostać zdjęcia Bobbiego. Właśnie od niego wracam. Spotkałam się z nim, ponieważ jego klientka uważa, że te zdjęcia są jej własnością. A ja po prostu nie zamierzam z nich rezygnować. Są zbyt ważne. I...
- Mów dalej.

Laurel nagle odniosła wrażenie, że mówi za dużo, i wyczuła w tonie swego głosu szaleńczą niecierpliwość, która — sądząc po spojrzeniu Talii - budziła trwogę w jej przyjaciółce. Umilkła więc. To wszystko i tak było zbyt zawiłe, żeby jej wyjaśnić.

Talia po chwili odwróciła wzrok i położyła się na łóżku.

- Chyba po prostu zostanę tu i skonam - powiedziała z wyraźną nadzieją, że zmienią temat rozmowy. - Mogłabym? Bolał mnie wszystkie członki.
- Było to aż tak okropne?
 - Okropne? To było wielkie widowisko! Większą frajdę niż paintball

daje jedynie naprawdę dobry seks. I wierz mi: seks musi być naprawdę, ale to naprawdę dobry.

- Żarty sobie stroisz?

- Nie. To było fantastyczne. Nie masz pojęcia, co straciłaś. Może już nigdy nie zdołam usiąść. Może już na zawsze zostanę w tej pozycji. Ale to było warte wszystkich ran, skaleczeń i siniaków. Na początku szło nam naprawdę marnie. Przyjechał z nami Whit...

- Whit?

- Yhm. Dzięki Bogu. Potrzebowałam, jeszcze jednego opiekuna... oraz kapitana drugiej drużyny. I Whit potraktował to niewiarygodnie serio... bardziej serio niż ja. To ewidentnie męska zabawa. Kobiety mogą to robić, ale u nich nie jest to równie instynktowne jak u facetów. Każde z nas dowodziło drużyną. I przez pierwsze dwie godziny Whit łoł nam skórę. I to mocno. Wierz mi, to było bardzo przykre. Ale potem rozgryzłam tę grę. Po prostu zrozumiałam ją w pełni: rzeczywiście trzeba najpierw potraktować to jak grę w szachy i zaplanować swoje posunięcia. I wtedy, nagle, gdy tylko zajmiesz pozycję, przestajesz myśleć i udajesz, że uczestniczysz w najbardziej szalonej imprezie, w jakiej w życiu brałaś udział, jesteś na parkiecie

195

tanecznym i zupełnie przestajesz nad sobą panować. Po prostu całkowicie się temu poddajesz. I w chwili gdy to zrozumiałam, wiesz co? Uśmierciłam Whita na resztę dnia. Byliśmy nie do powstrzymania. W mojej drużynie nie miałam chłopaków, którzy żyją grami komputerowymi. Dokonałam tego z żołnierzami takimi jak Michelle. Znasz Michelle,

prawda? Małą nieśmiałą Michelle? Cóż, nie braliśmy jeńców. Żadnych. Zero, nada.

- To wszystko wydaje się nieco brutalne - zauważyła Laurek

— Nieco? Słucham? Zdałam sobie sprawę, że czołgam się w ciągnącym

się na ćwierć mili błocie i kłujących krzakach, żeby zejść od tyłu sześćcioro nastolatków, którym mam wskazywać drogę do Boga. Kiedy wstałam, żeby ich zgarnąć, usłyszałam, jak wrzeszczę, by lepiej rzucili broń, bo inaczej zrobię z nich miazgę.

— Naprawdę to powiedziałaś?

Talia zawahała się.

- Tak naprawdę to chyba powiedziałam coś znacznie gorszego. Ale nie będziemy już w to wnikać.
- I rzucili broń?
- Cóż, jeżeli chcesz poznać prawdę, to w rzeczywistości nie dałam im wyboru. Matthew próbował chyba posłać mi kulkę, zanim go zastrzeliłam. Ale nie miał najmniejszej szansy. Żadne z nich nie miało. Załatwiłam ich wszystkich. Następnym razem musisz do nas dołączyć. Po prostu musisz.

Laurel uśmiechnęła się grzecznie w nadziei, że jej uśmiech wygląda szczerze. Ale nie była tego pewna.

- W porządku - mruknęła. - Naprawdę się postaram.

— Ja nie żartuję — powiedziała Talia, oddychając głośno, z zadowoleniem mimo swoich dolegliwości. — I wiem, że jestem ci winna lampę. Są jeszcze jakieś inne rozbite rzeczy? Zawlokłam Merlina z powrotem na dół, zanim udało mi się w pełni ocenić zniszczenia.

- Tylko lampa. I niczego nie jesteś mi winna. Nawet o tym nie myśl.

Talia podciągnęła swoje sterane ciało z powrotem do pozycji siedzącej, wspierając się na łokciach. Było oczywiste, że ta drobna sztuka wymagała od niej poważnego wysiłku.

- Cóż, sprawię nam nową. I powinnam uprzątnąć ten bałagan. Niestety, chyba nie mogę się schylać.
- Siedź - powiedziała stanowczo Laurel. - Sama to pozbieram. Chcesz coś do picia?

196

- Morfiny...
- A wino nie wystarczy? Albo sok?
 - Może być wino. Ale dodaj do niego sproszkowany środek przeciwbólowy. .. albo morfinę.
 - Dobra - powiedziała w nadziei, że naprawdę mają w kuchni butelkę wina. Szczerze mówiąc, nie była pewna.
- Powiedz mi coś - poprosiła nagle Talia.
- Oczywiście.
- Czemu nie widziałyśmy się, odkąd wróciłaś od swojej mamy?
- Naprawdę? - zdziwiła się Laurel, chociaż wiedziała, że tak było.
 - Nie mogę uwierzyć, że się na mnie wkurzyłaś - ciągnęła Talia - bo przecież na kogoś tak cudownego jak ja nikt nie może się wkurzać. No, najwyżej przez, powiedzmy, minutę. Ale ktoś o mniej zdrowym ego mógłby się zastanawiać, co tu jest grane. Chodzi mi o to, że ostatni raz widziałam cię przed wyjazdem na Long Island, po czym dzisiaj zostawiłaś mnie lwom na pożarcie.

Laurel poczuła w pokoju podmuch jesiennego wiatru, zamknęła więc okno. Zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią, bo nie mogła się zdecydować. Z jednej strony, kiedyś zawsze była trochę dumna, chyba bezzasadnie, z tego, że rodzice i przyjaciele uważają ją za osobę troskliwą i odpowiedzialną. Nie sprawiała ludziom zawodu. Z drugiej strony, zastanawiała się, czy powodem zapomnienia o grze w paintball nie było to, że tak bardzo skupiła się na pracach Bobbiego Crockera; może stało się tak dlatego, że zrozumiała, iż ostatnią rzeczą na świecie, jakiej ktokolwiek mógł się po niej spodziewać, była chęć ganiań po lesie z pistoletem zabawką. Być może zapomniała dlatego, że Talia przede wszystkim nigdy nie powinna była jej o to prosić.

- Nie chciałam cię zostawiać lwom na pożarcie. I na pewno nie jestem na ciebie wściekła. Bo niby czemu miałabym być? — zapytała. Zdawała sobie sprawę z lekko lodowatego tonu w swoim głosie i nie uczyniła nic, by go stłumić.

- Więc po prostu byłaś zajęta. -Tak.
- Davidem? -Nie.
- Mam nadzieję, że nie tym swoim martwym bezdomnym.

197

- Dlaczego ludzie tak o nim mówią? On **nie był bezdomny! Znaleźliśmy mu dom...**
- Ejże, Laurel, wyluzuj. Nie chciałam...

-1 dlaczego bezdomność koniecznie ma być jedyną cechą wyróżniającą? Widzę, że nie nazwałaś go fotografem. Ani weteranem. Ani komikiem.

Był przecież bardzo zabawny. Szczerze mówiąc...

- Szczerze mówiąc co?

-Nic.

•Powiedz.

•Nie ma o czym mówić. Po prostu... nic.

Talia powoli wstała i zmrużyła oczy, jakby chciała powiedzieć: *Mam tego dosyć, wielkie dzięki*. Laurel dopiero teraz zauważyła, że jej przyjaciółka ma z boku szyi niemal okrągły siniec w kolorze bakłażana.

— Chyba wezmę gorącą kąpiel — powiedziała cicho Talia. —

Wina mogę

sobie sama nalać - dodała, po czym przekuściwała obok Laurel do kuchni.

Słysząc było, jak sięga do szafki po kieliszek i do lodówki po wino.

Laurel

czekała, nie ruszając się z miejsca, dopóki nie usłyszała odgłosu zamykania z trzaskiem drzwi łazienki. Właściwie nie był to trzask, ale uderzenie skrzydła o framugę było bardzo wyraźne.

Laurel miała nieznośne wrażenie, że nie jest jej wystarczająco przykro z powodu tej burkliwej wymiany zdań - że po prostu chyba zareagowała zbyt mocno, gdy przyjaciółka nazwała Bobbiego Crockera bezdomnym. Ale przecież to był stresujący tydzień, czyż nie? I bardzo długi dzień, prawda? A poza tym, jakie to w ogóle miało znaczenie, skoro prace Crockera - skoro *jej* prace - mogły być zagrożone? Skoro jeszcze nie zrobiła wszystkich odbitek? Najważniejszą rzeczą teraz był powrót do uczelnianej ciemni i znalezienie bezpiecznego miejsca na negatywy oraz fotografie Bobbiego Crockera. Sam fakt, że nie próbowano ich zabrać tego popołudnia, nie oznaczał, że nikt nie spróbuje ich ukraść jutro.

Reszta - Talia, David i pan Terrance Leckbruge - będzie musiała po prostu poczekać. Krzyknęła więc przez drzwi do łazienki, że znowu wychodzi, po czym ruszyła na dół po trzeszczących drewnianych schodach starej wiktoriańskiej kamienicy.

W UNIWERSTYTECKIJ CIEMNI LAUREL OBEJRZAŁA raz jeszcze fotografie Crockera - te gotowe, które trzymał przy sobie przez te wszystkie lata i te, któ-

198

re sama wywołała z negatywów. Nim je odłożyła, wyrwała kartkę z żółtego bloku i pospiesznie zapisała na niej daty wskazujące z grubsza, kiedy je zrobiono. Większości dat domyśliła się, opierając się na poszukiwaniach w sieci: obręcze hula-hoop wynaleziono w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, a moda na nie przypadła na wczesne lata sześćdziesiąte. Zakładając, że fotografię dwustu dziewcząt z obręczami na boisku piłkarskim zrobiono u szczytu ich popularności, prawdopodobnie stało się to między rokiem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym a sześćdziesiątym pierwszym. Ciotka Laurel, Joyce, spojrzała na opisy we wkładce kompaktu *Camelot* Martina i podała jej lata, w których Julie Andrews wcieliła się w postać Ginevry. Inne daty były jeszcze mniej dokładne: Eartha Kitt zachowywała wieczną młodość, ale na portrecie zrobionym przez Crockera przed Carnegie Hall miała około czterdziestki - domysł oparty na wrażeniu Laurel, że Kitt wyglądała na tyle, grając Kobietę Kota w starym serialu telewizyjnym *Batman*, wtedy zaś liczyła trzydzieści dziewięć lat. Czasem Laurel opatrywała zdjęcie datą, posługując się *jedynie* swą bardzo ograniczoną wiedzą o dawnych ubraniach i samochodach.

A jednak opis, choć przybliżony, był przydatny.

Fotografie Crockera (daty przybliżone)

Połowa lat 50:

Chuck Berry

Robert Frost

Muzycy jazzowi (wiele zdjęć)

Most Brooklyński

Muddy Waters

Hotel Plaża

Późne lata 50:

Bitnicy (trzy zdjęcia)

Eisenhower (w ONZ)

*Prawdziwa Gidget (Kathy **Kohner Zuckerman**)*

Suszarki do włosów

199

Samochody (wiele zdjęć)

Plac Waszyngtona

Stacja kolejowa, West Egg

Papierosy (wpopielniczkach, na stolach, na zbliżeniu w ludzkich ustach)

Gra w futbol na ulicy pod billboardem z reklamą „Hebrew National

1960/61:

*Julie Andrews (Camelot) Dziewczęta z obręczami hula-
hoop*

Wczesne lata 60:

Rzeźbiarz (nieznany)

Paul Newman

Zero Mostel

Kolejne samochody (sześć zdjęć)

Pejzaże miejskie Manhattanu (łącznie z gmachem Chryslera)

Filharmonia Nowojorska

Maszyna do pisania marki IBM (trzy zdjęcia)

Sceny uliczne z Greenwich Village (cztery zdjęcia)

Szachiści na placu Waszyngtona

1964:

Wystawa Światowa (sześć zdjęć, łącznie z Unisferą) Marsz wolności, Frankfort w stanie Kentucky Martin Luther King (podczas marszu na Frankfort?) Lyndon Johnson (w dużym kapeluszu w sali balowej) Dick Van Dyke

Połowa lat 60:

Eartha Kitt

Bob Dylan

Myrlie Evers-Williams

Kamienice z elewacjami z piaskowca (w Brooklynie?)

Ford mustang przed rezydencją Marshfieldów (model wprowadzony na rynek w 1964)

Dom na Środkowym Zachodzie urządzony w stylu arts and crafts (wyglądem przypomina projekty Wrighta)

Nancy Olson

Autobus na Piątej Alei

Tancerze nowocześni (cykl)

Późne lata 60:

Jesse Jackson

Coretta Scott King

Lampy woskowe (wiele zdjęć — cykl? na reklamę?)

Klub jazzowy (cykl)

Joey Heatherton (tak sądzę)

Plażowicze na Jones Beach

Cykl o Central Parku (pikniki, bejsbol, zoo, hippisi)

Paul Sorvino (oraz Mira?)

Koraliki i pacyjy

Wczesne lata 70:

Flip Wilson

Nieznany zespół rockowy

Aktorzy: Jack Klugman i Tony Randall

Wieżowce World Trade Center

Wall Street (wiele zdjęć)

Main Street, West Egg

Ray Stevens (chyba)

Liza Minnelli

Trębacz jazzowy

Koniec lat 70 (lub później!):

Centrum biurowe Valley of Ashes (nieprawdziwa nazwa)

201

Hotel Plaża (znowu)

*Kasetka na biżuterię (chyba w stylu artdico, **ale na negatywie razem z centrum biurowym Valley of Ashes Peron stacji kolejowej w East Egg Wybrzeże w East Egg Wybrzeże w West Egg***

*Mój dawny klub pływacki (dawny dom Gatsbyego) Dzika jabłoń (kilka odbitek, jedna z małą piramidą z jabłek **obok drzewa**)*

Późne lata 90 początek XXI w.:

Sceny z leśnej drogi w Underhill (dwa zdjęcia z dziewczyną na rowerze)

Kościół w Stowe

Wodospad

Pies przy budynku piekarni

Szlaki narciarskie na Mount Mansfield (latem)

Laurel zauważyła, że albo Bobbie przestał pracować w latach osiemdziesiątych, albo zdjęcia z tego okresu zaginęły. Zaciekawilo ją również, że na starość Crocker chyba coraz częściej wracał do East i West Egg oraz do Valley of Ashes. Niewykluczone, że wracał tam przez cały czas, może co roku — miała tę fotografię z końca lat pięćdziesiątych przedstawiającą peron stacji kolejowej w West Egg z wagonami nieopodal — a negatywy i odbitki po prostu z czasem zniknęły. Odniosła jednak wrażenie, że nie o to chodzi. Wyobraziła go sobie przed sześćdziesiątką, jak wraca i podąża tropem swoich rodziców. Zwróciła uwagę na to, że sfotografował Plażę co najmniej dwa razy, i była pewna, że oczyma wyobraźni ujrzał wewnątrz

hotelu tamtego parnego popołudnia, gdy jedyna (przynajmniej Laurel sądziła, że nie było ich więcej) zdrada jego matki stała się oczywista dla jego ojca.

Obejrzała wszystkie zdjęcia, zanim zapakowała je ostrożnie do teczki. To co mogło trwać dziesięć minut, zajęło jej blisko półtorej godziny. Początkowo myślała, że szuka na każdej fotografii czegoś, co tak rozpaczliwie pragnęli zdobyć Pamela Marsfield i Terrance Leckbruge - klucza do ich niezrozumiałego zainteresowania. Szukała również demona: osoby, obrazu, jarmarcznego dziwadła. Czy nie o tym właśnie mówił Pete Stambolinos? W pudle mogło znajdować się zdjęcie jarmarku. Ale nie było go, przynaj-

202

mniej na razie. Z pewnością zaś nie było żadnych zdjęć z wystawy okręgowej organizowanej dorocznie w pobliżu Burlington. Nie było nawet zdjęć, które można by uznać za niebezpieczne w najmniejszym choćby stopniu.

Stopniowo uświadomiła sobie, że pilnie przygląda się samym kompozycjom, temu, jak Bobbie Crocker wykorzystywał światło i cień, jak potrafił uczynić fascynującymi nawet najbardziej pospolite tematy: maszynę do pisania, papierosa, mężczyzn grających w szachy. Bała się, że na jej odbitkach nie można było tego docenić. Bobbie zasłużył na lepszą obróbkę swoich negatywów.

Po umieszczeniu zdjęć w pudle doszła do wniosku, że nie może ich przynieść z powrotem do domu. Owszem, dzisiaj do mieszkania dostała się tylko wiewiórka. Ale jutro? Inni też chcieli mieć te zdjęcia; Bobbie to

rozumiał. Właśnie dlatego nikomu ich nie pokazywał. Tak więc Laurel uznała wiewiórkę za znak wysłany jej przez anioła stróża. Co mówił? Umieść te zdjęcia w jakimś bezpiecznym miejscu.

Tym miejscem z pewnością nie będzie jej gabinet w BEDS. Ufała Katherine, ale nie prawnikom. Mogło nim być mieszkanie Davida, ale gdyby ktoś się tam włamał, w niebezpieczeństwie znalazłyby się jego córki. Choć jego biuro byłoby takim miejscem - do redakcji nie dało się wejść bez przepustki z paskiem do skanowania bądź bez zgody recepcjonistki otwierającej przyciskiem drzwi - te środki bezpieczeństwa mogły również pozbawić ją dostępu do materiałów pod nieobecność Davida. Laurel знаła część recepcjonistek, ale nie wszystkie.

Przez chwilę myślała również o Stambolinosie, zdając sobie sprawę, że ukrycie fotografii w tym samym budynku, w którym niszczały przez ostatni rok życia Bobbiego Crockera, zakrawa a ironię. Przekazanie ich człowiekowi, u którego zdrowy rozsądek nigdy nie był mocną stroną, wydawało się jednak niezbyt roztropne.

Potrzebowała pomocy jakiegoś znajomego, kogoś, kogo Marshfield i Leckbruge nie skojarzyliby z nią, i doszła do wniosku, że powinna spróbować u Sereny Sargent. Nazajutrz wybierała się z wizytą do kościoła kongregacjonalistów w Bartlett, do którego być może chodził dawny kolega redakcyjny Crockera, ale potem mogłaby zostawić wykonane już odbitki u kelnerki - odwiedzić ją w domu w Waterbury albo wstąpić po południu do restauracji Sereny w Burlington. Tymczasem zaś nieprzejrzane negatywy - a w istocie rzeczy do obróbki zostało nie więcej niż trzydzieści sześć pasków filmu - będzie nosić wszędzie ze sobą.

PACJENT NR 29873

Przydatna byłaby znajomość najnowszego lub najważniejszego bodźca stresowego.

Tymczasem nadal trudno jest podtrzymywać rozmowę. Pacjent chwilami wykazuje wyraźną świadomość tematu rozmowy, po czym systematycznie zbacza zeń pod wpływem urojeń, które zaburzają jej tok. Nadal nie chce rozmawiać o terapii i planach na okres rekonwalescencji.

Z notatek Kennetha Pierce'a,
psychiatry prowadzącego,
szpital stanowy w Waterbury, Yermont

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**M**

ARISSA WZIĘŁA SWOJĄ MŁODSZĄ SIOSTRĘ ZA RĘKĘ, gdy włączyły się w strumień ludzi - dorosłych, nastolatków i dzieci w wieku Cin-dy — wylewający się z zaciemnionej sali do holu kina w sobotę wieczorem. Spod przymrużonych powiek spojrzała na jaśniejsze światła i tłumy przy kasach z biletami ulgowymi. Niedawno minęła dziewiąta, Cindy od godziny powinna już być w łóżku, ale trzymała się całkiem dobrze. Czemu miałyby być inaczej? Jej starsza siostra i tato z trudem wysiedzieli na tym słabiutkim filmie o cyrkowym klaunie, który nie znosił dzieci, ale mimo to w końcu musiał prowadzić ośrodek opieki dziennej założony przez swoją

mamę. Film wybrała Cindy, tak więc dziewczynka nie śmiała teraz się rozkleić tylko dlatego, że zbliżała się chwila, którą narzeczony jej mamy lubił nazywać porą czarownic.

Przeniosła spojrzenie z taty, który szedł obok niej, na Cindy drepczącą po drugiej stronie, zdumiona różnicą między trzymającym fason dorosłym a rozmemłanym dzieckiem. Usta i pulchne jak u wiewiórki policzki jej siostry były umazane masłem z prażonej kukurydzy — jakby umyła nim rwarz — a do kącików ust kleiły się drobne resztki ziaren kukurydzy. Włosy Cindy, nigdy niebędące jej atutem, wiły się z jednej strony niczym sierść przestraszonego kota, a w uchu - czy to możliwe? - tkwiła miętówka w polewie czekoladowej. Czemu wkładała sobie do uszu miętówki w kinie? I jak to możliwe, by nie wiedziała, że cukierek nadal tkwi w uchu? Marissa do-

205

brze pamiętała, jak przed dwoma laty tato musiał zawieźć małą do pediatry, ponieważ dziewczynka wepchnęła sobie do nosa twarde ziarnko grochu. Robili w przedszkolu biżuterię z produktów spożywczych - z surowego makaronu, grochu i barwionego cukru - i z niepojętych dla wszystkich powodów Cindy wcisnęła sobie ziarnko grochu głęboko do lewego nozdrza. Zdaniem lekarki dzieci często to robiły. Mimo to, gdy Marissa przyglądała się, jak pediatra, miła kobieta, która ją również leczyła, wkłada Cindy do nosa pincetę długości ołówka, miała jeszcze jeden powód, by żałować, że naprawdę są siostrami.

Powrót myślami do wizyty u lekarza sprawił, że przypomniała sobie o swoim palcu u nogi. Lekarka przyglądała się mu przez około siedem se-

kund, zapisała jej antybiotyki o smaku gumy balonowej do żucia i kazała moczyć go w jakże licznych (akurat) wolnych chwilach. A jednak wizyta w lekarskim gabinecie pozwoliła Marissie uciec z matematycznego piekła. Stworzyła też oczywiście okazję do poruszenia tematu przyspieszenia sesji zdjęciowej.

Nagle wpadła prosto na tatę, co sprawiło, że Cindy wpadła z kolei na nią. Uniosła wzrok i spostrzegła, że tato zatrzymał się, ponieważ sam wpadł na znajomą - chociaż nie w tak dosłownym sensie jak w ich przypadku. Miała wrażenie, że tato wiecznie wpada na znajomych. Tym razem była to kobieta, którą nazywał Katherine i cmoknął raz w policzek, tak jak robili dorośli, ilekroć nie wymieniali uścisków dłoni. Sama Marissa wolała to ostatnie powitanie. Wyobraźcie sobie tylko, że ktoś musiałby w tej chwili pocałować w policzek jej siostrę? Obrzydliwość. Potworna obrzydliwość.

U boku Katherine stał mężczyzna, którego imienia Marissa nie dosłyszała, ale było oczywiste, że stanowią parę, i najwyraźniej mieli szczęście oglądać inny film niż ten niewypał, który dopiero co musiała jakoś strawić. Gdy została przedstawiona i zadano jej obowiązkowe w takich sytuacjach pytania — przez chwilę rozkoszowała się aprobatą ze strony kobiety — uśmiechnęła się grzecznie, ale potem pozwoliła sobie wlepić wzrok w kolorowe plakaty do filmów, które dopiero miały wejść na ekrany. Właśnie zaczynała marzyć, że na jednym z nich - może na tym z krzepkim młodym gwiazdorem, który trafił na okładkę „People” i opowiedział dziennikarce magazynu o ulubionych częściach ciała swojej dziewczyny, bardzo popularnej gwiazdy filmowej (o wewnętrznych powierzchniach ud, jak wyczytała wczoraj w poczekalni

gabinetu lekarskiego) - widnieje jej nazwisko, gdy usłyszała imię, które nagle przykuło jej uwagę, Laurel. Rozmawiali o... Laurel.

—Nie wiem, czy to ma coś wspólnego z jej podróżą na Long Island, czy

chodzi o te zdjęcia — mówiła kobieta imieniem Katherine. - Ale w czwartek

oraz w piątek nie przysłała na basen, a przez parę ostatnich dni prawie nie bywała w biurzeco w najmniejszym stopniu nie martwi mnie jako jej szefową. Naprawdę. Po prostu jestem ciekawa, co się dzieje, jako jej przyjaciółka... i przede wszystkim zastanawiam się, czy nie popełniłam błędu, absorbując ją pracą nad tymi fotografiami. Jak myślisz?

Ojciec Marissy zdawał się nad tym zastanawiać, kiwając głową — jak zawsze, gdy dumał głęboko o czymś, co ktoś powiedział. Marissa dobrze znała ten wyraz twarzy. W końcu odparł:

- Wczoraj wieczorem Laurel była naprawdę sfiksowana na punkcie Bobbiego Crockera. W środę wieczorem też. Ale wczoraj było... gorzej.
- Gorzej?
- Traktowała to bardziej emocjonalnie. Spędziła dużo czasu, szukając w Internecie informacji o Crockerze w momencie, gdy mieliśmy iść do kina. I tak naprawdę przez cały wieczór bezustannie o nim mówiła. Po czym rano pojechała do ciemni, a jutro wybiera się chyba do Bartlett. Do kościoła, do którego człowiek nazwiskiem Reese, chyba jakiś znajomy Bobbiego, chodził, zanim nieco ponad rok temu zmarł.

Katherine rozłożyła ręce i rozcapierzyła palce w geście wyrażającym

zakłopotanie.

- Nie rozumiem tego. Jedzie do jakiegoś kościoła wiele **mil** stąd, bo jakiś gość, który już nie żyje, a znał Crockera...
- Który *mógł* znać Crockera.
- Bo chodził do niego jakiś nieboszczyk, który *mógł* znać Crockera?
- Tak to wygląda.

Kobieta wyciągnęła dłoń i ścisnęła ojca Marissy za rękę.

- Zapropnowałam jedynie, żeby zrobiła odbitki ze starych negatywów tego gościa. Nigdy nie prosiłam, żeby została detektywem.
- Rozumiem.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — stwierdziła Katherine. - Czy popełniłam błąd, angażując ją do pracy przy zdjęciach?

David odetchnął przez nos tak głęboko, że Marissie wydawało się, że słyszy cichy podmuch wiatru. Wiedziała, iż ojciec odpowie twierdząco.

207

W tym wszystkim chodziło o sekret Laurel. O tajemnicę, którą jej zdaniem Laurel skrzętnie skrywała. Cokolwiek Katherine kazała jej zrobić z jakimiś zdjęciami, nie zdało się na nic. Tym donośniej przypominało Laurel o jej sekrecie.

Marissa uznała fakt, że sekrety donośnie informują o swoim istnieniu, za interesujący. Zawsze uważała je za brzemię - czyż nie widywała na ulicy ludzi, którzy wydawali się garbić pod ciężarem tego, czego nikomu nie mogli wyjawić? — ale dopiero niedawno doszła do wniosku, że w rzeczywistości ludzi przygina do ziemi uporczywy szmer skrywanych tajemnic.

- Słuchaj, nie znoszę przybierać protekcyjnego tonu...
 - Och, przestań. Uwielbiasz to robić.
 - Ponieważ Laurel jest dorosła. Jest dojrzałą kobietą. Ale owszem, Katherine, chyba tak. Chyba popełniłaś błąd.
- Uprzejmy jesteś. W rzeczywistości nie masz co do tego wątpliwości.

Zanim ojciec Marissy zdążył odpowiedzieć, mężczyzna stojący obok Katherine uklęknął i rzekł do Cindy:

- Przekazuję ci tę wieść z przykrością... ale chyba po prostu masz w uchu cukierka. - Mężczyzna był łysy i wysoki - tak bardzo, że nawet klęcząc, musiał nieco się pochylać, żeby pogadać z dziewczynką - i wbił się w nieco zbyt obcisły golf. Zdaniem Marissy dowiódł tym, że ma fatalny gust: przypominał wyglądem żółwia. Jej siostra powoli uniosła dłoń do ucha i przesunęła pulchnym palcem i grubym kciukiem po miętówce. Wyraźnie było widać, że chce wyjąć cukierek... ale nie potrafi.
- To kolczyk - powiedziała Cindy. Rozmawiała z mężczyzną z wielką powagą, ponieważ teraz było dla niej oczywiste, że miętówka przez jakiś czas pozostanie na swoim miejscu. — On tylko wygląda jak cukierek.

Marissa uśmiechnęła się w nadziei, że zdoła uratować resztki godności dla siebie oraz swojej siostry, i dodała:

- Cindy zawsze była oryginalna, jeśli chodzi o modę i jedzenie.

Mężczyzna równie poważnie pokiwał głową, po czym spojrzał na ojca Marissy, słysząc słowa, które ten skierował do Katherine. Marissa także natychmiast uniosła wzrok.

- Ona jest delikatna - wyjaśnił. - Wiesz o tym. Znasz ją znacznie dłużej

ode mnie.

- Co w twoim mniemaniu jeszcze gorzej świadczy o mnie i moim pomysłach.

208

- Tak, chyba tak — odparł David, a Katherine wyglądała na autentycznie zmartwioną. Marissie wydawało się, że jej ojciec za chwilę coś doda. Już nawet otworzył usta, ale pewnie w ostatnim momencie się rozmyślił, ponieważ zachował milczenie.

- Na tych fotografiach nie powinno być nic niepokojącego. Prawda?

- opowiedziała Katherine. - Jakieś dawne gwiazdy kina. Jakieś zdjęcia jej dawnego klubu pływackiego i parę zdjęć pobliskiego domu. Sądzę, że było

też kilka zrobionych przez Bobbiego w Underhill, ale mimo to... sama nie wiem. Po prostu wyobraziłam sobie przedsięwzięcie, którego realizacja

moim zdaniem mogłaby jej sprawić przyjemność. I owszem, przynieść pożytek BEDS. To wszystko. Nigdy bym jej tego nie zaproponowała, gdybym

sądziła, że te zdjęcia mogą ją wytrącić z równowagi. Nigdy!

Zakłopotanie Katherine było tak wyraźne, że towarzyszący jej mężczyzna wstał, całkowicie zapominając o Cindy i miętówce w jej uchu — Marissa obawiała się, że jej siostra może urządzić w rewanżu jakieś porządne przedstawienie - i ją przytulił.

- Słuchaj, nie wiem, co w tych zdjęciach jest takiego, że tak zalaźło jej za skórę — rzekł ojciec Marissy. - Nie mam pojęcia, co ona w nich

widzi. Ale im szybciej zdołamy ją odsunąć od tego zadania, tym lepiej.

- Ja po prostu potraktowałam te zdjęcia jako reklamę, to wszystko. Może trochę gotówki dla organizacji... zakładając, że ta kolekcja naprawdę jest czegoś warta. Ale to wszystko okazuje się zbyt kłopotliwe, czyż nie?

- Chyba tak. Z pewnością zaś nie wydaje się warte bólu, jaki sprawia Laurel.

- Jak powiedziałeś: ona jest delikatna.

David spojrział na córki i uśmiechnął się, jakby nagle sobie przypomniał o ich istnieniu. I od razu zauważył miętówkę.

- Cindy, kochanie, wiesz, że masz w uchu miętówkę?

- To kolczyk - odparła Cindy i posłała mu coś, co zapewne uważała za najmiłszy, najbardziej chochlikowaty uśmiech na świecie.

- Taa - stwierdziła Marissa, nie potrafiąc już dłużej nad sobą panować — a kukurydza w kącikach twoich ust to obrączka.

Siostra pokazała jej język. Marissa przewróciła oczami, ale doszła do wniosku, że będzie lepiej dla wszystkich, łącznie z nią, jeżeli to zignoruje, i objęła małą. Obie były tak samo wstrząśnięte faktem, że ich mama i Erie wkrótce się pobiorą.

209

- Gdy wrócimy do domu, tato i ja pomożemy ci zdjąć kolczyki... jeżeli zechcesz. Bo czasem są z tym kłopoty.

Katherine uśmiechnęła się, ale było jasne, że tak naprawdę nie zwraca

na nich uwagi. Nadal myślała o Laurel.

- Oczywiście - ciągnęła - w tym momencie odbieranie jej tych zdjęć mogłoby odnieść jeszcze gorszy skutek.
- Sądzę, że byłoby najlepiej, gdyby udało się nam zaangażować ją w inny projekt — rzekł tato Marissy. — Być może inny projekt fotograficzny. Nie, nie być może. Na pewno. I znam jeden. Nieduży, ale ważny dla kogoś. - Jego głos przybrał znacznie pogodniejszy ton i wydawał się niemal figlarny.
- Czyli? — zapytała Katherine.
- Zdjęcie portretowe dla mojej małej diwy — odparł, tuląc do siebie Marissę. — Laurel zaproponowała, że w ten poniedziałek zrobi portret mojej wschodzącej młodej gwiazdy. Może późno po południu. Albo wczesnym wieczorem.

Marissa poczuła przyływ energii, wręcz uniesienie, i wyprężyła się u boku ojca. Nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo poważnie potraktował jej pomysł.

- Naprawdę? W ten poniedziałek? — zapytała.

David potwierdził skinieniem głowy.

- Tak zaproponowała. Powiedziałem, że się z nią skontaktuję. Lekcje śpiewu skończysz do czwartej, ale ponieważ to ty masz pozować, pomyślałem, że powinienem się upewnić. Czy poniedziałek będzie ci pasował?
- Tak, idealnie! Dziękuję ci, dziękuję, dziękuję! Ściągnęła go w dół za rękę i pocałowała w policzek. Już sobie wyobrażała zdjęcia, które dotąd widywała na afiszach teatralnych oraz obok życiorysów swoich starszych koleżanek, i co na siebie włoży. I co zrobi z włosami.

- Davidzie - powiedziała zupełnie obojętnym tonem Katherine. — Traktujesz Laurel jak dziecko. Uważam, że powinniśmy stawić temu czoło... nie zaś próbować odwrócić jej uwagę, jakby była małym dzieckiem.
- Po prostu staram się być skuteczny. Wykonać dwa zadania za jednym zamachem.
- Słuchaj, myślę, że to bardzo miłe, że zaproponowała zrobienie zdjęć Marissie. Ale chyba nawet przez ułamek sekundy nie sądziłeś, że portretowanie twojej córki mogłoby osłabić zainteresowanie Laurel osobą Bobbie-go Crockera.

210

- Nie, oczywiście, że nie. Ale jeżeli będziemy się przyglądać tej obsesji dzień po dniu i zajmiemy Laurel innymi sprawami, możemy odwieść ją od pracy nad tym projektem.
- Odwieść? O to właśnie mi chodzi!
- Tak się mówi.

Niemal w tym samym momencie, jakby instynktownie wiedziała, jak doprowadzić starszą siostrę do szału, Cindy przerwała dorosłym:

- Mnie też może zrobić portret! Ja też chcę portret!
- Widzisz — rzekł ich ojciec, ku wielkiemu przerażeniu Marissy. - Projekt już się rozrósł.

KILKA MINUT PÓŹNIEJ, gdy dziewczynki szły z ojcem ulicą w stronę ich mieszkania nad jeziorem, Marissa zapytała:

- Tato, czy Laurel jest chora?

- Laurel jest pływaczką, pamiętasz? Bardzo zdrową. Myślę, że nie masz się czym przejmować. Czemu pytasz?

- Powiedziałaś, że jest delikatna. Tego właśnie słowa użyłeś podczas rozmowy z Katherine.

- Nie zdawałem sobie sprawy, jak uważnie słuchałaś.

- Nie chciałam podsłuchiwać.

- Och, przecież nie podsłuchiwałaś. Ja i Katherine byliśmy **po prostu**, jak sądzę, trochę niedyskretni.

- Dlaczego więc Laurel jest delikatna?

David zdawał się zastanawiać nad odpowiedzią, zwolnił kroku.

- Cóż, nie chcę cię straszyć. Ale też chcę być z tobą szczery. Zawsze.

Wiesz o tym, prawda?

-Tak.

- W porządku. Siedem lat temu przydarzyło się jej coś złego. Teraz czuje się dobrze. Przynajmniej z reguły. Po prostu od tamtego czasu jest trochę delikatna.

- Co się stało?

David spojrzał na Cindy, która w ogóle nie przysłuchiwała się ich rozmowie. Za bardzo zajmowało ją oblizywanie palca. Przez chwilę Marissa nie była pewna, dlaczego go oblizuje, ale wtedy jej siostra uniosła palec do ucha... a potem z powrotem przytknęła do języka. Marissa pojęła: miętów-ka zaczęła się topić i Cindy wskrobywała paznokciem czekoladę oraz krem

i sprawdzała ich smak. Marissa pokręciła głową. Z jednej strony, była zbulwersowana. Ta mała zjadłaby wszystko — *po prostu wszystko!* Z drugiej strony, oznaczało to, że nie będą musieli wyciągać cukierka pincetą. Ciepło ciała właściwie robiło to za nich. Dzięki Bogu nie chodziło o galaretkę SweeTart lub coś twardego. Wtedy chyba musieliby nazajutrz wrócić do lekarza.

Ojciec mówił cicho, Cindy musiała więc zacząć się przysłuchiwać, gdyby chciała coś usłyszeć:

— Wiem, że w szkole uczyłyście się o obcych i o tym, że nie powinniście wsiadać z nimi do samochodów i furgonetek. Zgadza się? Na zajęciach z higieny oglądacie filmy o tym, jak zachować bezpieczeństwo. O tym, że bywają naprawdę źli ludzie.

-Yhm.

- Cóż, siedem lat temu, studiując w college'u, Laurel jeździła rowerem w Underhill. Jechała leśną, zupełnie opustoszałą drogą. - David zawahał się, ale tylko na chwilę, żeby się upewnić, że Cindy nadal jest bezpiecznie ukryta na własnej planecie. Potem, westchnąwszy przeciągle, wrócił do swojej opowieści. Marissa spostrzegła, że ogranicza ją wyłącznie do podstawowych elementów, znacznie skracając: tak bardzo się starał przekazać tę opowieść w sposób, który nie uczyniłby świata nieznośnie przerażającym dla córki, że naprawdę nie była do końca pewna, co się wydarzyło. A jednak brzmia

ło to strasznie i gdy ojciec skończył, zdała sobie sprawę, że przyciska skrzy

żowane ręce do swoich piersi. Zrozumiała, że ojciec przedstawił jej nagie fakty, ponieważ próbował odpowiedzieć na jej pytanie, wyjaśnić, dlaczego — jego zdaniem i zdaniem Katherine — jego usportowiona młoda przyjaciółka jest delikatna. Mimo wszystko, gdy szli wieczorem po chodniku, ta historia brzmiała bardzo złowróźnie i gdzieś w głębi świadomości Marisa rejestrowała każdy niewyraźny szelest gazet na wietrze i szmer ludzkich kroków, zanim ktoś minął ich na ulicy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

C

O MYŚLELI SĄSIEDZI? CZASAMI LAUREL PRÓBOWAŁA to sobie wyobrazić. Czy Buchananów to obchodziło? Najpierw, w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, koło hałd popiołu zdarzył się okropny wypadek samochodowy, którego sprawca uciekł z miejsca zdarzenia. Następnie przeprowadzono śledztwo i dochodzenie sądowe. Musiały ukazać się jakieś artykuły prasowe z informacją, że Daisy siedziała obok kierowcy w samochodzie przemytnika, gdy ten potrafił z hukiem Myrtle Wilson i zostawił ją na pastwę śmierci na ulicy, z lewą piersią dosłownie rozprutą przez przód samochodu. Sąsiedzi z pewnością zastanawiali się, dlaczego była w jego towarzystwie. Większość przypuszczalnie doszła do najbardziej prawdopodobnych wniosków. Po czym, kilka lat później, twierdzono, że w rzeczywistości to Daisy siedziała za kierownicą w

parnym zmierzchu. Nie Jay. Sąsiedzi też zapewne dyskutowali o rych opowieściach.

Podobnie Laurel była pewna, że szemrano o pozamałżeńskich flirtach Toma Buchanana. O dziewczynie w Santa Barbara (pokojówce), o kobiecie w Chicago. A przecież były to tylko romanse, które zdarzyły się w pierwszych trzech latach małżeństwa Toma i Daisy. Nawet Pamela Marshfield zastanawiała się tamtego ranka przy herbacie, dlaczego jej rodzice się nie przeprowadzili.

A jednak małżeństwo Buchananów jakoś przetrwało.

W sobotę wieczorem Laurel spoglądała na zdjęcie Pameli i Bobbiego stojących obok brązowego coupe, pod portykiem wznoszącym się wysoko

214

nad ich wąskimi ramionami dzieci ze sfer uprzywilejowanych. Po raz pierwszy zaświtało jej w głowie, że Bobbie mógł być owocem małżeńskiego pojednania. Dzieckiem poczętym i wydanym na świat, żeby pokazać ludziom, że w małżeństwie Bobbiego Buchananów wszystko gra. Że ono trwa jak skała. I że sąsiedzi nie muszą tracić energii na zastanawianie się, czy może lub powinno być uratowane.

KOŚCIÓŁ STAŁ NA grzbiecie niewielkiego wzgórza, około dwóch kilometrów za Bartlett. Laurel zatrzymała się na stacji benzynowej przy głównej ulicy, żeby zapytać o drogę, i z łatwością znalazła go po niespełna paru minutach. Był to klasyczny nowoangielski kościół z dwoma wysokimi majestatycznymi klonami cukrowymi od frontu, których liście właśnie zaczynały nabierać barw mających niebawem stworzyć fantasmagoryczną gamę czerwieni. Budynek miał skromną, pozbawioną ozdób wieżę i

poszycie ścian z desek koloru kości. Witraże były bardziej ozdobne, przeważnie przedstawiały korony, berła i krucyfiksy. Diakoni, starszy mężczyzna i kobieta, powitali ją serdecznie, gdy przybyła na miejsce: wyczuli świeżą młodą krew.

Usiadła z tyłu, zarówno dlatego, że nikogo tutaj nie знаła, jak i dlatego, że jej rodzina nigdy specjalnie nie praktykowała. Uświadomiła sobie, że w swojej białej bluzce i długiej wąskiej czarnej spódnicy, którą znalazła w głębi szafy, jest trochę przesadnie wystrojona, ponieważ wszyscy pozostali, nawet zbliżeni wiekiem do niej, nosili dżinsy, spodnie w kolorze khaki lub (w przypadku paru dziewcząt wyglądających na uczennice klasy maturalnej) minispódniczki w stylu retro, które Laurel sama często kupowała w sklepach z klasycznymi ubraniami niedaleko nabrzeża. Było jej przykro, że jest tutaj pod zdecydowanie fałszywym pozorem, miała poczucie winy, które się tylko pogłębiło, gdy rodzina w ławce przed nią — farmer—sól ziemi, jego żona nauczycielka oraz ich czwórka rozczochranych, ale dobrze ułożonych dzieci w wieku, przypuszczalnie, od pięciu do piętnastu lat - powitała ją niepotrzebnymi, ale całkowicie szczerymi uściskami dłoni i ramion. Nawet najmniejsza dziewczynka, nieśmiałe stworzenie o lepkiej rączce, uparła się, by gwałtownie potrząsać ręką Laurel w momencie, gdy pastor poprosił, aby wszyscy przywitali się z parafianami, którzy stali w pobliżu.

Nie zapytała, jak dobrze znali Marcusa Gregoryego Reese'a lub człowieka nazwiskiem Bobbie Crocker. Wiedziała, że powinna wstrzymać się

z tym do czasu poczęstunku kawą, który zgodnie z programem uroczysto-

ści miał nastąpić natychmiast po błogosławieństwie.

Gdy nabożeństwo dobiegło końca, nauczycielka, kobieta imieniem Nancy, zapytała Laurel, od jak dawna mieszka w Vermont. Jednocześnie wręczała dwojgu swoim dzieciom ćwierćdolarówki, które miały przynieść na zajęcia w szkółce niedzielnej, i zbierała ich kredki, książeczki do kolorowania oraz swetry. Jej starsze pociechy pomknęły z prezbiterium do swoich klas w chwili zakończenia nabożeństwa.

— Od ośmiu lat — odparła Laurel. — A pani?

Nancy ucałowała czoła młodszej dwójki, a potem przyglądała się, jak jej mąż prowadzi je przez duże i nagle gwarne prezbiterium do nauczycieli.

- Przez całe życie. Urodziłam się tutaj. Jak brzmiało pani imię?
- Laurel.
- Miło panią poznać. Czy dobrze wcześniej usłyszałam, że mieszka pani w Burlington?

-Tak.

Nauczycielka zaczęła się zachowywać odrobinę bardziej oziębło, jakby wyczuła, że Laurel jest tutaj nie tylko dlatego, iż szuka kościoła, który mogłaby nazwać domem.

— Co panią sprowadza do Bartlett? Dziś rano chyba przyjemnie jechało się samochodem. Ale zimą już tak nie będzie.

Laurel uśmiechnęła się w sposób, który miał być ujmujący i szczery zarazem.

— Chcę się dowiedzieć czegoś o członku tej parafii, który niedawno

zmarł... oraz o jego przyjacielu.

Kobieta skinęła głową, po czym przytknęła palec — z paznokciem niemal idealnie owalnym, zwieńczonym kruchym białym półksiężycem — do podbródka.

- Czyli?
- O Marcusie Gregorym Reesie. On...
- Och, znałam Reese'a. Tak właśnie na niego mówili. Reese.
- Mogę o nim z panią porozmawiać?
 - Oczywiście, ale nie znałam go dobrze. To znaczy, widywałam go najczęściej tylko w niedziele. I chyba parę razy w czwartkowe ranki, gdy seniorzy zbierali się tutaj, żeby sobie pograć. Czasem do nich dołączałam... no wie pani, żeby trochę odmłodzić to towarzystwo. Nalać soku, zaparzyć

216

kawę? Mogłam też parę razy spotkać go w sklepie spożywczym. Ale to tak naprawdę wszystko. Którego z jego przyjaciół chce pani poznać? Chyba mogę panią przedstawić.

- W tym właśnie sęk. On też zmarł.
- Rozumiem.
- Bobbie Crocker. Pamięta pani?
 - Co? Bobbie zmarł? Tak mi przykro. Zastanawiałam się, co się z nim stało. Po prostu zniknął z powierzchni ziemi, nieprawdaż? Kiedy zmarł? I jak?
- Parę tygodni temu. Na udar.

—Siedzieli tam — powiedziała nauczycielka, wyciągając jeden z długich

palców z pięknymi paznokciami w kierunku ławek po drugiej stronie świą

tyni. - Bobbie i Reese. Chyba mieszkali razem, ale nie jestem pewna. Cze mu pani się nimi interesuje? Jest pani krewną jednego z nich?

-Nie.

— Mogę więc spytać dlaczego? Nie chcę być wścibska.

Laurel zastanawiała się przez moment nad odpowiedzią, po prostu dlatego, że było tyle powodów. Ciekawość, jak Bobbie trafił z posiadłości Buchananów w East Egg do pokoju w hotelu New England. Wrażenie, że coś ich łączy, skoro dorastał w domu po drugiej stronie zatoczki, naprzeciw klubu pływackiego, w którym spędziła sporą część dzieciństwa, a potem chyba robił zdjęcia na tej ponurej leśnej drodze okrytej baldachimem drzew w dniu, w którym omal nie zginęła. Szacunek dla fotograficznych zdolności Croc-kerja i pragnienie właściwego opisanie jego prac, na wystawę i dla przyszłych pokoleń. Oraz, tak po prostu, chęć wyjaśnienia zagadki: dlaczego rodzice wydziedziczyli go przed laty i dlaczego jego siostra uparcie podtrzymywała fikcję, że nie są spokrewnieni? Dlaczego twierdziła, że jej brat nie żyje od tylu dziesięcioleci? To wszystko wymagało jednak wyjaśnienia tej miłej kobiecie w niedzielny ranek w głębi kościoła zbyt wielu spraw, tak więc po prostu Laurel powiedziała Nancy, czym się zajmuje i że bada fotografie znalezione w mieszkaniu Bobbiego po jego śmierci. I na tym poprzestała.

- Cóż, jeżeli chce pani porozmawiać z kimś, kto ich znał lepiej ode mnie, proszę spróbować z tamtą kobietą. Ma na imię Jordie.

- Jordie...

- To zdrobnienie imienia Jordan. Jest kolejnym seniorem w naszym kościele i też przeprowadziła się tutaj z Nowego Jorku. Uczestniczyła rów-

217

nież w całodziennych grach dla seniorów w czwartkowe ranki, o których pani mówiłam. Gdy Bobbie tutaj mieszkał, on, Reese i Jordie byli naprawdę nierozłączni - powiedziała Nancy i nagle krzyknęła do lekko zgarbionej staruszki w eleganckim kardiganie z perłowymi guzikami i w krótkich gęstych platynowych włosach, nienagannie ufryzowanych i lekko przystrojonych piórami. Twarz miała pomarszczoną, ale Laurel przez chwilę nie wiedziała, czy głębokie zmarszczki na jej twarzy są wyłącznie skutkiem starości, czy śmiechu w odpowiedzi na słowa stojącego w pobliżu parafianina. Wyglądem przypominała bardziej osobę pokroju Pameli Marshfield niż wdowę z miasteczka w Vermont. Laurel mogła ją sobie wyobrazić w jakimś uzdrowisku, w ekskluzywnym ośrodku sportowo-rekreacyjnym lub jak wesoło macha do odźwiernego, przechodząc pod nieskazitelnie czystą markizą w manhattańskiej Upper East Side. Nancy znowu zawołała, tym razem ruszając przejściem między ławkami w stronę kobiety i ciągnąc ze sobą Laurel. Jordie wreszcie je zauważyła i uśmiechnęła się do Nancy, gdy stanęły u jej boku.

-Jordie, mam tu kogoś, kto chce cię poznać - powiedziała nauczycielka. — To jest Laurel. Laurel interesuje się Reese'em i Bobbiem i pomyślałam, że mogłabyś jej pomóc. Masz chwilkę?

Kobieta przyjrzała się Laurel badawczo, kiwając głową. Oceniając ją.

Z pozoru dobroduszny śmiech, który Laurel słyszała przed momentem, ucichł zupełnie. Przypuszczalnie z powodu tematu jej dociekań.

- Mam - odparła ostrożnie. - Czym się zajmujesz, młoda damo? Jesteś *pisarką!* Ostatnie słowo wypowiedziała niemal pogardliwie. Piszesz książki pornograficzne." - W swoim życiu miałam trochę złych doświadczeń z reporterami i wołałabym uniknąć kolejnych.
- Pracuję w opiece społecznej — wyjaśniła Laurel. - Pracuję dla BEDS. W Burlington? - Zaskoczyła samą siebie, zmieniając prostą deklarację w pytanie. Czyżby była aż tak onieśmielona? Przypomniała sobie, że w zeszłym tygodniu stawiała czoło Pamela Buchanan Marshfield i T.J. Leckbruge'owi i obojgu dała radę.
- Tak, znam tę instytucję.
- Cóż, właśnie dzięki temu się nimi zainteresowałam. Bobbie Crocker był jednym z naszych podopiecznych.

Początkowo myślała, że Jordie kiwa głową na znak uznania, ale potem zrozumiała, że to ruch osoby cierpiącej na chorobę Parkinsona.

218

-Jednym z waszych podopiecznych? - zapytała, i ta lodowa zasłona, połączenie podejrzliwości i protekcjonalności, stopniała w ułamku sekundy.

-Tak.

- Był... bezdomny?
- Owszem. Zmarł przed dwoma tygodniami.
- Och, czuję się okropnie - powiedziała Jordie łagodniejszym głosem. — Po prostu okropnie. Nie wiedziałam, że wylądował na ulicy. Nie wiedziałam, że nie żyje.

-Jordie - powiedziała Nancy, obejmując ramię staruszki pocieszającym gestem - nie miej do siebie żalu. Nikt z nas o tym nie wiedział.

- Bo widzisz, on mieszkał z Reese'em - powiedziała Jordie, tak bardzo wstrząśnięta tą wieścią, że ostrożnie oparła się o tylną ściankę ławki.
- Tak właśnie myślałam.
- To był dom Reese'a. A gdy Reese zmarł, jego siostra powiedziała, że Bobbie może tam zostać dopóty, dopóki nie znajdzie się jakiś kupiec.
- Kiedy to było? - zapytała Laurel.
- Na jego pogrzebie.
- A jego siostra ma na imię Mindy, prawda? I mieszka na Florydzie?
- Tak, chyba tak.
- Więc Bobbie był na pogrzebie Reese'a?
- Oczywiście.
- A czy powiedział, że ma zamiar skorzystać z jej propozycji?
 - To wszystko było tak dawno temu. Co najmniej przed dwoma laty. Może przed trzema.

Przez chwilę Laurel zamierzała poprawić Jordie, przypomnieć jej, że od śmierci Reese'a minęło zaledwie czternaście miesięcy. Ale nie było powodu.

- Co pani pamięta? — zapytała, choć jej wiara w pamięć kobiety została lekko nadwątlona tą nieścisłością.
- Cóż, odkryliśmy, że matka Bobbiego i moja ciotka się przyjaźniły. Czyż ten świat nie jest mały?
- Nigdy nam o tym nie mówiłaś! - powiedziała bez troski Nancy, gdy jej najmłodsza córka pojawiła się nagle w świątyni. Rysunek, który

dziewczynka zrobiła dla swojego nauczyciela ze szkółki niedzielnej, najwyraźniej wciąż leżał w samochodzie i matka musiała pomóc jej go odnaleźć. Nancy wzruszyła przepaszająco ramionami i powiedziała, że zaraz wróci.

219

- Bobbie nie chciał rozmawiać o swojej rodzinie - ciągnęła Jordie. — Przypuszczam, że pokłócili się o coś.
 - Czy wyjawiał pani nazwisko swojej matki? — zapytała Laurel, oczekując potwierdzenia swoich domysłów, informacji, którą mogłaby się podzielić z Davidem, Katherine i Talią — z wszystkimi, którzy zdawali się jej nie wierzyć.
 - Przypuszczam, że nazywała się Crocker - odparła Jordie i Laurel poczuła bolesne rozczarowanie. — Kobiety z tamtego pokolenia... Boże, kobiety z mojego pokolenia!... zawsze przyjmowały nazwiska mężów. Tak właśnie czyniono.
- A imię?
- Och, już nie pamiętam. Gdybyś zapytała mnie przed sześcioma, siedmioma miesiącami. Ale szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy kiedyś je znałam. Podałam mu imię mojej ciotki, ale nie wiem, czy podał mi imię swojej matki. Boże, starzenie się naprawdę nie jest dla osób małego ducha, prawda? Tylu rzeczy człowiek nie pamięta.
 - Cóż, proszę mi zatem powiedzieć wszystko, co pani zapamiętała - powiedziała Laurel. - Cokolwiek. - Może, pomyślała, pojawi się jeszcze jakiś zaskakujący, potwierdzający jej domysły szczegół.

- Dobrze. Mieszkał na Long Island. No wiesz, dorastał tam.
- O tym wiem.
- I miał siostrę.

- Podał pani jej imię?
 - Nie, chyba nie. Przykro mi. Ale była starsza od niego, jestem tego całkiem pewna, i...
- I?
- I moja ciotka dała kiedyś tej dziewczynie, czyli siostrze Bobbiego, gdy ta ledwie zaczęła chodzić, putter. Małeńki kij do gry w golfa. To był prezent. Bobbie mówił, że jego matka zawsze bardzo lubiła moją ciotkę. Tak, ogromnie ją lubiła. Nie zawsze obracały się w tych samych kręgach towarzyskich, bo jego matka była mężatką, a moja ciotka nie, ale chodziły razem na strasznie dużo przyjęć — w tym na przyjęcia w słynnej posiadłości tego przemytnika. Wiesz kogo.
- Gatsby'ego?

— Cóż, to oczywiście nie było jego prawdziwe nazwisko. Ale tak, właśnie o niego mi chodzi. Gdy Bobbie dowiedział się, kim jest moja ciotka, wyznał,

220

że jego matka spędzała z nią sporo czasu. Naprawdę, bardzo dużo, zwłaszcza wtedy gdy miały po dwadzieścia parę lat. Nie pamiętam dokładnie, co powiedział - obecnie niczego nie pamiętam dokładnie - ale raz dał do zrozumienia, że jego matka lubiła tego okropnego mężczyznę bardziej niż

moja ciotka. Gatsby. Gatz. Nieważne. Możesz sobie wyobrazić? Jestem pewna, że to nieprawda. Ludzie po prostu chodzili na jego przyjęcia, ponieważ przeradzały się we wspaniałe wielkie święta. Widowiska. Nikt nie chodził tam tak naprawdę dlatego, że go lubił. Dobry Boże, jakżeby mogli go lubić?

- A pani ciotka? Jak się nazywała?

- Och, jestem pewna, że słyszałaś o niej, młoda damo. Nazywała się Jordan Baker i noszę imię po niej. Była słynną golfistką biorącą udział w turniejach dla profesjonalistów. Prawdziwą pionierką. Ale nadal są ludzie, którzy uważają, że oszukiwała na polu golfowym. Że była perfidną oszustką! Cóż, zapewniam cię, że to nieprawda. I właśnie dlatego zapytałam, czy jesteś reporterem. Nie potrafię powiedzieć, z iloma osobami musiałam przez lata rozmawiać o mojej ciotce w konsekwencji jakiegoś złośliwego i całkowicie kłamliwego artykułu o turnieju, w którym startowała jako bardzo młoda kobieta.

- Och, nikt nie myśli źle o pani ciotce - zapewniła ją Laurel, choć sama z pewnością tak myślała: rzeczywiście uważała golfistkę za perfidną oszustkę. Zdała też sobie sprawę, że nie potrafi wykrzesać z siebie wiele szacunku dla kogoś, kto latem tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku trzymał stronę Toma i Daisy Buchananów.

Jordie, której sędziwa głowa wciąż lekko się trzęsła, spojrzała teraz na nią i powtórzyła:

- Bobbie naprawdę mógł zostać u mnie. Wierzy mi pani, prawda? Mam tyle pustych zakurzonych pomieszczeń. Mógł mieć własne małe skrzydło z jednym pokojem i łazienką! Wystarczyło, żeby tylko poprosił!

- Jestem pewna, że mógłby zamieszkać u połowy osób zgromadzonych

w tym kościele, gdybyście wiedzieli - odparła Laurel. - On był...

-Tak?

Już miała powiedzieć, że Bobbie był schizofrenikiem, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Jordie nie musiała o tym wiedzieć.

- Był zamknięty w sobie - stwierdziła po prostu.

Wydawało się, że Jordie zastanawiała się nad tym stwierdzeniem, po czym zapytała:

221

- Trafiał prosto do was?
- Po tym, jak opuścił dom Reese'a? -Tak.

I znowu Laurel doszła do wniosku, że nie ma sensu mówić prawdy. Ta kobieta już i tak czuła się wystarczająco okropnie.

- Chyba tak- skłamała. - Był bardzo szczęśliwy. Chcę, żeby pani o tym wiedziała. Znaleźliśmy mu ładne mieszkanie w Burlington i tam bardzo szybko nawiązał kontakty. Czuł się naprawdę dobrze.
- W czwartkowe ranki grywaliśmy tutaj, w kościele, w brydża - ciągnęła Jordie. - Właśnie wtedy seniorzy zbierali się, żeby pograć. Był Reese, Bobbie, Linda i ja. Zawsze świetnie się bawiliśmy.
- Tak, wiem od Nancy.
- Nie, to nie był brydż - poprawiła się Jordie. - W brydża grywałam z Reese'em, Lindą i Tammy Purinton. Bobbie nie znosił brydża. Doprawdy, pamięć mam jak sito!
- Myślę, że to dotyczy nas wszystkich - odparła Laurel, trochę przez grzeczność, a trochę dlatego, że w jej życiu miały miejsce zdarzenia, które chyba pamiętała niedokładnie. Nawet w przeszłości osoby w jej

wieku były chwile, których zapomnienia wymagało jej zdrowie psychiczne. Zapomnienia bądź przynajmniej korekty. Wszyscy tak czynili, nieprawdaż?

-Nie wiem tylko, dlaczego nie wrócił do domu - zastanawiała się głośno Jordie. - Musiał gdzieś mieć jakichś krewnych. Myślę, że jego siostra jeszcze żyła. Tak przynajmniej było parę lat temu.

Laurel uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Jego siostra czuje się świetnie. Poznałam ją. Mieszka w East Hampton.
- Oczywiście, on naprawdę lubił Vermont. Właśnie dlatego, jak sądzę, wrócił. Dlatego i z powodu Reese'a.
- Wrócił?
- Kiedyś przyjechał tutaj, żeby zobaczyć się z synem. Pewnej jesieni.
 - Z synem? - Zaskoczenie i niedowierzanie sprawiły, że Laurel podniosła głos i staruszka wzdrygnęła się lekko. - Bobbie miał syna? — pytała dalej, starając się stłumić nagłą piskliwość tonu.
- Chyba miał. Mogę się mylić.
- Co mówił?
- Po prostu...

222

-Tak?

- Po prostu wspomniał o nim raz, może dwa razy. Ale było oczywiste, że nie chciał o nim rozmawiać, bo chłopak wpadł w jakieś tarapaty.
- Ile miał wtedy lat? Sześćdziesiąt parę? Pięćdziesiąt parę?

- Mniej. A po raz pierwszy przyjechał do Vermont pewnie sześć lub siedem lat temu... gdy sam też był młodszy.
- Sześć? Czy siedem?
- Prosisz o zbyt wiele.
- To ważne.
- Ale ja nie wiem, dziewczyno.

Laurel myślała, że światła w kościele, już przyćmione, przygasają jeszcze bardziej. Pojęła jednak, że w rzeczywistości nie o to chodzi. Działo się tak dlatego, że powracały zawroty głowy. Poczula, że się chwieje, i spojrzała na wypolerowaną podłogę z sosnowego drewna, aby odzyskać równowagę.

- Wie pani w jakie tarapaty? — zapytała w końcu, starannie artykułując każde słowo. - Miał kłopoty z prawem? Popęłił jakieś przestępstwo?
- Tak sędzę, właśnie tak - odparła ostrożnie Jordie.
- Jakie przestępstwo?
 - Nie wiem. Nigdy nie wiedziałam. Ale Bobbie przyjechał do Vermont, żeby go odwiedzić. Poczekaj...
- Niech pani mówi dalej.
- Myślę, że Bobbie przyjechał spotkać się z nim i wtedy coś się stało...
- Bobbiemu czy jego synowi?

-Jego synowi. I Bobbie wyjechał. Nie przyjechał tutaj *dlatego*, że jego syn coś zrobił. Ale wyjechał po tym, jak chłopak wpadł w tarapaty. Wrócił do... tam, skąd pochodził.

- Siedem lat temu?
 - Lub sześć. Albo osiem. Po prostu nie wiem. Nie mogę ufać swojej pa-

mięci. .. i ty też nie powinnaś. Ale była jesień. To wiem. Gdy Bobbie wspominał o swoim dziecku, powiedział, że za pierwszym razem przyjechał tu, ponieważ chciał zobaczyć przed śmiercią, jak liście zmieniają kolor.

- Czy powiedział, gdzie mieszkał w Vermont?
- W Underhill — odparła Jordie, a chwilę później ze skrzydła kościoła mieszczącego klasy szkółki niedzielnej wróciła nauczycielka. Na widok Laurel i Jordie, rozmyślających teraz w milczeniu, uniosła brwi w sposób zdradzający lekkie zdziwienie, bo ta pierwsza stała przygarbiona, jakby ona

223

także była beznadziejnie stara. Laurel sięgnęła po zmęczoną, guzowatą, trochę zimną dłoń Jordie i podziękowała jej na pożegnanie. Próbowwała się nieznacznie wyprostować, odzyskać panowanie nad sobą. Potem znalazła w sobie dość siły, by uśmiechnąć się do Nancy, powiedzieć jej o synu Bob-biego i pozwolić nauczycielce, by ta zaprowadziła ją na dół na kawę, którą serwowano po nabożeństwie.

- NIE ZDAWAŁAM SOBIE sprawy, że Bobbie miał dzieci — mówiła Nancy, gdy wchodziły ze świątyni do dużej sali zastawionej składanymi metalowymi krzesłami oraz składanymi metalowymi stołami i obwieszanej plakatami apelującymi o ofiarę na różne misje. W sali kłębił się tłum dorosłych pijących kawę, emerytów i rodziców, których dzieci były w szkółce niedzielnej.

- Ja też. Na pewno nie powiedział o tym swoim przyjaciołom w Burlington. Nie powiedział nikomu z nas w BEDS.

- W pani głosie pobrzmiwa złość... jakby powinien był powiedzieć.
- Gdybym wiedziała, kim jest syn Bobbiego, nasze stosunki ułożyłyby się zupełnie inaczej.
- Znała pani jego syna? Wystarczyły te skąpe informacje od Jordie? Jak to możliwe?

Laurel szybko się wycofała.

- Nie jestem tego całkiem pewna. Ale nie jest to wykluczone. — Nie była gotowa wyjaśniać, kim był syn Bobbiego, ponieważ jeszcze się nie pozbierała po swoim odkryciu; nie chciała też rozmawiać o tym, co się jej przydarzyło w Underhill. Nie z tą nową znajomą. Nigdy nie rozmawiała o tym nawet ze swoją matką i najbliższymi przyjaciółmi.
- Ale jak to możliwe? - ponowiła pytanie Nancy.
- Jego syn mógł wędrować po kraju. Albo być kulturystą.
- Wiem, że to nie wszystko.
 - Chyba po prostu chcę wiedzieć, dlaczego nie troszczył się bardziej o swojego ojca. Albo przynajmniej nie próbował.
- To wszystko?
- To wszystko - skłamała Laurel, po czym dodała: — Przykro mi, że zasnułam Jordie, mówiąc jej, że Bobbie był bezdomny.

—Widzi pani? Czyż Jordie nie jest miła? Niektórzy uważają, że jest trochę nieprzystępna, trochę odpychająca, ponieważ ma w swoich żyłach tyle błękitnej krwi. Ale w rzeczywistości jest bardzo życzliwa... choć grając

jak był jeszcze przed rokiem. Proszę mi wierzyć: w grze w brydża była wymarzoną partnerką.

- Powiedziała mi, że Bobbie nie znosił brydża. Ale mogłabym przysiąc, że podczas naszej rozmowy w East Hampton w zeszłym tygodniu jego siostra powiedziała, że uwielbiał te grę.
- Pojechała pani aż do East Hampton?
- To żaden wyczyn. I tak byłam już na Long Island. Z wizytą u mojej mamy. Wczoraj wyjechała do Włoch i pomyślałam, że wstąpię przed jej wyjazdem.

Nancy przyjrzała się jej uważnie.

- Naprawdę chodzi tylko o te zdjęcia, które znaleźliście w mieszkaniu Bobbiego?
- Od tego się zaczęło - odparła Laurel. - Teraz chodzi o coś więcej.

Nauczycielka sięgnęła po dwa kubki stojące obok metalowego termosu z kawą i wręczyła jeden Laurel. Potem ruchem ręki zachęciła ją, by nalała sobie śmietanki lub mleka z pojemników i dodała cukru lub sukralozy w torebkach z trudem mieszczących się na półmisku.

- Cóż, oto co Bobbie opowiadał mi o brydżu. Wspomniał, że jego rodzice kłócili się, gdy był dzieckiem, i gra w brydża stanowiła dla jego matki

jeden ze sposobów radzenia sobie z nieszczęsnym małżeństwem — nie grała

jednak z mężem. Odniosłam wrażenie, że to była jakaś damska liga. Zaczęła

grać ostatniego lata przed narodzinami Bobbiego. Znikała niemal co popołudnie, pozostawiając jego starszą siostrę pod opieką niani. Gra w brydża

najwyraźniej weszła jej w nałóg. Wiele lat później, w dniu — czy też, z tego

co wiem, wieczorem - gdy między Bobbiem a jego ojcem wybuchała wielka

awantura i chłopak wyjechał na dobre, nie było jej nawet w domu. Powie dział, że już nigdy więcej nie widział się z tym człowiekiem.

Laurel pomyślała, że pod pewnymi względami wszystko do siebie dokładnie pasuje. Jak kawałki układanki. Zastanawiała się, co powiedziałyby ta szalenie miła kobieta, gdyby się dowiedziała, że *matką Bobbiego była DaisyFay Buchanan. I tamtego lata wcale nie grywała w brydża. Znikała popołudniami, żeby się spotykać z Jayem Gatsbyem. Brydż to był tylko wybieg. Parawan.*

Niewątpliwie, jak wszyscy inni, uśmiechnęłyby się, uważając w głębi ducha, że Laurel albo się myli, albo jest stuknięta. Doszłyby chyba do wniosku, że jest większą paranoiczką niż niektórzy jej podopieczni ze schroniska,

225

gdyby wiedziała, że fotografie, stykówki i negatywy Crockera są teraz zamknięte na klucz w kasecie bagażnika jej samochodu — gdyby wiedziała, że Laurel zamierza je przekazać kelnerce z taniej burlingtońskiej restauracji, ponieważ są ludzie, którzy chcieli mieć te zdjęcia równie mocno jak ona, więc musi je ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Chciała pani spotkać się z pastorem - mówiła Nancy, delikatnie prowadząc Laurel do niego. — Nie wiem, co może pani powiedzieć o Bobbiem,

bo Bobbie był u nas bardzo krótko. Ale przypuszczalnie może coś powie dzieć o Reesie.

Laurel pomyślała, że pastor wygląda na rówieśnika Davida. Miał wysokie czoło, zwieńczone ostrzyżonymi na jeża rudawobrunatnymi włosami, i lekko zapadnięte oczy, ale jego podbródek był mocno zarysowany, a uśmiech szeroki i zaraźliwy. Nazywał się, wiedziała o tym z programu nabożeństwa, Randall Stone, ale wszyscy chyba nazywali go Randym. Przedstawiwszy ich sobie, Nancy wyjaśniła mu, dlaczego młoda pracownica opieki społecznej przyjechała tego rana do Bartlett. Gdy poinformowała go o śmierci Bobbiego, twarz pastora przybrała wyraz powagi.

-I poznała go pani dzięki swojej pracy dla BEDS - powiedział, nie pytając, lecz stwierdzając fakt.

Najwyraźniej doświadczał dokładnie takiego samego poczucia winy jak Jordie, gdy usłyszała, co się stało z przyjacielem Reese'a po śmierci starego redaktora.

-Tak. Ale w schronisku przebywał krótko. Potem znaleźliśmy mu mieszkanie. Niezbyt okazałe, ale miał gdzie spać, było ciepłe i jego własne.

Pastor wyduł ze złością policzki, po czym wypuścił z nich powietrze.

- Powiedział mi, że wyprowadza się do siostry.
- Mówił, gdzie ona mieszka?
 - Na Long Island. Chyba w East Hampton. Ostatni raz widziałem go na pogrzebie Reese'a. Naprawdę powinienem był lepiej poznać jego plany. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie czuł się za dobrze.
- To znaczy?

- Nie jestem pewien, gdzie mieszkał przez te lata, zanim zjawił się na progu domu Reese'a niczym dziki kot, ale tuż przedtem jego domem był szpital stanowy.

Laurel postanowiła wcześniej nie zdradzać Jordie szczegółów choroby umysłowej Bobbiego, ale nie widziała powodu, by ukrywać je przed pastorem.

226

- Bobbie był schizofrenikiem — wyjaśniła. — Gdy zażywał leki, mógł jako tako funkcjonować. Oczywiście w ograniczonym zakresie. I jak większość schizofreników, nie wierzył, że jest chory... czasem więc, gdy go nie pilnowano, przestawał brać leki.

- Wie pani, czy się kiedyś ożenił? Gdy zapytałem o to kiedyś, gdy grał tutaj w scrabble, nie mogłem wydobyć od niego wyraźnej deklaracji.

- Nie wiem.

- Sądzę, że nie — odparła Nancy. — On i Reese żartowali między sobą o jakiejś baletnicy, z którą spotykał się w latach sześćdziesiątych, ale sądzą, że Bobbie raczej nie był skłonny się wiązać.

- Ale być może miał syna — powiedziała Laurel. - Tak uważa Jordie Baker.

-To dla mnie nowość. Nie miałam o tym pojęcia.

-Więc po prostu pewnego dnia pojawił się w Bartlett? Reese nie wiedział, że przyjedzie?

-Jak rozumiem, Bobbie przyjechał do Vermont w poszukiwaniu Reese'a nieco ponad dwa lata temu, ale coś zaszło i wylądował w szpitalu stanowym. Reese nie spodziewał się jego wizyty. Ktoś z personelu

szpitalnego odnalazł Reese'a i ten zachował się niezwykle wielkodusznie. Gdy zespół lekarzy stwierdził, że Bobbie jest gotów do wyjścia ze szpitala, Reese zaprosił go do siebie. Rozumiem, że wcześniej Bobbie mieszkał już u niego - przed laty, gdy Reese był żonaty. Reese kilka razy próbował z niego wydusić, gdzie przez ten czas przebywał, ale Bobbie udzielał sprzecznych wyjaśnień. Czasem twierdził, że był w Louisville, czasem, że na Środkowym Zachodzie. Co najmniej raz powiedział, że mieszkał niedaleko swojej siostry na Long Island. Jestem pewna, że udzielał również innych odpowiedzi. Ale we wszystkich swoich opowieściach ani razu nie wspomniał o synu.

- Czy wyjaśnił, czemu stale wędruje?
 - Zapytałam go o to, gdy się poznaliśmy. Żartował, że musi wyprzedzić o krok psy gończe.
 - To przypuszczalnie nie był żart. Chyba naprawdę sądził, że jest ścigany — odparła Laurel i pomyślała, że być może ktoś rzeczywiście podążał jego tropem z powodu tych zdjęć.
- Czy tak objawia się schizofrenia? - zapytała Nancy.
- Paranoja? Często.

Randy wtrącił się do rozmowy.

- Wolnego, nie wiem, czy Bobbie rzeczywiście cokolwiek sugerował tą uwagą. Mógł po prostu żartować. Przecież innym razem podczas rozmowy powiedział coś w stylu: „Goście są jak ryby. Trzymasz ich u siebie za długo, to zaczynają śmierdzieć”.

- Z tego co wiem, Reese był redaktorem działu reportażu, a Bobbie fotografem - powiedziała Laurel. - Bobbie pracował kiedyś dla Reese'a. Sądzi pastor, że tak właśnie się poznali, czy chodzi w tym o coś więcej?
- Reese był również cenionym fotoreporterem - odparł duchowny. - Pracował dla gazet, czasopism, nawet dla „Life'u” w najlepszych latach tego pisma. To był „Life”, który moi rodzice — i pani dziadkowie - studiowali co tydzień.
- A Bobbie? - zapytała.
 - Cóż, jak pani powiedziała: robił zdjęcia dla Reese'a. Dla „Life'u”. Kłopot w tym, że nie był zbyt rzetelny. Z tego też obaj żartowali. W sensie zawodowym ten człowiek był swoim najgorszym wrogiem.
- Z powodu schizofrenii — wyjaśniła Laurel.
 - Oraz picia. Był alkoholikiem i postępował nieodpowiedzialnie. Pakował się w kłopoty.

Nancy zerknęła szybko na Laurel. Gdy spotkały się ich spojrzenia, nauczycielka spuściła wzrok na wykafelkowaną podłogę. Laurel zwróciła się z powrotem do Stone'a:

- Widział pastor kiedyś któreś ze zdjęć Bobbiego?
 - Widziałem te, które zrobił, gdy tu mieszkał. Reese pożyczał mu aparat i obwoził go po okolicy. I widziałem plik zdjęć, które Bobbie zrobił ponoć w Vermont wiele lat wcześniej. Zdjęcia jesiennych liści. Kilka z leśną drogą w Underhill... jedno chyba przedstawiało rowerzystę.
- Czy mieszkał wtedy u Reese'a?

- Och, nie. W życiu Reese'a pojawił się ponownie ponad rok temu — odparł duchowny, i w tym momencie obstało go dwoje innych parafian, starsze małżeństwo. Laurel miała świadomość, że absorbowała uwagę pastora wystarczająco długo, pozwoliła więc, by wciągnęli go w swoją rozmowę.
- Mam nadzieję, że wróci pani tu — rzekł Randy.
- Wrócę - odparła, choć naprawdę nie była pewna, czy ma na myśli powrót do Bartlett, czy do swojego kościoła.
- Pomyślałam o jeszcze jednej rzeczy. — Powiedziała to Nancy, po cichu, mimo że stojący w pobliżu parafianie byli tak pochłonięci rozmową z pastorem, że nie mogli usłyszeć jej słów. Laurel zrozumiała, że to z jej stro-

228

ny swego rodzaju zaproszenie. Właśnie dlatego chwilę wcześniej Nancy patrzyła na nią tak poważnie. -Tak?

- Być może to słowo „tarapaty” skłoniło mnie do tej refleksji. Tego samego dnia, w którym graliśmy w scrabble... właściwie to robiliśmy to tam... Bobbie powiedział coś o więzieniu. Tuż po tym, jak zmienił słowo *mknąć* w *zamknąć*. Wie pani, dodając z-a-m. W tym połączeniu i chwili gdy to zrobił, było coś, sama nie wiem co, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że miał na myśli więzienie.

- I pomyślała pani, że mówi o sobie...

Nancy potwierdziła skinieniem głowy.

- Wtedy tak. Ale teraz dowiaduję się, że jego syn mógł być przestępcą. Może to o tym myślał Bobbie. To nie on wylądował za kratkami.

Może to jego syn trafił kiedyś do więzienia.

- A może — zauważyła Laurel, głośno myśląc — siedzi w nim teraz.

TEGO POPOŁUDNIA SERENA powiedziała Laurel, że też nigdy nie słyszała, by Bobbie Crocker wspominał o synu. Wyznała, że nie może sobie czegoś takiego wyobrazić. Patrzyła teraz na fotografie, które Laurel zrobiła z negatywów pozostawionych przez Bobbiego w hotelu New England, oraz na plik wyblakłych odbitek z oślimi uszami, które nosił ze sobą przez wiele lat. Kelnerka pracowała tego dnia w Burlington, spotkały się więc w boksie w głębi restauracji, w nieco osobliwym świetle gładkich chromów i płyt z ciemnego ciężkiego drewna przeniesionych z wagonu kolejowego; zdjęcia Crockera były starannie ułożone w czarnej teczce, która po rozłożeniu zajmowała prawie cały blat stolika. Restauracja była w połowie pełna, ale prawdziwy ruch się skończył, więc kelnerka pracująca tego dnia z Sereną, korpulentna kobieta w średnim wieku imieniem Beverly, nalegała, by jej młodsza koleżanka dosiadła się do stolika Laurel.

- I chcesz, żebym je zatrzymała — powiedziała Serena, w której głosie niedowierzanie łączyło się ze zwykłym zakłopotaniem. W beżowym uniformie wyglądała na statszą od Laurel. Jej sukienka zbyt ciasno opinała biust, a gęstą grzywę włosów ściągnęła w pospolity kok.
- Tak. Są jeszcze negatywy, których obróbki nie skończyłam, więc je sobie zatrzymam. Przynajmniej na razie. Ale gdy zrobię z nich odbitki, też ci je przyniosę.

-To jest fajne - powiedziała Serena, próbując wstrzymać się z odpowiedzią na prośbę Laurel. Wpatrywała się w zdjęcie mustanga przed domem,

w którym Bobbie spędził dzieciństwo. — Znam człowieka w Stowe, który kolekcjonuje zabytkowe samochody. Ma mustanga takiego jak ten: białego z czarnym sztywnym dachem. Bardzo klasyczny.

- Bobbie miał talent.

Serena skinęła głową, po czym spojrzała na Laurel ponuro, z miną sternika szykującego się na nadciągający sztorm.

- Dobra, dlaczego?
- Dlaczego co?
- Dlaczego chcesz, żebym je dla ciebie przechowała?

Laurel wypła łyk napoju gazowanego. Spodziewała się tego pytania, ale w taniej restauracji, w świetle dnia - z dala od ciemni i ludzi takich jak T.J. Leckbruge — bała się, że wszystko co powie, może zabrzmieć trochę obłąkańczo. Może nawet bardziej niż trochę. Ale wiedziała, że nie jest obłąkana. Że nie wymyśliła sobie Leckbruge'a ani Pameli Buchanan Marshfield. Że nie sfabrykowała świadectw związków Bobbiego Crockera z domem w East Egg na Long Island. Miała zdjęcia na dowód, że są prawdziwe. Leżały między nimi na stole z blatem z laminatu.

- Cóż, chce je mieć jego siostra - odparła. - Ta kobieta, o której opowiedziałam ci w piątek. Wczoraj widziałam się z jej prawnikiem i wyszłam z tego spotkania pełna bardzo złych przeczuc.
- To znaczy?
 - Sądzę, że zdjęcia nie są u mnie bezpieczne.

Serena pochyliła się nad stolikiem.

- Co ty mówisz? Naprawdę sądzisz, że siostra Bobbiego lub jej prawnik mają zamiar posłać jakiegoś zbira, żeby porachował ci kości dla paru starych czarno-białych zdjęć gości, którzy grają w szachy? Naprawdę

uważasz,

że komuś tak bardzo zależy na fotografii forda mustanga?

Laurel zastanawiała się, czy nie postukać w teczkę i nie poprawić Sereny: chodziło tu o coś znacznie więcej niż o parę zdjęć. Ale Serena nie to miała na myśli.

- Nie sądzę, by ktoś mnie skrzywdził - odparła spokojnie. — Nie prosiła bym się o ich przechowanie, gdybym podejrzewała, że ktoś zrobi krzywdę tobie lub twojej ciotce. Ale owszem, rzeczywiście sądzę, że mogliby próbować je wykraść... albo uciec się do bardziej zdecydowanych poczynań prawnych.

230

- Czyli?
- Nie jestem **pewna**.
- Więc to, że **mam** zdjęcia, byłoby tajemnicą? **Nikt by o tym nie wiedział?**
- Nikt oprócz nas.

Serena usiadła wygodnie i ułożyła dłonie na kolanach.

- Wiesz, gdybym cię nie znała i nie wiedziała, czym się zajmujesz, mogłabym pomyśleć, że to właśnie ty trafiłaś tu przypadkiem z ulicy... albo przyszłaś ze szpitala stanowego.
- Słuchaj, wiem, że sprawiam wrażenie osoby trochę nierozsądnej. Ale nie jestem nierozsądna. I dopóki się nie dowiem, dlaczego Bobbie Crocker zmienił nazwisko i dlaczego jego siostrze tak strasznie zależy na tych zdjęciach, potrzebuję twojej pomocy. W porządku?

- Oczywiście. Jasne, że ci pomogę. Ale czy to wszystko nie wydaje się trochę, sama nie wiem, bardziej niż nierozsądne? Trochę...

-Trochę jakie?

Serena uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Po prostu martwię się o ciebie. To wszystko.

- Czemu wydaje ci się to takie dziwne i absurdalne? Dobry Boże, Sereno, przecież byłaś bezdomna. Mogłabym się spodziewać, że zrozumiesz równie dobrze jak wszyscy, jak dziwne i absurdalne może stać się życie! — Zdawała sobie sprawę, że powiedziała to asekuracyjnym, ostrym i troszeczkę jęklwym tonem.

- Mówiłam tylko, że...

- Wiem, co mówiłaś. Ty, David, moja szefowa i moja współlokator ka traktujecie mnie, jakbym była stuknięta. Jakby to wszystko było moim wymysłem! - Nie zamierzała podnosić głosu, ale zrobiła to i spostrzegła, że

inni goście przyglądają się im teraz.

- Nie powiedziałam, że cokolwiek wymyśliłaś — mruknęła Serena.

Kelnerka próbowała ją uspokoić, i to tylko pogłębiało frustrację Laurel. Nie chciała jednak przysparzać Serenie kłopotów, robiąc scenę w restauracji, starała się więc zbagatelizować swój wybuch.

- Źle spałam zeszłej nocy - wyjaśniła, świadomie próbując zachować życzliwy i spokojny ton głosu i jednocześnie uznając, że z punktu widzenia Sereny (choć z całą pewnością nie ze swojej perspektywy) zareagowała zbyt emocjonalnie.

- Rozumiem - odparła Serena, po czym spojrzała przez ramię Laurel. Laurel odwróciła się i zobaczyła, że podchodzi do niej niski starszy mężczyzna o mlecznobłękitnych oczach. Miał na sobie czerwony sweter z wycięciem w serek i białe polo z niemodnie dużym spiczastym kołnierzykiem. Chociaż na czaszce zachował niewiele włosów, z nozdrzy i uszu wyrastały mu karłowate „krzaki”. Laurel zdawała sobie sprawę, że już go gdzieś widziała, ale nie była pewna gdzie. Mężczyzna niemal natychmiast wyjaśnił tę zagadkę.
- Widziałem panią niedawno w kościele, jak rozmawiała pani z moją przyjaciółką Jordie - powiedział. - Czyż Jordie nie jest wspaniała?
- Jest - przyznała Laurel, zerkając pospiesznie na Serenę, a potem podnosząc się uprzejmie.
- Niech pani nie wstaje. Nie dla takiego starego wilka jak ja. To zdjęcia Reese'a czy Bobbiego? — zapytał, przesuwając dłonią nad teczką, jakby trzymał w palcach magiczną różdżkę.
- Bobbiego — odparła. — Przepraszam. Chyba nie dosłyszałam pańskiego imienia.
- Ejże, to ja powinienem przeprosić. Mam na imię Shem. Skrót od Sherman. Nazywam się Shem Wolfe. Chodzę do kościoła, w którym była pani niedawno. To ładny kościół. Kiedyś lubiłem świątynię położoną bliżej Burlington. Ale teraz jeżdżę do kościoła kongregacjonalistów w Bartlett. Co mi szkodzi się przejechać. A jak panie się nazywają?
Dwie młode kobiety przedstawiły się staruszkowi. Ujął wtedy kolejno ich palce i dłonie w swoje dziwnie mięsiste, pokryte starczymi plamami

ręce.

- Powiedzcie mi zatem, jak on się miewa? Gdzie teraz jest?

Laurel zastanawiała się, czy wiadomość o śmierci Bobbiego będzie dla niego ciosem, mogli być bowiem przyjaciółmi. Ale Shem był stary, a Bobbie jeszcze starszy, więc po prostu odparła:

- Nie żyje. Ale umarł szybko... na udar... więc nie cierpiał. Mieszkał w Burlington. Konkretnie pięć, sześć przecznic stąd.

Shem pokiwał głową, oswajając się z tą wieścią.

- Och, wielka szkoda. Tak mi przykro. Kiedy odszedł?
- Dwa tygodnie temu.
- Żałuję, że nie wiedziałem, bobym poszedł na nabożeństwo. Było nabożeństwo, prawda?

232

- Skromne.
- Założę się, że Jordie też by poszła. Naprawdę mi przykro. Stale jednak mówię, że przyjaźnić się z ludźmi należy, póki żyją. A nie po śmierci. - Cmoknął językiem, po czym westchnął. - Przysiadłbym się do was, piękne dziewczęta... poprosiłbym o pozwolenie, nie byłbym aż tak bezczelny, by sądzić, że brak wam towarzystwa... ale właśnie wychodziłem. Uczę dziennikarstwa w tutejszym kolegium. Wiem, wiem, jestem już na to za stary. Powinienem pójść na emeryturę. Ale gdy byłem młodszy, pisałem dla gazet i bardzo lubię dobre historie. Lubię znajdować tematy, lubię je przedstawiać. Uczyć innych, jak to się robi. W każdym razie mam jeszcze mnóstwo pracy przed jutrzejszymi zajęciami.

- A ja powinnam pomóc Beverly - powiedziała Serena, wstając od stolika. - Na parking właśnie zajęła całkiem spora rodzina. Wrócę za parę minut, dobrze?

- Chyba pani nie spłoszyłem?

- Ależ nie. Wrócę.

Shem pochylił się nad stolikiem, by spojrzeć na zdjęcie w teczce, to z ffordem mustangiem zaparkowanym u stóp portyku domu Buchananów. Uważnie obejrzał fotografię, po czym głośno westchnął i rzekł:

- Bobbie bez wątpienia był w czepku urodzony.

Laurel była zaskoczona. Czy ten człowiek naprawdę dał właśnie do zrozumienia, że wie, iż Bobbie Crocker dorastał w tym właśnie domu?

—Wie pan, że to był dom rodziców Bobbiego? — zapytała, żałując, że nie potrafi pohamować entuzjazmu i sprawić, by jej głos brzmiał bardziej obojętnie.

- Cóż, to był dom jego mamy. Dawny dom Buchananów, prawda? Ale ojciec... w każdym razie jego prawdziwy tata... mieszkał po drugiej stronie zatoki w West Egg.

- Słucham?

- Och, wie pani, chyba dzielę włos na czworo. Bardzo cienki włos. A może i nie. Tom Buchanan wychowywał Bobbiego przez jakiś czas i za pewnił mu dach nad głową. Bobbie mieszkał z tym człowiekiem przez szes

naście, siedemnaście lat? Mniej więcej tyle. Ale naprawdę zawsze, odkąd tylko doszedł do tego, kto nim jest, był wierny swojemu prawdziwemu tacie. Albo jak się domyślam, duchowi swojego prawdziwego taty. Ale Bobbie powiedział mi dwa razy... naprawdę dwa razy... że nigdy nie przestał

żałować, że nie poznał Jaya Gatsby'ego.

233

SHEM WOLFE RZECZYWIŚCIE był niezwykłym gawędziarzem i tamtego popołudnia powiedział Laurel, co mu wiadomo o młodości Bobbiego Crockera. Reese najwyraźniej od początku zdawał sobie sprawę, kto był ojcem okresowo bezdomnego mężczyzny, a gdy mieszkali razem w Vermont, Bobbie poczuł się wystarczająco swobodnie w kontaktach z przyjacielem Reese'a, Shemem, by również jemu przedstawić swoją biografię. Często we trójkę — dwóch starych fotografów i jeden stary reporter - snuli wspomnienia.

- Reese zawsze stosował wobec Bobbiego taryfę ulgową — rzekł Shem. Po odejściu Sereny usiadł na jej miejscu naprzeciw Laurel, uznając, że przygotowania do zajęć mogą poczekać następnie pół godziny.
- Bobbie miał zamęt w głowie jako mężczyzna i przypuszczam, że miał go też jako chłopiec - powiedział. - Czasem nawet wywołany głosami w głowie. Stale też był lekko rozkojarzony, lekko zdenerwowany - Shem dowiedział się, że marny był z niego uczeń i marny sportowiec. W rezultacie nigdy nie układało się między nim a Tomem Buchananem, którego uważał za swojego ojca. Rodzice rzadko wspominali o wspaniałej posiadłości po drugiej stronie zatoczki, nikt też nie odważył się nigdy poruszyć tematu wypadku. Gdy Bobbie był dzieckiem, dorośli sąsiedzi i nauczyciele szkolni nigdy nie rozmawiali o tym w jego obecności. Jednak inni chłopcy
- okrutni, jak to chłopcy - od czasu do czasu popisywali się znajomością

zasłyszanych plotek. Zwykle te opowieści zakrawały na bajki i miały tylko luźny związek z aż nadto banalną prawdą. Przynajmniej jeden pierwszoklasista lubił twierdzić, że w żyłach Bobbiego płynie marsjańska krew. Chłopak z trzeciej klasy obwieścił kolegom, że człowiek, którego Bobbie wciąż uważał za swojego ojca - Tom Buchanan, ni mniej, ni więcej — dorobił się majątku na sieci nielegalnych barów. W czwartej klasie krążyły opowieści, że jego matka zabiła człowieka — co — jak później uświadomił sobie Bobbie

- miało przynajmniej pozory prawdy, ponieważ jego własny ojciec chyba nie zginął, gdyby matka powiedziała Tomowi Buchananowi, kto tamtego tragicznego popołudnia siedział za kierownicą. Był to wprawdzie wypadek, ale jego matka naprawdę zabiła Myrtle Wilson.

— W szóstej klasie Bobbie po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że został

poczęty latem tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku: wtedy gdy jego matka rzekomo flirtowała z tym nieżyjącym przestępcą, który kiedyś mieszkał po drugiej stronie zatoczki. Świadomie uznał to za zbieg okoliczności i przez pewien czas traktował jako potwierdzenie faktu, że jego mat-

234

ka nie mogła być związana z Jayem Gatsbyem. Zakładał, że wówczas rodzice nadal się kochali.

Jak można się było chyba spodziewać, to fotografia sprowokowała ostatnią awanturę z Tomem, po której opuścił dom. Mając lat szesnaście, w jednej z postrzępionych książek matki znalazł zdjęcie wielkości pocztówki przedstawiające młodego żołnierza. Porucznik na nim był

trochę starszy od Bobbiego, ale nastolatek nie mógł nie dostrzec niesamowitego podobieństwa oficera do siebie. Widział je w surowej, poważnej fizjonomii mężczyzny, wydatnych kościach policzkowych, mocnej zuchwie; w nerwowości i ambicji kryjących się w ciemnych oczach tego człowieka. Na odwrocie fotografii widniała dedykacja skreślona nieznanym mu charakterem pisma:

*Mojej pięknej,
z pozdrowieniami, Jay
Camp Taylor, 1917' r.*

Bobbie od lat wiedział o konkretnych zarzutach wobec jego matki i Jaya Gatsby'ego. Czasami dawał tym żalonym twierdzeniom więcej wiary niż zwykle. Wciąż jednak był zbyt młody, by całkowicie pogodzić się z myślą, że jego matka mogła być tak nieuczciwa i, jak na ironię, że ojciec mógł być tak wielkoduszny... przynajmniej w kwestii wychowywania nieślubnego syna Jaya Gatsbyego. Po prostu nie był w stanie do końca uwierzyć, że te ponure opowieści mogą być prawdziwe, choć już wcześniej czuł, że jego relacje z matką zaczynają się zmieniać. Uświadomił sobie, że traktuje ją inaczej. Mniej jak ofiarę w burzliwym związku małżeńskim. Mniej jak frywolną piękność z Louisville, której jeszcze daleko do powagi wieku średniego. Mniej jak osobę całkowicie niewinną. Mimo to nie wyzbył się przekonania, że jego ojciec - czy też, dokładniej, człowiek, który go wychowywał - jest zdecydowanie zbyt arogancki i okrutny, by wychowywać dziecko kochanka swojej żony. To nie było możliwe.

Ale to zdjęcie, które odkrył w starej książce, wskazywało na taką moż-

liwość. Wręcz dowodziło takiej ewentualności. Bobbie był początkującym fotografem, wiedział, że zdjęcia nie kłamią. Przynajmniej nie kłamały w tamtych czasach. A Tom Buchanan musiał już wtedy wiedzieć, nawet jeżeli nie wiedział na pewno w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim. Podobieństwo było niedwuznaczne. Czemu więc ten próżny, okrutny człowiek znosił

235

jego obecność pod swoim dachem w sąsiedztwie swoich cennych kuców do gry w polo i pólakrowego klombu róż. Bobbie uświadomił sobie, że odpowiedź jest oczywista. Przez dumę. Właśnie dlatego, że Tom Buchanan był takim arogantem, nie miał zamiaru głośno przyznać, że jego żona sypiała kiedyś z Jayem Gatsbyem... tak więc reszta tej historii, łącznie z okropną śmiercią George'a i Myrtle Wilsonów, też mogła być prawdziwa. Tom mógł czynić aluzje do tego romansu, mógł rzucać nikiłe światło na ukrytą prawdę w zjadliwych uwagach, gdy kłócił się z Daisy-
dziwne komentarze, których Bobbie był świadkiem lub które przypadkowo usłyszał, nagle nabrały sensu - ale otwarcie nigdy nie dałby wiary, że ten obrzydliwy przestępca z naprzeciwnika przyprawił mu rogi.

Bobbie wyznał Shemowi, że z perspektywy czasu żałuje, iż ze swoim żądaniem wyjaśnienia co naprawdę wydarzyło się w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, nie poczekał na powrót matki z partii brydża. Nie żeby jeszcze nie wiedział. Ale przepełniała go taka młodzieńcza wściekłość, że na widok Toma w kuchni - pomieszczeniu, w którym ten człowiek i jego matka godzili się zaledwie parę godzin po tym, jak Myrtle Wilson umarła na drodze w pobliżu hałd popiołu - wybuchnął. Oto

człowiek, który w istocie kazał uśmiercić jego ojca. Zamierzył się na Toma, ale jego cios był sygnalizowany i Tom powalił chłopca na ziemię. Po czym zapytał, czy chce się podnieść z podłogi i jeszcze raz oberwać. Siostra Bobbiego próbowała ich uspokoić, ale jej wysiłki były skazane na niepowodzenie, ponieważ Bobbie wiedział, po czyjej jest stronie. Teraz rozumiał, dlaczego ojciec zawsze traktował ich w tak odmienny sposób. Poza tym ona zawsze starała się bronić rodziców, a przecież ich zachowanie było nie do obrony. Chciał mieć równie mało wspólnego z nią co z Daisy i Tomem.

- A co się stało po tym, jak wyjechał? - zapytała Laurel Shema.
- Potem ta historia staje się fragmentaryczna.
- Dlaczego?
 - Czasami nie wiedziałem, co Bobbie rzeczywiście zrobił, a co jest jedynie zmyślnym wspomnieniem. Ale Reese znał pewne szczegóły i spomiędzy tego, co Bobbie powiedział mu przed laty, i tego, co Reese przypominał sobie z czasów, gdy pracowali razem w redakcji „Life'u”, przewierał obraz zdarzeń.
- Na przykład?

236

Shem wsparł na dłoniach głowę pełną wspomnień Bobbiego - w części prawdziwych, w części wyimaginowanych. Opowiedział Laurel, jak Bobbie twierdził, że podróżował, ale jego łotrzykowskie opowieści pod tyłoma względami przypominały opowieści jego ojca, że zdaniem Shema przynajmniej niektóre były zmyślane. Bobbie szukał ponoć rodziny Jaya. Utrzymywał, że w poszukiwaniu dziadka był na mroźnych równinach

Minnesoty i w końcu trafił do Saint Olaf, luterańskiego college'u na południu stanu, gdzie Jay spędził podobno dwa tygodnie jako student i dozorca. Podobnie jak jego ojciec blisko trzy dekady wcześniej, pracował rzekomo przy wyławianiu małży i połowie łososia na Jeziorze Górnym. Odnalazł pozostałości Camp Taylor, starannie unikając kontaktu ze swoimi kuzynami i dziadkami, którzy nadal mieszkali w tym zakątku Kentucky. (Mówił, że po latach wrócił do Louisville, żeby zobaczyć, co zostało z rodu Fayów, i uczestniczył tam — oraz uwiecznił go na zdjęciach — w marszu wolności w położonym o godzinę jazdy na wschód Frankfort). Jako młody mężczyzna przez krótki czas rozważał możliwość przyjęcia nazwiska swojego prawdziwego ojca, ale odwiedzając stany i miasta, które odegrały choćby najmniejszą rolę w tej eskapadzie, potrzebował anonimowości.

Gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do drugiej wojny światowej, zaciągnął się do wojska. Przecież właśnie tak postąpił jego ojciec. Jego prawdziwy ojciec, ten, który był kapitanem, walczył w Argonnach i w końcu otrzymał dowództwo batalionu karabinów maszynowych. Natomiast człowiek, który wychował Bobbiego, spędził znaczną część roku tysiąc dziewięćset siedemnastego, grając w polo, a większość tysiąc dziewięćset osiemnastego — romansując z Daisy.

Przyszło mu to do głowy, gdy zaciągnął się do wojska. Czuł, że nie może nazywać się Gatsby ze względu na uprzedzenia, które ludzie żywili wobec jego ojca, ale nie chciał już być Buchananem. W drodze do punktu werbunkowego przy głównej ulicy w Fairmont w Minnesocie przechodził obok sklepu spożywczego z plakatem przedstawiającym Betty Crocker, fikcyjną gospodynię domową, na wystawie, i postanowił, niemal dla hecy,

przywłaszczyć sobie to nazwisko. Czemu nie miałby się stać Bobbiem Crockerem? Przecież jego prawdziwy ojciec też zmienił nazwisko, czyż nie?

Uzmysłowił sobie poza tym, że gdyby tak zrobił, o wiele trudniej byłoby im śledzić jego poczynania - aczkolwiek Shem nie potrafił powiedzieć, kim dokładnie byli *oni*. Jednak nie tylko rodząca się schizofrenia oraz pa-

237

ranoja skłoniły go do zrzucenia skóry Buchanana; chodziło również o chęć zdystansowania się od całego niewiele wartego klanu ponurych bankrutów życiowych.

Jeżeli członkowie wojskowej komisji werbunkowej mieli jakieś wątpliwości co do zdrowia psychicznego rekruta, którego przydomek przypominał im nazwę ciasta w proszku, nie powstrzymały ich one przed wydaniem zgody na to, by wyszedł na brzeg na Omaha Beach w jednej z pierwszych grup desantowych nacierających za saperami. Bobbie walczył tamtego i następnego roku we Francji, Belgii i Niemczech, wychodząc jakoś z tej wojny bez szwanku. Miał romans z Francuzką, pod wieloma względami bardziej okaleczoną niż Bobbie, zważywszy, jak wielu jej krewnych zginęło podczas pierwszej niemieckiej ofensywy w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego roku i trzy lata później, walcząc w Afryce Północnej. Straciła dwóch braci, kuzyna i ojca. Bobbie chciał sprowadzić ją do Stanów Zjednoczonych, ale ona nie chciała zostawić członków rodziny — żywych i martwych.

Wrócił więc do Ameryki bez niej, ze swoim oddziałem, i po zwolnieniu do cywila dostał pracę w sklepie fotograficznym na dolnym Manhattanie.

Sprzedawał aparaty i filmy, a wieczorami sam robił zdjęcia. Czasem odwiedzał kluby nocne, głównie dlatego że mieszkał sam w zapuszczonym mieszkaniu w Brooklynie i starał się w nim spędzać jak najmniej czasu. Nie miał dużo pieniędzy, ale wydawał tyle, ile musiał, żeby zostać dłużej w lokalach takich jak Blue Light, Art Barn i Hatch. Bardzo dużo pił - co tylko wzmagало jego poczucie osamotnienia i zaostrzało chorobę umysłową — i przekonał się, że może pić na koszt firmy, gdy robi zdjęcia wykonawcom. Nie miał atelier, więc były to wyłącznie fotografie muzyków i wokalistów występujących na scenie bądź odpoczywających w swoich garderobach. Zdjęcia, zwłaszcza nieupozowane, bardzo podobały się fotografowanym oraz (co ważniejsze) ich menedżerom i w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim Bobbie zrobił pierwsze zdjęcie na zlecenie Muddy'emu Watersowi, profil muzyka dla Chess Records, które ukazywało mistrza z gryfem gitary wspartym na czubku jego wspaniałego orlego nosa.

W końcu prace Bobbiego zwróciły uwagę redaktorów „Backbeatu” i „Life'u” i wkrótce zaprzyjaźnił się z młodym redaktorem działu fotoreportażu, który nazywał siebie Reese.

Laurel uświadomiła sobie, że od tego momentu może właściwie sama opowiadać tę historię. Nie potrzebowała pomocy Shema. Potwierdzała jedy-

238

nie swoje podejrzania i znane jej już szczegóły: równowaga psychiczna nigdy nie była mocną stroną Bobbiego, zaś alkohol wzmagал nie równowagę i schizofrenię. Przestał być niezawodny. Przez następną

dekadę pewnych terminów dotrzymywał i zawałał inne. Był ogromnie uzdolniony, przez co współpraca z nim była tym bardziej frustrująca. W latach sześćdziesiątych bywały okresy, gdy Bobbie znikał z pola widzenia tak całkowicie i na tak długo, że Reese dochodził w końcu do wniosku, że tym razem jego przyjaciel zginął. Gdy powracał, Reese zazwyczaj nalegał, by Bobbie znalazł miejsce, w którym mógłby raz na zawsze wyleczyć się z nałogu. Shem domyślał się, że niekiedy podczas tych „zaginięć” Bobbie trafiał do szpitala. Kiedy indziej najprawdopodobniej próbował odnaleźć swoją rodzinę. To oznaczało poszukiwania w dziwnych miasteczkach na całym Środkowym Zachodzie oraz w Chicago i krótkie rozmowy z dziećmi ludzi, którzy mogli (bądź nie) spotkać dziwnych znajomych jego ojca, przewijających się niczym widma przez życie Jaya Gatsby'ego: Meyera Wolfsheima. Dana Cody'ego. „Lokatora” jego domu nazwiskiem Klipspringer.

Shem twierdził, że Bobbie miał przyjaciółki. Na trzeźwo fotograf był człowiekiem ekscentrycznym, utalentowanym i oryginalnym - choć nie klasycznie przystojnym, gdyż wskutek alkoholizmu miał zaczerwienioną twarz, a choroba umysłowa sprawiała, że coraz mniej dbał o higienę. Widywano go jednak z chórzystką, która nie zrobiła kariery, tancerką, która nie zrobiła kariery, oraz z sekretarką w redakcji „Life'u”, która rzeczywiście zrobiła karierę, dołączając do Helen Gurley Brown, by pomóc jej w redagowaniu „Cosmopolitan”. I za każdym razem Reese miał wielką nadzieję, że właśnie ta kobieta zapewni Bobbiemu oparcie potrzebne, by się ustatkował. Nigdy do tego nie doszło.

- A jego syn? — zapytała Laurel. — Która z tych kobiet urodziła mu syna? Wie pan?

- Nie wiem. Moja wiedza na ten temat jest skąpa. Wiem, że to była przelotna znajomość. Sądzę, że ona robiła coś w teatrze... ale nie występowała na scenie. Chyba była kostiumerem. Może szwaczką. Zmarła dawno temu.

- Wie pan coś o tym chłopcu?
 - Bobbie nie lubił o nim mówić. To był jeden z tych... licznych u niego, oczywiście... zakazanych tematów.
- Ale coś mówił.
 - Wiem, że jego syn był bezdomny.

239

-Jak Bobbie?

- Gorzej. *Zażywak* narkotyki. Rzadko pracował.
- Mógł być kuglarzem?
- Jak ci w cyrku?
- Jak na jarmarku. Na centralnej alei.
- To możliwe.
- I w końcu wylądował w Vermont?
 - Na to wygląda. Siedem lub osiem lat temu. Ale gdy Bobbie wrócił przed dwoma laty, pewnie już dawno go tu nie było. Bobbie nigdy nie wspominał, że go odwiedza.
- Było dwóch mężczyzn, którzy...
- Niech pani mówi dalej.

Laurel pokręciła głową; nie mogła. Była zaskoczona, że w ogóle zaczęła wyjawiać, co się jej przydarzyło siedem lat wcześniej. Chyba

uczyniła to tylko dlatego, że Shem był takim cudownym i niespodziewanym wsparciem, że miał tak niegroźny i życzliwy wyraz twarzy. Nawet głębokie zmarszczki, wokół ust przypomniały fałdy na muszli przegrzebka. Musiała jednak wiedzieć, czy syn Bobbiego rzeczywiście był jednym z mężczyzn, którzy na nią napadli, a jeśli tak, to którym z nich.

- Wierzy pan, że jego syn może być w więzieniu? — zapytała, zamiast spełnić życzenie Shema. - Jordie sądziła, że chyba jest przestępcą.
- Jeżeli tak, to nie siedzi za drobne kradzieże. Proszę pamiętać, że Bobbie też spędził sporo czasu na ulicy. Nie wydziedziczyłby swojego dziecka za kradzież kanapki ani dlatego, że nadużywał środków odurzających. To musiałby być o wiele poważniejszy występ.

Laurel wzięła się w garść.

- Gwałt? Morderstwo?
- O tak.

— Czy gwałt naprawdę wchodzi w grę? Lub usiłowanie gwałtu? Czują, że Shem przygląda się jej uważnie, życzliwie, z ojcowską troską

w spojrzeniu.

- Sądzę, że niczego nie da się wykluczyć — odparł po chwili.
- Reese wiedział?
- O synu Bobbiego? Czy o tym, że chłopak wyrósł być może na bardzo złego człowieka?
- O jednym i drugim.

- Wiedział, że Bobbie ma syna. Ale niewiele więcej. Niech pani nie zapomina, że to nie jest tak, że Bobbie sam był wspaniałym ojcem.

Dręczy

ły go jego własne demony, nękała własna choroba psychiczna. Powiedział mnie i Reese'owi, że matka chłopaka nie dopuszczała go do syna, gdy ten dorastał. Nie chciała, by Bobbie miał z nim cokolwiek wspólnego. Może to go przygnębiało. Może po prostu uznał to za jeden z licznych rozprze strzeniających się wokół niego spisków. Może zrozumiał, że nie może po móc chłopcu. Któż to wie? Reese pewnie uważał, że ze strony matki było to rozsądne działanie. Znał wady Bobbiego.

-Ale lubił go...

- Bardzo. Bardzo. Lata temu... pani nie było jeszcze na świecie... dał Bobbiemu wyraźnie do zrozumienia, że jeżeli kiedyś będzie czegoś potrzebował, może śmiało poprosić. I pewnego dnia, wiele dziesięcioleci później, Bobbie to zrobił. Było to nieco ponad dwa lata temu - mówił Shem z rosnącym smutkiem w głosie. Wyjaśnił, że Bobbie przyjechał w Góry Zielone w poszukiwaniu Reese'a. Był już stary i nie miał wyboru. Ale nie od razu go znalazł. Najpierw w Burlington miał miejsce jakiś incydent i Bobbiego przywieziono do szpitala stanowego. Właśnie tam poprosił kogoś z personelu o odnalezienie swojego dawnego współpracownika; dwa miesiące później przekazano go pod opiekę Reese'a. Zdolność skupienia Bobbiego zmniejszyła się do tego stopnia, że ledwie potrafił wysiedzieć przed telewizorem podczas półgodzinnego odcinka serialu pokazywanego w TV Land. Reese odniósł wrażenie, że Bobbie leczył

się w szpitalach stanowych w Nowym Jorku, na Florydzie i w Dakocie Północnej. Ale przestał pić i zażywszy odpowiednie leki, był tym samym dobrodusznym, mającym jak najlepsze zamiary odmieńcem o niezbyt dobrej prezencji, którym był trzydzieści pięć i czterdzieści lat wcześniej.

- Co pani zamierza zrobić z tymi zdjęciami? - zapytał Shem, zakończywszy tę część opowieści. Wpatrywał się w odbitkę z Julie Andrews w roli Ginevry i sprawiał wrażenie zaskoczonego, wręcz poruszonego tym zdjęciem. - Widziałem ten spektakl. Rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty. Majestic Theater. Byłem świeżo po ślubie. Czy Julie Andrews wyglądała kiedyś śliczniej?

Laurel zapewniła go, że nie. I dodała, że w odróżnieniu od większości kobiet w jej wieku naprawdę знаła słowa „Zwykłych radości pańństwa”. Potem opowiedziała Shemowi o planie pokazania retrospektywy, stworzonej przez jej szefową, o pomysłe urządzenia Bobbiemu Crockerowi wystawy, której nigdy nie miał.

241

- Och, założę się, że jego siostra zachwyci się tym pomysłem - odparł Shem, podkreślając swoją uwagę ostrożnym stłumionym śmiechem. — Żyje jeszcze czy już zmarła?
- Nadal żyje. Ale mówi ludziom, że jej brat zginął jako nastolatek... tak przynajmniej powiedziała mnie. Zachęcała mnie nawet do wylotu do Chicago, żebym zobaczyła, gdzie jest pochowany. Myśli pan, że ona wie o synu Bobbiego?
- Wątpię. Wie pani, ona nie będzie zadowolona z tej waszej wystawy. Z

tego co mówił Bobbie, odniosłem wrażenie, że była bardzo lojalna wobec matki i ojca. Bardzo lojalna. To nie tylko córeczka tatusia i nie tylko córeczka mamusi. Obojga. Bobbiego i Reese'a bardzo bawiło to, jak ciężko pracowała przez tak znaczną część życia, żeby naprawić reputację swoich rodziców. Pójdzie do grobu, mówiąc wszystkim, którzy zechcą słuchać, że wszystkie te historie o jej mamie i Jayu Gatsbym były stekiem bzdur... kompletnie nie do udowodnienia.

Laurel splotła dłonie na stoliku i zastanawiała się nad słowami Shema.

-Co pan sugeruje? Myśli pan, że jest tutaj zdjęcie, które dowodzi ja koś, że Jay Gatsby był ojcem?

- Może nie tutaj, ale gdzieś jest! Absolutnie tak! To właśnie robił nasz schizofrenik, rozumie pani? Niech pani potraktuje te zdjęcia jako zapiski szaleńca. Zapiski zaszyfrowane. Te zdjęcia, z którymi Bobbie się nie rozstawał, są jak mapa z zaznaczonym miejscem ukrycia skarbu.
- Albo autobiografia.
- Właśnie! Pamięta pani ten stary program *To jest twoje życie?* Chyba nie. Emitowano go zbyt dawno temu. To stary program telewizyjny. Z lat pięćdziesiątych. Jego gospodarzem był Ralph Edwards. Przedstawiano gości... na przykład Nat King Cole'a lub Głorię Swanson... i po kolei pojawiali się ich przyjaciele i krewni, żeby ich zaskoczyć. Cóż, Bobbie robił przy pomocy swoich zdjęć coś w rodzaju własnego *To jest twoje życie*. Robił zdjęcia krewnych Gatsby'ego. Reese powiedział mi, że u Bobbiego zakrawało to na obsesję.
- Czy sam Bobbie powiedział panu kiedyś, że to robi?

- Nie. Ale wiem jedno: pamięta pani ten dzień w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, gdy Bobbie znalazł zdjęcie, które jego mama dostała od Jaya? To, na którym młodzieńki Jay jest wystrojony w mundur żołnierza? Bobbie wziął je ze sobą. Reese widział je wiele, wiele lat temu, gdy on i Bobbie pracowali jeszcze w redakcji „Lifie'u”. Mówił, że Bobbie był jeszcze na tyle młody, że dało się dostrzec podobieństwo. Niesamowita sprawa. Po czymś takim

242

zdjęcia zrobione przez Bobbiego są niczym tropy w scavenger hunt*. Przynajmniej niektóre. No wie pani, może znajdziemy dom. Potem może znajdziemy sekretarzyk. Później otworzymy szufladę. I tam właśnie jest... to zdjęcie.

- Tam właśnie jest co? Zdjęcie Jaya z Camp Taylor?

Shem uniósł ręce dłońmi ku górze.

- Och, nie wiem z całą pewnością, co znajduje się w szufladzie. Nie wiem nawet, czy to jest szuflada, czy sekretarzyk, czy pudło. Posłużyłem się tym słowem po prostu dla przykładu. Ale Bobbie powiedział Reese'owi, a Reese mnie, że to wszystko widać na zdjęciach. Właśnie dlatego zabierał je ze sobą bez względu na to, dokąd jechał i jak trudna była jego sytuacja. Stanowiły dowód na to, kim był, na to, że jego ojciec był tym porządnym facetem, o którym wszyscy słyszeliśmy... lepszym od tej całej cholernej bandy z drugiej strony zatoczki.
- Mam parę zdjęć migawkowych, które Bobbie miał przy sobie pod koniec życia. Jedno przedstawia Bobbiego i jego siostrę, a jedno Jaya

obok szpanerskiego samochodu. Ale to, o którym mi pan opowiedział... to z Jayem w mundurze. Tego nie mam.

- Może ten chłopak wie, gdzie ono jest — odparł Shem. — A może wie, jak je znaleźć. Może właśnie dlatego Bobbie przyjechał tutaj siedem lat temu. Żeby podrzucić tę ostatnią wskazówkę.

Laurel wiedziała, gdzie ci dwaj odsiadali wyroki. Ten bardziej brutalny, ten, który zamordował nauczycielkę w Montanie, siedział w ściśle strzeżonym bloku więzienia stanowego, czterdzieści mil na północny zachód od Butte. Drugi, wcześniej niekarany, nadal przebywał w Vermont, w zakładzie karnym tuż za Saint Albans. Gdy po skazaniu wyprowadzano ich z sali sądowej, jednego do więzienia w Vermont, a drugiego na proces w sprawie morderstwa w Montanie, Laurel nie spodziewała się, że kiedyś jeszcze ujrzy któregoś z nich.

-Możliwe, że jego syn ma to zdjęcie, nieprawdaż? - stwierdziła. - Albo jakiś dowód?

- Oczywiście. Ale jak pani w ogóle znajdzie tego chłopaka? Wie pani tylko tyle, że być może zrobił coś strasznego. Nawet nie ma pani pewności, że siedzi gdzieś w więzieniu.

Ależ mam, pomyślała Laurel. Nie wiem tylko, czy to więzienie jest w Montanie, czy w Yermont.

* Gra, której celem jest zebranie przez uczestników konkretnej liczby przedmiotów, zwycięzcą zostaje uczestnik, któremu uda się to w najkrótszym czasie.

Dziś rano poruszyłem temat książki. Spodziewałem się entuzjazmu, ale reakcja pacjenta była niechętna i drwiąca. W końcu się uspokoił. Gdy poprosiłem o szczegółowy opis, dowiedziałem się, że nie wiem, o czym mówię.

W tej chwili korzyści z rozmów o książce przeważają nad związanym z nimi ryzykiem.

Z notatek Kennetha Pierce'a,
psychiatry prowadzącego,
szpital stanowy w Waterbury, Yermont

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W

HIT BYŁ WYCZERPANY, GDY JADŁ KOLACJĘ ZE SWOJĄ ciotką i Stryjem w sobotni wieczór, ale prawdziwy ból wywołany grą w paintball miał się odezwać dopiero za pół doby. W niedzielny rano zwałił się nań niczym fala przyływu. Nie był to, trzeba przyznać, ból przeszywający, odbierający siły, sprawiający, że pod powiekami tańczyły białe plamy światła. Ale po całodniowej leśnej gonitwie Whit ostrożnie kuśtykał po swoim mieszkaniu. W krzyżach czuł jednostajne pulsowanie, mięśnie łydek miał zbyt obolałe, by zginać nogi w kolanach, a ilekroć próbował odetchnąć głęboko, czuł, jak ostry sztylet bólu wrzyna mu się w bok. Zastanawiał się, czy nie pękło mu żebro. Mimo to dzisiejszy rano był piękny, a on miał przed sobą wieczór w bibliotece, tak więc około wpół do pierwszej umieścił rower na dachu swojego lekko poobijanego subaru

(poobijanego dlatego, że matka Whita była nieostrożnym, niezważającym na krawężniki, parkomaty i wielkie betonowe słupy w podziemnych parkingach kierowcą, a pojazd był jej własnością, zanim go przekazała synowi) i pojechał do Underhill. Wbrew swoim nadziejom nie dotarł tam w poprzedni weekend, pomyślał więc, że równie dobrze może pojechać dzisiaj. Sądził, że najtrudniejsze będzie umieszczenie roweru na bagażniku dachowym i zdjęcie go później stamtąd, ale jego rama była tak lekka, że uznał, iż nawet to powinno się udać.

W Underhill był ostatnio na początku sierpnia, chyba miesiąc po wprowadzeniu się do tej kamienicy. Tamtego dnia spędził czas w parku sta-

246

nowym, a następnie pojeździł sobie po drogach prowadzących do działek zrębowych w pobliskich lasach. Podobało mu się to, że podczas jazdy raz po raz trafiał na długie odcinki biegnące pod nieco klaustrofobicznym baldachimem z liści, po których ukazywały się pocztówkowe widoki Mount Mansfield i Camels Hump.

Ostrożnie wciągnął kolarskie spodenki na biodro pokryte czarnopurpurowym siniakiem wielkości grejpfruta, po czym wstrzymując oddech i zamykając oczy, naciągnął na klatkę piersiową obcisły trykot z długimi rękawami. Odruchowo głośno jęknął. Przez chwilę zastanawiał się, czy ta przejażdżka to rzeczywiście dobry pomysł, ale nie wyobrażał sobie spędzania takiego dnia w czterech ścianach domu.

Gdy mijał drzwi mieszkania Laurel i Talii, zatrzymał się. Usłyszał muzykę i postanowił zapukać. Chciał zapytać Laurel o wczorajszy dzień,

dowiedzieć się, dlaczego nie wybrała się z nimi. Otworzyła mu Talia i wyglądało na to, że niedawno wstała. Whit domyślił się, że wyprowadzała kuca, który zdaniem ich sąsiadki, Gwen, był psem. A potem wróciła pewnie na parę godzin do łóżka, ponieważ włosy miała rozczochrane i była w spodniach od pidżamy w różowo-czarne kropki z tasiemką ściągniętą tak luźno, że zwisały znacznie - zmysłowo, do bioder, do wzgórka łonowego - poniżej talii, oraz w jedwabnym staniku, który nie pasował do spodni i skrywał zaledwie drobną część biustu. Whit poczuł się jednak zdecydowanie bardziej winny niż podniecony, bo na długim pasku nagiego ciała między dolnym brzegiem stanika i górnym brzegiem spodni ujrzał biegnące w poprzek brzucha pręgi. Nawet pępek wydawał się posiniaczony.

- No - powiedziała zachrypłym, zmęczonym i rozpaczliwie spragnionym wody głosem — toż to sierżant York.

Whit wskazał ruchem ręki na jej brzuch.

—Chyba wiem, kiedy to się stało. Mam złe przeczucie, że nawet wiem, czyja to sprawka. Przechodziłaś wtedy po dachu tego zardzewiałego dżipa i nie wiedziałaś, że tam jestem, prawda?

Talia spojrzała w dół.

- Zwykle w pępku noszę srebrny kwiatek. Mały celtycki wisiołek. Bardzo ładny. Gdybym nie była na tyle przewidująca, by go zdjąć przed grą, przypuszczalnie wpakowałbyś mi go w jelita.

—Naprawdę przepraszam. Chyba trochę straciłem nad sobą panowanie.

—Chyba nie mówisz poważnie? Bardzo dawno nie miałam tyle frajdy co wczoraj. To było fantastyczne. Ty też byłeś fantastyczny. *I ja* byłam fantastyczna.

— Mówisz o tym jak o seksie.

Talia pokręciła głową.

- Och, jak już mówiłam Laurel, paintball jest lepszy od seksu. Przynajmniej w większości przypadków. Tak się cieszę, że tam byłeś. Naprawdę, Whit. Dziękuję.
- Ja też miałem frajdę. Laurel jest w domu?
- Nie. Wyszła dziś rano o świcie. Wejdz do chaty, to ci powiem, co wiem.

Whit nie przewidział, że może zastać tylko Talię. Kroił mu się dłuższy „objazd”. Chciał jednak wiedzieć, co się stało z Laurel, i nagle pomyślał, że chętnie przekaze wyrazy współczucia drugiej dorosłej osobie, która spędziła poprzedni dzień, bezlitośnie znęcając się nad swoim ciałem.

— Przecież to niemożliwe, byś miał jeszcze siłę jeździć na rowerze — po wiedziała Talia, zapraszając go ruchem ręki do środka, machając nią z iro nicznym wyrazem twarzy, jakby demonstrowała ścianę pełną nagród z te leturniejów. — Bo jeżeli masz... to cholerny z ciebie superman. Ja ledwie chodzę. Naprawdę, wejdz.

W mieszkaniu panował bałagan: kanapa i niski stolik były obwieszane dżinsami, koszulkami, biustonoszami i stringami (lub przynajmniej bikini), a podłoga usłana pudełkami z płytami kompaktowymi, żurnalami oraz książkami; niektóre z nich nosiły tytuły w rodzaju *Zarażać bakcylem chrześcijańskiej wiary* i *Nastoletni zbawiciele*.

- Więc właśnie wstałaś? — zapytał, zastanawiając się przez chwilę, gdzie powinien usiąść. Nie był pewien, czy ma przesunąć jej ubrania i bieliznę, czy na nich usiąść. Talia rzuciła się jednak do sprzątnia, zwinęła swoją bieliznę i dzinsy w kłębek i zaniósła je do sypialni, żeby Whit miał gdzie spocząć.
- Właśnie wstałam? Zwariowałeś? Właśnie wróciłam z kościoła! Skoro chcesz znać prawdę, miałam właśnie wrócić do łóżka. Ale nie, ja stawiam czoła trudnym sytuacjom, dziękuję bardzo, i rano co niedzielę zabieram swój tyłek do kościoła. Jestem... i to rzeczywiście przeraża niektórych, jak sądzę... wzorem do naśladowania. Teraz oczywiście mogłabym służyć za wzór dziewczyny wyglądającej tak, jakby właśnie spędziła noc na jakiejś koszmarnej imprezie studenckiej. Ale wczoraj wieczorem byłam w łóż-

248

ku, zgasiwszy światło o dziesiątej. A dziś rano przed wyjściem do kościoła sprzątałam i robiłam porządki. Wczoraj pies Gwen wywrócił nasze mieszkanie do góry nogami i przy okazji sprzątnia postanowiłam zrobić gruntowne porządki. Wysprzątać nawet swoje szuflady. Stąd ten... bałagan. Chcesz kawy?

- Nie, dzięki.

Talia skinęła głową.

- Trafna odpowiedź. To by znaczyło ubrać się i pójść do Starbucks. - Opadła na kanapę obok Whita.
- Widziałaś się z Laurel, zanim uderzyłaś w kimono? - zapytał Whit.
- Widziałam. I nie było to przyjemne.

- Słucham?
- Twoja sympatia traci rozum.
- Laurel nie jest moją sympatią!

Talia spuściła głowę i spojrzała na niego przenikliwie, wzrokiem, który w ułamku sekundy wyraził jej niedowierzenie.

- Masz wyraźną ochotę na tę dziewczynę... i mogłabym dodać, małą szansę na spełnienie pragnień, zważywszy, że ona odczuwa chyba pociąg do starszych mężczyzn.
- Co to znaczy, że traci rozum? - zapytał, podnosząc z podłogi jedną z książek Talii o chrześcijanach i nastolatkach. - Czy dowiedziałaś się, dlaczego nie grała z nami w paintball?
- Tak. Przez te zdjęcia. Zdjęcia, które jakiś dawny podopieczny BEDS zostawił w hotelu New England. Wyobraź sobie, że cały wczorajszy dzień... a w każdym razie znaczną jego część... spędziła w ciemni. Możesz w to uwierzyć? Jest tak opętana tymi wariackimi starymi fotografiami, że całkiem zapomniała, że przecież miała ganiać po lesie z moją grupą. Ze mną! Właściwie to ostatnio w ogóle o mnie nie pamięta. Muszę przyznać, że nie sądziłam, iż coś takiego jest możliwe, i jestem dość mocno wkurzona. Ale jeszcze bardziej niepokoję się o nią.

Talia opowiedziała Whitowi o tym, jak Laurel wywnioskowała, że ich mieszkanie zostało splądrowane, i jak się bała, że ktoś szuka zdjęć autorstwa starego bezdomnego mężczyzny. I o tym, jak jej przyjaciółka unikała jej od czasu powrotu z Long Island i jak nagle życie Laurel zaczęło się chyba obracać wokół prac tego nieżyjącego już dziwaka. Skończywszy, oparła głowę na kanapie, zamknęła oczy i niemal płaczliwie

dodała:

249

— Naprawdę nie wiem, co o tym sądzić i do kogo powinnam zadzwonić.

Może do jej szefowej? Do pastora w moim kościele? Co ty byś zrobił?

Whit zastanawiał się, czy Talia aby nie przesadza.

— Czy to po prostu nie jest nowe hobby? Coś, czym jest podekscytowa

na, bo wszystko jest świeże? Najwyraźniej niewiele wiem o jej życiu i o tym,

jak spędza czas. Pochodzi z Long Island, pracuje w BEDS, spotyka się ze starszym facetem z redakcji gazety. Lubi pływać rano. Kiedyś jeździła na ro

werze. To mniej więcej wszystko. Ale w jej życiu chyba niewiele się dzieje,

prawda? Czemu więc nie miałyby zająć się obróbką tych zdjęć? Wygląda na

to, że one tak naprawdę przeszkadzają jej tylko w... cóż, kontakcie z tobą.

Whit miał nadzieję, że ta ostatnia uwaga zabrzmiała jak dobroduszny żart, ale zważywszy na prędkość, z jaką Talia uderzyła go grzbietem sennej dłoni w pierś - miał wrażenie, że dostał sprężynowym wiosłem - nie był taki pewien.

— Nie wszystko sprowadza się do mnie - odparła Talia.

-Nie?

—W życiu Laurek.. lub przynajmniej w jej głowie... tak naprawdę

całkiem sporo się dzieje. Nie wiesz, co ta dziewczyna przeszła. Prawie nikt tego nie wie.

Powiedziała to niezwykle smutnym tonem i Whit zapytał:

- Czy to ma coś wspólnego z tym, że kiedyś omal nie została zgwałcona?
- Omal?
- Tak się domyślam. Przedwczoraj Gwen powiedziała mi coś, co oznaczało, że Laurel omal nie została zgwałcona. Nic więcej nie wiem. Nie wiem gdzie ani kiedy, nie znam też okoliczności. Uznałem, że to nie moja sprawa, i nie chciałem być wścibski.

Talia podniosła głowę z oparcia kanapy i zwróciła się do Whita.

- To nie było omal.

- O cholera.

— I nie chodziło tylko o gwałt. Oni...

-Oni?

— Było ich dwóch. Chcesz się dowiedzieć czegoś o Laurel?

Chcesz wie

dzieć, dlaczego już nie jeździ na rowerze i dlaczego się martwię? W porząd

ku, kolarzu, oto wyczerpujące informacje o pannie Laurel Estabrook — wy

jaśniła Talia, po czym, cały czas patrząc Whitowi w oczy, opowiedziała mu

dokładnie, co przydarzyło się jej przyjaciółce w Underhill i dlaczego teraz się o nią martwi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

P

O WYJŚCIU SHEMA LAUREL PO RAZ OSTATNI PRZEJRZAŁA fotografie w restauracji, starając się je połączyć linearnie w jedną całość. Nie chronologicznie. Robiła to już wcześniej. Tym razem sprawdziła, czy potrafi, zgodnie z sugestią Shema, stworzyć mapę ukazującą drogę do ukrytego skarbu. Wydzieliła zdjęcia sław - odsuwając na bok portrety postaci pokroju Chucka Berry'ego, Roberta Frosta i Julie Andrews - po czym ułożyła dwa stosy, jeden ze zdjęciami miejsc, drugi - rzeczy, i w bloku z żółtymi kartkami zapisała, co każdy z nich zawiera.

*Miejsca**Most Brooklyński**Hotel Plaża**Plac Waszyngtona**Stacja kolejowa, West Egg**Pejzaże miejskie Manhattanu**Gmach Chryslera**Filharmonia Nowojorska**Greenwich Village**Uliczna gra w futbol pod billboardem „Hebrew National”**Wystawa Światowa (łącznie z Unisferą)*

Kamienice z elewacjami z piaskowca (w Brooklynie?)

Ford mustang przed rezydencją Marshfieldów

*Dom na Środkowym Zachodzie urządzony w stylu arts and crafts
(Wrighta?)*

Nieznany klub jazzowy (cykl)

Central Park

Wieżowce World Trade Center

Wall Street

Main Street, West Egg

Centrum biurowe Valley of Ashes

Peron stacji kolejowej East Egg

Wybrzeże w East Egg

Wybrzeże w West Egg

Mój dawny klub pływacki (dawny dom Gatsbyego)

Sceny z leśnej drogi w Underhill (dwa zdjęcia z dziewczyną na rowerze)

Kościół w Stowe ■%-.:

Wodospad « .;•

Szlaki narciarskie na Mount Mansfield (latem) •»

Rzeczy

Suszarki do włosów

Samochody (liczne zdjęcia)

Papierosy (w popielniczkach, na stołach, na zbliżeniu w ludzkich ustach)

Kolejne samochody (sześć zdjęć)

Maszyna do pisania marki IBM (trzy zdjęcia)

Ford mustang przed rezydencją Marshfieldów

Autobus na Piątej Alei

Lampy woskowe

Koraliki i pacyfy

Kasetka na biżuterię w stylu art deco

*Dzika jabłoń (kilka odbitek, jedna z **małą piramidą z jabłek obok drzewa**)*

Pies przy budynku piekarni

W TECZCE BYŁY zdjęcia, które Laurel uznała za nieprzydatne w tych poszukiwaniach: zdjęcia papierosów, lamp lawa, samochodów. Suszarek. Wiedziała też, że inne fotografie, takie jak zdjęcie Unisfery, zostały zrobione na zlecenie. Największą dla niej zagadkę stanowiły tak naprawdę zdjęcia z Vermont oraz te zrobione tuż przedtem, zanim jej życie miało zostać na zawsze zmienione: zdjęcia, które Bobbie pstryknął zapewne w tamtą niedzielę w Underhill bądź w jedną z niedziel, które poprzedziły ten straszny dzień. Czy te fotografie były istotne dla jej poszukiwań? Czy faktycznie sama była wskazówką na mapie Bobbiego? Czy też to, że ich ścieżki się przecięły na wiele lat przed oficjalnym spotkaniem, w dodatku w tym konkretnym miesiącu — może akurat w tamtą niedzielę, było po prostu dziwnym zbiegiem okoliczności? Czy fotografie rowerzystki na leśnej drodze bądź kościoła w Stowe były częścią obrazkowego labiryntu, który Bobbie budował, czy nie miały znaczenia? Ostatecznie nic nie wskazywało, by noga Gatsby'ego lub Buchananów powstała kiedykolwiek w Vermont.

A co z tym domem, który przypuszczalnie znajdował się na Środkowym Zachodzie? Czy był w Chicago, skąd pochodziła rodzina Toma Buchanana? Czy w Saint Paul, gdzie zdaniem Howarda Masona Bobbie mógł odnaleźć swojego dziadka? Z tego co wiedziała, dom z niezbyt stromym dwuspadowym dachem i szerokimi, przypominającymi pudełka kondygnacjami — z pierwszą, która sterczała jak szczeka nad parterem — mógł równie dobrze stać w East lub West Egg na Long Island. Mógł też należeć do jednego z tych kuzynów z Louisville.

Odbitkami mogącymi mieć - zdaniem Laurel - największe znaczenie, były te, które najbardziej wyraźnie nawiązywały do jakiegoś okresu w życiu Bobbiego. Laurel starannie połączyła zdjęcia, które na pewno nie były wskazówkami co do jego pochodzenia, i doszła do wniosku, że z resztą można dać sobie radę. Może się uporać. Widziała elementy mapy, dokładnie tak jak zasugerował Shem. Po prostu powie Katherine, że potrzebuje trochę wolnego — tydzień, może dwa. Dziś wieczorem zrobi odbitki z ostatnich negatywów, a może już jutro lub we wtorek skorzysta z urlopu i pojedzie...

Cóż, chyba będzie musiała zacząć od więzienia w północnym Yermont. A potem, gdyby ten więzień nie był synem Bobbiego, pojedzie do zakładu karnego w Montanie. To przedsięwzięcie może być wprawdzie wykonalne, nie będzie jednak łatwe. Niewykluczone, że wśród tych fotografii były pierwiastki śladowe jakiejś mapy, ale Laurel nie potrafiła

ocenić, które wskazują drogę, a które są tylko zwykłymi zdjęciami (albo może wręcz fałszywymi tropami) zrobionymi przez nadużywającego al-

koholu schizofrenika. Dysponowała punktami orientacyjnymi w East i West Egg: domami, peronami na stacji kolejowej i wypielegnowanymi kawałkami plaży. Swoim klubem - dawną posiadłością Gatsby'ego. Miała centrum biurowe, które powstało w Valley of Ashes. Miała Plażę, hotel, gdzie matka Bobbiego musiała wybrać między mężem a kochankiem, i nie była w stanie. Laurel miała też zdjęcie kasetki na biżuterię w stylu art deco z ząbkowanymi lusterkami na wieku. Istniała oczywiście szansa, że kasetka zawiera portret Jaya z czasów wojny — a może coś jeszcze. List. Medalion. Pierścioneł z grawerunkiem. Ale jak zabrać się do szukania kasetki w którymś z tych domów? Przypuśćmy, że znajdzie dom urządony w stylu arts and crafts? Co potem? Zapytać właściciela, czy mógłby przekopać piwnicę? Zerwać deski z podłogi na poddaszu? Podobnie, co mogłaby zrobić w swoim dawnym klubie? Poprosić, by przeszukano bibliotekę - tę, która kiedyś olśniewała gości po prostu dlatego, że przypadkiem mieściła prawdziwe książki?

Mimo to Laurel czuła teraz pewność, że nikt nie może zakwestionować prawdziwości tego, co wiedziała: ani David, ani Katherine, ani Talia. Już więcej nikt nie podawałby w wątpliwość jej zdrowia psychicznego.

GDY SERENA PONOWNIE dosiadła się do niej w boksie, Laurel pchnęła teczkę w jej stronę, przypominając, by nikomu nie mówiła, że ją przechowuje. Jednak na moment przedtem, zanim umilkła, z wyrazu twarzy Sereny wyczytała, że była w błędzie, w całkowitym błędzie: ludzie nie wyzbedą się wątpliwości. Było oczywiste, co sobie myśli Serena, i Laurel wiedziała z grubsza, co jej przyjaciółka ma zamiar powiedzieć, zanim jeszcze otworzyła usta.

- Wiesz przecież, że dla ciebie zrobiłabym wszystko... i przechowam

je dla ciebie. Obiecuję. Nie ma sprawy. Ale szczerze mówiąc, dziewczyno, czy ty naprawdę chociaż przez chwilę sądzisz, że ktoś ma zamiar ukraść ci te zdjęcia?

- Tak. I ja nie sądzę. Ja to wiem. -Ale...

- Myślisz, że jestem stuknięta.

- Ależ skąd. Myślę jednak, że być **może, sama nie wiem, reagujesz zbyt** emocjonalnie.

254

Laurel powtórzyła ten długi zwrot. Eufemizm używany zamiast słów „źle się zachowujesz”. Zamiast „zachowujesz się nieodpowiednio”.

— W takim razie, co ty byś zrobiła? — zapytała. — Co kazałabyś mi zrobić?

- Daj spokój, Laurel, nie mów do mnie takim tonem. Ja po prostu. ..

- Po prostu co? Martwisz się?

- Nie. Dobra, tak. Martwię się. Jestem zaniepokojona.

- Więc mi powiedz. Co byś zrobiła?

- Cóż, po pierwsze nie wkurzałabym się tak bardzo — odparła Serena, ale po tym wstępie Laurel naprawdę nie zwracała na jej słowa większej uwagi. Serena była miła i miała dobre intencje i Laurel wiedziała już teraz, że nie może jej ufać. Jej przyjaciółka nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia zdjęć, które miała ze sobą. Gdyby tylko zjawił się Leckbruge lub jakiś sługus Pameli, Serena oddałaby mu je. Całą teczkę. Oczywiście byłby to z jej strony akt naiwności, nie zdrady. Ale miałyby dokładnie taki sam skutek. Zdjęcia — oraz cała

praca jej i Bobbiego - przepadłyby.

Tak więc Laurel podziękowała jej za poświęcony czas oraz rozmowę i wychodząc, wzięła teczkę ze sobą. Była grzeczna. Tak grzeczna, że Serena odprowadziła ją do drzwi restauracji i gdy się rozstawały, uznała, że Laurel ma zamiar pójść za jej radą i wypocząć.

Z NEGATYWU NIE byłaby w stanie ocenić co to takiego. Przynajmniej nie z całą pewnością. Dopiero na stykówkach zaczęło się to stawać jasne.

Ów obraz stał się wyraźny w pomarańczowym świetle ciemni, gdy w niedzielny wieczór zrobiła pierwszą odbitkę stykową tej fotografii, jeszcze jeden powleczony emulsją kawałek papieru. Przyglądała się jej uważnie w kąpielni chemicznej, nie zahipnotyzowana, ale zaabsorbowana. Nie mogąc oderwać wzroku.

Pomyślała o tym, co Shem Wolfe powiedział jej o Bobbiem tamtego popołudnia, i poczuła, że się rumieni.

Dręczyły go jego własne demony.

Shem miał na myśli chorobę umysłową Crockera, ale słowo *demon* wróciło teraz do Laurel — razem z innymi, które ją od lat prześladowały. Pizda. Cipa. Kotek. Szpara. Rybia cipa. Zdzirowata cipa. Martwa cipa. W spokojnych wodach kuwety ujrzała ten tatuaż. Miała przed sobą zrobione przez Bobbiego zdjęcie, o którym mówił Pacowi Hidalgo. To, co przez te wszyst-

255

kie lata uznawała za zwykłą ludzką czaszkę — aczkolwiek z kłami — było w rzeczywistości tatuażem przedstawiającym demona: owszem, przypominał czaszkę, ale miał uszy. I oddychał. Stąd ten dym.

A Bobbie Crocker znalazł tego mężczyznę i sfotografował ten wizerunek: demon pod kilkudniowym zarostem, płatek ucha unoszący się nad nim jak planeta. Mężczyzna był albo synem Bobbiego, albo przyjacielem jego syna.

Najwyraźniej bowiem nawet gwałciciele mają przyjaciół. Mordercy także.

To właśnie był demon, który przeraził Bobbiego Crockera: jeden z mężczyzn, którzy próbowali ją zgwałcić. Potem zaś cofali furgonetką, żeby ją zabić.

GDY SKOŃCZYŁA PRACĘ W ciemni, czuła się osłabiona, ale poza centrum Burlington jedynymi lokalami, które w niedzielę o tak późnej porze — minęła jedenasta — mogły być jeszcze otwarte, były bary szybkiej obsługi i sklepiki z pączkami na oświetlonym neonami pasażu na wschód od kampusu.

W domu nie była od wczesnego rana. Po spotkaniu z Sereną nie przyszło jej nawet do głowy, by wstąpić do mieszkania, ponieważ chciała pojechać prosto do ciemni.

Podjechała teraz do starej wiktoriańskiej kamienicy i na wprost przed budynkiem znalazła miejsce do parkowania, lecz - niemal odruchowo - minęła je. Zauważyła, że zarówno w jej mieszkaniu, jak i w oknach mieszkania Whita palą się światła, i było oczywiste, że jej współlokatorzy nie śpią. Szkoda — nie chciała, by Talia lub Whit słyszeli, jak wchodzi, ponieważ nie miała ochoty rozmawiać z żadnym z nich. Zaparkowała więc na drugim końcu kwateru, koło skrzyżowania. Miała zamiar poczekać godzinę bądź dwie, aż oboje pójdą spać. Wówczas znajdzie klucze do drzwi kamienicy oraz swojego mieszkania i będzie trzymała je w dłoni na

długo przed dotarciem pod wejście. Zdejmie chodaki i też będzie trzymała je w ręce, żeby nie hałasować przed drzwiami lub na schodach prowadzących do narożnika kamienicy, w którym mieściło się jej mieszkanie.

Planowała również w myślach, że na wszelki wypadek rozbierze się i położy do łóżka po ciemku. Nie zapalałaby nawet światła w salonie. Czy naprawdę musiałyby zjeść parę krakersów? Chyba nie.

W końcu jednak żaden z tych skrupulatnych planów nie miał znaczenia, ponieważ Laurel zasnęła w fotelu swojego samochodu. Obudziła

256

się tuż przed trzecią nad ranem, z rwącym bólem w plecach i karku — czy właśnie tego doświadczali niektórzy z jej podopiecznych, czy też przynajmniej mieli dość zdrowego rozsądku, by przed zaśnięciem wgramolić się na tylne siedzenie - i zastanawiała się, czy nie pójść do domu. Właśnie widziała we śnie las w Underhill z latającymi stworzeniami: ptakami, owadami i wirującymi liśćmi. Ptaki miały głowy - w istocie czaszki - małych demonów, demona z tatuażu, a ona była ich ofiarą. Chyba próbowała przejść z rowerem przez ten tumult, chociaż nie przypominała sobie, by była tam droga, którą wcześniej mogłaby jechać. W końcu wirujące stworzenia opadły ją i dobrały się do miejsc na jej ciele poranionych siedem lat temu przez syna Bobbiego Crockera i jego współnika. I kiedy się obudziła, czuła ból - doszła do wniosku, że to ból fantomowy, czemuż bowiem miałyby jej coś dolegać po nocnej drzemce w samochodzie? — z lewej strony klatki piersiowej.

Mimo to nie potrafiła się zmusić, do otwarcia drzwi auta i powrotu do

mieszkania. Sen tak ją przeraził, że znieruchomiała, bliska paraliżu. Tak wiele chciała zrobić — *tak wiele musiała zrobić* — że była zbyt podniecona, żeby się poruszyć. Emily Young wreszcie wróciła z Karaibów. Laurel musiała się z nią spotkać, a potem odwiedzić więzienie w Saint Albans. To zaś wymagałoby skomplikowanych uzgodnień z dyrektorem zakładu karnego, więziennym terapeutą i stanowym Biurem ds. Obsługi Ofiar Przestępstw. Zarazem jednak była zmęczona, zmęczona bardziej niż kiedykolwiek. Nagle, ku zaskoczeniu Laurel, zaczęły jej łzawić oczy. Płakała. Słyszała swój cichy, przerywany czkawką szloch oraz paraliżujący cichy świst w głowie, który przypominał jej pisk hamulców jej roweru przed laty, i płakała dopóty, dopóki znowu nie zasnęła za kierownicą samochodu.

Gdy otworzyła oczy, słońce zaczynało wschodzić. Poczowała nagły kłujący ból w żołądku. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadła. Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy teczka nadal leży na tylnym siedzeniu, tam gdzie umieściła ją poprzedniego wieczoru po zakończeniu pracy w ciemni. Leżała. Rozległo się złowieszcze szuranie ciężkich butów roboczych. Spojrzała w lewo, gdy jakiś mężczyzna, zwalisty brodacz w parce, przechodził w odległości paru stóp od drzwi samochodu. Jego kurtka była zbyt gruba jak na tę porę roku, ale zapewne jedyna, jaką miał. Laurel zauważyła, że spodnie mężczyzny są obszarpane na mankietach i porozcinane w kolanach. Uznała, że mężczyzna nie jest — jeszcze — bezdomny, ale

było w nim coś — ubranie, postawa, krok - co budziło obawę, że może się

wkrótce nim stać, jeżeli nie otrzyma pomocy.

Zastanawiała się, jak to naprawdę będzie, gdy wyruszy na północ, do więzienia, i ujrzy jednego ze swoich oprawców. Chyba mogłaby znaleźć w sobie przynajmniej chęć, żeby odwiedzić Saint Albans, ponieważ tam spotkałaby się z więźniem, który jedynie - gdy formułowała to słowo w myślach, skrzywiła się, czując kolejny bolesny dreszcz w piersi — próbował ją zgwałcić. Był strasznym człowiekiem, przynajmniej jednak sam nigdy nikogo nie zabił. Ale jeżeli to syn Bobbiego był tym, który poprzecinał żyły tamtej kobiecie na Zachodzie i przywiązał ją drutem kolczastym do płotu, gdy krew ściekała jej z nadgarstków na ziemię, czy Laurel byłaby w stanie znowu zobaczyć go na własne oczy? Usiąść po drugiej stronie stołu? Co by wtedy powiedziała? Czy byłoby to w ogóle warte długiej podróży do Butte?

Po czym, gdy zaczęła sobie wyobrażać tę konfrontację — wiedziała, że to co proponuje, nazywa się fachowo przesłuchaniem wyjaśniającym - zaczęła również wątpić w dokładność własnych wspomnień: co naprawdę stało się na tej leśnej drodze w Underhill? Powiedziała sobie, że musi robić to krok po kroku - jak czyniła od tygodnia. Musi poruszać się szybko, ale ostrożnie. A w tym momencie następnym krokiem była rozmowa z Emily Young. Potem zaś z tym więźniem w Vermont. To wszystko. Tatuaz przedstawiający drut kolczasty czy tatuaz przedstawiający demona: czy to naprawdę miało znaczenie? Przy odrobinie szczęścia podróż do Montany i tak nie będzie konieczna.

Uznała, że jeżeli ma jakąś szansę przebrać się przed rozpoczęciem pracy, to właśnie teraz. O wzięciu prysznicza nie było mowy, bo tym na pewno zbudziłaby Talię. O zjedzeniu śniadania także nie. Będzie musiała wstąpić

w drodze do BEDS do piekarni. Mogłaby jednak przynajmniej przemyć twarz tamponikiem i przeczesać włosy. Elementarna higiena była jedną z pierwszych zbędnych rzeczy, gdy mieszkało się na ulicy i Laurel musiała sobie samej przypominać, że - nawet jeśli otaczający ją ludzie uważali inaczej - w tym wypadku to nie ona jest cierpiącym na urojenia paranoikiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

S

POTKAŁA SIĘ Z EMILY YOUNG W PONIEDZIAŁEK RANO przed ósmą, gdy kobieta, która opiekowała się Crockerem, zaczynała przekopywać się przez małą lawinę papierów, które zasnuły okazałą część jej biurka w czasie jej urlopu. Laurel pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała, by Emily wyglądała tak dobrze i tak zdrowo. Emily była kiedyś energiczną prądką i nałogową bywalczynią siłowni, ale chory kręgosłup drastycznie ograniczył ilość czasu, jaki tam spędzała. W efekcie stała się blisko czterdziestoletnią kobietą o krągłej wesołej twarzy, szeroko osadzonych oczach i ciele, które w ostatnich pięciu latach stało się nieco miękkie. Rejs po Morzu Karaibskim działał jednak cuda. Wyglądało na to, że Emily zrzuciła wagę. Była opalona i nosiła sukienkę w radosne drukowane wzory z jaskrawobłękitnymi irysami, które rzadko widywało się w BEDS.

— Większość osób na statku żarła tak, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata - powiedziała, przeglądając szarą teczkę z dokumentami na temat Bobbiego Crockera. Laurel bała się przez chwilę, że to teczka z sza-

fy kartotekowej, której zawartość przeczytała przedwczoraj, i że nie będzie w niej żadnych nowych informacji, ale potem ujrzała nieznane jej dokumenty. - Ale cały mój pogląd zmienił się po pierwszym dniu rejsu. Zrobiono mi masaż. Masażystą był młody, niezmiernie atrakcyjny facet z Argentyny. Ani się spostrzegłam, że nie jem... dla niego!... a on co popołudnie nade mną pracował. I tak wyglądały moje wakacje. Żywiłam się świeżymi

259

owocami i warzywami, pływałam i wylegiwałam się na słońcu. Miałam też przystojnego... nie, przystojnego to zdecydowanie za mało powiedziane, on był po prostu piękny... masażystę, który przez dwie godziny dziennie zajmował się moimi plecami i nogami. Policz sobie.

- Jak się czujesz po powrocie na suchy ląd?

Emily wzruszyła ramionami.

- Muszę wrócić na ten statek - odparła, po czym dodała: - Zobaczmy. Gdy nasz pan Crocker był w szpitalu, zażywał risolept. I celexę. Wygląda na

to, że dyskutowano też o podawaniu klozapiny, ale potem uznano, że jest za stary. Przypuszczalnie z obawy przed wystąpieniem działań ubocznych: gwałtownego wzrostu liczby białych krwinek.

Laurel pokiwała głową. Wiedziała, że celexa to lek przeciwdepresyjny, a risolept przeciwpsychotyczny.

- Najwyraźniej Bobbie wylądował w szpitalu przede wszystkim dlatego, że miał jakiś wypadek — ciągnęła Emily. — Musiał uczynić coś, co wskazywało, że jest niebezpieczny albo dla siebie, albo dla innych.

- Znałaś go przecież — powiedziała Laurel, zaskoczona niechętnym, obronnym tonem własnego głosu. — Rozmawiałam z wieloma jego przyjaciółmi. Jedna osoba powiedziała, że być może doszło do jakiegoś incydentu w Burlington. Ale poza tym nie słyszałam o niczym, co skłoniłoby mnie do uznania, że Bobbie jest agresywny.
- Nie agresywny. Ale cierpiący na urojenia. Gdy odstawiał leki, zdarzały mu się różne rzeczy. Obie o tym wiemy. Ja mam wrażenie, że o wiele większe zagrożenie mógł stanowić dla siebie niż dla kogoś z najbliższego otoczenia. Dzięki Bogu, że stracił dach nad głową w sierpniu. Możesz sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby musiał radzić sobie w grudniu bądź styczniu? Człowiek tak wiekowy? Zamarzłby. Obie wiemy, że to się zdarza. - Emily przewróciła kartkę, po czym zaskoczyła Laurel, pochylając się do przodu i wołając: - Aha! Był aresztowany za wyłudzenie świadczeń. Od restauracji, w której jadł i jadł, a potem nie zapłacił. To nie była duża suma. Poszło o piętnaście dolarów z drobnym ułamkiem. Były jednak także skargi na niego, że żebrze i narusza prawo. To naruszanie prawa przybierało nieraz trochę nieprzyjemną postać: Bobbie wzburzył się w jakimś sklepie z aparatami fotograficznymi, gdzie jak podejrzewał, skradziono mu zdjęcia, których nie mógł znaleźć. Wygląda na to, że on i właściciel sklepu wdali się w pyskówkę. Niech pomyślę, jest jeszcze jedna skarga. Ze sklepu spożywczego:

260

Bobbie wystawał w dziale warzyw i owoców, podjadając towar z półek, i nie chciał wyjść. To wszystko drobiazgi. Tak naprawdę chodziło o

przebadanie go przez psychiatrę.

—Ale nigdy nie był agresywny... poza tym, że wrzeszczał na właściciela

sklepu z aparatami fotograficznymi, prawda?

- Prawda. I wydaje się, że właściciel też wrzeszczał — odparła Emily.
— Rozmawiałaś z paczką w hotelu New England?
- Z Petem i jego kumplami? Tak. Ale część wczorajszego dnia spędziłam również w Bartlett. Poznałam tam Jordie Baker. A także nauczycielkę i pastora, którzy znali Bobbiego. A tutaj, w Burlingron, poznałam Shema Wolfe'a. I oczywiście rozmawiałam z Sereną Sargent. Pamiętasz pewnie Se-renę. To ona przyprowadziła do nas Crockera. Pięć lat temu sama była naszą podopieczną.
- Dobra jesteś. Nawet ja nie wiem, kim są niektórzy z tych ludzi. Kto to jest Jordie? Kto to jest Shem?

Laurel opowiedziała jej o znajomości łączącej ciotkę Jordie i matkę Bobbiego oraz o przyjaźni Shema z Bobbiem i redaktorem z jego gazety. Wyjaśniła, że demon Bobbiego mógł być w rzeczywistości postacią z tatuażu — choć nie ujawniła, na którym karku znajdował się ten tatuaż. Mimo to miała wrażenie, że zaimponowała Emily swoją detektywistyczną pracą.

— Czego w takim razie chcesz się dowiedzieć ode mnie? — zapytała Emi

ly, gdy Laurel przestała mówić. Po czym, niemal obcesowo, dodała: - Boże,

i uważasz, że schudłam? Co, u diabła, się z tobą dzieje? Chorowałaś?

Laurel była zaskoczona - myślała, że po wyszczotkowaniu włosów i

umalowaniu ust szminką wygląda świetnie.

- Nie - odparła. - Po prostu byłam zajęta.
- Nie czuj się urażona. Przyjaźnimy się przecież i po prostu... po prostu zastanawiałam się. Katherine powiedziała mi wczoraj wieczorem przez telefon, że z prawdziwym entuzjazmem zajęłaś się zdjęciami Bobbiego i...
- Rozmawiałaś o mnie z Katherine?
- Hola, to nie tak! Wiedziałam, że dziś rano wybiera się na comiesięczne śniadanie z radą do spraw rozwoju, więc nie będzie jej tutaj, gdy przyjdę. Zadzwoiłam do niej, żeby się dowiedzieć, co się dzieje na naszym podwórku. Pomyślałam, że powinnam się zorientować, jaki chaos czeka mnie po triumfalnym powrocie. To wszystko. Tak czy inaczej, przez przypadek wspomniała. .. naprawdę, zupełnie na marginesie... że jesteś trochę pochłonięta...

261

- Pochłonięta?
- To na pewno moje określenie... nie jej. Katherine powiedziała, że pracujesz naprawdę ciężko nad zdjęciami Bobbiego, to wszystko. Że próbujesz zestawić kilka wątków z jego biografii.

Laurel domyśliła się, że Katherine powiedziała jej nie tylko to. Że dała więcej do zrozumienia. Przypuszczalnie stwierdziła, że jej krucha młoda protegowana ma obsesję - tak, *obsesję* — na punkcie starego fotografa i jego prawdziwej tożsamości.

- Nie musisz się o mnie martwić - powiedziała. - Nic mi nie jest.
- W takim razie w porządku. Nie chciałam cię urazić. Pytaj. Co nowego

mogłabym ci powiedzieć o Bobbiem Crockerze? Mam wrażenie, że wiesz o naszym ulubionym ekscentryku z hotelu New England więcej niż ja, ale strzelaj.

- Co wiesz o jego synu?
- Jego synu? Nawet nie wiedziałam, że ma syna!
- A o jego rodzicach?
- Prawie nic.

- Prawie nic? Czy nic? -Nic.
- O jego siostrze?
- Nigdy mi o niej nie mówił.
- Czy wspominał kiedyś o swoim dzieciństwie?
- Na pewno. I na pewno nic nie pamiętam.

- Rozumiem, że rzuciłaś okiem na fotografie, zanim je przekazałaś Katherine. Zauważyłaś coś interesującego?
- Te, które zrobił Bobbie? Oglądałam je przez chwilę. Przejrzałam je. Pomyślałam, że są całkiem dobre. Ale szczerze mówiąc, ty oceniłabyś to bardziej fachowo. Były dobre?
- Tak. Bobbie miał talent.
- Więc urządzisz wystawę?
 - Kiedyś urządzę. Wspominał o jakichś znajomych? Wujkach i dziadkach? O jakichś dziwnych ludziach w swoim życiu?
- Poza tymi, którym robił zdjęcia?
- Zgadza się.

Emily wyprostowała się na krześle i splotła dłonie na brzuchu. Spod jej kciuków wyzierały irysy.

262

- Dobra, zastanowię się. — Po długiej chwili dodała: — Kiedyś, gdy byliśmy razem na dole w punkcie opieki dziennej, tylko przez kilka minut, wszedł jakiś mężczyzna. Bobbie nie potrzebował wówczas opieki dziennej, był już urządzony w hotelu New England. Jednak jak wiesz, szybko staliśmy się jego „uniwersytetem”. W każdym razie, do punktu opieki przychodzi jakiś facet i gdy Bobbie wyciąga biały chleb i robi mu kanapkę z masłem orzechowym i dżemem, okazuje się, że gość siedział w kiciu.
- Gdzie?
- W Vermont.
- W którym zakładzie?
 - Chyba w Saint Albans. Ale to **mogło być również w okręgu Chittenden.**
- Od jak dawna przebywał na wolności?
 - Od sześciu miesięcy. Może od ośmiu. Nie chciał popełnić błędu i wrócić za kratki. A Bobbie zapytał go, czy poznał tam kogoś. W więzieniu.
- Jak miał na imię ten więzień?
 - Nie pamiętam. Ale to nie ma znaczenia, nie to jest ciekawe. Ciekawe jest to, że ten nasz nowy podopieczny go znał. I czuł do niego prawdziwą pogardę, ponieważ ten drugi więzień był gwałcicielem. Ale również się go bał. Naprawdę się bał. Bobbie też się bał.

Zapytałam więc, jak poznał tego typa, tego, który jeszcze nie wyszedł z więzienia. Sam przecież nigdy nie odsiadywał wyroku, a przynajmniej nic o tym nie wiedziałam. Musiał go więc poznać na wolności. Ale Bobbie nie chciał mi powiedzieć. Gdy tylko się upewnił, że ten człowiek nadal jest za kratkami, nie chciał o nim więcej słyszeć.

Laurel знаła nazwiska mężczyzn, którzy próbowali ją zgwałcić. Jakże mogłaby je zapomnieć. Kulturysta z Montany nazywał się Russell Richard Hagen. Włóczęga - Dan Corbett. Nie miał drugiego imienia. Nie znosił imienia Daniel.

- Czy ten więzień **miał** na **imię** Russell? - zapytała. - Nie.

- Richard? - Nie. - Dan?

- A wiesz, **to brzmi znajomo** - **odparła Emily**. - **A co, Bobbie mówił ci** coś o tym człowieku?

263

- Owszem - skłamała Laurel. — To po prostu jeden z tych przykrych zbiegów okoliczności. Myślę, że ten Dan kiedyś próbował go zastraszyć. Na Church Street. - Nie chciała, żeby jej współpracownica wiedziała, że poszukiwania prowadzą ją z powrotem do napaści w Underhill. Martwiłaby się. Wszyscy by się martwili. Tak więc Laurel podziękowała Emily, powiedziała, że rozumie, jaką stertę papierów musi przejrzeć po długim urlopie, i wróciła do swojego gabinetu. Miała się spotkać z człowiekiem z grupy ds. kombatantów, który pracował z bezdomnymi weteranami wojennymi, w sprawie nowych usług dla nich. Chciała otrzymać wykaz podopiecznych, którzy mogliby na tym skorzystać.

Potem musiała umiejętnie sporządzić notatkę dla Katherine z informacją, że - to kłamstwo też przyszło jej do głowy błyskawicznie - jej matka trafiła do szpitala, a ona musi na parę dni pojechać do domu na Long Island. Napisze Katherine, że zadzwoni do niej z drogi, żeby wyjaśnić szczegóły. I doda, żeby się niepotrzebnie nie martwiła. Matce nic nie będzie. Jej też.

A gdyby Katherine próbowała się z nią skontaktować u matki? Usłyszałyby jedynie zapowiedź nagrany w automatycznej sekretarce, ponieważ jej matka przebywała teraz w szkole gastronomicznej koło Sieny. Znajdowała się dosłownie na drugim końcu świata.

Laurel chciała jednak, by notatka leżała na biurku szefowej, gdy ta wróci ze spotkania. Chciała uniknąć konieczności osobistego wyjaśniania swojego nagłego wyjazdu.

Oczywiście wcale nie wybierała się na Long Island. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Najpierw miała zamiar odwiedzić Biuro ds. Obsługi Ofiar Prześstępstw w drugiej części stanu, a następnie spotkać się z dyrektorem zakładu karnego w Saint Albans. Zamierzała przygotować swoje przesłuchanie wyjaśniające z udziałem więźnia Dana Corbetta. Chciała też spotkać się z nim jak najszybciej.

Opuściła BEDS tylnym wyjściem zamiast od frontu. Jej spotkanie z członkiem grupy ds. kombatantów trwało do wpół do dziesiątej, a gdy napisała notatkę do Katherine, taką, która uderzała w odpowiednią nutę — która nie wprowadziłaby dyrektora w panikę, a zarazem wskazywałaby, że istniała konieczność pewnego pośpiechu - dochodziła dziesiąta. Katherine mogła wrócić lada chwila i Laurel nie chciała wpaść na nią w holu bądź na głównej klatce schodowej.

Słońce znajdowało się teraz wysoko na niebie, inaczej niż przed kilkoma godzinami, gdy Laurel wychodziła z mieszkania. Starła się uciec przed przebudzeniem się Talii i teraz była szczególnie zadowolona: dzięki temu łatwiej było jej zniknąć. Łatwiej zachować cierpliwość i skupienie, nie czuć skrępowania wątpliwościami swojej współlokatorki podczas czekającej ją ciężkiej pracy. Powie — *napisze* — Talii dokładnie to, co napisała Katherine. To, co powie Davidowi. Że wróciła do domu w West Egg.

Wstydziliby się. Wszyscy bez wyjątku.

Niedający jej wiary. Niedający wiary Bobbiemu.

Przez cały czas przypuszczała, że biedny Bobbie Crocker boi się swojej siostry, podczas gdy on — tak wyglądała prawda — bał się swojego syna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

P

AMELA MARSHFIELD SPĘDZIŁA PRAWIE CAŁY PONIEDZIAŁKOWY ranek na kanapie w salonie, czując się starzej niż kiedykolwiek przedtem. Czuła ból w górnej części kręgosłupa i nie zdziwiłaby się, gdyby jej lekarz stwierdził w którymś momencie nadchodzącej zimy - po niewątpliwie niemal zabójczej serii nowoczesnych badań - że to rak. Uzmysłowała sobie, że wyjątkowo brak jej tchu. A w stawie biodrowym - wymienionym przed piętnastu laty — pojawiło się rwanie. W dodatku przy śniadaniu nic jej nie smakowało. Prawda

wyglądała tak, że w ogóle wszystko straciło smak.

Naprzeciw niej, w jednym z foteli klubowych o metalicznym złotym połysku, które jej matka wypatrzyła siedemdziesiąt pięć lat temu - chromowane boki starannie odnowiono od tego czasu nie jeden, lecz dwa razy - siedziała Darling Fay, najstarsza córka Reginalda Faya z Louisville. Reginald był jej, nieżyjącym już od dawna, kuzynem, a jego ojciec starszym bratem Daisy. Darling, niczym większość Buchananów i Fayów, jak na sześćdzie-sięciodwulatkę trzymała się niezwykle dobrze, po części dzięki wspaniałym genom, po części dlatego, że nigdy nie wyszła za mąż i nie miała dzieci, a po części dlatego, że dwa razy do roku latała na Manhattan, żeby chirurg plastyczny mógł wstrzyknąć jej w skórę twarzy całą masę restylanu. Właśnie dlatego przyjechała teraz do Nowego Jorku. Dziś rano odbywała coś, co Pamela uważała za uciążliwą i obowiązkową podróż na koniec Long Island, żeby zobaczyć się ze zramolałą kuzynką swojego ojca, skoro jednak chciało

266

się jej tłuc aż tutaj, Pamela nie miała zamiaru jej powstrzymać. Obie kobiety popijały herbatę, choć tylko Darling robiła to ze smakiem.

—Dziwię się, że twój prawnik nie zaproponował, byś załatwiła to bardziej pojednawczo — powiedziała Darling z cieniem dezaprobaty na swoim

obliczu. Miała na sobie kwiecistą spódnicę obszytą ząbkowaną tasiemką, przypuszczalnie od Kay Unger, oraz sportowy zakiet w kolorze pistacjowym,

który (zdaniem Pameli) był niestosownie wydekoltowany.

Przez chwilę Pamela żałowała, że otworzyła się przed Darling, że powiedziała tej młodej - cóż, w każdym razie młodszej - kobiecie, że jej brat zmarł. Że powiedziała jej o ponownym pojawieniu się prac Roberta i jego bałamutnych, złośliwych próbach ujawnienia rodzinnych tajemnic. Nie miała pewności, dlaczego to zrobiła. Może tylko dlatego, że była stara, zmęczona i szukała pocieszenia. Otuchy. I w tym wypadku traciła czas. Na współczucie Darling nie mogła liczyć. Ta daleka krewna urodziła się po tym, jak Robert uciekł z domu, i uważała go jedynie za obłąkaną rodzinną zjawę.

—A co uznałabyś za bardziej pojednawcze? — zapytała ją w końcu Pamela.

Darling delikatnie odstawiła filiżankę na dzielący je stół.

- Twój ojciec może i nie był zbyt wrażliwy...
- Och, wiem o tym.

-Ale też dokładnie wiedział, kiedy sypnąć groszem. Kiedy datek na odpowiedni cel dobroczynny w odpowiednim momencie może wszystko zmienić.

- Tak jak po wypadku.
- Właśnie. — Nikt z Fayów i Buchananów nie znał szczegółów, ale domyślano się, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim i ponownie w dwudziestym piątym Tom Buchanan hojnie obdarował rozmaite wydziały policji na Long Island oraz ofiarował spore datki na kampanię wyborczą prokuratorów w sąsiednich okręgach. Tym sposobem gwarantował, że nikt uważnie nie zbadał, kto naprawdę siedział za kierownicą samochodu, gdy zginęła Myrtle Wilson, ani nie sprawdził dokładnie zarzutów, które pojawiły się trzy lata później.

• I sugerujesz, że powinnam teraz sypnąć groszem? — zapytała Pamela.

— Nie byłabym aż tak bezczelna, by mówić ci, co powinnaś zrobić.

Wiesz o tym. Po prostu zastanawiałam się głośno, dlaczego twój prawnik nie zachęcił cię do ofiarowania datku na grupkę bezdomnych pozostających pod opieką tej kobiety. Na COTS.

267

- BEDS.

Darling machnęła dłonią w powietrzu, jakby strącała muchę z twarzy.

- Nieważne! To tylko taki pomysł. Przypuszczam, że właśnie tak postąpiłby twój ojciec.
- Chociaż nie był zbyt wrażliwy.
- I sądzisz, że oni zwrócą mi prace Roberta, jeżeli dam im pieniądze?
 - Być może. Cóż jeszcze możesz teraz zrobić? Jaki masz inny wybór? Przecież chcesz odzyskać te fotografie, prawda?
 - *Muszę* je odzyskać. Nie pozwolę, by ich prezentacja znowu uczyniła z mojej matki diabolicę. Każda historia ma dwie strony i nie dopuszczę, by z Gatza robiono bóstwo, a na mojej matce wieszano psy. Tylko o to tutaj chodzi.
- W takim razie kup je. Po prostu sypnij groszem i je kup.

Początkowo ten pomysł wydawał się Pameli ostentacyjny i dość żałosny. Mimo to pomyślała, że Darling ma rację: rzeczywiście nie miała wyboru. Nie będzie żyła wiecznie. Czuła wręcz, że nie dożyje końca dnia. Skoro zaś chce raz na zawsze zniszczyć złośliwe, obłąkańcze prace

swojego brata - już sobie wyobrażała rakotwórczy stos, jaki zapłonie na jej plaży, gdy tylko wszystkie fotografie znajdą się w jej posiadaniu - będzie musiała komuś zapłacić. Prawda była taka, że cuchnący bezdomni nocujący w przytułku rzeczywiście mogliby skorzystać z jej pieniędzy. Potrzebowali ich. W odróżnieniu od prawników z kancelarii T.J. Leckbruge'a. Całkiem dobrze poradziliby sobie, dziękuję bardzo, bez tej forsy. Być może honoraria, które wyliczyliby, odzyskując fotografie jej brata, przeszłyby im koło nosa, ale ona niebawem umrze i kancelaria zarobi ładną sumkę podczas ustalania wartości pozostawionego przez nią majątku.

Westchnęła i uśmiechnęła się do Darling. Postanowiła, że gdy tylko jej krewniaczka opuści jej dom, przeprowadzi stosowne rozmowy telefoniczne. Polecą swojemu prawnikowi, by złożył odpowiednią ofertę schronisku dla bezdomnych w Vermont. Żeby zaproponował w istocie tyle, ile trzeba, aby zwrócono jej wszystkie zdjęcia, wszystkie negatywy i wszystkie odbitki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

D

AVIDOWI ZASCHŁO NIECO W GARDLE, GDY PRZECZYTAŁ liścik, który Laurel zostawiła mu w recepcji redakcji gazety.

Telefonowała moja siostra. Nasza matka trafiła wczoraj wieczorem do szpitala. Wycięli jej wyrostek robaczkowy, ale robią kolejne badania, żeby sprawdzić, czy nie dolega jej coś jeszcze. Jest przy niej moja ciot-

ka, ale czuję, że się trochę niepokoi, pojechałam więc na parę dni na Long Island, żeby się pokazać. Zadzwońię dziś wieczorem.

Powiedz, proszę, Marissie, że jest mi przykro, iż dziś po południu nie będę jej robić zdjęcia portretowego. Jest jednak śliczną dziewczyną z głosem jak skowronek i nie trzeba tak utalentowanej osoby jak ja (chrząknięcie), żeby wspaniale wyglądała na zdjęciu. Jest najlepsza.

Zadzwońię, gdy będę mogła.

L.

David trzymał list w dłoni i uważnie przyglądał się charakterowi pisma. Laurel napisała go niebieskim mazakiem, swoim drobnym, niemal kaligraficznie pięknym pismem. Doceniał fakt, że Laurel niepokoi się o swoją matkę, ale zastanawiał się też, czy nie reaguje zbyt emocjonalnie. O ile nie chodziło tutaj o coś jeszcze. Zostawiła przecież ten list na dole. Nawet nie zapytała recepcjonistki, czy on jest w swoim gabinecie.

269

Wiedział, że powinien był zatelefonować do niej w niedzielę. Do domu. Na komórkę. Katherine powiedziała mu w sobotę wieczorem w kinie na tyle dużo, że ktoś bardziej troskliwy - bardziej *zaangażowany* — zaniepokoiłby się w dostatecznym stopniu, by coś zrobić.

On jednak nie uczynił nic, zadzwonił więc do niej teraz. Tak jak się spodziewał, nie zastał Laurel w BEDS, zostawił więc wiadomość na jej poczcie głosowej. Drugą zostawił na automatycznej sekretarce, z której ona i Talia wspólnie korzystały w domu. Po czym nagrał trzecią na poczcie głosowej jej telefonu komórkowego. W końcu odłożył słuchawkę

na widełki aparatu i usiadł na brzegu łóżka, zastanawiając się, co powinien zrobić. Jeżeli rzeczywiście powinien.

Wiedział, że Marissa będzie zawiedziona. I zaniepokojona. Oczywiście z powodu upragnionej sesji zdjęciowej tego rana przez dwadzieścia minut przeglądała ubrania, które trzymała w jego mieszkaniu. Ale po ich rozmowie sobotniego wieczoru umysł Marissy zaprzętał w rzeczywistości problem samopoczucia Laurel.

Była jeszcze Cindy. David zamierzał poświęcić ranek na wywiady z zarządcami szpitala o rosnących w zawrotnym tempie kosztach ich budowlanego przedsięwzięcia, ale musiał je odwołać, gdy Cindy spadła z huśtawki ustawionej na szkolnym placu zabaw i zdarła sobie sporo skóry na łydce i obydwu łokciach. Siedem szwów na nodze i plastry ściągające na rękach. Na widok krwi omal nie wpadła w histerię. David spotkał się z córką i asystentką nauczyciela w sali nagłych przypadków (jak na ironię, w tym samym szpitalu, gdzie miał zbierać materiał do artykułu redakcyjnego). Przywiózł później Cindy do swojego mieszkania, uspokoił ją i przekonał swą siostrę, by w te pędy przyjechała z Middlebury popilnować małej, tak aby on mógł wrócić do pracy.

Jednak mogło się okazać, że niezrobione zdjęcia portretowe i szwy to drobiazg w porównaniu z dużym problemem: Laurel. I David naprawdę nie był pewien, co powinien z nią zrobić. Wiedział, że jest człowiekiem ostrożnym, intelektualistą. Było to jego atutem - i od czasu do czasu słabością.

Zrozumiał, że chyba nie może nic zrobić. Przecież Laurel była dorosła. Pojechała do domu opiekować się matką. Poza tym chodziło o resekcję wyrostka robaczkowego - nie o operację na otwartym sercu. I nie miała

tam być sama: w sąsiedztwie mieszkała jej siostra Carol oraz ciotka. On nie był jej potrzebny. Poza tym zawsze starał się traktować ją — i tak naprawdę

270

wszystkie kobiety - jak dorosłą osobę. Także przyjaciółki i żonę. Tak czy inaczej, nie miał na to czasu, nawet gdyby nadopiekuńczość leżała w jego naturze. Miał czasochłonną pracę oraz dwie małe córki i ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było podtrzymanie wymagającego ciągłej pielęgnacji związku z - zdał sobie sprawę, że takiego określenia użył w sobotni wieczór, rozmawiając z Katherine — *kruchą młodą kobietą*.

Zastanawiał się, czy właśnie dlatego nie zadzwonił do Laurel w niedzielę. To bowiem oznaczałoby głębsze zaangażowanie, a on nie tylko był ostrożnym intelektualistą: był wyniosły i obojętny, od czasu rozwodu nie miał ochoty na nic, co przypominałoby zaangażowanie.

Przyjazd do czuwającej przy chorej matce Laurel z pewnością świadczyłby o poważnym zaangażowaniu. Mogłoby to narzucić zobowiązania, których David nie był obecnie skłonny powziąć względem jakiegokolwiek kobiety. Mogłoby oznaczać małżeństwo oraz kolejne dzieci, a kolejne dzieci nadal były całkowicie wykluczone. Nie w sytuacji gdy Cindy miała sześć, a Marissa jedenaście lat. Nie zrobiliby im tego. Dziewczynki wystarczająco boleśnie przeżyły rozpad małżeństwa swoich rodziców i teraz tym bardziej potrzebowały czulej i serdecznej opieki, bo ich matka ponownie wychodziła za mąż.

Z drugiej strony kruchość Laurel wskazywała, że on musi się zaangażować. Znał jej przeszłość równie dobrze jak wszyscy; ponosił za nią

odpowiedzialność. Sięgnął więc jeszcze raz po telefon i zadzwonił do kościoła baptystów, gdzie szybko połączono go z młodą pastor.

- Niech zgadnę. Chcesz się dowiedzieć, co się dzieje z Laurel, prawda?

- zapytała Talia niemal natychmiast po jego powitaniu.

- Tak. Chcę wiedzieć, jak bardzo chora jest w rzeczywistości jej mama.

Z listu nie potrafię tego ocenić.

Usłyszał, jak Talia cmoka językiem o podniebienie.

- Matka Laurel jest chora? — zapytała w końcu.

- Nie mówiła ci?

-Nie.

• Zostawiła mi list w redakcji - wyjaśnił David, po czym przeczytał go Talii.

• Wybrała sobie naprawdę zły moment na chorowanie - stwierdziła.

— Miała chyba jechać w tym miesiącu do Włoch.

- Też tak sądziłem.

271

- Ciekawe, czy w mieszkaniu i dla mnie jest jakiś list - mruknęła Talia głosem, w którym uraza mieszała się z troską. — Szczerze mówiąc, nie sądzi

łam, że Laurel jest w stanie pojechać dokądkolwiek indziej poza tą śmierdzącą ciemnią i swoim biurem w BEDS.

— Naprawdę nie wiedziałaś, że wyjeżdża? Do ciebie też nie zadzwoniła?

- Nie. Ale... prawdę powiedziawszy... ona ostatnio prawie się do mnie nie odzywa.

— Nie mówiła mi, że się pokłóciłyście. Wolno spytać, o co poszło?

- Nie pokłóciłyśmy się. No niezupełnie. Zamieniłyśmy kilka słów w sobotę po południu, ale już wtedy Laurel mnie unikała. Tak przynajmniej się wydawało. Miała zagrać w paintball z moją grupą młodzieżową, ale nie po
jawiła się na zbiórce.

-Hm...

- Tuż przed rocznicą wypadku pojechała do domu na Long Island, a gdy wróciła, była jak zjawa. Późnym wieczorem przychodziła ukradkiem do mieszkania, żeby zmienić bieliznę, ale to w zasadzie wszystko. Przez resz

tę dnia nigdy nie było jej w domu. Właściwie to mieszkała w ciemni. Zo
stawiałam jej listy i inne wiadomości, ale równie dobrze mogłabym je pisać
atramentem sympatycznym.

David pomasował kark wolną dłonią. Poczuł, że zaczyna go boleć głowa i sięgnął do szuflady biurka po wielką butelkę z tabletkami ibuprofenu. Jeszcze raz przypomniał sobie, że jest bliższy wiekiem matce Laurel niż jej córce, i ta świadomość obudziła w nim wstręt do samego siebie.

- Nie wierzę, by była na ciebie wściekła - mruknął, po czym p[^].nął
dwie tabletki, nie popijając wodą.

- Może tak, może nie. Tak czy inaczej coś się dzieje i jeżeli pojechi. do domu, to chyba powinniśmy być zaniepokojeni.
- Ja jestem.
- Masz zamiar za nią pojechać?
 - Właśnie zostawiłem wiadomość na jej komórce. **Pomyślałem**, że za-

nim cokolwiek zrobię, zaczekam na jakieś wieści od niej.

- Myślisz, że ja powinnam za nią pojechać?
- Być może. Ale na razie zostańmy.
- To wszystko? - zapytała Talia.
 - Zalecałabyś coś innego?
 - Niepokoję się!

272

- Do domu Laurel na Long Island. Połączyłam się z automatyczną sekretarką.
- Myślałaś, że Laurel może już tam być?
 - Nie. Pomyślałam, że jej informacje o matce mogły być kłamstwem. Liczyłam na to, że mama Laurel odbierze telefon.
- Ale nie odebrała.
- Zgadza się.
- Może więc rzeczywiście jest w szpitalu.

- Może - odparła Talia, po czym ruszyła prosto w stronę sypialni Laurel. Whit podążył jej śladem.
- Czego szukasz? - zapytał. - Czegoś konkretnego?
- Niezupełnie.

Whit chciał coś zrobić, ale czuł, że otwieranie szuflad będzie pogwałceniem zasad. Stał więc bezczynnie w drzwiach, wsparty pod boki, gdy Talia pokiwała palcem wskazującym i otworzyła szafę wnękową. Wytoczyła z niej czarną walizkę, największą, jakie pozwalano umieszczać

w lukach bagażowych samolotu.

- To ciekawe. Nie zabrała walizki. Spodziewa się niebawem wrócić.

Później wysunęła dolną szufladę komody i zaczęła odsuwać leżące tam swetry Laurel. Wyjęła książeczkę czekową swojej współlokatorki i przekart-kowała ją całą.

- Tego też nie wzięła.

- Czy w takim razie wiadomo, że rzeczywiście wyjechała? - zapytał Whit.
- Nie - niespiesznie odparła Talia, zastanawiając się chyba nad tą ewentualnością. - Chyba nie wiadomo.

Potem stali tam oboje, przypominając raczej bezradne dzieci niż dorosłych, niepewni, co powinni lub co mogą teraz zrobić.

SPOTKANIE KATHERINE MAGUIRE z radą ds. rozwoju BEDS było długie, trudne i doprowadziło ją na skraj rozpacz. Liczba osób - mężczyzn, kobiet i rodzin - zwracających się o pomoc do schroniska gwałtownie rosła akurat wtedy, gdy rząd federalny ograniczył programy socjalne tak znacznie, że w nadchodzącym roku mieli stracić sto czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Wskutek wypatroszenia przez rząd programu rozwoju budownictwa mieszkaniowego i obszarów miejskich mogli również stracić dotacje mieszkaniowe

275

dla siedmiuset czterdziestu osób, który je zapewniał. A spodziewano się, że w zimie ceny oleju opałowego będą rosły w zawrotnym tempie.

Odłożywszy słuchawkę telefonu po rozmowie z prawniczką z magistratu, wyprostowała się na krześle i doszła do wniosku, że jeżeli kiedyś

spotka się twarzą w twarz z tą kobietą z Long Island, chyba nie poczuje do niej sympatii. Pamela Buchanan Marshfield z pewnością nie była aniołem stróżem spadającym z nieba w chwili, gdy schronisko znajdowało się w największej potrzebie. Składała teraz tę propozycję tylko dlatego, że jej próby zastraszenia ich spełzły na niczym. Ale wyczucie chwili? Niezwykłe. Tak jakby wiedziała. Katherine wróciła ze spotkania rady ds. rozwoju, zastanawiając się, jak mogliby w krótkim czasie zebrać wystarczająco dużo pieniędzy od sektora prywatnego, by zrekompensować to, co tracili na mniejszym wsparciu ze strony rządu. I wtedy, ni z tego, ni z owego, nadeszła ta oferta od jej prawnika.

Prawniczka BEDS, Chris Fricke, zapewniła ją, że zarząd miasta sprzeda kolekcję Crockera schronisku za dolara, co później pozwoli im oddać zdjęcia tej kobiecie z Long Island. Oczywiście po tym, jak złoży swój datek. Sto tysięcy dolarów.

Katherine domyślała się, że Laurel będzie z początku wściekła. Jej młoda pracownica poczuje się osobiście zdradzona i stwierdzi, że ich organizacja robi dokładnie na przekór życzeniom jednego z ich podopiecznych. Ale Katherine uważała, że w końcu Laurel zmieni zdanie. Przecież Bobbie często sam nie wiedział, czego chce. A ona musiała uwierzyć, że byłby szczęśliwy, widząc, że BEDS zarabia tyle forsy na jego pracach. Byłby zachwycony!

Poza tym oderwanie Laurel od fotografii Bobbiego z pewnością leżało w jej najlepszym interesie. Nawet gdyby ta bogata wdowa nie zaproponowała, że ofiaruje schronisku ten datek, Katherine zamierzała nalegać, by Laurel oddała materiały i zrezygnowała z realizacji projektu. Zrobiła wystarczająco dużo, a nawet więcej. Nadeszła pora, by odpuścić.

Oczywiście Katherine nie była pewna, jak jej o tym powiedzieć. Ani nawet jak odzyskać fotografie. Bo podczas rozmowy z Chris, przeglądając papiery, które pojawiły się na jej biurku niczym grzyby w deszczowe lato, znalazła na nim pozostawioną przez Laurel wiadomość. Jej młoda pracownica najwyraźniej pojechała do domu zaopiekować się swoją matką.

Tak przynajmniej wynikało z listu.

276

PACJENT NR 29873

Wyraźnie widzi na fotografiach znacznie więcej, niż przedstawiają. Na zdjęciach migawkowych także. Jutro muszę uważnie obejrzeć kolekcję — wszystkie zdjęcia — i dodatkowo zbadać ten trop. Pacjent wciąż pisze w swoich notesach po sześć i siedem godzin dziennie.

Z notatek Kennetha Pierce'a,
psychiatry prowadzącego,
szpital stanowy w Waterbury, Yermont

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

L

AUREL WIEDZIAŁA, ŻE JEST POSZUKIWANA. Wiedziała, że wszyscy jej szukają. W końcu, gdy nie dzwoniła do więzienia lub do Biura ds. Obsługi Ofiar Przystępstw, musiała wyłączać swój telefon komórkowy, bo nie przestawał dzwonić. Ostatecznie zrezygnują z dalszych prób i zadzwonią do jej matki.

To było oczywiste. I nic im to nie da, ponieważ jej matka jest we Włoszech. Ale czy w końcu nie spróbują skontaktować się z jej siostrą? Talia na pewno mogłaby to zrobić. A gdy już skontaktuje się z Carol, wszyscy sobie uświadomią, że ich okłamała, i niewątpliwie nabiorą przekonania - oni i jej rodzina - iż ona traci poczucie rzeczywistości. Nawet nie chcąc wspierać Pameli Marshfield, pomogą tej starej wiedźmie. Znajdą ją i skonfiskują fotografie. Fotografie Bobbiego. Jej fotografie. Oddadzą je tej kobiecie.

Zrozumiała zatem, jak niewiele ma czasu. Dlatego zameldowała się w motelu pod Burlington, gdzie po raz pierwszy od wielu dni wzięła prysznic i umyła włosy. Kupiła sobie nową bluzkę i spodnie. Skropiła się perfumami i założyła okulary przeciwsłoneczne, żeby nikt nie zobaczył, że płakała. Znowu.

Po czym wsiadła z powrotem do samochodu i zaczęła kursować między różnymi urzędami w Burlington i Waterbury, żeby przyspieszyć przesłuchanie z udziałem Dana Corbetta. Najpierw powiedziano jej, że załatwienie tej sprawy zajmie wiele dni — może nawet wiele tygodni - ale Laurel była uparta, potem zaś poszczęściło się jej. Spotkała ją niespodzianka. Wyglądało

279

na to, że Corbett napisał do niej list z przeprosinami. Rok wcześniej zaczął uczestniczyć w obowiązkowym programie terapeutycznym dla sprawców przestępstw na tle seksualnym i w ramach ćwiczeń swojej grupy kształtowania empatii dla ofiar musiał napisać wyrażający skruchę list do osoby, którą zranił. Zazwyczaj ofiary nigdy nie czytały tych listów, bo nie

chciały mieć nic wspólnego z napastnikami. Ale oto zjawiała się Laurel, tak rozpaczliwie pragnąca się z nim spotkać, że chciała przyjechać do więzienia. I przeczytałaby wszystko, co w nim napisał.

Czemu nie?- pomyślała. Wiedziała już lepiej niż ktokolwiek, co zdarzyło się w Underhill. Być może list Corbetta ujawni jakieś informacje o jego dzieciństwie. To, czy miał w swoim życiu ojca. Jak przed siedmiu laty trafił na tę leśną drogę. Jak trafił tam Bobbie Crocker.

Być może, powiedziała terapeutce więziennemu Dana Corbetta przez telefon, jej gotowość przeczytania tego listu pomoże mu w leczeniu. We własnym uzdrowieniu. W ewentualnym powrocie między ludzi.

Oczywiście nie do końca w to wierzyła.

Poza tym nie chciała, by Dan Corbett wrócił między ludzi. Chciała, by zatrzymano go tam, gdzie się znajdował.

Zamierzała jednak powiedzieć to, czego wymagało przyspieszenie przesłuchania. Nic innego nie miało znaczenia w sytuacji, gdy czas umykał, a jej śladem podążało coraz więcej ludzi.

W PONIEDZIAŁEK PO południu Whit usłyszał przez drzwi gwar głosów grupki osób zgromadzonych koło mieszkania na drugim końcu korytarza. Było tuż przed trzecią. Otworzył drzwi i ujrzał Talię rozmawiającą z dwiema starszymi od siebie kobietami.

— Cześć, Whit — powiedziała sarkastycznie. — Zechcesz mi pomóc wy
perswadować tym dwóm uroczym paniom pomysł rewizji mojego mieszkania?

Jedna z kobiet rzuciła mu przeszywające spojrzenie i Whit szybko wyciągnął do niej dłoń. Talia przedstawiła ją jako prawniczkę z magistratu

imieniem Chris. Druga kobieta, Katherine, była szefową Laurel w schronisku. Talia wyjaśniła, że obie liczą na to, że Laurel zostawiła w mieszkaniu odbitki zrobione z negatywów Bobbiego.

- Powiedziałam im, że to wykluczone. Zaledwie kilka godzin temu przeszukaliśmy mieszkanie. A po sobotniej drobnej przygodzie Laurel je-

280

stem całkiem pewna, że je gdzieś ukryła. Powiedziałam, że pewnie znajdziemy bieliznę, co nas wszystkich wprawi w lekkie zakłopotanie. Ale zdjęć nie znajdziemy.

- Nie chcemy przeszukiwać waszego mieszkania - powiedziała Katherine. - Wiesz o tym. Ale skąd pewność, że tych zdjęć tutaj nie ma? Widziałam je, wiem, czego szukamy.
- Ja też. I mam wrażenie, że bardziej martwisz się o te zdjęcia niż o Laurel.
- Wiesz, że to nieprawda. Jasne, że martwię się o Laurel. Wszyscy się o nią martwimy.

Prawniczka pokiwała z przekonaniem głową, po czym dodała:

- Teraz jednak te zdjęcia są dla BEDS ogromnie dużo warte. Nie możemy pozwolić, by coś się z nimi stało. Stąd nasza wizyta. A co jeżeli Laurel...

Whit nie wytrzymał:

- Co jeżeli Laurel co?

Kobieta pokręciła głową po czym, wytrzeszczywszy oczy i uniósłszy brwi, zrobiła minę typu „nigdy nic nie wiadomo”.

- Pani naprawdę nie rozumie - rzekł Whit. — Laurel nigdy nie znisz

czyłaby tych zdjęć. Teraz są dla niej całym życiem.

Katherine delikatnie ujęła łokieć jego ręki, żeby go uspokoić. Whit opanował chęć strząśnięcia jej dłoni.

- Kocham Laurel. Jest dla mnie jak córka. Mam nadzieję, że pewne go dnia będzie kierować schroniskiem. Tak bardzo jestem do niej przywiązana, szanuję ją i jej ufam. Ale teraz Laurel jest w tarapatkach. Informacja o tym szalenie pospiesznym wyjeździe do domu nie brzmi zbyt wiarygodnie. A zarazem mam kobietę skłoną ofiarować schronisku wielką sumę, jeżeli oddamy jej te fotografie... niemal tyle, że starczy na pokrycie strat

we wsparciu ze strony rządu. To cholernie fajna prowizorka.

- Czyli wystarczy tylko, że oddacie czyjś dorobek życia - zauważyła zjadliwie Talia.
- Po pierwsze, to nie jest dorobek jego życia. To co najwyżej kilkaset zdjęć. Bobbie przypuszczalnie chciałby, żebyśmy je oddali za taką sumę. Bardzo mu się podobało to, co robiliśmy w przytułku i co w nim zapewnialiśmy. Chciałby zadbać o to, by pozostało wypłacalne.
- A co z Laurel? - zapytał Whit. - Co z pracą, którą w to włożyła?

281

- To nie są jej zdjęcia. Nie ma do nich praw. Poza tym — odparła Katherine i zawahała się na chwilę, jakby próbowała znaleźć odpowiednie słowa. W końcu dodała: - Poza tym, gdybym wiedziała, że potraktuje to wszystko tak... tak poważnie, nie pozwoliłabym jej się do nich zbliżyć.
- Czy mimo to nie sądzi pani, że to przerażająca pomyłka? Bardzo zły

precedens? - pytał dalej.

- Oto, jak ja to widzę. Mam przyjaciółkę, która traci kontakt z rzeczywistością z powodu zdjęć, których przypuszczalnie nie powinna mieć, i ofiarodawczynię, której bardzo na nich zależy. Zależy jak sto tysięcy dolarów. Przykro mi, Whit. Przykro mi, Talio. Ale wybór jest oczywisty.

Talia wzruszyła ramionami i gestem ręki zaprosiła kobiety do mieszkania.

- Proszę - powiedziała. - Ale tu ich nie znajdziecie.

I miała rację.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

L

AUREL NIGDY PRZEDTEM NIE BYŁA W tym więzieniu. Nigdy nie jechała długą, otoczoną z obu stron jedynie ziemią uprawną, dwupasmową drogą, która prowadziła z Saint Albans do zakładu karnego. Nigdy nie zwróciła uwagi na to, że zwoje kolczastego drutu mają ostre końce w kształcie kowadełek - ponieważ oczywiście nigdy nie widziała go z bliska. Spostrzegła, że niskie i szerokie więzienne budynki z pustaków rozchodzą się niczym spiczaste ramiona gwiazdy. Asfaltowe boisko do koszykówki miało druciane ogrodzenie i druciany dach. Po drugiej stronie więziennych murów zobaczyła to, co zostało po dwóch wielkich ogrodach, warzywnym i kwiatowym. Warzywniak zajmował co najmniej parę akrów: długie rzędy samych skrzynek na pomidory ciągnęły się na długości kilkunastu metrów.

Towarzysząca Laurel kobieta imieniem Margot Ann, która kierowała samochodem, powiedziała, gdy parkowały, że więźniowie uprawiają tu wystarczająco dużo warzyw, by wyżywić całe więzienie przez lato i jesień. Przyznała, że naprawdę nie wie, co robią z tymi wszystkimi kwiatami. Pracowała w Biurze ds. Obsługi Ofiar Przestępstw i przyjechała z Laurel, ponieważ pracownica opieki społecznej z BEDS miała się spotkać ze sprawcą napaści na siebie.

Takiego właśnie określenia stale używała Margot Ann. I Margot Ann nie zamierzała pozwolić jechać Laurel samej. Była jeszcze wyższa od niej, jej czarne włosy właśnie zaczynały siwieć i nosi-

283

ła je krótko, po chłopięcemu ostrzyżone. Pochodziła z Jackson w stanie Missisipi. Stąd, wyjaśniła, to podwójne imię. Swojego męża, rodowitego Vermontczyka, poznała za granicą, gdy oboje służyli w Gwardii Narodowej. W lokalnej szkole średniej była asystentką trenera żeńskiej drużyny koszykówki, sama miała jednak tylko synów, którzy zimą większość czasu spędzali na deskach snowboardowych. W drodze do Saint Albans opowiedziała Laurel o prawie całym swoim życiu. Laurel domyśliła się, że dzięki temu miała poczuć się swobodniej, odprężyć się. Dzień wcześniej poczyniły wszystkie przygotowania. Teoretycznie - Margot Ann wyjaśniła, że teorie niewiele znaczą w takim przesłuchaniu wyjaśniającym - ich spotkanie z Danem Corbettem ma potrwać pół godziny. Ona zada mu pytania o ojca i dziadka, a on podzieli się z nią treścią napisanego przez siebie listu. Ale nie będzie to proste. Ani logistycznie, ani emocjonalnie. Laurel zrozumiała. Teraz, uśpiona gawędziarskim głosem Margot Ann na

fotelu corolli, czuła się dziwnie beztrosko, jakby wisiała na styropianowej *desce w basenie pływackim w West Egg*, mała dziewczynka zanurzona po pas w wodzie.

Przy głównym wejściu do więzienia oddały klucze, pióra i telefony komórkowe. A także buteleczki z pieprzem w aerozolu (Laurel spostrzegła, że Margot Ann też nosi jedną przy sobie). Wyszedł po nie dyrektor zakładu i funkcjonariusz więzienny, który zaprowadził je do pokoju, w którym miało się odbyć przesłuchanie, ale nie towarzyszył im w nim. Czekał tylko za szklanymi drzwiami, a na przesłuchaniu obecni byli tylko we czworo: Margot Ann, terapeuta Dana Corbetta, ofiara oraz... sprawca.

Znowu to siedmioliterowe słowo, pomyślała Laurel, lustrując wzrokiem wykrywacz metalu w małym skromnym holu. *Sprawca*. Brzmiało ono niemal jak jedno z wyzwisk, którymi Corbett i Russell Richard Hagen obrzucili ją tamtego dnia na leśnej drodze.

W więzieniu Laurel dowiedziała się, że setki metalowych drzwi zakładu otwiera i zamyka elektronicznie uzbrojony funkcjonariusz siedzący w kabinie. Wokół miał ściany z pustaków i szyby ze szkła kuloodpornego i widział drzwi w całym budynku na monitorach więziennej telewizji. Ze swojej kabiny przyciskał guziki, które przesuwwały stalowe bolce we i wewte w całym więzieniu. Strażnicy przekazywali mu przez krótkofalówki, które drzwi chcą otworzyć: „Jedynka”. „Dwójka”. „Trójka”. „Jotka”, czyli drzwi do skrzydła „J”, oddziału dla sprawców przestępstw na tle seksualnym. Tam

właśnie szli. Gwałciciele zajmowali osobne skrzydło z powodu odrazy, jaką darzyła ich reszta więźniów. Funkcjonariusz więzienny, który towarzyszył Laurel i Margot Ann, powiedział, że nie dawniej jak w zeszłym tygodniu przerwał bójkę dwóch więźniów, wywołaną tym, że jeden niesłusznie oskarżył drugiego o przestępstwo na tle seksualnym.

Terapeuta, którego Laurel miała spotkać, najwyraźniej spędził znaczną część wczorajszego dnia, przygotowując Dana Corbetta do spotkania. Jego prawa też się liczyły.

SIEDZIELI W KWADRATOWYM pokoju z pomarańczowymi ścianami i jednym oknem, które wychodziło na mały mroczny dziedziniec. Do ścian przyklejone zostały rysunki wykonane przez więźniów - latawce, dzieci i statki kosmiczne - i Laurel zastanawiała się, czy rysowanie jest elementem terapii. W obszernym kręgu ustawiono cztery krzesła. Laurel posadzono najbliżej drzwi, a Dana Corbetta naprzeciw niej w odległości sześciu, siedmiu stóp. Terapeuta usiadł obok niego; Margot Ann zajęła miejsce obok Laurel. Funkcjonariusz więzienny przyglądał im się przez szklane drzwi.

Laurel przyniosła ze sobą wybrane zdjęcia z kolekcji i czekając na wprowadzenie więźnia, zajęła się przekładaniem tych najwyraźniejszych na kolanach. Były wśród nich dawne zdjęcia Bobbiego i Pameli. Fotografie domu w East Egg, które Crocker zrobił wiele lat później. Jedno zdjęcie posiadłości Gatsby'ego. Oraz dwa przedstawiające Laurel na leśnej drodze w Underhill.

Nie była pewna, w jakiej pokaże je kolejności. To mogło zależeć od tego, czy więzień był synem Bobbiego, czy też to miano należało się mężczyźnie skazanemu za morderstwo w Montanie. Margot Ann stale jej

przypominała, że Dan Corbett nie będzie dla niej zagrożeniem fizycznym, ale nie zdziwiłaby się, gdyby wciąż podstępnie oddziaływał na jej psychikę. Z pomocy psychologa korzystała od półtora roku, ale jej zdaniem wciąż był typem człowieka, który w jednej chwili mógł się na nią rzucić. I choć byli w stanie zapobiec kontaktowi fizycznemu między nimi, Corbett mógł ją boleśnie zranić swoimi słowami, zanim zdołaliby go uciszyć. Margot Ann miała nadzieję, że tego nie uczyni. Napisał przecież ten list z wyrazami skruchy. Laurel nie powinna jednak zapominać o tym, co zrobił siedem lat temu.

- Dobrze się czujesz? - zapytała w końcu.

285

- Yhm - wymamrotała Laurel.

-To świetnie. - Przez chwilę wpatrywała się w zdjęcia na kolanach Laurel, po czym dodała: - Więc myślisz, że mógł je zrobić ojciec Corbetta?

- Tak sędzę. Mam taką nadzieję.

- Dlaczego?

- Bo wolałabym wierzyć, że ich autor był spokrewniony z Corbettem niż z Hagenem.

- I dlatego, że jak przypuszczam, nie chcesz jechać do Butte.

- Z wielu powodów. Owszem.

- Ale pojechałabyś?

- Tak sędzę - odparła Laurel.

- Czy to ty? - zapytała Margot Ann i wskazała ruchem palca na jedno ze zdjęć przedstawiających dziewczynę na rowerze górskim.

- Tak - odparła Laurel. Wciąż dziwiło ją to, że tak długo nie dopusz-

czała do siebie tej myśli. Nie przyznawała tego otwarcie. Jasne, że ta dziewczyna to ona. Kim innym mogłaby być?

GDY DAN CORBETT został wprowadzony do pokoju, pierwsze, co Laurel zauważyła - i to natychmiast — to tatuaż. Na jego szyi widniała czaszka demona. Kły. Oczy Laurel ześliznęły się po rękawach jego granatowego kombinezonu do nadgarstków, żeby tylko sprawdzić, czy nie ma na nich także bransolet z wytatuowanego fioletowym tuszem drutu kolczastego. Nie było. Sprawilo jej to pewną ulgę, ale wiedziała, że powinna być ostrożna: Dan Corbett usiłował ją przecież zgwałcić. I choć nie zamordował tej kobiety w Montanie, miał w sobie coś, co śmiertelnie przeraziło Bobbiego Crockera.

Oczy Corbetta były nabiegłe krwią, a jego skóra tak blada, że niemal przezroczysta— Laurel widziała drobne siatki żył na policzkach i nosie. Wyglądał na trochę skonanego, ale teraz wydawał się raczej trochę służalczy niż groźny — z pewnością mniej groźny, niż wydawał się ponad sześć lat temu na sali sądowej. Przypuszczalnie liczył teraz pięćdziesiąt lat. Nadal miał nienagannie przystrzyżoną kocią bródkę, choć teraz była równie siwa jak włosy opadające tłustymi strąkami na uszy. Przypomniała sobie, co pewien profesor powiedział kiedyś na zajęciach w college'u: złośliwość na żywo nie robi szczególnego wrażenia. Najczęściej jest na naszą miarę, mieści się w ramach naszych luster.

286

- Sądzę, że się znacie — rzekł terapeuta Corbetta, wysoki szczupły czło
wiek z małym złotym kółkiem w uchu, który wyglądał na niewiele

starszego

od Laurel. Nosił niebieską dżinsową koszulę i wzorzysty krawat w księżycy

w różnych fazach. Na imię, poznała je z wczorajszych rozmów telefonicznych, miał Brian.

Corbett rzucał spojrzeniem po pokoju, ogarniając nim Laurel i Margot Ann. Na stopach miał czarne adidasy, które skrzypiały na wyłożonej linoleum podłodze. Nie był skuty.

- Tak - odparła Laurel. - Witam.

- Witam. — Wystarczyło tylko to jedno słowo, ale natychmiast usłyszała w myślach jego przesłodzony, mocny, odrażający żarcik z leśnej drogi. Cipoponcz. Dwaj mężczyźni usiedli i Brian określił zasadnicze reguły przesłuchania wyjaśniającego. To co - miał taką nadzieję - w nim osiągną. Coś w całej tej sytuacji przypominało Laurel spotkanie prawników próbujących wypracować warunki porozumienia rozwodowego.

Po czym wszyscy zwrócili się w jej stronę, zakładając, że jest gotowa do rozpoczęcia przesłuchania. Zaskoczona zadała pierwsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy:

- Czy pracował pan kiedyś w wesołym miasteczku?

Corbett posłał jej autoironiczny uśmiech i spojrzał na kartkę żółtego papieru w linie, który trzymał na kolanach. Laurel domyśliła się, że to jego list.

- Tak. - To wszystko.

- Co tam pan robił? Wzruszył ramionami.

- Kierowałem przejazdami.

- Czy chcesz do tego coś dodać, Dan? — zapytał terapeuta. - Czy pragniesz powiedzieć pani Esfabrook coś jeszcze?
- To była tylko praca - odparł. - Zarobiłem trochę forsy.
- Powiedz to pani Estabrook. Corbett odwrócił się twarzą do niej.
- To nie było nic szczególnego. Drobiazg. Po **prostu praca**.
- Dziękuję - powiedziała Laurel.
- Nie ma sprawy.
- A pański ojciec. Jak miał na imię?
- Widzę, że ma pani jego zdjęcia.

287

- Ow... szem — odparła wolno, niepewnie. Poczwała natychmiastową ulgę, że to ten mężczyzna, a nie Russell Richard Hagen jest synem Bobbiego. Doświadczyła również przyływu bardzo przyjemnego optymizmu: w nadchodzących chwilach — w tym właśnie pokoju — miała się dowiedzieć wszystkiego, co trzeba, żeby przekonać otaczających ją niedowiarków, że to ona ma rację, a oni są w błędzie. Że jest zdrowa na umyśle.

To oczywiście oznaczało również, że będzie musiała go poinformować o śmierci ojca, a nie była pewna, jak zareaguje.

- Nie znałem go tak naprawdę — ciągnął Corbett. — Pojawił się w moim życiu trzy, może cztery razy. Nazywano go Bobbie.
- Muszę panu coś o nim powiedzieć.

- Czyli?
- Zmarł. Na udar. Przykro mi, panie Corbett.
 - Czy dlatego pani tu przyjechała? - zapytał. - W jego głosie nie **było** nawet cienia żalu.
- Po części.
 - Może i był moim tatą, ale nie był ojcem. W końcu zapanowała między nami zgoda. Ale nie, on nigdy nie był moim ojcem.
- Jak pana znalazł w Vermont?
 - Po prostu wpadliśmy na siebie w jakimś przytułku w Bostonie. Rozpoznał mnie. Powiedziałem, że wybieram się do Burlington. Wie pani, z powodu jarmarku. Miałem się tam spotkać z Russem Hagenem i powiedziałem mu o tym. Russ też był kuglarzem. Ale potem dostał normalną pracę w siłowni.

Przez całe rano Laurel wytrzymała napór coraz bardziej gęstniejącej chmury strachu; czuła, jak dygoczą jej napięte nerwy. Teraz samo wspomnienie nazwiska Hagen - wisiało ono w powietrzu niczym chmura gradowa - przyprawiało ją o dreszcze. Drobne spazmy przeszywały ją jak prąd. Poczowała na przedramieniu dłoń Margot Ann.

- Chcesz wody? - zapytała Margot.

Laurel pokręciła przecząco głową i dalej pytała:

- Dał panu coś, gdy tutaj przyjechał? Zdjęcie? Pudełko?
- Bobbie? Ależ skąd. Ten człowiek nie miał nawet nocnika.
- Miał swoje fotografie.
- I nigdy nie spuszczał ich z oka.

- Czy przeraził go pan kiedyś?
 - Bobbiego? Gdy byłem naćpany, pewnie we wszystkich budziłem przerażenie. — Corbett wydawał się z tego dumny i Brian szepnął mi coś, czego Laurel nie dosłyszała. Potem, gdy odsunęli się od siebie, Corbett dodał: - Tak, przeraziłem go w dniu, gdy napadliśmy na panią. -Jak?
- Straciłem panowanie nad sobą.
- Widział, co się stało?
 - Co się stało? - zapytał Corbett i Brian jeszcze raz spojrzął na więźnia. Tym razem nie musiał go ponaglać. Corbett mówił dalej: - Nie sądzę. Słyszał. Narobiliśmy sporo hałasu. Ale nie widział. Myślę, że dotarł tam przed tamtymi rowerzystami. Prawnikami.
- Przed?
- Taak.
- Czy był z panem w furgonetce, gdy stamtąd odjeżdżaliście?
 - Nie, jasne, że nie. Niech pani pamięta, był szalonym staruchem! On...
 - On był pańskim ojcem! - warknęła na niego Laurel i w pokoju natychmiast zapadła cisza. Margot Ann wciąż trzymała dłoń na jej ramieniu, gładząc ją przez rękaw koszuli.
 - Nie muszę tu siedzieć - powiedział Dan Corbett nie wiadomo do kogo. - Nie muszę tu siedzieć.
 - Nie musisz - przyznał Brian. - Ale wszyscy cieszymy się z twojej obecności. Myślę, że pani Estabrook była raczej zaskoczona niż zła. Zgadza się?
- Tak. Zgadza się.

Więzień wydał policzki niczym wiewiórka, po czym głośno wypuścił powietrze. Jak rozwiązany balon.

- Mieszkał u nas, znał tę drogę. Lubił robić na niej zdjęcia. Ale nie wiedział, że tego dnia będzie tam pani. Nie wiedział też, że będę tam ja i Hagen. Ale Hagen wiedział, że się pani zjawi. Wiedział, gdzie pani zapar

kowała. Śledził panią chyba dwa razy. Może trzy. Sam nie wiem. Tak czy inaczej, Bobbie po prostu przyszedł tam z przyczepy Hagen. Las nie był zbyt daleko. No, może dla faceta po siedemdziesiątce był. Ale niezupełnie. O tym, że tam się znalazł, dowiedzieliśmy się dopiero przed zjawieniem się

glin. Ulotnił się tuż przed ich wizytą w przyczepie.

289

- Nie powiedział pan o tym policji.

- Nie pytali - odparł Corbett i Laurel po raz pierwszy usłyszała w jego głosie pomruk zła. - I nie myślałem dostarczać im kolejnego świadka.

To nie miałyby większego sensu. Hagen też nie miał takiego zamiaru.

Laurel spojrzała na zdjęcia i pokazała Corbettowi dużą odbitkę przedstawiającą posiadłość Buchananów w East Egg.

- Poznaje pan ten dom?

- Nie.

- Ale wiedział pan, że pański ojciec zrobił to zdjęcie, prawda?

- Tak sędzę. Ale z Bobbiem nigdy nic nie wiadomo.

- Poznał pan kiedyś swojego dziadka?

- Jasne. Znałem obojga dziadków. Laurel wyprostowała się na krześle.

- Niech pan mi o nich opowie.

- A czego pani chce się dowiedzieć?

- Wszystkiego, co pan pamięta.

- Cóż, niech pomyślę. Tato mojej **mamy był muzykiem jazzowym.** Grał na trąbce. Mieszkał w Bronksie.

- A tato pańskiego ojca?

- Chodzi pani o człowieka, który **mnie wychował? Faceta, za którego wyszła moja mama? Czy o Bobbiego?**

- O Bobbiego.

- Tak myślałem.

- Proszę.

- Tato Bobbiego mieszkał na Long Island. -Yhm.

- Był konduktorem na tamtejszej kolei.

- Konduktorem?

- Konduktorem. Zgadza się. No wie pani, w pociągu. Jego mama była nauczycielką. W pierwszej, drugiej klasie. Coś w tym rodzaju. Bobbie robił

czasem zdjęcia peronów na miejscowej stacji. Na Long Island. Przypuszczam, że ze względu na ojca. I tamtejszym ładnym domom... je także fotografował. Prawda wygląda tak, że rodziców Bobbiego widywałem częściej

niż dziadków ze strony mamy. A najrzadziej widywałem rodziców
człowie

ka, za którego mama w końcu wyszła.

290

Laurel myślała wcześniej, że Corbett być może nie będzie miał pojęcia, kim byli rodzice Bobbiego. Podobnie przypuszczała, że może wiedzieć, iż jego babką była Daisy Fay Buchanan, i błędnie sądzić, że Tom był jego dziadkiem. Jednak ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że Dan może być tak bardzo źle poinformowany - że tak fałszywie to wszystko interpretuje.

- Konduktor w pociągu? — zdziwiła się. - I nauczycielka? Czemu pan tak uważa?
- Bo właśnie tym byli, proszę pani. W dzieciństwie spędziłem u nich sporo czasu. Przez pewien czas moja mama myślała, że potrafi sobie poradzić z szaleństwem Bobbiego lepiej niż jego rodzice, zwłaszcza po tym jak pozwoliła mu zrobić sobie dziecko.
- Mówisz o swojej matce - przypomniał mu Brian.
- Moja mama nie różniła się od...

- Waż słowa - ostrzegł więźnia terapeuta. — Pamiętaj, że... Corbett uniósł obie ręce w geście rezygnacji.
- Świetnie. Dość już powiedziałem.
- Czy pańska matka jeszcze żyje? - zapytała Laurel.
- Nie. Zmarła dawno temu.
- Ma pan jakieś rodzeństwo?

- To słowo brzmi jak nazwa choroby wenerycznej — odparł Corbett, łypiąc na nią wzrokiem. — Rodzeństwo. Rodzeństwo. Pozwoli pani, że za

pytam: ma pani rodzeństwo?

Margot Ann odwróciła się do Laurel i spojrzał jej prosto w oczy.

- Chciałabyś wyjść?
- Nie - odparła Laurel, po czym zadała swoje pytanie w zmienionej formie: - Ma pan braci lub siostry?
- Nie mam.
- A nazwisko Buchanan? Czy brzmi znajomo?
- A Daisy?
- Jak stokrotka?
- Jak pańska babcia.
 - Moja babcia nie miała na imię Daisy. Miałem babcie imieniem Alice i drugą imieniem Cecilia. Mama Bobbiego, nauczycielka, miała na imię Alice.
 - Nie - odparła Laurel. - Miała na imię Daisy. Była żoną Toma Buchanana. To właśnie ich dom był na zdjęciu, które panu pokazałam. A w roku

291

tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim, latem, miała romans z przemytnikiem Jayem Gatsbyem. Gatsby...

- Jak w tej powieści? — To pytanie zadał Brian.

Laurel spostrzegła, że wszyscy w pokoju się w nią wpatrują.

- On był dziadkiem Dana Corbetta, ojcem Bobbiego Crockera. Wła

śnie nim był Jay Gatsby! - Czyżby podniosła głos? Miała nadzieję, że nie. Ale ta wymiana zdań nastąpiła bardzo szybko i Laurel była nieprzygotowana na opór więźnia i zaprzeczenie. Na jego dziwną konfabulację. Konduktor w pociągu? Nauczycielka? Mogła tylko przypuszczać, że wymyślił taką historię, żeby ją dalej dręczyć.

Znowu usłyszała ten głos. Jego głos. Wspomnienie. Cipoponcz.

- Laurel? — Odwróciła się. Pytanie padło z ust Margot Ann. Poza tym w pokoju panowała cisza. Bębnienie w jej głowie było jedynym odgłosem, jaki jeszcze słyszała. - Laurel? — powtórzyła Margot Ann.
- Słucham?
- Chciałabyś zrobić przerwę? Pan Corbett nigdzie się nie wybiera. Ale my możemy wyjść.

Laurel usłyszała, że ktoś w pokoju pociąga nosem, i uświadomiła sobie, iż tą osobą jest ona.

- Mogę jeszcze wysłuchać listu? - zapytała.

- Jeszcze? Oczywiście, że możesz - odparła Margot Ann. - Jeżeli chcesz.

Corbett odwrócił wzrok, spojrzął gniewnie na wiszący na ścianie zegar. Brian delikatnie łączył i rozsuwał czubki swoich palców, a więzień spojrzął najpierw na swojego terapeutę - pomyślała, że zachowuje się jak szkolony pies — a następnie na nią.

- Mam po prostu przeczytać go na głos? - zapytał.
- Tak jak robiliśmy w grupie. Tak jak robiłeś ze mną — odparł Brian, po czym dodał, zwracając się do Laurel: - Dan staje się

odpowiedzialny za swoje czyny.

Jakby mówił o niegrzecznym chłopcu, pomyślała Laurel.

Margot Ann jeszcze raz zapytała, czy naprawdę chce to usłyszeć, i Laurel usłyszała swoją twierdzącą odpowiedź. Chciała. Chcia... ła. Nie wierzyła, że powtórzyła swoje słowa, ale chyba rzeczywiście tak było.

I wtedy, chwilę później, Corbett zaczął czytać. Jego głos był zarazem pochlebny i protekcyjny. Laurel uznała, że chce ją poniżyć, zyskując

292

jednocześnie aprobatę swojego terapeuty. Wiedziała, że to zadanie niewykonalne, i pojęła, że jeżeli nie zdoła osiągnąć obu celów, będzie wolał przysporzyć jej cierpień. Być może w takich sytuacjach odczuwał podniecenie.

—Droga Pani Estabrook — zaczął, trzymając kartkę przed sobą obiema rękami, jakby to była powieść w twardej oprawie. — Piszę do pani ten list, żeby przeprosić za to, co wraz z Russem Hagenem zrobiłem pani siedem lat temu. Byłem naćpany, ale to nie jest żadne usprawiedliwienie. Szybko opuściłem dom, ale to też nie jest usprawiedliwieniem. Nie jest nim również czas, który spędziłem, włócząc się bez celu. Biorę pełną odpowiedzialność za to, co zrobiłem. Tym samym biorę pełną odpowiedzialność za to, że panią skrzywdziłem. Ciężko mi pisać te słowa, ponieważ są takie paskudne. Sodomia. Gwałt. Okaleczenie. Mówią jednak, że prawda nas wyzwoli, i nie będę owijał w bawełnę. I choć nie pamiętam wszystkiego, pamiętam wystarczająco dużo. I wiem, co wyszło na jaw w śledztwie. Wiem, że to wszystko prawda. Przede wszystkim przepraszam zatem, że złamaliśmy pani obojczyk, palce i stopę. I przepraszam, że przytrzyma

łem panią, gdy Russ zgwałcił panią w dwóch miejscach. Przepraszam, że ja też to zrobiłem. I przepraszam, że zmusiliśmy panią do seksu oralnego. A przede wszystkim przepraszam za to, że trzymałem panią za *race*, *gdy* Hagen tak paskudnie panią okaleczył. Nie sądzę, by rzeczywiście zamie rzał wyciąć pani serce, i wtedy też tak nie sądziłem. Ale wiem, że bałem się, że będzie pani w stanie nas rozpoznać, tak więc chyba po trosze liczy łem, że Russ naprawdę panią zabije, gdy odciął pani pierś. A gdy odjeź dżaliśmy, tak strasznie pani krwawiła, że sądziłem, że rzeczywiście może pani umrzeć w tym lesie. Ale ucieszyłem się wtedy i teraz się cieszę, że ci rowerzyści znaleźli panią i że pani żyje. Przykro mi z powodu pani piersi oraz innych oszpeceń. Szkoda, że nie mogę tego pani wynagrodzić. Za łuję, że nie mogę cofnąć się w czasie i nie uczynić pani tych okropnych rzeczy. Ale nie potrafię. Mogę więc tylko, pani Estabrook, powiedzieć przepraszam. Z poważaniem, Dan Corbett. PS. Obiecuję, że już nigdy nie zrobię czegoś takiego innej osobie. - Gdy skończył czytać, spojrzał na Briana. - Mam jej to dać?

- Siedź. My jej to damy - odparł terapeuta.

Oczy Margot Ann siedzącej obok Laurel były zamknięte. Laurel zdała sobie sprawę, że Margot powstrzymuje łzy. Brian gapił się w podłogę. Zno-
wu czuła w skroniach rytm bicia swojego serca i strużki spływającego po niej potu. Miała wrażenie, że jest dziwnie, niezrozumiale obnażona. I zastanawiała się, dlaczego pozwolono temu więźniowi na tyle zmyśleń w czymś, co miało być listem wyjaśniającym.

PACJENT NR 29873

...pacjent pokazał mi egzemplarz powieki Wielki Gatsby w miękkiej

ciemnoniebieskiej oprawie i z widocznym na okładce podlotkiem z nimfami w oczach, a mimo to nadal zaprzeczał temu, że to beletrystyka. Nazywał to dziennikiem, prawdziwą historią. Po pokazaniu mu strony redakcyjnej z nazwiskiem autora, datą wydania, informacją oficjalności opisanych zdarzeń itd. — znikoma reakcja.

O problemie z diagnozą wspomniano już przedtem. Co do bodźców stresowych poprzedzających ten epizod (jakkolwiek go zakwalifikujemy), kolekcja zawiera zdjęcia młodej rowerzystki na leśnej drodze, zrobione— jak się wydaje — siedem lat temu w pobliżu miejsca, w którym doszło do gwałtu i okaleczenia. Nasza obecna wiedza nie pozwala ustalić, czy znalezienie ich wśród zdjęć klubu pływackiego z czasów dzieciństwa pacjenta spowodowało urojenia, to znaczy zasugerowało mu biograficzny bądź wręcz karmiczny związek z...

Z notatek Kennetha Pierce'a,
psychiatry prowadzącego,
szpital stanowy w Waterbury, Yermont

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

P

AMELA NIGDY NIKOMU NIE MÓWIŁA, co widziała, nawet swojemu powiernikowi, mecenasowi TJ. Leckbrugę'owi. Po części dlatego, że czasem sama zastanawiała się, czy naprawdę w ogóle coś widziała. Mogło to być wspomnienie, które faktycznie w całości wymyśliła. A jednak tkwiło żywe, świeże, całkiem jak film, w jej świadomości.

Pewnego potwornie gorącego letniego popołudnia James Gatz był w domu jej rodziców, a niania Pameli, młoda Irlandka o włosach czerwonych jak kredka, miała zaprowadzić ją nad zatoczkę, żeby zanurzyć w wodzie pulchne nóżki swojej podopiecznej. Tom Buchanan wyjechał gdzieś na cały dzień. Gatz miał na sobie garnitur tak samo olśniewająco biały jak koszulka Pameli i założywszy nogę na nogę, siedział na krześle naprzeciw jej matki. Daisy Buchanan usadowiła się leniwie na kanapie niczym modelka pozująca do obrazu. Na niskim stoliku stały koktajle dla obojga, lecz lód dawno się już roztopił i ścianki szklanek pokrywała skroplona para rozlewająca się na podkładkach. Daisy wyglądała na szczególnie osłabioną upałem, jej ciało wydawało się wtapiać w poduchy kanapy.

Niania brodziła po wodzie z Pamelą, trzymając ją za ręce, gdy unosiła dziewczynkę nad fale przyboju i zanurzała ją po pas, a potem po szyję. Dzień był tak parny, że nawet zatoczka przypominała Pameli wannę z ciepłą wodą, i ani ona, ani jej niania nie czuły się odświeżone kąpielą. Poza tym nie wzięły ani dmuchanej foki, gdyż plan nie przewidywał zanurzania się po szyję - prawdziwego pływania - tak więc Pamela szybko się znudziła.

Na szczęście niania przyniosła czerstwą bagietkę i odłamała kawałeczki pieczywa, żeby dziewczynka mogła karmić mewy, które widziały wcześniej z okien domu. Było ich chyba z tuzin, może więcej. Ptaki opadały na zie-

mię u stóp Pameli i początkowo się bała, ale gdy tylko pojęła, że chcą jedynie chleba, była zachwycona i czuła się pośród nich jak artysta

cyrkowy ze stadem tresowanych zwierząt.

Po czym, stanowczo zbyt szybko, chleb się skończył i Pamela znowu czuła tylko dręczący żar popołudnia. Później, gdy już wróciły do domu, oceniła, że chleba starczyło na zaledwie pięć minut.

Weszły przez salon, jeden z wielu pokoi wychodzących na zatokę, wślizgując się przez lekko uchylone przeszklone drzwi. Wciąż było im tak gorąco i były tak zmęczone - może nawet czuły się gorzej niż wtedy, gdy wychodziły na plażę, ponieważ długi spacer pod górę do domu odbywał się w pełnym słońcu - że od chwili wynurzenia się z wody milczały i po tarasie przeszły niemal bezszelestnie.

W salonie Pamela natychmiast zauważyła, że krzesło jest już puste. Gatz także siedział na kanapie. I wisząc nad jej matką, cofał głowę od jej ucha, jakby właśnie... wyjawiali sobie jakieś tajemnice. Tak blisko twarzy Daisy znajdowała się jego twarz. Nagle matka Pameli wyprostowała się, także teraz siedziała obok Gatza, zamiast pod nim leżeć. Wąskie ramiączka jej sukienki z krepy, przedtem ciasno opinające ramiona, zwisały teraz przy łokciach. Gdy z zakłopotaniem próbowała się uspokoić i poprawić garderobę, jednocześnie - i ta właśnie część wspomnienia nasunęła Pameli wątpliwości, czy nie ubarwiała szczegółów dopiero później, w swojej wyobraźni — zasłaniając nagie piersi, wydawała bardziej zarumieniona niż przed ich wyjściem z domu.

Czasem ten obraz był zamazany, jakby chodziło jedynie o sen, który Pamela wymyśliła jako nastolatka; kiedy indziej rysował się jednak w jej myślach tak wyraźnie, jakby to się działo w tym samym momencie. W końcu zaczęła sobie przypominać (albo, być może, wyobrażać), że naprawdę widziała, jak dłoń Jamesa Gatza wyłania się spod matczynej

sukienki. W college'u, gdy wspominała to popołudnie, zaczęła nawet podejrzewać, że tego właśnie dnia poczęty został jej brat przyrodni. Nie było to wykluczone. Pamelę natychmiast zaprowadzono wtedy na górę na drzemkę. Ojciec wrócił do domu dopiero po kolacji.

A opiekunka? Wkrótce, bardzo niedługo potem, została zwolniona. Pamela wiedziała, że ten fakt nie był szczegółem podlegającym niedoskonałościom i kaprysem pamięci. Ta kobieta całkowicie zniknęła z jej życia.

MARISSA PRÓBOWAŁA ZROBIĆ W SWOJEJ sypialni zadanie domowe, ale Cindy oglądała razem z ich ciotką telewizję w salonie, a mieszkanie jej taty nie

298

było zbyt duże. Ciotka była u nich już trzeci dzień i dla Marissy stało się aż nazbyt oczywiste, że ta kobieta spędziła w młodości zbyt dużo czasu na koncertach rockowych, bo jej słuch wydawał się gorszy od słuchu ich dziadka. Niczym w balecie, jej wciąż poobijana po upadku z huśtawki siostra złaziła z kanapy, żeby ściszyć dźwięk w oglądanym wspólnie filmie, a potem ciotka szła po coś do kuchni i przy okazji znowu dawała głośniej, tak że dźwięk telewizora mógł zagłuszyć ryk silnika odrzutowego.

Poza tym Marissa była wciąż zawiedziona faktem, że Laurel nie zrobiła jej w poniedziałek portretu, i obawiała się, że między jej tatą a jego przyjaciółką dzieje się coś dziwnego. Nie była pewna w czym rzecz, ale nie chodziło jedynie o to, że tata trafił się nagłym wyjazdem Laurel do domu na Long Island. Miała wrażenie, że coś przed nią ukrywa. Problem zaś sprowadzał się do tego, o czym rozmawiał w sobotę wieczorem z tą

kobietą imieniem Katherine. Pomyślała, że rozstanie taty z Laurel jest bardzo możliwe. Uważała, że to nie w porządku, ale gdy przedwczoraj odbierał ją ze szkoły, wydawał się raczej zły niż zaniepokojony. Tak jakby nie wierzył, że matka Laurel naprawdę zachorowała. Jakby uważał, że Laurel jest szalona, i nie chciał, by zbliżała się do jego dzieci.

Cóż, mogłaby to zrozumieć, gdyby Laurel naprawdę była stuknięta. Wtedy miałyby to sens. Ale Laurel nie była wariatką. Po prostu wiele przeszła. Marissie było przykro, że chyba nikt, nawet jej tata, tego nie rozumie.

MARGOT ANN ZAPYTAŁA, czy Laurel czuje się na siłach, by wrócić do pracy po wyczerpującej próbie przesłuchania wyjaśniającego. Stały na parkingu za murem więzienia; ogrodzenie ze zwojami drutu kolczastego majaczyło wysoko nad ramionami Margot Ann.

- Nie - odparła Laurel. - Chyba wrócę do domu.

— Zrób sobie wolne na resztę dnia... ja się zgadzam.

Laurel uśmiechnęła się blado w nadziei, że wyrazi tym uśmiechem swoje znużenie. Ale prawda wyglądała tak, że nie była wyczerpana. Była zdezorientowana - ale zarazem przesłuchanie pobudziło ją do działania. Nie chciała wprowadzać Margot Ann w błąd, ale chyba nie było innego wyboru. Chciała skłonić ją do wysadzenia jej na podziemnym parkingu w Burlington, gdzie spotkały się rano, ale potem na pewno nie miała zamiaru jechać do swojego mieszkania na wzgórzu. Dom w tym wypadku oznaczał West Egg. Skoro Bobbie nie dał synowi kolejnej wskazówki, ona będzie się kierować coraz silniejszym przeczuciem, które tknęło ją w niedzielę, gdy rozstawała się z Shemem Wolfe'em w restauracji Sereny: może

sama jest ogniwem w poszukiwaniach ostatecznego świadectwa. Ostatecznego dowodu. Być może nie było wcale zbiegiem okoliczności, że po śmierci Bobbiego powierzono jej pieczę nad jego zdjęciami. Czyż nie sfotografował jej tamtego dnia przed siedmioma laty na leśnej drodze w Underhill? Czyż Katherine nie poprosiła, żeby zbadala, co zawierają zdjęcia, które po sobie zostawił?

A skoro była decydującym ogniwem dla Bobbiego Crockera, to oczywiście dlatego, że zrozumiał, iż Laurel spędzała letnie popołudnia swojego dzieciństwa, przesiadując w cieniu drzew za domem Jaya Gatsby'ego. Domem jego ojca. Nie pływając wprawdzie w basenie Gatsby'ego, ale w rym, który zbudowano na jego miejscu.

Być może Bobbie wybrał ją, ponieważ zdał sobie sprawę, że tylko ona potrafi zrozumieć zarówno jego życie, jak i pracę.

I dlatego Laurel jeszcze raz wróci do jego domu.

Gdyby bowiem była na jego miejscu i chciała pozostawić po sobie dowód na to, kto naprawdę był jej ojcem, umieściłby go właśnie tam. Tam, gdzie kiedyś żył i zginął Gatsby.

Noc SPĘDZIŁA W domu w West Egg. Odsłuchiwała wiadomości, które Talia, Katherine i David zostawili na automatycznej sekretarce jej matki. Sprawdzali ją. Sprawdzali prawdziwość informacji, które im zostawiła.

Tamtej nocy niewiele jednak spała, ponieważ w drodze do domu zboczyła do country klubu w West Egg. Przybyła na miejsce tuż przed zamknięciem sali restauracyjnej. Przyjrzała się tam uważnie fotografiom wiszącym na ścianach, łącznie z czarno-białymi zdjęciami małych widowisk, które Gatsby określał mianem przyjęć. Gdy pomocnicy

kelnerów sprząтали z ostatnich stolików, a zmywacze w kuchni stukali przez nieuwagę ciężkimi rondlami o ścianki zlewów — i gdy para z gorącej wody snuła się niczym mgła pod wahadłowymi drzwiami - Laurel wędrowała po sali i korytarzach, które łączyły ją z wejściem głównym i biblioteką. Przyglądała się uważnie zdjęciom basenu pływackiego, próbując sobie wyobrazić, gdzie dokładnie znajdował się Gatsby, gdy zginął od kuli, i jaką część powierzchni istniejącego obecnie basenu o wymiarach olimpijskich zajmował ów dawny, mniejszy basen. Zauważyła, że na starych odbitkach nie ma dzikich jabłoni, i przypomniała sobie historię, którą opowiedziano jej w dzieciństwie: klubowi podarował je jakiś tajemniczy darczyńca. Potem pojawiły się one na fotografiach Bobbiego — również na zdjęciu przedstawiającym jabłoń z usypaną obok małą stertą jabłek.

300

Na tyle bliska uniesienia, na ile mogła je przeżywać w swoim obecnym stanie, zdała sobie sprawę, że sterta owoców to marker. Symbol. Totem.

Gdy kładła się do łóżka, była już północ i myśli o planach na najbliższy ranek kołatały się w jej głowie niczym dźwięki instrumentów strojonych tuż przed rozpoczęciem koncertu. Wcześniej uważnie przyjrzała się zdjęciu z drzewem i piramidą opadłych owoców i dokładnie wiedziała, gdzie zakończą się jej poszukiwania.

Obudziła się grubo przed świtem, poszła do garażu po długą łopatę, której ojciec używał do prac przy domu, oraz mały rydel ogrodniczy matki, i wróciła do klubu. Zaparkowała jak najbliżej kamiennej normandzkiej wieży. Przez chwilę siedziała w samochodzie, gdyż znowu

zaczęła płakać. Nie wiedziała, czy płacze pod wpływem niewymownego zmęczenia, czy dlatego, że nikt jej nie wierzy, czy też lka nad losem bezdomnego mężczyzny, który w dzieciństwie przekonał się, jak bezduszni i okrutni potrafią być dorośli. Jak potrafią się karmić złudzeniami, przeinaczać fakty, gardzić innymi.

Posłuchała śpiewu ptaków i wzięła się w garść. Obserwowała, jak niebo rozjaśnia się na wschodzie, a szorstkie kamienie ścian budynku klubu widać coraz wyraźniej. Tuż przed szóstą wysiadła z hondy i ruszyła w stronę jabłoni. Oparła łopatę o drzewo, przy którym zamierzała kopać. Wszystkie drzewa były teraz o wiele grubsze i wyższe, a ich gałęzie rozłożyste. Od czasu gdy fotografował je Bobbie, co najmniej jedno, może dwa zostały wycięte. Nietrudno było jednak dostrzec, gdzie leżała mała sterta jabłek i dlaczego Bobbie usypał ją właśnie w tym miejscu. Jabłoń była środkowym z trzech drzew, które zasadzono koło północnego brzegu dawnego basenu. Stary basen Gatsbyego znajdował się mniej więcej tam, gdzie teraz mieściła się głęboka część do skoków z wieży, i był co najmniej trzy razy mniejszy. Natomiast jabłoń rosła najbliżej miejsca, w którym zginął ojciec Bobbiego.

Słońce jeszcze nie wzeszło, gdy Laurel wbiła łopatę w ziemię, ale już dniało i po długim oczekiwaniu w samochodzie z ulgą stanęła, ujęła stylisko w dłonie, umieściła stopę na występie blachy - drewniany trzonek chłodził jej palce, a ostry brzeg blachy uciskał podeszwę buta - i wcisnęła ją w grunt. Przez trawę i korzenie. W piaszczysto-gliniastą glebę. Kawalki darni, a potem bryły ziemi rzucała na stertę z prawej strony. Od czasu do czasu opadała na kolana i grzebała w wykopanym dole rękami: chciała się upewnić, czy nie przeoczy czegoś małego, lecz ważnego. Na przykład medalionu. Zegarka z monogramem. Wynikało to jednak wyłącznie z jej

wrodzonej skrupulatności. Bobbie nie dał żadnych podstaw, by wierzyć, że znajdzie jakiś konkretny klejnot.

301

Kopała przez blisko pół godziny i już się zaczęła obawiać, że za chwilę przybłąka się jakiś golfista, ranny ptaszek, albo jeden z konserwatorów, żeby zebrać liście z powierzchni wody w basenie i sprawdzić poziom zawartości chloru, gdy usłyszała, jak ostrze łopaty uderza w coś litego — choć nie tak twardego jak kamień. Może nawet rozległo się słabe echo. Dół był teraz tak głęboki, że aby dosięgnąć dna, Laurel musiała się położyć i częściowo opuścić się w głąb, lecz nawet wówczas musiała wyciągnąć palce. Odgarnęła dłońmi ziemię otaczającą znalezisko i paznokciami zdrapała ją z jego powierzchni. Wyczuła najpierw jedną, potem drugą równą krawędź. Sięgnęła po rydel i delikatnie, ale dość niecierpliwie, wygarniała nim ziemię po bokach. W końcu wyczuła jakąś kłamrę. Zawias. Po czym oburącz zdołała wyciągnąć z dołu drewnianą szkatułkę, tę z lusterkami w półokrągłe ząbki na wieczku.

Nie знаła się na drewnie, ale gdy zmiotła ze szkatułki grudki ziemi, pomyślała, że to wiśnia. Jej rodzice — a teraz matka — spali w łóżku z wiśniowym wezglowiem i miało ono taką samą barwę jak szkatułka. Ostrożnie, z sercem bijącym jak szalone, nie bacząc na pot, który zmieniał ziemię na jej policzkach i czole w błoto, starała się podważyć paznokciem haczyk unieruchomiony przez ziemię i rdzę. W końcu jednak odskoczył i podniosła wieczko. Przez chwilę była rozczarowana. Liczyła, że znajdzie podpisaną fotografię, tę, którą Jay dał Daisy w Louisville, gdy oboje byli młodzi, zakochani, a ich życie było jeszcze niewiadomą. Ale nie było jej

tam. Zamiast fotografii znalazła kopertę - kiedyś beżową, teraz brunatną. Odwróciwszy ją, ujrzała słowo *Daisy* napisane męską dłonią na wierzchu, a gdy odchyliła skrzydełko, zauważyła wytłoczoną na spodzie literę *G*. W środku znajdowało się zdjęcie Gatsby'ego i Daisy, zrobione latem tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku. Siedzieli razem na kamiennych schodach prowadzących z jego domu w stronę basenu, w odległości zaledwie około trzydziestu jardów od miejsca, gdzie Laurel klęczała w tej chwili. Daisy nosiła czarną sukienkę bez rękawów w stylu empirowym oraz sznury pereł. Jej kolczyki miały kształt stokrotek. On nosił smoking, muszka była lekko przekrzywiona. Daisy trzymała go pod rękę, głowę przechyliła ku niemu, ale nie dotykała nią jego ramienia. Na zdjęciu mieli lekko zarumienione twarze, jakby właśnie skończyli tańczyć. Uśmiechali się. Nie, uznała Laurel, to za mało powiedziane. Byli rozpromienieni. Był wieczór, ale same ich uśmiechy mogłyby wystarczyć do oświetlenia terenu dookoła.

302

Za zdjęciem znajdował się **złożony list, napisany tą samą dłonią, która** zaadresowała kopertę.

Moja najdroższa Daisy!

Mogę sobie tylko wyobrazić, co czujesz, ale musisz zrozumieć, że zginęła nie z Twojej winy. Wybiegła prosto pod koła! Nikt nie zdążyłby się zatrzymać. Nikt.

Pamiętaj: gdyby ktoś kiedyś o to pytał, musisz powiedzieć, że to ja prowadziłem. Potrafię zatroszczyć się o siebie. I potrafię zatroszczyć się o nas. Te okropne chwile miną i wyjdziemy z tego bez szwanku. Będziemy

razem.

Wczoraj w nocy obserwowałem Twój dom i czekałem. Czekałem całą noc. Nie zasnąłem dzięki temu, że wyobrażałem sobie naszą wspólną przyszłość. To przyszłość, w której nie będziesz tyranizowana, w której nie będziesz musiała się zastanawiać, dokąd pojechał Twój mąż. Wiesz, że nie musimy tutaj zostać. Możemy zamieszkać w Louisville, gdybyś chciała. Lub w Bostonie. Bądź w Paryżu. Albo w Londynie. Jest mi to obojętne. Szczęśliwi możemy być wszędzie, o ile tylko będziemy razem.

Nie umiesz sobie tego wyobrazić? Ja umiem. Widzę nas: Ciebie, mnie, Pammy i naszego syna. Tak, braciszka dla Twojej słodkiej córeczki. Damy mu na imię Robert, po Twoim ojcu. To będzie nasza rodzina. Syn, córka oraz najbardziej kochająca i kochana matka na świecie. My. Będę mężem, na którego zasługujesz, i ojcem, na którego zasługują nasze dzieci.

Właśnie to ujrzałem zeszłej nocy, gdy trzymałem straż przed Twym domem.

Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Dzisiaj cały dzień będę w domu. Daj mi tylko znać, kiedy powinienem po Ciebie przyjść.

Ucałowania, Jay

Laurel wiedziała, że powinna zasypać dół, ale była zgrzana i zmęczona, a gdy wstała, zakręciło się jej w głowie. Poza tym było prawie wpół do ósmej. Od blisko trzydziestu minut z odległych okolic pierwszego dołka słyszała odgłosy uderzeń kijów golfowych o piłkę, a odkąd zaczęła kopać,

na parking wjechało co najmniej pięć samochodów. Tak więc ze szkatułką pod

303

jedną pachą i łopatą oraz rydlem pod drugą ruszyła z powrotem w stronę auta zaśmieconego ogryzkami jabłek i pustymi puszkami po red bullu pozostawionymi przez nią na fotelu obok kierowcy.

GDY DAWNY DOM Gatsby'ego i jego porośnięte niegdyś szalwią lekarską trawniki, zamienione teraz w jałową prerię pola golfowego, oddalały się w lusterku wstecznym hondy, Laurel rozpoczęła swą długą podróż powrotną do domu. Kolejnych siedem godzin jazdy. Przez krótki czas jechała wzdłuż cieśniny Long Island, z której wód uniosły się już resztki błękitnej mgły, po czym skręciła ku długim pasmom zbędnego plastiku i neonowych świateł, które łączyły West Egg z autostradą. Potem znalazła się na samej szosie, mijając pospolite centra biurowe wybudowane na hałdach popiołu i pozostałości Wystawy Światowej. Unisferę i szkielety wspaniałych niegdyś pawilonów: widoczne resztki niespełnionych aspiracji tamtej epoki. Czyż nie widywała codziennie wyrzutków społeczeństwa i ofiarmiotanych na margines przez wirujący glob? Oczy miała jak szparki, głowę ciężką od wizji i marzeń. Była w nich rehabilitacja, na którą czekała, rozmyślając o swoim odkryciu, żeby nie zasnąć — rehabilitacja nie tylko jej, ale i Bobbiego - była też rodząca się świadomość, że jej przeszłość jest częścią jej przyszłości. Zawsze. Świadomość, na dobre i na złe, nieodparta.

Zajechała pod dom po południu i gdy obarczona wiśniową szkatułką i teczką z fotografiami Bobbiego, slaniając się, wchodziła do mieszkania, przez chwilę myślała, że ma gorączkę.

Przed sobą ujrzała grupkę najważniejszych osób w swoim życiu. Na kanapie siedziała jej współlokatorka, spoglądająca na nią wzrokiem przepełnionym rozpaczą, oraz matka — wezwana najwyraźniej z Włoch — dzisiaj w obcisłym czarnym swetrze zamiast obcisłego czarnego T-shirtu. Na krześle przy komputerze siedział Whit, wyglądający niezwykle mizernie i ponuro. Ujrzała Katherine siedzącą koło balkonu, z telefonem komórkowym przy uchu. Nie widziała Davida i przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest, ale trwało to krótko, uwagę Laurel zwrócił bowiem kolejny mężczyzna - nie David - który wędrował między salonem a kuchnią. Początkowo trudno jej było przypomnieć sobie, skąd go zna. Bo skądś go znała - a przynajmniej tak jej się wydawało.

I wtedy, nagle, przypomniała sobie. Mimo wielu godzin, które spędzili razem, odkąd omal nie zginęła na leśnej drodze w Vermont, nie rozpoznała go od razu, ponieważ zawsze kojarzyła go z gabinetem, gdzie zazwyczaj się spotykali.

Był to jej psychiatra. Doktor Pierce.

304

PACJENT NR 29873

Ocena: zaburzenia dwubiegunowe I, obecny epizod mania, stan poważny, z cechami psychozy; zespół stresu pourazowego.

To zasługuje na komentarz. O tej niezwyklej demonstracji dyskutowano z dr R... Dyskusja ta jest analizowana poniżej.

PTSD wydaje się dość oczywisty mimo objawów psychozy, zważywszy na poważny uraz, głębokie cierpienie podczas oglądania fotografii przedstawiających rower oraz objawy otępienia, to jest unikanie miejsca

wypadku w Underhill, luki w pamięci, uczucie wyobcowania. Diagnoza ta jest istotna, jeśli chodzi o upośledzenie funkcjonalne i rokowania, bez względu na to, co jeszcze się dzieje.

Trudniej jest zdiagnozować psychozę. Mimo gry słów stosowanej przez pacjenta nie odnotowano dezorganizacji językowej/behawioralnej. Objawy nastroju, łącznie z utrzymującą się umiarkowaną nerwowością, utratą zdolności snu przed przyjęciem do szpitala i niezwykle uporczywą aktywnością, to jest znikaniem z oczu rodzinie i przyjaciołom, gorączkowymi podróżami i poszukiwaniami przed przyjęciem do szpitala oraz jej obecnym pisaniem, wydają się najbardziej zgodne z zaburzeniem dwubiegunowym, które z pewnością można byłoby skojarzyć z psychozami (walproinian sodu wydaje się w każdym razie obniżać poziom aktywności i dość znacznie uspokajać). Główny problem stanowi fakt, że w sytuacji gdy objawy nastroju są mniej więcej określone, utrzymywanie się urojeń jest rzeczą niezwykle.

Jedynym przykładem w systemie diagnozy nozologicznej DSM na psychozę, nieokreślonym inaczej, są „ciągłe nieudziwnione urojenia z okresami zbieżnych w czasie nastrojów, które utrzymują się przez znaczną część chorobliwych urojeń”, i to pasuje do tego przypadku. Ponieważ zdarzył się tylko jeden epizod manii — a nie liczne „okresy” — na razie sensowne jest dopasowanie się do diagnozy nastrojów.

Intrygująca jest konstrukcja tych urojeń. Pacjentka napisała całą książkę stanowiącą kronikę tych wrześnieowych tygodni, którą uważa za prawdziwą historię, ale zawierającą postaci całkowicie przez nią wymyślone lub zaczerpnięte z powieści sprzed osiemdziesięciu lat: Pamelę Buchanan; T.J. Leckbruge'a, anagram utworzony z imienia optyka na

fikcyjnym billboardzie. Shem Wolfe — najwyraźniej Meyer Wolfiheim. Ponadto pojawia się Jay Gatsby.

Zmyśliła również lub powtórzyła rozmowy ze swoją ciotką, matką i sąsiadką z Long Island.

Być może też, chcąc usprawiedliwić fakt, iż jej przyjaciel oddala się od niej, wymyśliła chyba dwie małe córki i obdarzyła go nimi. Utrzymuje, że to z powodu tych wyimaginowanych dzieci jej przyjaciel najwyraźniej z nią zerwał (Am bada teraz, jak wiele z postaci tych dziewczyn zaczerpnęła ze wspomnień z własnego dzieciństwa i ze swoich stosunków ze starszą siostrą).

Odnosnie tego, jak ograniczone są te urojenia. Choć utrzymują się mimo minimalnych teraz symptomów nastrojowych, chyba nie wykraczają zbyt daleko poza pomysł z Gatsbym. Rozciągają się na postać bezdomnego, któremu służyła pomocą i który oczywiście nie żyje. Jednak z jej punktu widzenia sprawa nie jest zamknięta, gdyż ów bezdomny mężczyzna rzeczywiście był ojcem jednego z napastników. Dlatego też jeszcze bym nie przestawał podawać przeciwpyschotycz-nego risoleptu.

Am dopisuje do listy odwiedzających jej sąsiada Whita Nelsona. Whit, podobnie jak jej przyjaciółka Talia, wydaje się mieć łagodzący wpływ na jej zachowanie — i wyraźnie troszczy się o nią.

Naprawdę niezwykła jest zdolność pacjentki do fałszywych sądów, a zarazem do zachowania szczególnej empatii w stosunku do osób w jej „pamiętniku”, którzy ich nie podzielają — i do odgradzania się przez cały czas od bolesnych wspomnień brutalnej napaści. Spostrzeżenia jej bohaterów pod koniec opowieści, jak sama zauważyła, sugerują budzącą się świadomość tego, jak brutalna była ta napaść. Mimo to jednocześnie

nadal utrzymuje, że kilka lat temu wyszła z opresji ze złamanym obojczykiem i złamanym palcem. Twierdzi, że w ogóle nie pamięta, iż okaleczono ją i zostawiono w lesie na pastwę śmierci...

Z notatek Kennetha Pierce'a,
psychiatry prowadzącego,
szpital stanowy w Waterbury, Yermont

PODZIĘKOWANIA

PRAGNĘ PODZIĘKOWAĆ RICIE MARKLEY, dyrektor burlingtońskiej Komisji ds. Tymczasowego Schronienia dla Bezdomnych, zarówno za pokazanie mi tych zdjęć, jak i za zaproszenie mnie do obejrzenia przytułku, którym kieruje — do wglądu w to, czym żyje.

Nie mógłbym również napisać tej powieści, gdyby nie mądrość, wskazówki oraz niewzruszona cierpliwość dwojga czytelników jej wersji sygnałnej: mgr Johanny Boyce, psychoterapeutki wyspecjalizowanej w opiece socjalnej, oraz doktora Richarda Munsona, psychiatry w szpitalu stanowym w Waterbury w stanie Vermont.

Na moją wdzięczność za udzielenie odpowiedzi na konkretne pytania na temat chorób umysłowych, bezdomnych i przepisów prawa zasłużyły następujące osoby: Sally Ballin, Milia Bell, Tim Coleman i Lucia Volino z burlingtońskiej Komisji ds. Tymczasowego Schronienia dla Bezdomnych; Shawn Thompson-Snow z Howard Center for Human Services w okręgu Chittenden w stanie Vermont; Brian M. Bilodeau, Susan K. Blair, Thomas McMorrow Martin oraz Kory Stone ze stanowego zakładu karnego Northwest w Swanton, Vermont; Doug Wilson, psychoterapeuta zajmujący się

gwałcicielami osadzonymi w zakładzie karnym Northwest w ramach stanowego programu leczenia; Rebecca Holt z „Burlington Free Press”; Jill Kirsch Jemison; dr Michael Kiernan; Stephen Kiernan; Steve Bennett; adwokaci Albert Cicchetti, William Drislane, Joe McNeil oraz Tom Wells; i wreszcie Sąd Okręgowy dla spraw Spadkowych w Chittenden w stanie Yermont.

309

Jak zawsze jestem zobowiązany mojemu agentowi literackiemu, Jane Gelf-man; moim redaktorom w wydawnictwie Random House — Shaye Areheart, Marty'emu Asherowi i Jennifer Jackson; a także mojej żonie, Victorii Blewer, wspaniałej czytelniczce, która szczerą potrafi osłodzić życzliwością.

Dziękuję wam wszystkim.

I wreszcie pragnę wyrazić moje uznanie dla trzech książek. Dwie z nich to niefabularne opowieści o chorobie umysłowej, które okazały się zarówno pouczające, jak i inspirujące: *Angelhead: My Brother's Descent into Madness* Grega Bottomsa oraz *The Outsider: Journey into My Fathers Struggle with Madness* Nathaniela Lachenmeyera.

Trzecią jest oczywiście *Wielki Gatsby* F. Scotta Fitzgeralda. Są niezliczone powody, dla których - wraz z milionami czytelników reprezentujących cztery pokolenia - przeczytałem tę powieść wiele razy. I dlatego, jako powieściopisarz, odnoszę się do niej z rewerencją: siła oddziaływania wielkiego marzenia Gatsby'ego, błyskotliwość prozy Fitzgeralda oraz jego głębokie zrozumienie charakterystycznych cech Amerykanów. Oraz rozdzierająco piękne zakończenie.

Jednak w przypadku *Podwójnej więzi* chodziło o coś więcej. Niewiele powieści wywarło tak duży wpływ intelektualny na naszą kulturę literacką jak *Wielki Gatsby*, a jeszcze mniej jest tak poczytnych. Po drugie, *Wielki Gatsby* to po części książka o ludziach skompromitowanych, o ich kłamstwach i przeinaczeniach — kłamstwach, które znosimy świadomie, i tych, jak sami siebie przekonujemy, stanowiących tylko upiększenie przyziemnej rzeczywistości. Problem kłamstw i przeinaczeń należy chyba również do podstawowych kwestii, przed jakimi stają bohaterowie *Podwójnej więzi* i właśnie dlatego *Wielki Gatsby* wywiera tak wyjątkowy i dominujący wpływ na wyimaginowaną Laurel Estabrook.

Pragnę zatem wyrazić zarówno mój podziw dla *Wielkiego Gatsbyego*, jak i swą wdzięczność, że powieść Fitzgeralda jest częścią literackiego kanonu.

OD WYDAWCY: *Autor książki oddaje część tantiem burlingtońskiej Komisji ds. Tymczasowego Schronienia dla Bezdomnych.*